



Polexit
Dlaczego
PiS straszy
Unią
►3



**Krystyna
Podleska**
„Miś” chodzi
za mną pół
życia ►22



WYSOKIE OBCASY
**Matki
z ADHD**
reportaż Ewy
Jankowskiej

FOT. SHUTTERSTOCK, PRZEMYSŁAW POKRYCKI/REPORTER



MAGAZYN

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

SOR

Doświadczenie apokaliptyczne

►4



FOT. GETTY IMAGES

wyborcza
Wydawnictwo Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348398



**W KO patrzą
na Węgry.**
Poluzować krawaty,
smartfon w dłoń ►12

**Nowak na
1 maja.** Żyjemy
w świecie bez
śrubokręta ►14

Matematyk:
Uczeń używający
AI „hakuje”
system ►26

**Leszno płonęło
3 dni.** Czy miasto
zapłaciło
za zdradę? ►44

**Kod dostępu
do Wyborcza.pl
na weekend**

Sobota – czwartek, 2-7 maja 2026 | Redaktor prowadzący Andrzej Kulasek | Cena gazety 12,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 101.11200, 2

Nakład 75 tys. + 322 tys. prenumerat cyfrowych

Agnieszka
Kublik

Zabójczy szeryf

Im więcej wypada trupów z szafy Zbigniewa Ziobry, tym bardziej w PiS chcieliby o nim zapomnieć albo i nawet wirtualnie anihilować.

Wyborcy PiS Ziobrę widzą na ławie oskarżonych. Cynizmu i bezwzględności Jarosławowi Kaczyńskiemu nie brak, więc czemu oficjalnie Ziobrę PiS wspiera?

Niedawno Donald Tusk ujawnił, że na przełomie października i listopada 2025 r. Przemysław Kral, prezes Zondacrypto, wpłacił 450 tys. zł. na konto fundacji Instytut Polski Suwerennej. Na jej czele nadal stoi (w tej chwili w Budapeszcie) Ziobro.

Ta kasa popłynęła do Ziobry przed głosowaniem pierwszego weta Karola Nawrockiego do ustawy o kryptowalutach.

Zondacrypto (wcześniej BitBay) powstała w 2014 r., jak mówił minister Tusk, „według wszelkiego prawdopodobieństwa w środowisku środków pochodzących od ludzi zajmujących się nielegalnym obrotem paliwami płynnymi i papierosami”. A wedle polskich służb, kontrolę nad giełdą Zondacrypto ma jedna z najgroźniejszych rosyjskich grup przestępczych.

Jak zagłosowali ludzie Ziobry w sprawie weta? Przeciwnie ustawie przewidującej kontrolę rynku kryptowalut przez rząd. A te-

raz przedstawiciele fundacji przekonują, że Kancelaria Adwokacka Przemysława Krala, która przed tym głosowaniem dała im blisko pół miliona, nie miała z nimi wcześniej żadnych kontaktów.

Za te pieniądze ma powstać raport o nadużyciach gabinetu Tuska oraz na opłacenie prawników, którzy

bronią tych niby ofiar. Część pieniędzy już poszła na adwokatów Dariusza Mateckiego z PiS i ks. Michała Olszewskiego, oskarżonych w aferze Funduszu Sprawiedliwości.

Tej samej, w której Ziobro ma 26 zarzutów, przed którymi uciekł do Budapesztu. Tu jednak, po 12 kwietnia i wyborczej porażce Viktora Orbana, nie jest już bezpieczny. Ziobro musi czmychnąć znad Dunaju. Gdziekolwiek czmychnie, ma przechlapane. I PiS też.

Jeśli Ziobro wróci, pójdzie do aresztu i PiS nie uda się ukreślić z tego opowieści o ofierze-bohaterskim szeryfie, bo to on okradał ofiary przestępstw. Proces Ziobry uświadomi nawet wyborcom PiS, że nie na tym polega sprawiedliwość – że prokurator działa na niekorzyść ofiar przestępstw.

Sondaże pokazują, że dla większości Polaków jedyna sprawiedliwość dla Ziobry to wyrok skazujący. A to jak wyrok na cały PiS. Jeśli Ziobro nie wróci, pozostanie szeryfem uciekającym przed sprawiedliwością.

A wszystko to w sytuacji, gdy Kaczyński walczy o wyborców, rzuca się od ściany do ściany, błagając o głosy na radykalnej prawicy i w centrum. Czy prezes politycznie anihiluje Ziobrę? Czy to by pogorszyło jego sytuację? PiS może w 2027 r. przegrać wybory. O ile KO nie ułatwi im wygranej. ●

Andrzej rysuje



Koniec gehenny Andrzej Poczobut wolny



Po 1860 dniach spędzonych w więzieniach i łagrze władze Białorusi uwolniły Andrzeja Poczobuta, dziennikarza i działacza polskiej mniejszości narodowej. Na przejściu granicznym Białowieża-Piererow powitał go m.in. premier Donald Tusk oraz Bartosz T. Wieliński, wicenaczelný „Gazety Wyborczej” (z prawej).

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Liczba tygodnia

600

ZŁ
• – do takiej kwoty dochodzą koszty napisania odwołania od wyniku matury

Niezwykły eksperyment Nasiona słyszą deszcz

Badacze z MIT zanurzyli w płytkiej wodzie (na różnej głębokości) blisko 8 tys. nasion ryżu. Następnie nad częścią z nich odkręcili krany z wodą kapiącą z różną mocą – naśladującą krople deszczu padające podczas kapuśniaczku, pluchy albo ulewę.

Pod wodą umieścili też hydrofony mierzące vibracje akustyczne wywołane przez opad. Dzięki temu mogli porównać krople z kranu do prawdziwego deszczu.

Efekt? Jak piszą autorzy w tygodniku „Scientific Reports”, deszcz przyspiesza kiełkowanie nasion. I to mocno. Nasiona, którym kapalo „nad głową”, kiełkowały o 30-40 proc. szybciej od tych, które nie doświadczały „deszczu”. A naj- szybciej rosły te, który znajdowały się najbliżej pod powierzchnią wody.

To nie pierwsze badanie udowadniające, że rośliny słyszą, choć nie posiadają ani uszu, ani układu nerwowego. Rok temu inni naukowcy udowodnili eksperymentalnie, że rośliny reagują na dźwięk zbliżających się owadów zapylających – zwiększają wtedy produkcję słodkiego nektaru w kwiatach. Jest to jednak pierwszy naukowy dowód na



to, że w zmysł słuchu wyposażone są już nasiona.

Autorzy publikacji uważają, że w wyczuwaniu vibracji otoczenia pomagają nasionom tzw. statolity – ziarenka minerałów znajdujące się w komórkach roślinnych. Za pomocą statolitów nasiona wyczuwają grawitację. Drobinki minerałów opadają w komórce roślinnej niczym ziarenka piasku w wodzie, dzięki czemu nasiona wiedzą, z której strony mają wykiełkować, a z której wypuścić korzenie.

Obliczenia pokazały, że vibracje wywołane przez krople deszczu spadające na powierzchnię wody albo gleby wystarczą, by pobudzić statolity. ●
Tomasz Ulanowski



Ten turniej niesie ze sobą ogromne ryzyko. Nie można powiedzieć, że to będą bezpieczne, wolne i równe mistrzostwa, ani też inkluzywne, co obiecywano osiem lat temu, gdy zostały przyznane. (...) To głęboko niepokojący okres w USA i z pewnością fani, którzy przyjadą cieszyć się mistrzostwami, to odczują.

STEVE COCKBURN

Amnesty International o piłkarskim mundialu w USA, Meksyku i Kanadzie, który rozpoczyna się w czwartek

Unia Europejska

PiS na drodze do polexitu

Jarosław Kaczyński straszył, że Unia Europejska będzie jak niemiecka Rzesza.

Dlaczego nie odpowiedzieliśmy mu, że Europa stanie się nową Rzeczpospolitą Obojga Narodów?

Wielński



Wybory parlamentarne za niespełna półtora roku. Na skrajnej prawicy, która według sondaży reprezentuje mniej więcej połowę wyborców, trwa właśnie wyścig na radykalizm. Zwolennicy prawej strony chcą, by politycy mówili językiem biblijnym: tak, tak, nie, nie, bez żadnego „ale”.

Ostro i bezkompromisowo o Ukraincach, Izraelu, prawach kobiet, demokracji, mniejszościach i o Europie. Słynne „Oze-sroze” nie pojawiło się znikąd. Przemysław Czarnek, kandydat PiS na premera, sięgnął po tę wulgarną zbitkę, by wybrzmiała w tyrodzie przeciwko UE. Unii, która każe nam rezygnować z taniego węgla, którego wszak mamy pod dostatkiem, nakazuje jeść robaki, a wkrótce zakaże samochodów spalinowych oraz zalegalizuje homomaleństwo i naukę masturbacji w przedszkolach.

Ten pisowski repertuar to znany zestaw manipulacji i kłamstw. Pisowscy maślarze i harcerze zapomnieli, że to ich rząd zgodził się na unijny Zielony Ład i go wychwalał. To ten program redukcji emisji dwutlenku węgla do atmosfery zakładał m.in. szybki rozwój energetyki bazującej na odnawialnych źródłach energii oraz to, że po 2035 r. w UE nie będą rejestrowane samochody spalinowe. Unia z tego pomyślała i innych radykalnych rozwiązań wyczołgała się dopiero w zeszłym roku, gdy PiS był już w opozycji.

Polexit. PiS nie zrezygnuje

Gdyby frakcyjne wojny nie zaczęły rozrywać partii, Kaczyński z Czarnkiem właśnie rozpocieraliby sztandar polexitu, pod który ściągaliby wyborców obydwu Konfederacji, podejrzliwie, a nawet wrogo patrzących na Brukselę. Jeszcze chwilę odczekają, ale z antyunijnej krucjaty nie zrezygnują. Nie mają wyjścia.

Były premier Mateusz Morawiecki – zawarłszy wewnątrzpartyjne zawieszenie broni – dalej chce przekonywać głosujących wizjami rozwoju kraju prosto z powerpointowych prezentacji. To nie chwyci, bo jest – i zawsze było – po prostu mdłe. A hasło wyjścia z UE jest wyraziste, mieści w sobie potężne emocje... Można w nim upchnąć suwerenność i wolność słowa, narodową dumę i tradycję. Obudować religią i posypać polskim mesjanizmem. Im mocniej, tym lepiej.

Skrajna prawica posługuje się skrajnymi ideami. PiS przez 8 lat podawał je ostrożnie, w małych dawkach. Braun idzie na całość. Dziś jest jasne, że Kaczyński stracił radykalnych wyborców, bo powstrzymywał się od głoszenia najbardziej skrajnych poglądów. By ich odzyskać, musi mówić ich językiem i przeliczować konkurentów po prawej stronie. Dlatego wejście PiS na drogę prowadzącą do polexitu jest nieuniknione. Wszak, by go przeprowadzić, wystarczy zdobyć

w Polsce władzę. Wyjście z UE byłoby wypowiedzeniem umowy międzynarodowej. O takich sprawach w Polsce decyduje rząd i Sejm.

Kto nie chce silnej Unii

Czy polscy demokraci mają odpowiedź na wezwania do polexitu? Mają mędrca szkiełko i oko. Są statystyki i wykresy. Jedne obrazują cywilizacyjny przełom, który dokonuje się od ćwierćwiecza w Polsce, inne katastrofę, jaką spowodowała na siebie Wielka Brytania, decydując się na opuszczenie Unii. To wzrost bezrobocia, balansująca na krawędzi recesji gospodarka, nawarstwiający się problemy, które brexit miał rozwiązać.

Polityka przestaje być jednak walką na racjonalne argumenty. Liczą się emocje. 1 maja 2004 r., dzień wejścia Polski do Unii, spędzałem na Wybrzeżu. Minął bez żadnej publicznej ekscytacji. Na ulicach widziałem trochę unijnych flag i niebieskich baloników. W miastach organizowano europejskie pikniki. I tyle. A przecież tego dnia pisała się polska historia. Po 15 latach wyrzeczeń, harówki, zaskania pasa dokonaliśmy niemożliwego: spełniliśmy wszystkie warunki, by wejść do elitarnego klubu.

Pamiętam też tę dziką radość populistów w całej Europie – także w Polsce – gdy rankiem 24 czerwca okazało się, że wbrew pierwszym sondażom Brytyjczycy w referendum jednak opowiedzieli się za wyjściem z UE. Wielu (w tym również politykom PiS) marzył się wtedy efekt domina, który doprowadziłby do rozerwania unijnej sieci instytucji.

To odwieczna i powszechna bolączka naszej europejskiej Wspólnoty. Populistów, którzy gardzą liberalną demokracją, Unia doprowadza do wściekłości. Wystarczy poczytać tweety kremlowskiego trolla Dmitrija Miedwiediewa czy funkcjonariuszy ruchu MAGA. W Budapeszcie jeszcze można znaleźć resztki plakatów wyborczych, na których Viktor Orbán odgrażał się, że zrobi w Brukseli porządek. Węgry mu na to nie pozwolili, choć nie jest to efektem powszechnego europejskiego renesansu nad Dunajem. Orbán stracił władzę, bo doprowadził do ruiny gospodarkę, czyniąc z Węgier najbardziej biedniejszy i najbardziej skorumpowany kraj UE. Tę złość potężnie wzmacniają algorytmy platform społecznościowych. Ich właściciele, bigtechowa amerykańska śmietanka, też nie kryje, że z silną Unią jej nie po drodze.

Bo „nie do takiej Unii wstępowaliśmy”

Dla demokratów obecność w Unii jest jak woda w kranie. Dopóki płynie, nie wywołuje emocji. Po prostu jest. Może ta bezbarwność wynika z unijnego DNA? Wspólnota powstała, by organizować wolny handel między jej członkami, co miało ugruntować ich pokojową egzystencję i zapobiec kolejnej wojnie. Istotą jej działania było tworzenie wspólnego prawa, które regulowało przepływy towarów, usług, ludzi i kapitału.

Dopiero w XXI wieku – w obliczu spadających na nasz kontynent kryzysów – Unia musiała się zmierzyć z wyzwania-

mi dotyczącymi stabilizowania sektora bankowego, ochrony granic, walki z pandemią, czy od 2022 r. budować wspólny, także w sensie militarnym, front przeciwko putinowskiej Rosji i bronić Ukrainy. Tymczasem ostatnio w Polsce karierę robi kłamliwe hasło, że „nie do takiej Unii wstępowaliśmy”. Owszem, nie do takiej. Unia, by przetrwać już drugą dekadę serii kryzysów i chronić swoich obywateli, musiała się szybko zmienić. Równie dobrze można by powiedzieć, że nie w takiej Polsce wchodziliśmy w dorosłość.



Kaczyński, żeby odzyskać radykalnych wyborców musi mówić ich językiem i przeliczować konkurentów po prawej stronie. Dlatego wejście PiS na drogę do polexitu jest nieuniknione

Nie ma dziś takiej dziedziny życia, na którą wpływu nie miałoby członkostwo w UE. Unia dała sobie dorobić głębię niezrozumiałego monstrem. Sam proces tworzenia unijnego prawa – żmudne poszukiwanie kompromisu między unijnymi instytucjami a rządami państw członkowskich – odpycha szarego obywatela. Łatwiej mu uwierzyć w opowieści o gigantycznej biurokracji. Ale w rzeczywistości w instytucjach UE pracuje mniej niż 60 tys. urzędników. Taką samą liczbę urzędników zatrudniają władze Paryża. Tylko w polskim ZUS jest 45 tys. etatów...

Musimy zmienić to, jak mówimy w Polsce o Unii Europejskiej. To nie jest tylko skarbonka, z której finansowane są mniejsze i większe inwestycje w naszym kraju, to nie tylko swoboda poruszania się po Europie (roaming) bez kontroli granicznych, brak roamingu, program Erasmus czy ujednolicone wtyczki do ładowarek. To nie tylko ochrona wszelkich praw obywateli. Obecnie Unia to potężny geopolityczny projekt. Tylko jak o tym opowiedzieć?

Znamy to z historii

Jarosław Kaczyński w typowy dla siebie sposób podniósł tę kwestię u schyłku rządów swojej partii, gdy zaczął mówić o Czwartej Rzeszy. Cel był jasny: zożydzić Wspólnotę jako niemieckie narzędzie do ucisku Polaków, jako kontynuację zbrodniczego imperium Hitlera, która przeszła do historii jako Trzecia Rzesza.

Kaczyński ten wątek ciągnie do dziś. Mówi o wynaradawianiu Polaków przez

Niemców, kolonizacji gospodarczej, zamienianiu Polski w land. Polemika z Kaczyńskim, który doskonale potrafi instrumentalizować polskie fobie i kompleksy, oczywiście jest bez sensu. Gdy zabraknie mu argumentów, wyciągnie statystyki polskich ofiar i zniszczeń drugiej wojny światowej i zażąda – wziętych z sufitu – bilionowych reparacji, które powiększy jeszcze o stopę inflacji.

Opowieść o nowej Rzeszy ma przykryć inny problem PiS. Sztandarowe hasła tej formacji są przejmowane przez Donalda Tuska pod hasłem: ja to zrobię lepiej. Widać to w kwestiach imigracji, zabezpieczenia granicy z Białorusią, modernizacji i rozbudowy armii, polityki europejskiej, polityki socjalnej. Tusk w tych tematach przeliczowuje PiS. Nakłada się to na okres gospodarczej prosperity i kolejnego cywilizacyjnego przełomu, który odbywa się w naszym kraju. Widać to, gdy porównuje się coraz bardziej rozwinięte polskie miasta z miastami na Zachodzie i gdy słucha się zagranicznych turystów, którzy chwalą, że Polska jest czysta i bezpieczna.

Czy dzięki członkostwu w Unii weszliśmy w złoty wiek? Chyba że wcześniej na takie wnioski, zwłaszcza w sytuacji globalnej niestabilności. Ale zaczynamy czuć z ostatnich dokonań taką zwykłą, pozbawioną patosu dumę. Tusk po prostu zabrał Kaczyńskiemu białoczerwoną flagę, naprawiając błąd liberalistów sprzed kilku dekad, którzy narodowy patriotyzm uznawali za anachronizm. Zakładanie, że unijna flaga zastąpi flagę białoczerwoną, było błędem.

Dlatego trzeba mówić o Unii, że to źródło naszej siły. Fundament i narzędzie, za pomocą którego Polska realizuje swoje interesy i jest w tym konsekwentna. A jednocześnie – z Polską w składzie – jest siłą, która ma globalne znaczenie. W czasach, gdy Ameryka zapada się pod ciężarem szalenstwa swojego prezydenta, gdy płonie Bliski Wschód, gdy nieustannie zagraża zbrodnica Rosja, gdy swoje wpływy bezwzględnie poszerzają Chiny, kraje Europy nie mają wyjścia. Powtarza się scenariusz, który znamy sprzed lat: w trudnych czasach trzymamy się razem. Co wam to przypomina?

W XIV wieku z podobnych przyczyn, by wspólnie bronić się przed zewnętrznym zagrożeniem, Polska i Litwa zdecydowały się zawrzeć unię. Dwa odmienne kraje dobrowolnie, z myślą o swoich interesach stworzyły potęgę rościągającą się od Bałtyku po Morze Czarne.

Gdy więc Kaczyński, chcąc nakręcić polexitowe nastroje, przyrówna zjednoczoną Europę do zbrodniczej niemieckiej Rzeszy, należy przeciwstawić mu bogatą, silną, wielokulturową Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Niech to będzie ta nasza dobra idea, pozytywna i w pełni białoczerwona proeuropejska emocja.

W 22. rocznicę wejścia Polski do UE chciałbym w gruncie rzeczy widzieć Unię jako rzecz pospolitą, która łączy różności, zapewnia wolność, bezpieczeństwo i dostatek. Pomyślmy o tym. Na obronę Polski w Unii mamy coraz mniej czasu. ●

Bartosz T. Wielński

SOR

CZWARTA NAD RANEM

Ratownik:
Młodzi wrzucają objawy w czata GPT i jadą do nas

Monika Redzisz

SOR w Szpitalu Bielańskim w Warszawie. Niedzielny wieczór. W poczekalni na plastikowych, połamanych nieco krzesłkach siedzą pacjenci. Młodzi wpatrują się w swoje telefony, starsi popadają w otępienie. Kiedyś był tu automat z napojami, ale już go nie ma. Kolorowa tablica na ścianie informuje o czasie oczekiwania. Skala jest pięciostopniowa. Kod czerwony to natychmiastowe przyjęcie, pomarańczowy – do 10 minut, żółty – do godziny, zielony – do dwóch godzin, niebieski – do czterech. „W sytuacjach wyjątkowych czas oczekiwania może ulec zmianie” – czytamy pod spodem małym druczkiem. I ulega.

Do wyjścia właśnie zbiera się młoda kobieta o kulach.

– Skręciłam kostkę. Czekalam cztery godziny i nie czekałam się nawet triażu! – rzuca zdenerwowana.

Na triaż, czyli wstępną ocenę medyczną, na podstawie której pacjent dostaje kod określający priorytet, nie powinno się w ogóle czekać.

– Zanim przyjąłby mnie lekarz, zanim zrobiliby mi rentgena, zeszlaby mi tu cała noc! A ja mam jutro o 8 rano zajęcia na uniwersytecie. Mam ortezę w domu. Jakoś sobie sama poradzę – mówi i kuśtyka do wyjścia.

Dziewczyna z różowymi włosami ma kod zielony. Czeką już trzy godziny i końca nie widać.

– Mam numer 19., ale od dawna nic się nie rusza – mówi zrezygnowana. – Wciąż tylko wchodzi nowi, z wyższym priorytetem. Może wytrzymam do jutra i pójdę do przychodni?

– Wolałbym, żeby lekarz ją obejrzał dzisiaj – protestuje jej chłopak. – Wróciliśmy trzy dni temu z Tunezji, coś ją tam ukąsiło. Ma straszne wybroczyny na nodze, a od wczoraj – kłopoty z widzeniem, zawroty głowy, gorączkę. Jak wpisaliśmy objawy do ChataGPT, kazał nam pilnie jechać na SOR.

Żaluję, że nie wezwałem karetki... Wiem, że ludzie tak robią. Dzwonią, podkoloryzują trochę objawy i nie muszą tu czekać godzinami. Ja tu już parę razy byłem; najdłużej czekałem 10 godzin. Najgorzej to jest tam – wskazuje głową na drzwi prowadzące na oddział ratunkowy.

Survival

Wstępu na szpitalny oddział ratunkowy broni leciwy ochroniarz, ale wpuszcza mnie do środka bez problemu, kiedy mówię, że ja tylko na chwilę, w odwiedzinach.

Za drzwiami tłok. Wąski korytarz pełen jest ludzi. Lekarze, pielęgniarki, ratownicy uwijają się jak w mrowisku. Drzwi do sal pootwierane są na oścież; widać leżących pacjentów, głównie osoby w podeszłym wieku.

Czteroosobowe sale, a raczej salki, są zapelnione. Mieszczą się w nich dwa łóżka szpitalne i dwie wąskie, stojące ukosem, kozetki. Czekają tu ci, którzy zosta-

li zakwalifikowani na górę, na oddział szpitalny. Ale na oddziale nie ma wolnych łóżek. Dopiero kiedy ktoś zostanie wypisany ze szpitala albo umrze, na jego miejsce wchodzi pacjent z SOR-u. Czekają na to jak na wniewstąpienie. Czasem kilka godzin, czasem dobę, czasem tydzień.

– Jestem weteranem SOR-u w Szpitalu Bielańskim, gdzie często trafiałem i z moimi rodzicami, i podopiecznymi – mówi Marcel Andino Velez, koordynator opieki geriatrycznej. – Wielokrotnie dziękowałem lekarzom, pielęgniarkom, ratownikom.

Miałem powody – uratowali mi ojca raz, drugi, trzeci, matkę – dwa razy. To oni w tym kraju ratują ludziom życie w stanach ciężkich. Raz, kiedy moja mama złamała rękę, miałem głupi pomysł, żeby pojechać na jedyny w Warszawie prywatny oddział ratunkowy. Szybko pożałowałem: błędy medyczne, chamstwo i za wszystko trzeba słono płacić.

Tym niemniej uważam, że SOR to jest doświadczenie krańcowe, apokaliptyczne, survival. Coś w rodzaju naszej wewnętrznej granicy z Białorusią.

Tam czasem bez sensu, w nieludzkich warunkach umierają ludzie.

Nieszczęśnicy z weekendu

W 2025 roku przez 251 funkcjonujących w Polsce SOR-ów przewinęło się ponad 5 milionów pacjentów.

Według danych NFZ-u najwięcej świadczeń – prawie 800 tysięcy – udzielono w województwie mazowieckim; najmniej – 88 tysięcy – w Lubuskim. Na wielu z nich na pomoc jednocześnie oczekiwało nawet 90 osób. A pacjentów w SOR-ach przybywa z roku na rok.

Komentarze na forach internetowych dzielą się na dwie kategorie. Pierwsza z nich to wyrazy wdzięczności. „Złego słowa nie mogę powiedzieć! Tata trafił w złym stanie, w pięć minut go przyjęli, zrobili tomografię, rezonans i wszystkie badania, od razu przekierowali na oddział i zrobili operację mózgu. Uratowali mu życie”.

Druga to wyrazy potępienia. „Jeżeli istnieje piekło na ziemi, to nazywa się SOR. Zero szacunku dla pacjentów, organizacja godna przedszkolaka i cienia empatii. Gdyby mi się coś stało, to lepiej zostawcie mnie pod płotem”.

– Proszę mi wierzyć, że dla nas, lekarzy, to także jest poligon – mówi dr Małgorzata Żurek, lekarka medycyny rodzinnej na piątym roku specjalizacji z medycyny ratunkowej. Od pięciu lat pracuje w SOR-ze w Szpitalu Wolskim w Warszawie.

Na każdym dyżurze jest tu lekarz medycyny ratunkowej po stronie czerwonej, dwóch – po stronie zielonej, a także chirurg i neurolog.

Na stronę czerwoną trafiają pacjenci z niewydolnością oddechową, bólem w klatce piersiowej, nagłym zatrzymaniem krążenia, krwotokiem, utratą przytomno-



ści, rozległymi oparzeniami, ciężkimi urazami wielonarządowymi, podejrzeniem udaru czy zakażenia opon mózgowo-rdzeniowych. Mają do dyspozycji 12 monitorowanych łóżek; na każdym z nich można przeprowadzić reanimację.

– Wielokrotnie zdarza mi się, że przejmując dyżur, mamy na SOR-ze 40 pacjentów, którzy zostali jeszcze z poprzedniej zmiany. A wciąż dochodzą nowi. To widać zwłaszcza w poniedziałki, kiedy zalegają u nas nieszczęśnicy z weekendu, dla których zabrakło miejsca na oddziale – opowiada.

– Większość z nich to pacjenci internistyczni. Miejsce na neurologii czy chirurgii zwykle się znajduje, natomiast z miejscami internistycznymi jest w całej Warszawie dramatyczny problem. To może być przykładowo pacjent lat 70 z urosepą, który jest w na tyle ciężkim stanie, że nie możemy go wypisać do domu.

Czeka więc u nas na miejsce na docelowym oddziale. Ma tu swoje łóżko, ale nie jest to komfortowa sala trzyosobowa z własną łazienką, tylko sala wieloosobowa, z łóżkiem oddzielnym od innych tylko parawanem i wspólną łazienką na korytarzu. Mamy tu 24 takie łóżka, ale czasem i one są zajęte. Wtedy pacjent czeka w poczekalni na krześle.

Kiedy pięć lat temu zaczynałam pracę, w naszym regionie funkcjonował jeszcze ATTIS i szpital na Barskiej. ATTIS został wykupiony przez Szpital Bródnowski i przekształcony, a szpital na Barskiej – zamknięty. Z trzech szpitali, które zabezpieczały nasz rejon w łóżka internistyczne, zostaliśmy tylko my. A pacjentów w tym czasie – także w związku z wojną w Ukrainie – przybyło.

To zaleganie pacjentów w SOR-ze jest dla mnie bardzo frustrujące. Jakies trzy lata temu byłam blisko takiego mojego „no pasaran”. Dyżurowałam wtedy po stronie zielonej i byłam sama na, było, 40 pacjentów. W lepszych stanach, ale zdarzali się ludzie dużo ciężiej chorzy, niż to wyglądało na pierwszy rzut oka.

Dyżury stały się tak ciężkie, że nie było to już bezpieczne ani dla nich, ani dla mnie, bo ryzykowałam prawem wykonywania zawodu.



Noc jest dla samotnego starszego człowieka trudna. Więc jedzie na SOR

Każdy w ostatecznym rozrachunku chce wrócić do domu z czystym sumieniem – poczuciem, że nikt nie zmarł dlatego, że nie miał czasu na niego spojrzeć.

Na szczęście obsada lekarska po stronie zielonej została wtedy zwiększona do dwóch lekarzy – mówi.

Ukraińcy i Kolumbijczycy

Pacjentów przybyło także z powodu pandemii.

– Zaczęli do nas trafiać pacjenci z chorobami, które nie były leczone w czasie jej trwania – np. z niewydolnością serca czy otyłością, jak również z powikłaniami po COVID-zie – opowiada dr n. med. Michał Florczak, specjalista chorób wewnętrznych i medycyny ratunkowej z tego samego SOR-u.

– Do tego coraz większa część społeczeństwa się nie szczepi, co skutkuje falą powikłań, np. w przebiegu infekcji grypy, dotyczy to zwłaszcza osób starszych: zapaleń płuc, zaostrzeniem przewlekłej choroby niedokrwiennej serca, przewlekłej obturacyjnej choroby płuc.

Spółeczeństwo się starzeje, w dużych aglomeracjach mieszka coraz więcej ludzi, a łóżek internistycznych jest coraz mniej, bo likwiduje się oddziały ze względu na ich nierentowność przy obecnej wycenie procedur przez NFZ oraz brak kadr medycznych.

Dodatkową udręką jest dla nas konieczność ciąglego wydzwaniania po innych szpitalach i szukania miejsca dla naszego pacjenta, dla którego nie mamy miejsca u siebie. W innych krajach ten problem nie występuje, znacznie łatwiej można znaleźć wolne łóżko.

Dla przykładu, w Czechach tą organizacją zajmuje się pielęgniarka. Wszędzie słyszymy: „U nas nie ma miejsc”, „Nie przyjmę pacjenta”, „Przykro mi”. To na-

prawdę bardzo frustrujące, bo gdzieś musimy tego chorego hospitalizować.

Zdarzało się, że moich pacjentów trzeba było przewieźć z Warszawy do Ciechanowa czy Płocka – mówi dr Florczak, który od zeszłego roku dyżuruje także w SOR-rze Mazowieckiego Szpitala Wojewódzkiego w Siedlcach. Twierdzi, że w miastach powiatowych dostęp do oddziałów ratunkowych jest zdecydowanie lepszy niż w Warszawie.

– Pacjent czeka tu znacznie krócej na przyjęcie. Też bywa tu dziennie 80-90 osób, bo zjeżdżają się pacjenci z całego powiatu, ale nie ma takiej kumulacji, bo dostępne są łóżka na oddziałach internistycznych – mówi.

Dr n. med. Grzegorz Jagielski jest kierownikiem SOR-u Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego nr 1 PUM w Szczecinie. To największy SOR w Zachodniopomorskiem i jedyne centrum urazowe dla dzieci i dorosłych w województwie. Według danych NFZ-u był to w 2025 roku drugi najbardziej oblegany oddział ratunkowy w Polsce. Rocznie przewija się przez niego ponad 100 tys. pacjentów; dziennie trafia tu nawet 200 dorosłych i 50 dzieci.

– Cóż mam powiedzieć? Kolejka u nas jest zawsze – mówi. – Na przykład z wczorajszego dyżuru zostało 12 osób, które wciąż są niezaopatrzone. Czekają albo na zakończenie diagnostyki, bo koledzy z radiologii, którzy mają po 80 tomografii na dobę do opisanie, się nie wyrabiają, albo na przyjęcie do szpitala, bo kliniki są zatkane.

Przybywa nam obcokrajowców. Największą grupą są oczywiście obywatele Ukrainy, ale mamy też masę Kolumbijczyków. Nie znają żadnego języka oprócz

hiszpańskiego; dwie osoby z mojego oddziału mówią po hiszpańsku, ale nie zawsze są akurat na dyżurze, więc rozmawiamy z nimi przez tłumaczy w telefonach. Trafiają do nas, oczekując pomocy w różnych sytuacjach życiowych, niekoniecznie zdrowotnych.

Najgorsze jest to, że nie mamy tu odpowiednich warunków. Fizycznie się nie mieścimy. Nasz szpital został zbudowany w latach 30.; SOR mieści się w pomieszczeniach dawnej kotłowni węglowej. Dyrekcja toczy rozmowy z Ministerstwem Zdrowia, żeby powiększyć nasz oddział ratunkowy; jest dobra wola i liczymy na pomyslny finał.

Dr Michał Florczak: – W medycynie ratunkowej mówi się o niewystarczających siłach i środkach w przypadku zaistnienia katastrofy – zdarzenia masowego. Lekarz funkcjonuje normalnie, kiedy ma pod swoją opieką maksymalnie kilku pacjentów w stanie nagłym naraz. Kiedy jest ich więcej, wówczas te siły i środki są niewystarczające. Można powiedzieć, że SOR-y w dużych miastach działają obecnie w sytuacji przewlekłej katastrofy.

Noc dla samotnych jest trudna

Sensem istnienia SOR-ów jest ratowanie życia w sytuacjach nagłych; rolą lekarza medycyny ratunkowej – ustabilizowanie stanu pacjenta, udzielenie mu pierwszej niezbędnej pomocy i przekazanie na właściwy oddział szpitalny. Jednak na SOR-ach pacjentów czerwonych jest najmniej. Przeważają zieloni.

– Myślę, że jakieś 85 proc. naszych pacjentów nie powinno w ogóle do nas trafić

– szacuje Michał Purchla, ratownik medyczny, który od trzech lat zarządza SOR-em Szpitala Wolskiego. To on często przeprowadza triaż.

– Moją rolą jest zbadać, czy pacjent wymaga hospitalizacji w trybie pilnym, a jeśli nie – poinformować go, że powinien udać się do lekarza podstawowej opieki zdrowotnej lub nocnej i świątecznej pomocy lekarskiej. Czasem się na to zgadza, czasem nie; wtedy czeka z najniższym kodem ważności. Częstym powodem jest na przykład infekcja górnych dróg oddechowych – kaszel, katar. Przychodzą, bo tu zawsze jest otwarte.

Największą grupą na SOR-ach są seniorzy.

– Coraz częściej ludzie w wieku 80 czy 90 lat mieszkają sami. Syn czy córka przyjeżdża w odwiedziny i widzi, że mama zachowuje się dziwnie, więc wiezie ją na SOR. Najczęściej bez jakiegokolwiek dokumentacji medycznej, więc mama jest dla nas tabula rasa. Musimy przeprowadzić jej pełną diagnostykę, co generuje ogromną ilość zasobów ludzkich, czasu i pieniędzy.

– Mamy stałych klientów – potwierdza dr Żurek. – Noc jest dla samotnego starszego człowieka trudna. Wieczorem pojawia się lęk, a z nim – wiele objawów somatycznych, najczęściej ból w klatce piersiowej. Więc jadą do nas.

Drugą najliczniejszą grupą są osoby młode – między 20. a 30. rokiem życia.

– Wrzucają objawy w ChataGPT, a tego rodzaju asystenci AI pokazują wszelkie możliwości. Jeżeli boli głowa, to może być nawet wylew krwi do mózgu... – mówi Purchla.

– Czasem to efekt uogólnionego lęku – dodaje dr Żurek. – To często osoby, które przyjechały do Warszawy na studia lub do pracy i nie mają tu nikogo bliskiego, kto mógłby ich uspokoić.

– Do nas nie powinno trafić od 60 do 70 proc. pacjentów. Chorują od miesięcy albo lat – opowiada dr Jagielski. – Przychodzą do nas po receptę, poradę albo w jakimś innym celu; czasem sami nie są w stanie go sprecyzować, co innego zeznają w triażu, co innego w rozmowie z nami.

Jesteśmy zmuszeni zastępować lekarzy rodzinnych. Diagnozujemy choroby, zalecamy wykonanie badań kontrolnych, dajemy skierowanie do właściwej poradni. Jesteśmy taką ekspresową, dobrą i bardzo drogą przychodnią.

Kiedy 20 lat temu zaczynałem tu pracę, Szczecin miał 430 tysięcy mieszkańców, a my – 30-40 pacjentów na dobę. Dzisiaj miasto ma 50 tysięcy mieszkańców mniej, a pacjentów jest wielokrotnie więcej. Trudno sobie wyobrazić, że oni wszyscy mają nagle zagrożenie zdrowia i życia – mówi.

A co z nocną i świąteczną pomocą lekarską? Według danych NFZ-u w Polsce są 542 takie placówki. W zeszłym roku skorzystało z nich 4,5 mln osób, ale tam nie ma kolejek. Zgodnie z przepisami znajdują się przy każdym SOR-ze. Ale tam pacjent może zgłosić się tylko po receptę. Jeśli potrzebujemy badań, musi zgłosić się na SOR.

• SOR przy Dziecięcym Szpitalu przy ul. Wrzóska w Poznaniu
FOT. ŁUKASZ CYNAL-LEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Napakowany typ mówi, że kolano go boli

Czwartek wieczorem; poczekalnia SOR-u w Szpitalu MSWiA przy Wołoskiej w Warszawie pełna jest ludzi. Mężczyzna w średnim wieku gawędzi z sąsiadami z kolejki. Wydaje się w bardzo dobrym humorze.

– Czy mogę zapytać, dlaczego pan tu trafił? – zagajam.

– Mam bóle w okolicach nerek – wyjaśnia.

– To dlaczego nie zgłosił się pan do nefrologa, tylko na SOR?

– Wie pani, ile się czeka do nefrologa?

– wzrusza ramionami.

– Kiedy trzy lata temu trafiłam na SOR w szpitalu na Czerniakowskiej, koło mnie siedział facet, który jasnym tekstem opowiadał komuś przez telefon, że wszystko się udało, że lekarze dali się nabrać i że ma zrobione wszystkie badania za darmo – opowiada mi moja znajoma.

– To jego cwaniactwo było porażające. I to, że owinął sobie system wokół palca. Z tego, co zrozumiałam, to skarżył się na drętwienie nogi; chyba takiego komunikatu nie mogli zlekceważyć.

– Ja też to widziałem: przychodzi napakowany typ i mówi pani w rejestracji, że kolano go boli. Nie chce mu się iść o 7 rano po numerk do POZ-u – mówi Velez.

– Cóż, ludzie sobie kalkulują – kiwa głową dr hab. n. med. Konrad Jarosz, dyrektor naczelny Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego nr I PUM w Szczecinie.

– Bardziej opłaca im się poczekać 12 godzin na SOR-ze i mieć wszystkie badania, niż pójść do lekarza rodzinnego, dostać skierowania do trzech poradni specjalistycznych i mniej więcej po 12 miesiącach mieć ten sam efekt, co u nas. A lekarze boją się ryzykować i odesłać pacjenta ze schorzeniem przewlekłym do lekarza rodzinnego. Bo co, jeśli coś się choremu w międzyczasie przydarzy?

– Ja się tym ludziom wcale nie dziwię – mówi dr Florczak. – SOR-y są dla pacjentów furtką. Po pierwsze, pacjent może nie wiedzieć, czy dany objaw zagraża jego życiu, czy nie. Po drugie, jeśli ma termin na tomografię głowy za rok, to woli iść na SOR, gdzie ma tomografię i neurologa od ręki.

Dostęp do opieki lekarza rodzinnego w Polsce, szczególnie w dużych miastach, też jest dramatyczny. Trafia do nas na przykład wiele osób starszych z niedopilnowanym nadciśnieniem tętniczym. Bo wizyta u lekarza trwa w Polsce 15 minut; w tym czasie nie da się dobrze ustawić opieki.

– Tak, są kolejki do specjalistów, ale są też procedury, które umożliwiają szybką diagnostykę – nie zgadza się dr Jagielski. – Moim zdaniem to nie system ochrony zdrowia jest tu największym problemem, tylko pacjenci, którzy przez wiele lat się zaniedbują. Nie zgłaszają się po prostu do lekarza. A potem przychodzi do nas kobieta z zaawansowanym rakiem sutka i dosłownie rozpadającą się ścianą klatki piersiowej!

Najpierw ratują młodych

– Są dwa główne powody, dla których ludzie starzy trafiają na SOR – opowiada mi Marcel Velez. – Jeden to urazy ortopedyczne w wyniku upadków. Drugi to infekcje, których najczęstszym źródłem jest odwodnienie, ponieważ starzy ludzie mało piją. Nagle tracą orientację, mającą. Geriatra czy internista doświadczony geriatrycznie od razu rozpozna, co jest przyczyną.

Jeśli wezwiesz karetkę i trafisz na ratowników, którzy rozumieją, że twój rodzic nie kwalifikuje się wcale na SOR, tylko trzeba go nawodnić i wezwać lekarza, żeby przepisał antybiotyki – to super. Wyciągają kroplówkę, wkładają się w żyłę i w 20 minut jest już lepiej. Ale inni powiedzą, że trzeba jechać na SOR, a tam twój rodzic może umrzeć, zanim zostanie w ogóle przyjęty przez lekarza. Bo tam mają inne priorytety. Najpierw ratują młodych.

Moja mama spędziła raz 48 godzin na SOR-ze, czekając na miejsce na neurologii. Dostała taką kozetkę obitą skajem. Przy-



• Samodzielny Publiczny Szpital Kliniczny w Szczecinie. Kierownik SOR-u dr Grzegorz Jagielski (po lewej) i dyrektor szpitala dr Konrad Jarosz. FOT. CEZARY ASZKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Na SOR -ze w szpitalu na Czerniakowskiej facet opowiadał komuś przez telefon, że wszystko się udało, że lekarze dali się nabrać i że ma zrobione wszystkie badania za darmo

niosłem jej z domu koc, prześcieradło, poduszkę. Bo zorientowałem się, że klawiatura do wpisywania kodu jest tak wytarta, że widać, które cyfry należy wpisać, i zacząłem tam wchodzić.

Później odkryłem, że można tam dojść ogólnodostępnym korytarzem podziemnym. Przychodziłem nim też wiele razy do ojca, który miał demencję. Pilnowałem, żeby coś jadł. Bo tam nikt nikogo nie karmi; jak nie masz siły zjeść sama, to nie zjesz. Uważam, że pacjenci z demencją nie powinni tam trafiać. Nie potrafią skomunikować się z personelem, więc leżą czasem całymi godzinami w swoich odcho- dach. Dla nich to jest rzeźnia.

Wiele zależy od siły przebicia osób towarzyszących. Jak umiesz się zachować, jesteś miła, obrotna, prawisz personelowi komplementy, to twoja matka jest traktowana po ludzku; w innym przypadku jesteście tylko jednymi z setek ludzi, którzy się tam przewijają w ciągu dnia. Może leżeć nieprzytomna i nikt tam do niej nie podejździ, nie przykryje, nie nakarmi. To nie jest wina personelu; ja mu bardzo współczuję i nie dam z tego słowa na nich powiedzieć, bo oni też są ofiarami tego patologicznego systemu.

Gdyby wyeliminować stamtąd tych wszystkich starszych ludzi, którzy nie powinni tam trafić, bo można by ich opanować w trybie ambulatoryjnym, to może by to jakoś działało. Za czasów prezydenta Andrzeja Dudy powstała z jego inicjatywy ustawa, która zakładała powstanie ośrodków dla osób 75+ w każdym powiecie.

To był sensowny pomysł popierany przez środowiska gerontologiczne i geriatryczne. Weszła w życie w 2023 roku, ale nowy rząd się tym nie zajął; nie było przepisów wykonawczych, więc żadne takie centrum w Polsce nie powstało. Szkoda. To by mogło odciążyć SOR-y.

– Rzeczywiście, seniorzy często wymagają tylko nawodnienia i antybiotykoterapii, które spokojnie można by było im zapewnić w domu lub placówce, w której przebywają. Obserwujemy tu jak na dłoni wszystkie problemy, których można by uniknąć, gdyby byli lepiej zaopiekowani w miejscu swojego pobytu – potwierdza dyrektor Jarosz.

– Leczymy ich, ale odsetek wyleczeń jest dużo niższy, niż mógłby być, gdyby leczenie było podjęte wcześniej, zwłaszcza że zachorowania w wieku podeszłym powodują efekt kuli śniegowej.

Poza tym w szpitalach zawsze leczy się najdrożej. Brakuje dobrej opieki instytucjonalnej nad seniorami; to efekt określonej polityki od wielu lat. W rozwiązanie tej sytuacji powinien być zaangażowany samorząd, instytucje, lekarz rodzinny. A dopiero na samym końcu my.

Wypalony personel, agresywni pacjenci

W niewielkiej poczekalni SOR-u przy Lindleya w Warszawie krzesła ustawione są jak w kinie. Jest środa, godzina 23. – Czekam tu cały dzień, od samego rana, mam stan zapalny stawu. Potwornie mnie bolało; prosiłem o lek przeciwbólowy, ale dopiero teraz, po tylu godzinach, zrobił mi zastrzyk – skarży mi się młody mężczyzna.

– Zdaję sobie sprawę, że pacjent chciałby, żebyśmy mieli dla niego więcej czasu i empatycznego podejścia – mówi dr Żurek. – Ale to na SOR-ze jest bardzo trudne. Po prostu nie ma czasu na długie rozmowy.

Nasza wrażliwość na pewno w jakiś sposób się splyca. Przyzwyczajamy się, bo musimy. Inaczej nie moglibyśmy tu pracować.

– Z brakiem empatii wobec pacjentów wśród personelu medycznego SOR-ów spotykam się na co dzień – mówi dr Florczak. – Wiele osób pracujących w tym systemie jest

wypalonych. Mają serdecznie dość pacjentów, bo mają ich po prostu za dużo.

Proszę sobie wyobrazić lekarza, który o godzinie 14 ma pacjenta z arytmia, o 14.15 wjeżdża ktoś z ciężkim udarem, o 14.30 dostaje telefon, że zaraz będzie karetką z ostrym zawałem. Przy takim obciążeniu pracą i stresem, niektórym, niestety, czasami puszcza nerwy.

Ale nerwy puszcza także pacjentom. Zdarzają się nawet ataki fizyczne. Najbardziej narażeni są ratownicy, pielęgniarki i pracownicy rejestracji.

– Najbardziej sfrustrowani pacjenci to zwykle ci, którzy potrzebują nas najmniej – mówi Michał Purchla. – Siedzą w poczekalni, nie widzą tego, co dzieje się za drzwiami. Potrafią nas lżyć, wyklinać, złorzeczyć, grozić.

Z czasem wykształcamy skorupkę. Ja mam prawie dwa metry wzrostu, więc do mnie trochę inaczej startują niż do moich koleżanek, które mają 1,60 m i ważą 50 kg, ale i tak połamano mi okulary i zrobiono guł przy oku.

Oczywiście rozumiem, że ten człowiek boi się o swoje zdrowie i życie i moją rolą jest deeskalować problem. Niestety, nie zawsze się da. Nie dalej, jak parę tygodni temu jedna z naszych ratowniczek została pobita. Zdarzały się u nas złamane ręce i złamane nosy. W Polsce nie ma ochrony w szpitalach, a jeśli tak, to są to panowie z PFRON-u – bo to najtańsze rozwiązanie dla szpitali. Czasem musimy wzywać policję.

– Najwięcej złego spotyka nas ze strony rodzin pacjentów. Pacjenci najczęściej czekają cierpliwie; w końcu samo słowo „pacjent” oznacza cierpliwość z natury. Zdają sobie sprawę, że choć na opis badania tomograficznego trzeba poczekać godzinę albo dwie, to w przychodni czekaliłby kilka tygodni.

Natomiast ich rodziny bywają zniecierpliwione i agresywne. Rozumiem ich irytację, ale nie rozumiem, po co oni tu siedzą i zajmują miejsce pacjentom – mówi dr Jagielski. – Kolega, ratownik, był niedawno w Stanach Zjednoczonych i trafił ze swoim ojcem na oddział ratunkowy. Poza obszar rejestracji mógł się dostać jedynie pacjent, rodzina nie miała tam wstępu.

Było tam także na stałe trzech uzbrojonych policjantów. W poczekalni siedziało 150 osób, ale panowała cisza i spokój, wszyscy byli grzeczni. U nas też powinna być ochrona na stałe. Teraz możemy wezwać ochronę szpitalną; kiedyś mieliśmy panów w takim wieku, że wymagali diagnostyki naczyniowej, kiedy już do nas dobiegli.

Na szczęście w tej chwili to młodzi i sprawniejsi ludzie.

Najniebezpieczniejsi są ci pod wpływem alkoholu, dopalaczy, mefedronu czy amfetaminy.

– Normalnie są zapewne całkiem sympatycznymi ludźmi, ale pod wpływem substancji psychoaktywnych zamieniają się w zwierzęta – mówi dr Żurek. – Najczęściej wymagają unieruchomienia do czasu, aż narkotyki przestaną działać.

Zdarza się, że są przekazywani na oddział intensywnej terapii, bo musimy zapewnić organizmowi to, z czym sobie nie radzi – jak z oddychaniem, oddychamy za niego, jak z krążeniem, wspomagamy krążenie. Oznaczenie substancji, diagnostyka obrazowa, jeśli są towarzyszące urazy, leczenie, ocena psychiatryczna po ustąpieniu działania środków – to wszystko sporo kosztuje.

Część pacjentów ewidentnie jest tu na własne życzenie. Ponoszą konsekwencje stylu życia: palenia, braku aktywności fizycznej, nadużywania alkoholu, nieprawidłowej diety. Mogłoby tu również nie być tych, którzy doznali urazów pod wpływem alkoholu. Czasem czuję złość „Znowu? Kolejny uraz pod wpływem?”.

Ale czasem zdarzają się i zabawne sytuacje. Miałam raz panią lat 92, przywiezioną przez córkę, która zauważyła, że z mamą jest gorszy kontakt, belkocze. Była pewna, że to udar. Kiedy pobraliśmy krew, okazało, że starsza pani ma półtora promila alkoholu we krwi. Córka nie wiedziała, czy się śmiać, czy złościć, czy wstydzić.

To, z czym mi osobiście najtrudniej się mierzyć, to ofiary przemocy, które do nas trafiają. Najczęściej kobiety. Bardzo mnie to porusza, bo one niczym nie zawiniły; po prostu trafiły w życiu na niewłaściwą osobę.

Niektóre mówią, że potrzebują pomocy, żeby wydostać się z przemocowego środowiska; inne udają, że nic się nie stało. „Ja się tylko potknęłam”, mówią, ale to kłamstwo szyte jest grubymi nićmi. Zdarzało mi się zakładać Niebieskie Karty.

Kiedyś przewieziono karetką starszą panią, w ograniczonym kontakcie, pojękującą. Miała ślady, które w mojej ocenie wskazywały na to, że była ofiarą duszenia – charakterystyczne krwiaki pod szyją, połamane żebra, siniaki na przegubach, zmiany na spojówkach. Podobno w takim stanie zastała ją wnuczka.

Zgłosiliśmy sprawę policji. Po raz pierwszy w życiu po powrocie do domu się wtedy popłakałam. Nas nikt nie uczy, jak sobie z czymś takim radzić.

Błędy się zdarzają

– Od kilku dni bolał mnie brzuch, z każdym dniem mocniej – opowiada mi znajoma. – Byłam dwa razy w przychodni, ale żaden z lekarzy nie dał mi skierowania do szpitala. Uważali, że to zwykłe zatrucie. W piątek było mi już tak niedobrze, że zgłosiłam się na najbliższy SOR, na Czerniakowską.

Najpierw próbowali mnie odesłać do innego szpitala, bo byłam wtedy zameldowana u rodziców, na Ochocie, ale nie miałam już siły nigdzie jechać; poza tym mieszkalam tutaj. Miałam wrażenie, że cały czas mi nie wierzą, że bardzo źle się czuję.

To było jeszcze przed remontem i rozbudową tego SOR-u; poczekalnia to był taki malutki pokoić, wszyscy siedzieliśmy sobie na ławce. Kolejka w ogóle się nie ruszała. Czekalam 9 godzin.

Koło mnie siedział starszy człowiek, który co rusz wymiotował krwią; jego żona mówiła, że ma chorobę wrzodową w zaawansowanym stadium. Prosiła personel, żeby przyjechali go szybciej, ale odpowiadali, że nie ma miejsca, trzeba czekać. Dopiero wtedy, gdy zaczął krwią całą poczekalnię i zemdlał, to go zabrali.

Chwilę potem ja też zaczęłam wymiotować, ale na szczęście właśnie przyszły moje wyniki, bardzo podniesione CrP i poziom prokalcytoniny, więc mnie też wzięli. Okazało się, że mam ogólnoustrojowe zakażenie organizmu; od razu przewieźli mnie na oddział i nafaszerowali antybiotykami. Lekarka powiedziała mi, że trafiłam do nich w ostatniej chwili.

W tym przypadku skończyło się dobrze, ale co jakiś czas opinią publiczną wstrząsa kolejny tragiczny przypadek z SOR-u.

Młody mężczyzna przyjechał na SOR w Radomiu na prosty zabieg nastawienia barku. Lekarz przeprowadził znieczulenie ogólne bez udziału anestezjologa; pacjent zmarł.

Na SOR w Wałbrzychu przywieziono 85-letnią kobietę; dostała najniższy, zielony priorytet. Zmarła po dwóch godzinach, w poczekalni.

Młody człowiek trafił na SOR w Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie z podejrzeniem zawału. Zmarł po trzech godzinach oczekiwania na pomoc, nie będąc w żaden sposób monitorowany.

Dr Żurek: – Błędy się zdarzają. Ważne, żeby je zauważyć i naprawić. Medycyna jest sztuką, ocena nie jest zero-jedynkowa. Czasami coś, co się wydaje na pierwszy rzut oka jedną jednostką chorobową, okazuje się zupełnie innym problemem.

O błędy szczególnie łatwo przy presji czasu, dużej liczbie pacjentów i rotacji lekarzy dyżurnych. Łatwo stracić czujność w stosunku do tych, którzy już mają postawioną wstępną diagnozę i czekają na przyjęcie do oddziału, bo jednak zdarza się, że ich stan się pogarsza.

W dyżurowym systemie pracy, przy częstych zmianach lekarzy trudniej wyłapać dyskretne czasem zmiany stanu świadomości i stanu ogólnego. Dlatego kluczowe jest sprawne przekazywanie chorych do właściwych oddziałów.

Dr Florczak: – Kadra lekarska na warszawskich SOR-ach oprócz przyjmowania nowych pacjentów prowadzi również wielodniową często opiekę nad pacjentami, którzy czekają na wolne łóżko w szpitalu. A ponieważ nie ma tam na to warunków, to zdarza się, że pacjenci nie są tak dobrze dopilnowani, jak byliby w oddziale internistycznym, do którego powinni trafić niezwłocznie, jak tylko zapadnie decyzja o konieczności hospitalizacji.

Lekarz z SOR-u żyje krócej

Część pacjentów wykazuje zrozumienie.

– Na własne oczy widziałam kiedyś na SOR-ze w Bielańskim, jak ortopeda, świetny lekarz zresztą, pod kropłówką leży! Bo już nie dawał rady z przepracowania. Ja pracuję w centrum kształcenia lekarzy, to widzę, że większość woli do prywaty iść. Lepiej zarobią, a tak się nie urobią po pachy jak tu...

My długo dziś nie czekaliśmy, bo mąż potrzebował internisty. To na specjalistów długo się czeka, bo ich brakuje. Przecież na kolanach sobie ludzi w gabinecie nie posadzą! – mówi mi 60-latką w SOR-ze na Lindleya.

Czeka na męża, który jest w gabinecie na obdukcji. – Co się stało? Ano został pobity przez jakiegoś naćpanego młodzieńca! Coraz więcej tych narkotyków. Nie wiem, co to będzie... Ale może musimy dotknąć dna, żeby się od czegoś odbić – kończy optymistycznie.

Medycy pracują na SOR-ach zwykle na 12- lub 24-godzinnych dyżurach. Czy 24 h bez przerwy to nie za dużo? Czy o 4 w nocy lekarz nie popełnia więcej błędów?

– Świeżość umysłu w drugiej i w dwudziestej drugiej godzinie dyżuru nigdy nie będzie taka sama – mówi Michał Purchla. – Nie bez powodu na całym świecie skraca się czas pracy. Odchodzi się nawet od dwunastek i przechodzi na tryb 8-godzinny i 3 zmiany.

– Czwarta w nocy to rzeczywistość krytyczna godzina. Koncentracja jest gorsza; jeśli nie muszę pacjenta wtedy wypisywać, wolę poczekać do 8, żeby jeszcze raz go obejrzeć – przyznaje dr Florczak. – Ale jest to o tyle wygodne, że jest zachowana ciągłość obserwacji pacjenta.

Poza tym w sytuacjach krytycznych – nagłym zatrzymaniu krążenia, reanimacji – adrenalina powoduje, że działamy na pełnych obrotach niezależnie od tego, która jest godzina. Na pewno przed takim dyżurem i po nim musimy się bardzo dobrze zregenerować. Gdybym przechodził z dyżuru na jednym SOR-ze na dyżur na drugim, jak robią to niektórzy – prawdopodobnie byłbym już wypalony.

– Tajemnicą poliszynela jest to, że rzadko który medyk pracuje w jednym miejscu. Gdyby tak było, ten system już by dawno się rozleciał ze względu na brak personelu – mówi Purchla. – Poza tym ta praca uzależnia. Nie chodzi tylko o pieniądze. Jesteśmy przyzwyczajeni do tej adrenaliny, do życia na wysokich obrotach. W moim przypadku to się sprawdza, ale ze mną studia kończyło 62 osoby; dziś, po 9 latach, w zawodzie pracuje tylko 15.

Placą za to cenę.

Długość życia medyków ratunkowych jest statystycznie krótsza. Na jednym z warszawskich SOR-ów w ciągu ostatnich pięciu lat zmarło aż czterech lekarzy. Jeden był uzależniony od alkoholu; został odsunięty od pracy, leczyl się, ale ostatecznie nalóg wygrał. Drugi był uzależniony od leków. Trzeci na dyżurze dostał udaru. Czwarty zginął w wypadku samochodowym, ale jego przyczyną była choroba naczyniowa, więc on również zapłacił za intensywny styl życia.

– Nie każdy może wybrać tę specjalizację, a nie ma testów, które by sprawdzały, czy dana osoba ma predyspozycje do pracy w takich



• **Dr Michał Florczak dyżuruje na SOR-rze w Siedlcach. Twierdzi, że w miastach powiatowych dostęp do oddziałów ratunkowych jest zdecydowanie lepszy niż w Warszawie**

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

warunkach, czy nie. Samo życie to weryfikuje – mówi dr Florczak.

– Ja wcześniej pracowałem w systemie ratownictwa medycznego, wiele lat spędziłem w karetkach pogotowia, jestem odporny na stres. Ale znam wielu lekarzy, którzy zrezygnowali po paru miesiącach. Inni po kilku latach stwierdzili, że są wypaleni, i odchodzą.

Młodzi rezydenci są bardziej asertywni, jeśli chodzi o liczbę godzin i obowiązków. Jestem z nich bardzo zadowolony; uprawiają dobrą nowoczesną medycynę. Mam nadzieję, że oni się nie wypalą.

– Ta praca daje ogromną satysfakcję, jeśli się uda komuś pomóc, bo efekty widać niemal natychmiast. To fascynująca dziedzina medycyny i nie wyobrażam sobie innego życia zawodowego – mówi dr Małgorzata Żurek. – Ale myślę, że trochę samych siebie oszukujemy, postrzegając się jako osoby bardziej odporne od innych. Wypieramy koszty, jakie ponosimy.

To się na pewno mści na naszym życiu prywatnym. Życiorysy mamy często pokręcone, mało jest wśród nas osób, które mają stabilne życie rodzinne.

Mój partner też pracuje w SOR-ze. Ostatnio nasz 6-letni syn zapytał, dlaczego nigdy nie odbieramy go z przedszkola we dwoje.

Widzi, że nasza rodzina funkcjonuje inaczej niż rodziny jego kolegów.

Ja staram się mieć zróżnicowane miejsca pracy. Na dorosłym SOR-ze dyżuruję tylko raz w tygodniu. Drugi dyżur mam na SOR-ze pediatrycznym. Tam jest spokojniej; myślę, że na pediatrię decydują się lekarze o nieco innym profilu osobowościowym, a poza tym tam jest mniejsze obłożenie.

W pozostałe dni pracuję jako lekarz medycyny rodzinnej w przychodni. Ale myślę, że gdybym pracowała wyłącznie na dorosłym SOR-ze, też byłaby już wypalona – mówi.

Mniejsze miasta mają duży problem z kadrą lekarską, mimo że kuszą lekarzy lepszymi stawkami i wyższym komfortem pracy. Ale i w dużych zdarza się, że brakuje młodych lekarzy chętnych do pracy na SOR-ze.

– W obszarze dorosłych nie mamy w tej chwili ani jednego lekarza w trakcie tej specjalizacji. Wcale im się nie dziwię. Wolą dyżurować w szpitalach powiatowych, gdzie braki kadrowe są ogromne, płace wyższe, a obciążenie pracą – mniejsze – mówi dr Jagielski.

– Wielu idzie do prywatnej ochrony zdrowia. Do nas też ciągle spływają oferty z dużych firm prywatnych oferujących pracę ambulatoryjną za dużo większe pieniądze. Ja nigdy nie chciałem stąd odejść, ale średnia wieku naszego zespołu jest coraz wyższa.

18 lat temu byliśmy jednym z najmłodszych zespołów ratunkowych w Polsce. Dziś jeden nasz kolega, specjalista medycyny ratunkowej z tytułem profesora, jest już emerytem. Mamy też panią doktor emerytkę. Pracują dalej – z zamilowania.

Interna się nie opłaca

W 2024 r. powstały cztery nowe SOR-y – w Lubartowie, Legionowie, Poznaniu i Rzeszowie. Ale może SOR-ów wciąż jest za mało? – pytam dr. Konrada Jarosza, dyrektora Szpitala Uniwersyteckiego w Szczecinie.

– Niekoniecznie. Tak, są kolejki, ale nie ma prostego przełożenia, że tam, gdzie jest dużo pacjentów, jest najdłuższy czas oczekiwania. My mimo ogromnego obłożenia mamy jeden z krótszych czasów w kraju – średnio około trzech godzin. Bo SOR SOR-owi nierówny.

Do nas – szpitala wielospecjalistycznego – chorzy przyjeżdżają o wiele chętniej niż na mały SOR w szpitalu powiatowym, gdzie jest oddział chorób wewnętrznych, oddział chirurgii i koniec. Tej zimy, w okresie oblodzeń, nasze zespoły ortopedyczne robiły po kilkadziesiąt zabiegów dziennie. Województwo liczy milion siedemset mieszkańców i wszelkie poważniejsze stany trafiają do nas.

Pacjenci sami pokazują, gdzie są atrakcyjne dla nich jednostki. Być może warto by je bardziej docenić finansowo, a zamknąć te oddziały, gdzie przyjęcie jest mało albo bardzo mało? To decyzja dla odważnych polityków, ale to jest przykład pozytywnego relokowania środków – mówi.

Według danych NFZ-u średnia liczba świadczeń udzielonych w 2025 roku w szpitalnych oddziałach ratunkowych to 21 147, ale różnice pomiędzy poszczególnymi SOR-ami rzeczywiście są ogromne. Najwyższa liczba udzielonych świadczeń to ponad 76 tysięcy; najniższa – 3.

Przodują: Uniwersyteckie Centrum Kliniczne w Gdańsku, Uniwersytecki Szpital Kliniczny Nr 1 w Szczecinie i Uniwersytecki Szpital Kliniczny we Wrocławiu. Na drugim końcu listy są SOR-y w Janowie Lubelskim, Parczewie, Grajewie, Sulęcinie, Sokołowie Podlaskim, Zambrowie i Łapach.

– To może za mało kadry? – pytam.

– Ja na brak kadry nie narzekam. Mammy duży, interdyscyplinarny zespół. U nas w SOR-ze pracują dodatkowo lekarze innych specjalizacji – chirurgów, ortopedów czy internistów. To prawda, że medycyna ratunkowa to nie jest specjalność, o którą się lekarze dziś biją; to państwo ma najlepsze narzędzie, żeby to kontrolować, uruchamiając miejsca rezydencyjne na tej specjalizacji.

– To trzeba naprawić od góry – uważa dr Florczak. – W tym modelu finansowania usług medycznych pacjent jest, niestety, często traktowany jak intruz, którego nikt nie chce. Musimy się prosić, żeby go gdzieś położyć, ponieważ nie idą za nim pieniądze. Dla oddziałów pacjent jest kłopotem, a nie korzyścią.

– Kontrakty NFZ-u są napisane tak, że najwyższe wyceniane są procedury chirurgiczne lub zabiegowe – mówi Michał Purchla. – Niestety, większość pacjentów wymaga leczenia w oddziałach zachowawczych takich jak interna, które nigdy nie będą przynosić zysku.

Wielu pacjentów nie powinno trafić na SOR, ale to nie znaczy, że ci ludzie nie potrzebują pomocy lub nie powinni znaleźć się w szpitalu. To powoduje moją frustrację i gniew, ale nie na pacjenta, tylko na system – infrastrukturę, organizację. To są decyzje, które nie zależą od nas.

SOR-y są wentylem bezpieczeństwa całego systemu opieki zdrowotnej w Polsce. Jeżeli nie można się szybko dostać do lekarza pierwszego kontaktu, jeżeli nie ma odpowiedniej opieki specjalistów, to człowiek kończy na SOR-ze. Im gorzej będzie zarządzany system opieki zdrowotnej w całości, tym bardziej my będziemy niewydolni – dalej od tych pacjentów, którzy naprawdę potrzebują naszej natychmiastowej pomocy. ●

Agata Kondzińska, Iwona Szpala

Przy Nowogrodzkiej potrafią dokładnie wskazać moment, w którym Jarosław Kaczyński dostrzegł Zbigniewa Boguckiego. Była zima, a PiS po ośmiu latach rządów tracił władzę. Polityk PiS: – Zbyszek był wtedy bardzo aktywny. Sprawny retorycznie, opanowany, ale punktował celnie. Do tego zawsze nienagannie ubrany, wykształcony. Prezesowi się to się spodobało.

Ale realną szansę dał mu prezydent. I Bogucki wykorzystuje swój moment. Rolę prezydenckiego ministra, który ma monopol na interpretację prawa.

Motto, które przywołał w jednym z wywiadów, to cytat z Adama Małysza: „Najważniejszy jest najbliższy skok”. O kolejnym Zbigniew Bogucki mówił już sam: „Nie wynosić się nad słabszych od siebie, ale też nie poniżać się przed silniejszymi”.

Oba cytaty to czas „dobrej zmiany”. Bogucki – szczeciński działacz PiS i skromny prawnik udzielający porad w lokalnej parafii Bożego Miłosierdzia – dopiero aspiruje do krajowej polityki. Ma ambicje, ale zna miejsce w szeregu, szanuje hierarchię, zawsze gra w zespole. Politykę traktuje jak służbę. Podobnie jak większość kolegów z PiS podkreśla, że pochodzi z patriotycznego domu, rodzice działali w „Solidarności”, praca na rzecz dobra wspólnego – Polski – była dla Boguckich zawsze na pierwszym miejscu.

Z tym przekazem nie do końca zgadza się to, co działo się później. Gdy po 2020 roku doczekał się pierwszych partyjnych zaszczytów, już jako wojewoda zachodniopomorski polecił wyryć swoje inicjały na odnowionym za publiczne pieniądze godle z gmachu urzędu. Zmuszony do tłumaczeń nie czuł zażenowania. Gdy nowy wojewoda wytknął mu, że Bogucki sam się upamiętnił, usłyszał, że jest skrajnym ignorantem, który nie zna abecadła heraldyki, czym podważa powagę urzędu. „Przyjętym powszechnie zwyczajem jest, że na ważnych, nowych albo rewitalizowanych obiektach umieszcza się datę/rok powstania lub rewitalizacji z oznaczeniem fundatora lub organu, za czasów którego miało to miejsce, w formie tablicy albo np. inskrypcji, jak jest w tym przypadku” – wykladał mu Bogucki.

Czyli – jak to ma w zwyczaju do dziś – przeprowadził autorską interpretację przepisów tak, by wyszło na jego. Uznał się za dobroczyńcę, nazwał organem państwa i „z powierzonego mu budżetu wojewody postanowił „usunąć mającą kilkadziesiąt lat karykaturę orla, któremu po przemianach ustrojowych doczepiono koronę jednak w groteskowej formie”.

Podobnie próbował rozegrać historię ponad 100 tys. zł z covidowej pomocy, które jako wojewoda miał wydać na autopromocję. Wytropił go senator Stanisław Gawłowski z Koalicji Obywatelskiej, który sam ma problemy z prawem. Dla Boguckiego był to główny argument, że sprawa jest dęta. „Oskarżony Gawłowski w ramach gorączki kampanijnej, ale także zbliżającej się wizji powrotu do więzienia, bo stoi pod bardzo poważnymi zarzutami karnymi, powoduje, że traci jasność umysłu, i wykonuje ruchy absurdałne, kuriozalne”.

A Gawłowski dogrzebał się zleceń m.in. na misie różnych rozmiarów, kredki, powerbanki, kubki termiczne, termosy z napisem „Zbigniew Bogucki wojewoda zachodniopomorski”. Ale Bogucki znów uważał, że postąpił modelowo. Bo na gadżetach było też hasło „Szczepimy się”, a nazwisko wojewody tylko uwiarygadniało akcję. – Brałem za to odpowiedzialność – twierdził, dodając, że na tej zasadzie o promowanie się oskarżyć można wszystkich wyższej rangi urzędników, którzy np. podczas oficjalnych uroczystości składają wieniec ze swoją funkcją i nazwiskiem na szarfię.

Prokuratura zliczyła, że zlecenia Boguckiego to ponad 6 tysięcy spersonalizowanych gadżetów za 141,2 tys. zł z pieniędzy na przeciwdziałanie COVID, które wykorzystał do politycznej autopromocji. – Śpię spokojnie. Mam czyste sumienie i czyste ręce – mówił rok temu Bogucki.

W 2023 roku Bogucki debiutuje w Sejmie. Nie odmawia żadnemu partyjnemu zadaniu. Pierwsza jest rola śledczego w komisji badającej aferę wizową. Sięga szczytów ministerstwa spraw zagranicznych za dobrej zmiany i nielegalnego handlu wizami. Ale poselskie śledztwa powszednieją, nie elektryzują już publiki tak, jak komisje śledcze przed laty. Bogucki większej sławy nie zyskuje.

W prezydenckiej ekipie nie ma konkurencji.

Jest architektem prawnej rozgrywki z rządem.

Sam Kaczyński widzi w nim partnera.



Na kłopoty

W komisji jest tylko na chwilę, w maju 2024 roku jej przewodniczący poseł KO Michał Szczurba dostrzegł konflikt interesów. Jako wojewoda Bogucki też wydawał cudzoziemcom pozwolenia na pracę. W komisji nie będzie obiektywny, musi odejść. Posłowie PiS komentują: – Czy to jest Białoruś?

Bogucki nie ma wątpliwości, pozbyli się go, bo był niewygodny, on, doświadczony samorządowiec i prawnik. Posłowanie i rolę śledczego łączy z kampanią samorządową. Kaczyński powierzył mu kolejną misję. Ma odbić Szczecin z rąk prezydenta Piotra Krzyska, który miał rządzić prawie dwie dekady. – Dym, światła, efektowna prezentacja programu i okrzyki „zwyćmi”. Bogucki w amerykańskim stylu zaczyna kampanię samorządową – opisują lokalne media. Bogucki wprowadzić nie wygrywa, ale partia docenia jego waleczność.

Boguckiemu ogólnie dobrze idzie w opozycji. – Jest 21 grudnia 2023 roku, godzina ósma, cały czas jesteśmy w siedzibie Telewizji Polskiej. To już druga noc, którą tu spędzamy. Wciąż czekamy na do-

kumenty, że ci, którzy uzurpują sobie władzę, mają faktycznie do tego prawo. Takich dokumentów nie ma, prawo zostało złamane, wszystko, co się dzieje, jest całkowicie nielegalne – Zbigniew Bogucki w koszuli bez krawata, ale obowiązkowo w marynarce, patrzy prosto w kamerę, za nim grupka zachodniopomorskich posłów. Oskarżają nowy rząd o zamach na media publiczne.

Politycy PiS są w TVP, TVP Info i Polskiej Agencji Prasowej, dwa dni wcześniej Sejm przegłosował uchwałę naprawczą. Po ośmiu latach rządów PiS spółki mediowe mają przywrócić konstytucyjny ład. Bogucki już w Sejmie jest aktywny. Na mównicę idzie z tabletem. Chce pokazać posłom, jak wyglądały media, gdy przed laty rządził Tusk. Wraca do maja 2013 roku, na tablicie rosyjska armia szykuje się do defilady z okazji rocznicy zakończenia II wojny światowej.

Tym, którzy widzą niedokładnie, Bogucki wyjaśnia: – Prezentowani są rosyjscy żołnierze szykujący się do defi-



Bogucki

lady w Moskwie. Rządzących pyta: – Chcecie do tego wrócić? Żeby takie programy były emitowane? Żeby taka była czołówka „Wiadomości”?

Wieczorem jest już w siedzibie TVP. Na X pisze, że w budynku przy Woronicza spędzi noc. – Uchwała Sejmu nie jest źródłem prawa – orzeka.

Okupacja pod hasłem interwencji poselskiej trwa kilka dni, zapal powoli maleje, posłowie rozpisują grafik dyżurów. Blokują drzwi, szarpia z ochroną, na miejscu wsparcia udzielają im prawicowe media. Aż minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz ogłasza, że stawia mediowe spółki publiczne w stan likwidacji. Posłowie PiS oskarżają go o siłowe przejęcie mediów.

W świat idą obrazy dla publiki, ale dzieje się też na zapleczu. W partyjnej siedzibie przy Nowogrodzkiej rolę rozpisuje Jarosław Kaczyński. Dostrzega potencjał byłego prokuratora, teraz posła PiS.

Bogucki dołącza do prawników młodszej generacji, są z nim jeszcze Krzysztof Szczucki i Paweł Jabłoński. Mają analizować działania władzy, torpedować ja-

ko nielegalne, szukając argumentów w prawie. Szczucki, były szef Rządowego Centrum Legislacji, i Jabłoński, eks wiceminister spraw zagranicznych, są z ekipy Morawieckiego. Bogucki – z politycznej stajni Joachima Brudzińskiego, zaufanego współpracownika Kaczyńskiego. To patronat wagi ciężkiej.

Dodatkowo Boguckiemu sprzyja taktyka Kaczyńskiego – po ośmiu latach rządów chce odsunąć zgrane twarze, których rozliczenia zapowiada ekipa Tuska.

Gdy PKW dopatruje się nielegalnego finansowania kampanii PiS w 2023 roku i mrozi pieniądze na partię Jarosława Kaczyńskiego, Bogucki zostaje głównym obrońcą w sporze PKW-PiS. Prezes zaprasza go, by wspólnie wyszli na konferencję. – Tusk chce zagłodzić opozycję – oskarża Bogucki.

Jest wszędzie. W TVN i wPolsce24.pl, przywołuje paragrafy, widzi spektakl polityczny, a nie prawo. – Donald Tusk chce zaorać PiS, największą partię opozycyjną w Polsce, to jego marzenie, nie pozwolimy, by się ziszcilo – obiecuje na sejmowym korytarzu.

• **Szef Kancelarii Prezydenta RP Zbigniew Bogucki rozmawia z mediami w Sejmie. Parlament głosował m.in. nad rządowym projektem ustawy CPN, czyli Ceny Paliw Niżej (27.03.2026)**

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Narcystyczny, przejmując się tym, co o nim piszą, przywiązany do funkcji i honorów – to zdystansowani w PiS do najważniejszego prezydenckiego ministra. – Świetny mówca, sprawny organizator, dobry kolega, pracowity, sensowny gość – to fani. Wszyscy mówią: ambitny. Szukuje się do roli premiera

Nowogrodzka przygląda się opanowanemu mówcy, który nie uchyla się od debaty i nie obawia nieprzychylnych mediów. I umieszcza Boguckiego na krótkiej liście potencjalnych kandydatów PiS na prezydenta.

Wybory w 2025 są kluczowe dla Kaczyńskiego. Po dwóch latach w opozycji PiS chce pokazać, że wciąż potrafi walczyć i wygrywać. Utrzymanie Pałacu Prezydenckiego pozwoli na dalszy opór wobec rządu, z hasłem o nierobach od Tuska. Nie ma miejsca na błędy, bo PiS przestaje być hegemonem na prawicy, umacniają się Konfederacje. Partia powołuje zespół, który przepytuje kandydatów, sprawdzi biografie i wskaże tego, który ma największe szanse na zwycięstwo.

– Jest czarny koń w wyścigu prezydenckim w PiS – donosi w lipcu „Gazeta Polska”. Sugeruje, że tak jak dekadę wcześniej partia może postawić na młodego, nieznanego szerzej posła i prawnika. Chodzi właśnie o Boguckiego.

Posel staje przed komisją konkursową. Wypada dobrze, ale jest zbyt wyrazisty, zbyt mocno kojarzony z PiS. A badania, które ma Nowogrodzka, pokazują, że partyjny szyld w wyborach prezydenckich będzie obciążeniem, nie zaletą.

Bogucki odpada, ale nie przegrywa. Tylko musi czekać na swoją szansę.

W kampanii wraca Bogucki państwowiec: przede wszystkim jedność, drużyna, Polska. I to Polska z wartościami konserwatywnymi. Niedoszły kandydat na prezydenta jest w sztabie Karola Nawrockiego, a to dowód, że PiS idzie zjednoczony.

W noc wyborczą występuje w TVN 24, telewizja zbudowała plenerowe studio przed Pałacem Prezydenckim. Sondażowe wyniki dają jeszcze niewielką przewagę Rafałowi Trzaskowskiemu z Koalicji Obywatelskiej. Ale Bogucki, który wciąż czeka na werdykt narodu, i tak mówi o zwycięstwie: – Wygraliśmy z systemem, z rządem Tuska, ze służbami, z mediami, z prokuratorem.

Dwa miesiące później Nawrocki w TV Trwam ogłasza, że to Bogucki pokieruje Kancelarią Prezydenta.

Wideo z nominacji Bogucki przypina na stałe na tablicy swego profilu na X, by każdy mógł przeczytać autorski komentarz: „Panie Prezydencie dziękuję za zaufanie i możliwość wspólnej służby Polsce na stanowisku Szefa Kancelarii Prezydenta RP. To wielki zaszczyt”.

W PiS też radość. Kluczowe stanowiska dostali partyjni nominaci. Najbliżej do prezydenta ma szef gabinetu Paweł Szefernaker. Z Nawrockim dobrze się znają, to były szef jego kampanii, mają za sobą setki kilometrów w trasie i wiele spotkań. Dziś Szefernakerowi wystarczy otworzyć drzwi i już widzi, kto odwiedza Nawrockiego. Szef kancelarii też ma gabinet na Krakowskim Przedmieściu, ale na co dzień urzęduje z ministrami przy Wiejskiej, stąd bliżej do Sejmu.

Pałacowy zaciąg to nie tylko partia, z Nawrockim przyszli jego współpracownicy z Instytutu Pamięci Narodowej i Muzeum II Wojny Światowej, to mieszanek oparta o gdańskie przyjaźnie z rodzinnego miasta Nawrockiego. Na zapleczu prezydenta przeplatają się sport, historia, polityka.

Byli współpracownicy z Instytutu i podwórka są teraz prezydenckimi ministrami, dyrektorami, doradcami na etacie. Z przyjacielskiego rozdania był zaufany Sławomir Cenckiewicz, do niedawna szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego. W PiS słychać, że u Kaczyńskiego nie miał wysokich not, a BBN było słabe pod jego rządami. Z Boguckim też nie bardzo się lubili. – Zbyszek uważał, że Cenckiewicz powinien poczekać z objęciem funkcji w BBN do końca procesu w sprawie dopuszczenia do

tajemnic, ale był na straconej pozycji. Bo czy można wygrać z przyjaźnią? – pytał wtedy polityk PiS.

Ostatecznie Cenckiewicz proces o dostęp informacji niejawnych wygrał. Nie oznaczało to jednak, że automatycznie odzyska certyfikat. Z Kancelarii Prezydenta odchodził w miniony piątek jako ofiara reżimu Tuska i państwowiec, który ustępuje, by nie paraliżować BBN. A konferencja rzecznika prezydenta zmieniła się w akademię ku czci byłego szefa Biura.

O dymisji krąży masa plotek: a to, że kopali pod nim Przydacz z Boguckim, że w Nowogrodzkiej nie miał oparcia, że był singlem, bardziej fascynował go świat służb niż sprawy wojskowe, czyli sens działania BBN.

W Pałacu już dawno skończył się miodowy miesiąc, zaczęła gra o wpływy i dostęp do prezydenta. Naprzeciw gdańskiej ekipy stoją zawodowi politycy. Trwa cicha konkurencja o sprawy zagraniczne, oficjalnie odpowiada za to polityk PiS Marcin Przydacz. Ale w tej roli widzi się jego zastępca Nikodem Rachoi. To brat gwiazdy TV Republika Michała, przyjaciele Cenckiewicza. Łączy ich pasja, od lat są na tropie polsko-rosyjskiego resetu i roli Tuska. Zrobili film, napisali książkę.

– Oj, w TV Republika to Zbyszek nie jest ulubieńcem – śmieje się partyjny kolega Boguckiego.

W PiS słychać, że stacja dużo chętniej zaprasza byłego już szefa BBN.

Bogucki ma jednak swoje kanały dotarcia do wyborców. Jest na YouTube, facebooku, X, wszędzie na czas, z najświeższymi opiniami i komentarzami. Prywatnie miesza się z zawodowym. – Do Kancelarii ściągnął ludzi ze Szczecina, którzy ogarniają mu portale społecznościowe – opowiada nasz rozmówca z okolic Pałacu.

Niedawno Paweł Szefernaker na portalu „Wszystko co Najważniejsze” opisał kilka zasad strategii Pałacu. Dla Nawrockiego są chyba ważne, bo stały na oficjalnej stronie. Pierwsza: „Są politycy, którzy żyją z awantury. Po ważne państwo i poważny polityk nie mogą tańczyć tak, jak zagra słabej klasy prowokator”.

Druga: „Prezydent nie został wybrany po to, by milczeć, obserwować i tylko sygnować cudze decyzje. Prezydent Nawrocki został wybrany po to, by prowadzić państwo, wyznaczać kierunek i brać odpowiedzialność za sprawy fundamentalne. Silny prezydent nie powinien czekać, aż inni ułożą plan za niego. Silny prezydent powinien sam wychodzić z planem działania”.

Trzecia: „Prawdziwa siła prezydentury nie polega na uczestnictwie w każdym sporze, ale na zdolności zachowania kierunku mimo presji i hałasu. To nie są czasy, gdy każde prowokacyjne zdanie Donalda Tuska, Włodzimierza Czarzastego czy Radosława Sikorskiego będzie komentowane przez Prezydenta i jego zaplecze. Jest prezydencka agenda działania i nikt nie będzie otoczenia prezydenta stawiał na z góry upatrzonym polu walki. To w takich momentach rozpoznaje się przywództwo prezydenta i biegłość w działaniu jego współpracowników”.

Tyle teoria. Katalog Szefernakera rozchodzi się z zachowaniami pałacowej ekipy.

Już na starcie kadencji ustalają własne reguły: pracują dla prezydenta, który ma najmocniejszy mandat ponad 10 milionów Polaków. Odpala się też PiS, padają wezwania do dymisji rządu, powołania gabinetu technicznego. Do ustąpienia premiera wzywa Przydacz. Adam Andruszkiewicz, zastępca Boguckiego, przestrzega, że jeśli fatalny rząd odrzuci wyciągniętą dłoń prezydenta, to nie zasługuje na to, by rządzić Polską.

Bogucki czeka. Gdy konfrontacyjny styl podobą się Nawrockiemu i Kaczyńskiemu – zostaje jastrzębiem.

Karol Nawrocki w przeciwieństwie do swojego poprzednika o prawie nie ma pojęcia. Za to Zbigniewa Boguckiego prawo pasjonuje. Specjalizuje się w autorskich interpretacjach,

które mają usprawiedliwiać nieprzychylnie rządowi posunięcia prezydenta.

Jak słyszymy, w pałacowej ekipie nie ma konkurencji. Jest solistą i architektem prawnej rozgrywki z rządem. I ma solidne wsparcie Nowogrodzkiej. – Dla Kaczyńskiego jest partnerem – podkreśla jeden z naszych rozmówców. Razem z Szefernakerem stanowią też łącznik między Pałacem a partią.

Jego lista wrogów pokrywa się z tą, którą ma PiS. Otwiera ją tandem: premier i marszałek Sejmu. Dalej jest kilku ministrów, z którymi Nawrocki próbuje konkurować, budując swój prezydencki system.

Konfrontacja wchodzi na rządowe pola polityki zagranicznej, służb specjalnych, bezpieczeństwa. A z nią opowieść, że ostatnie zdanie ma prezydent, więc jeśli rząd chce być sterowny, powinien konsultować z nim swoje projekty. Relacje z USA niech też zostawi ekipie Nawrockiego, bo to ona ma względy w administracji Donalda Trumpa. Tusk, jeśli chce się wykazać, to niech próbuje w Unii Europejskiej.

Nawrocki testuje kolejne granice: bije rekordy w wetach, wtrąca się w pracę ministrów, doradza w polityce zdrowotnej, energetycznej, podpowiada, jak reformować wymiar sprawiedliwości, jak zadbać o finanse publiczne – jest gotowy praktycznie w każdym temacie, za który odpowiada rząd. Śle Czarzastemu projekty ustaw. I zwykle nie przejmuje się kosztami. Ważne, by dobrze brzmiały dla wyborców.

I właśnie tu od wyprowadzania ciosów jest Zbigniew Bogucki. To szef kancelarii staje w Sejmie, by bronić decyzji prezydenta, gdy koalicja próbuje obalić weto.

Jego występy mają swój scenariusz. Na początku jest grzecznie. Bogucki powtarza główne argumenty przeciw rządowej ustawie. Następna scena jest „na dobrego wujka”: szef kancelarii cierpliwie tłumaczy, że weto było z troski. Potem zaczynają się personalne rozliczenia, zawsze Tuska i Czarzastego. To najbardziej efektowna część wystąpienia: są oklaski od PiS, okrzyki.

Przy wecie do ustawy, która miała uwolnić psy od łańcuchów, tak porwał prawą stronę, że zaczęła skandować „precz z komuną”. Mówił, że prezydent też jest przeciwny psom na uwięzi, ale niestety – ustawa rządzącym nie wyszła, a „ścigane dotąd trzymanie zwierząt domowych na uwięzi zostałyby zdepenalizowane w stosunku do innych niż pies”. – Czy inne zwierzęta są gorsze? – pyta w Sejmie.

I idzie do rozmiarów: – Wiele psów na zimę, że tak powiem, tyje. Wtedy trzeba by było zmieniać wielkość tego kójca, bo okazywałoby się, że pies jest cięższy, niż założono, a powierzchni musi być inna niż przewidziano.

Potem Bogucki rzuca kotwicę, przypomina, że w dniu weta Karol Nawrocki złożył alternatywny projekt, wyszedł naprzeciw psiej krzywdzie. Lecą hasła: „Staśmy razem! Pracujmy nad projektem prezydenta”.

Kolejnego dnia Bogucki cytuje z mównicy krótki wpis premiera, który na X zapytał Nawrockiego: „I co ci psy zawiniły?”.

– Szanowny panie premierze! Ja mógłbym zapytać dzisiaj: A co panu zawinił pacjent, którzy nie mogą dostać się do lekarza? A co panu zawiniły dzieci, kobiety w ciąży, osoby starsze, które pan chce pozbawić tak naprawdę większości darmowych leków? Co panu zawinił ci pracownicy sądów, którzy wywiesili tutaj transparent i proszą o podwyżki? Wreszcie co panu zawinił pana wyborcy, że pan nie potrafił spełnić swoich obietnic? Panie premierze, co ci wszyscy ludzie panu zawinił?”.

Przywołuje cytaty z Tuska, że weto to podłość, a PiS, prezydent i Konfederacja „kochają psy i Polskę. Na łańcuchu”.

– Czym to jest, panie premierze, jak nie podłością? – dopytuje Bogucki z mównicy. – Gdybym chciał być złośliwy, to bym zapytał: Na czym łańcuchu był pan kilkanaście czy kilka lat temu? Na czym łańcuchu był pan wtedy, kiedy nazywano pana „ich człowiekiem w Warszawie”?

Następny jest Czarzasty. Powiedział, że Nawrocki jest człowiekiem zbudowanym z nacjonalistycznych obsesji, Bogucki to przeczytał. I wprowadził wątek do debaty o psich łańcuchach, by wyjaśnić, że jednak Nawrocki jest zbudowany z idei wolnej, suwerennej, niepodległej, dumnej Polski. Za to marszałek to idea PZPR. I nie ma prawa tak mówić do prezydenta. Co więcej, nigdy nie był ideowym komunistą. To cynik i koniunkturalista, zapisał się do PZPR u jej schyłku, gdy nikt już nie wierzył w komunistyczną utopię. Bogucki krzyczy o koalicji 13 grudnia, wylał nawet, że w inauguracyjnym orędziu marszałka nie padły słowa: „ojczyzna”, „Polska”, „Polacy”.

Posłowie PiS wstają, biją brawo. Krzyczą: Precz z komuną!

Jego występy mają scenariusz.

Na początku jest grzecznie.

Bogucki powtarza

główne argumenty

przeciw rządowej ustawie.

Potem jest „na dobrego wujka”:

tłumaczy, że weto było z troski.

Wreszcie zaczynają się

personalne rozliczenia,

zawsze Tuska i Czarzastego.

To najbardziej efektowna część:

są oklaski od PiS, okrzyki

Ten sam schemat ćwiczy, gdy przychodzi mu bronić prezydenckiego weta do ustawy regulującej rynek kryptowalut. Gdy zaczyna się awantura wokół ustawy, nie ma jeszcze doniesień, że giełda Zondacrypto nie wypłaca ludziom pieniędzy. Ale jej przeszłość jest znana i nieciekawa. Gdy Nawrocki po raz drugi wchodzi przedstawił mu projekt, premier ujawnia finansowe powiązania Zondacrypto i polityków prawicy. Mówi, że pieniądze zasilili fundację Zbigniewa Ziobry i Przemysław Wiple. Jest też o tym, że firma powstała w okolicznościach zasługujących na mocny film kryminalny, z historią ruskiej mafii w tle.

Bogucki znów mówi: prezydent nie jest przeciwko regulacjom, tylko ustawa jest źle napisana. Nawrocki jest gotowy do współpracy, ale niestety, posłowie odrzucili ofertę. – Jeżeli nie chcecie procedować nad poprawkami, tylko idziecie za rozkazem Donalda Tuska ani kroku wstecz, to tak skończycie jak za każdym innym razem. Po raz kolejny przegracie to głosowanie – ostrzega.

Dzień później przyszedł czas na żelaznych bohaterów: Tuska i Czarzastego. – Postanowiliście tę sprawę osadzić w bardzo niewygodnym dla was temacie waszego stosunku do Rosji i polityki, którą pan, panie premierze, pana rząd prowadzi. Czyli chcecie zrobić taki cuchnący sos kłamstwa i kalumnii, żeby obciążać Bogucka za relacje z Putinem – mówi.

Bogucki słyszy od Czarzastego, że to jest ostatni raz, gdy mówi nie na temat. Już wcześniej stracił prawo do riposty – Sejm zmienił regulamin i tylko premier może teraz wyjść na mównicę w dowolnym momencie. PiS ochrzcił to ograniczenie „lex Bogucki”, ale prezydencki minister uważa, że sobie poradzi. Blokada mikrofonu to wyłącznie obawa przed jego ripostami, bo jak wyszedł po ministrze Żurku podczas jednej z debat, nie było co zbierać.

Jest głosem prezydenta.

Niedawno ogłosił, że minister sprawiedliwości został trzecim polskim astronautą, bo całkowicie odleciał w kosmos absurdu, galaktykę błazenad. Pytał, czy działa z polecenia Tuska, czy też premier stracił kontrolę nad orbitą swojego

ministra. To w reakcji na polecenie Żurka, by śledczy ustalili, kto w kancelarii doradził Nawrockiemu strategię wobec Trybunału Konstytucyjnego.

A jest o to duża awantura, bo w marcu Sejm wybrał szóstkę sędziów na miejsca zwalniane w TK przez pisowskich nominatów. Czwórkę zablokował prezydent, nie chce odebrać od nich przysięgi, ceremonię zmienił w warunek. Wszystko dzieje się przy wsparciu partii Jarosława Kaczyńskiego. To walka o instytucję, która zaczyna się PiS-owi wymykać rąk.

Prezydent trzyma się w cieniu, nie broni swoich argumentów, inaczej niż robił to Andrzej Duda, gdy wchodził na pole praworządności. Obrońcą starego porządku w TK jest Bogucki. Występuje publicznie i przedstawia autorski koncept, że weryfikację u prezydenta przeszła jedynie dwójka sędziów, bo tyle miejsc zwolniło się w TK za prezydenturę Nawrockiego. Zamiast podstawy prawnej, publika słyszy od Boguckiego, że prezydent działa jako patriota, strażnik konstytucji oraz państwowiec. Przyznaje, że wszystko działo się po uważaniu. I każde czekać, grozi, że obejście prezydenta to postępowanie prokurator-skie i koniec karier sędziowskich. Jednak sędziowie składają przysięgę przed notariuszem w Sejmie, Żurek zaczyna śledztwo, a Bogdan Świączkowski, szef TK, odsyła czwórkę sędziów do trybunał-skiej biblioteki. Nie ma mowy, żeby orzekali.

Po siedmiu miesiącach szefowania Boguckiego w Kancelarii, gdzie przyćmił rzecznika i innych ministrów, w PiS pojawiają się rozważania, czy aby nie gra zbyt mocno na sobie kosztem prezydenta. I zaraz odpowiedź, że dopóki Nawrockiemu to pasuje, to Kaczyńskiemu też.

– W Pałacu gracz jest jeden, zwycięzca wyborów, reszta jest po to, by na niego pracować, nie odwrotnie – mówi polityk związany z poprzednią ekipą pałacową. Przestrzega przed porównaniami z czasów Dudy. Wtedy premierem była jego koleżanka Beata Szydło, a ministrami koledzy z PiS. Partyjne zostało wyniesione na poziom państwowy. Nawrocki działa przy opozycyjnym rządzie, który uważa za najgorszy po '89 roku. – Za Dudy to były wojenki w rodzinie, dziś są wojny między plemionami – podsumowuje. Dlatego Nawrocki potrzebuje przebojowego szefa Kancelarii.

– Narcystyczny, przejmuje się tym, co o nim piszą, przywiązany do funkcji i honorów – to głosy zdystansowanych do Boguckiego w PiS. W partii ma też fanów, od nich słyszymy, że to świetny mówca, sprawny organizator, dobry kolega, pracowity, sensowny gość. Wszyscy mówią: ambitny. Szukuje się do roli premiera. Wie, że w 2027 roku to prezydent będzie decydował, komu powierzyć misję tworzenia rządu.

– A Przemysław Czarnek, na którego postawił PiS, co? Tak potulnie ustąpi? – pytamy polityka PiS.

– Czarnek w prywatnych rozmowach mówi, że chce być wicepremierem, ministrem sprawiedliwości. Dogadają się – odpowiada.

W PiS nie jest to jednak wersja powszechna. W roli kandydata na premiera widział co prawda Boguckiego sam Kaczyński, o ile wskazuje go prezydent. Nic z tego nie wyszło. – Nie porozumieliśmy się. Nie udało się. Nie w każdej sprawie sojusznicy mają takie same zdanie – przyznał prezes PiS w internetowym podcaście Anity Gargas.

Politycy wskazują jednak pewne miejsce dla Boguckiego: to kampania 2027 roku, w której obie strony znów zagrają o wszystko. TV Republika już kreśli powyborcze scenariusze, w których bieg polskiej historii może zmienić prezydent, przewiduje kłopoty z parlamentarną większością i być może kilkumiesięczne rządy Nawrockiego. Kilka dni temu gościem jest Bogucki. Mówi, że dzieje się historia, a moment jest dziejowy – może nie jak rok 1918 czy 1939, ale naprawdę bardzo trudny. – I prezydent ma tego pełną świadomość – podkreśla. ●

Puca dwa a nawet trzy

Jeśli w PiS-ie pojawi się nowa frakcja, którą trzeba będzie wchłonać, pulmonologiczna metafora się skomplikuje. Chyba że sztuczna inteligencja wygeneruje obrazek człowieka z trzema płucami.



Michał Rusinek

Trudności z wymową niektórych połączeń spółgłoskowych wynikają z konieczności szybkiego przejścia od np. zwarcia warg do np. artykulacji szczelinowej z uniesionym tyłem języka. Takie grupy spółgłoskowe sprawiają trudności szczególnie dzieciom w czasie rozwoju mowy (głoska „l” i grupy spółgłoskowe ją zawierające pojawiają się w mowie dziecka dopiero ok. 6-7 roku życia), ale mogą występować także u dorosłych. Połączenie zwartej spółgłoski „p” ze szczelinowym „l” wymaga precyzyjnej koordynacji ruchowej warg i języka. Nieprawidłowe napięcie mięśniowe może powodować problemy z realizacją takiej sekwencji.

W przypadku trudności z wymową, dziecko (lub osoba dorosła z wadą mowy) może próbować upraszczać tę sekwencję, zastępując „l” inną głoską lub pomijając ją. Takie pominięcia nazywane jest w logopedii mogilalią. Przyczyny mogilalii mogą być anatomiczne (skrótowe wędzidełko podjęzykowe, wady zgryzu), funkcjonalne (obniżona sprawność aparatu artykulacyjnego spowodowana np. długotrwałym przyjmowaniem nikotyny w saszetkach) lub środowiskowe (brak odpowiednich wzorców mowy).

Przysłuchując się rodzimemu dyskursowi publicznemu należałoby rozważyć także polityczne przyczyny mogilalii, jako że przedstawiciele polskiej prawicy zdają się cierpieć na szczególnie jej rodzaj, polegający na upraszczaniu połączeń spółgłoskowych „p+l”.

I tak na przykład prezydent Karol Nawrocki rok temu mówił, że „w czasie kampanii wyborczej stanęliśmy już nawet przed takimi dyskusjami, czy oto są dwie pucie. Tak, są i zawsze były. Dwie pucie!”. Tłumaczył wprawdzie później, że w jego życiu jest jedna „pucia”, bo on na swoją żonę mówi „Puciufka”, ale nie brzmiało to przekonująco. Podkreślił zresztą, że mówi to w „obliczu kamer”, ale mniejsza o to. Wymowa „pucie” zamiast „plcie” to nie tyle forma mogilalii, czyli pominięcia (elizji) głoski, ile paralalii, czyli substytucji: zamiany trudniejszej półsamogłoski „l” na łatwiejszą do wymówienia samogłoskę „u”.

Kiedy natomiast Jarosław Kaczyński relacjonował siedmiodzinną rozmowę z Mateuszem Morawieckim, która przyniosła kompromis dotyczący Stowarzyszenia Rozwój Plus oraz partii Prawo i Sprawiedliwość, powiedział, że „partia będzie miała dwa puca”. Tutaj mamy do czynienia z klasyczną, tradycyjną mogilalią, polegającą na pominięciu głoski „l”.

Nie pojawiło się jak dotąd wyjaśnienie, że w życiu Jarosława Kaczyńskiego jest tylko jedna „puca”, bo on w ten sposób np. zwraca się do swojej kotki Fiony, ale metafora pulmonologiczna natychmiast zawładnęła członkami PiS-u.

Jacek Sasin napisał na portalu X: „Dwa płuca PiS pod przewodnictwem naszego lidera PJK. Oddychamy pełną piersią! Zwycięzimy”, a Danuta Holecka uspokajała widzów TV Republika, że „płuca Prawa i Sprawiedliwości oddychają normalnie, zapalenia płuc nie ma i profesor Przemysław Czarnek jest wciąż kandydatem na premiera”, a Kaczyński z miną specjalisty dodał, że „są dwa płuca, trzeba je jeszcze odpowiednio uruchomić”. Olga Semeniuk-Patkowska w Polskim Radiu 24 wprawdzie przyznała, że to „bardzo dobra metafora” i wyjaśniła, że „nie da się oddychać w pełni jednym płucem”, ale później zamiast o dwóch organach ciała mówiła o dwóch organizmach: „silnym organizmie prawniczym”, jakim jest Przemysław Czarnek i „ultrasilnym organizmie”, jakim jest Mateusz Morawiecki. Metafora okazała się trudna, bo np. Krzysztof Szczuکی uważa, że w płucach ulokowana jest pamięć: „Prawo i Sprawiedliwość oddycha dwoma płucami! [...] Dobrze, żeby oba płuca o tym pamiętały”, a Tobiasz Bochenński jest zdania, że płucami się dmucha: „Prawo i Sprawiedliwość ma dwa płuca, którymi zdmuchnie Donalda Tuska”.

Mateusz Morawiecki umieścił na portalu X zdjęcie przedstawiające siebie, Jarosława Kaczyńskiego i Przemysława Czarneka siedzących przy stole zastawionym ciastkami, owocami i pistacjami (symbolem długowieczności i pomyślności), nad którym wisi reprodukcja grafiki Hundertwassera „Skrzyżowanie” oraz trudny do zidentyfikowania obraz przedstawiający Anioła Stróża. Podpis pod zdjęciem brzmi: „Pelen oddech dla Polski złapany! Do zwycięstwa!”, któremu towarzyszą emotikony płuc i polskiej flagi. Swoją drogą, jeśli w PiS-ie pojawi się nowa frakcja, którą trzeba będzie wchłonać, metafora ta się skomplikuje, chyba że sztuczna inteligencja wygeneruje obrazek człowieka z trzema płucami. Ale bądźmy dobrej myśli.

Dzięki tej metaforze zupełnie inaczej rozumiemy teraz poprzedni, poetycki wpis Morawieckiego na portalu X: „Chcemy być oazą nadziei na pustyni fatalnych rządów Donalda Tuska. Potrzebujemy rządu szerokiego prawnicowego namiotu Prawa i Sprawiedliwości, na miarę ambicji i marzeń Polaków! Walczcie o to razem z nami!”. Pozornie chodzi o to, że obecny rząd czyni z naszego kraju pustynię beznadziei i tylko PiS jest na tej pustyni oazą nadziei. Jeśli dojdzie do przejęcia władzy, możemy się spodziewać nie tyle odpustynnienia zdezertyfikowanej Polski, ile budowy namiotu, który będzie wprawdzie szeroki, ale nie będzie przecież służył wszystkim obywatelom i obywatelkom. Będzie natomiast służył wyłącznie partii rządzącej. Jaki to będzie namiot? Zapewne tlenowy, dostarczający „pucom” tlen w takiej ilości, by poprawić funkcjonowanie organizmów obojga „puci”, w tym mięśni odpowiedzialnych za prawidłową wymowę głosek. Wszystko więc po to, żeby uleczyć swoją partyjną mogilalię.

Cena transkrypcji

Strategia presji i publicznych oskarżeń ze strony społeczności LGBT może zaszkodzić ludziom, którym ma służyć.



Marcin Matczak

Niedawno NSA wydał wyrok nakazujący transkrypcję zagranicznego aktu małżeństwa pary jedнопłciowej do polskich ksiąg USC. Ponieważ rząd zwleka z jego wykonaniem, społeczność LGBT zarzuca Donaldowi Tuskowi kunktatorstwo, a nawet zdradę środowisk, które wspierały go w sporze z poprzednią władzą. O sprawie jest głośno – czy nie za głośno?

Te emocje są zrozumiałe. Na szali leży ludzka godność i poczucie, że państwo odwraca się od swoich obywateli. A jednak ta sytuacja rodzi ważne pytanie: jaką strategię w sprawach tożsamościowych powinien przyjąć obóz postępowy w kraju, w którym realne jest zwycięstwo skrajnej prawicy w kolejnych wyborach? I czy kwestię godności można w ogóle rozpatrywać w kategoriach strategii?

Godność człowieka jest nienegocjowalna. Można jednak negocjować strategię jej obrony, bo trzeba ją rozpatrywać w konkretnym kontekście społecznym. Czy dla ochrony praw społeczności LGBT lepsze będzie natychmiastowe i całościowe (nie pojedyncze, dotyczące jednej pary) wdrożenie wyroku, czy mądre zarządzanie konfliktem społecznym? Wydaje się, że to ostatnie właśnie robi rząd Tuska.

Dar dla prawicy

Takie podejście nie musi być od razu moralnie podejrzane. Sposób wprowadzania reform wpływa na ich trwałość – z reguły „wolniej” znaczy „trwalej”. A problem z tą reformą jest, bo tematy tożsamościowe najszybciej przechodzą w konflikt plemienny i są paliwem dla skrajnej prawicy. Ta zawsze potrzebuje wyraźnych symboli zepsucia elit lub zagrożenia tożsamości (w ich rozumieniu), a spory wokół praw LGBT są dla nich łatwe do uproszczenia i wykorzystania do mobilizacji „swoich”.

Z jednej strony więc ten spór jest prawnie i moralnie uzasadniony, z drugiej zaś jego eskalacja ma poważne konsekwencje. Czy więc nie powinno się powiedzieć: „Ciszej nad tą transkrypcją”?

To, co słuszne prawnie, nie zawsze musi być tematem dominującym w agendzie medialnej. A jest – moim zdaniem bezrefleksyjnie, na zasadzie tego, że konflikt dobrze się sprzedaje. Tymczasem taka strategia presji i publicznych oskarżeń ze strony społeczności LGBT może zaszkodzić ludziom, którym ma służyć.

Dlaczego? Bo temat transkrypcji jest dla prawicy darem. Łatwo o nim powiedzieć: „Oto ta lewacka Unia znowu narzuca nam swoją ideologię”. Jednocześnie badania (m.in. Pippy Norris czy Noama Gidrona) pokazują, że kiedy debata publiczna toczy się na osi wartości i tożsamości, partie prawnicowe rosną w sondażach. Kiedy debata wraca na oś ekonomiczną i socjalną – tracą.

Głośna walka o transkrypcję jest więc dokładnie tym, o czym marzą PiS i Konfederacja. One od lat budują swoją siłę na „obronie rodziny przed ideologią”. Kiedy taki temat wraca na pierwsze strony gazet i programów informacyjnych, zacierają ręce. Część środowiska LGBT+ skupia się jednak mocno na tym symbolicznym froncie. Uważam, że w ten sposób

nie dostrzega, że walka o równość toczy się w szerszym kontekście.

Hierarchia zaniedbania

O jaki kontekst chodzi? I w USA, i w Polsce strategia konfrontacyjna w sprawach LGBT pomogła w ostatniej dekadzie prawicy. Dziś sondaże pokazują, że Konfederacje razem mają około 20 procent poparcia i że mimo przewagi KO mogą wraz z PiS po 2027 roku rządzić. Jeśli będą rządzić, cofną reformy dotyczące społeczności LGBT o kilkanaście lat. Nie będziemy wtedy już dyskutować o transkrypcji, ale o delegalizacji Parady Równości i o „strefach wolnych od TEJ ideologii”. Zwycięstwo medialne dziś może oznaczać katastrofę prawną za dwa lata. Czy to jest cena, którą warto zapłacić?

Tematy debaty publicznej, zwłaszcza intensywniej, trzeba narzucać mądrze. Pomyślcie o dwóch liczbach. W Polsce jest prawdopodobnie kilkaset tysięcy par jedнопłciowych mieszkających razem. To ludzie z realnymi potrzebami, zasługujący na pełną ochronę prawną. W Polsce żyją także ponad dwa miliony matek samotnie wychowujących dzieci. Często bez alimentów, bez skutecznych narzędzi egzekucji prawa, bez głośnej kampanii medialnej w ich obronie.

Pary jedнопłciowe mają siebie nawzajem, nawet bez transkrypcji aktu małżeństwa. Kogo mają samotne matki? Tymczasem media liberalne poświęcają tygodnie na debatę o transkrypcji, nie na temat komornika, który nie może ściągnąć alimentów od ojca pracującego w Niemczech. Nie chodzi mi o hierarchię godności, ale o hierarchię zaniedbania. I o to, czy zagadnienia promowane w debacie publicznej dają paliwo skrajnej prawicy, czy jej to paliwo odcinają.

Polacy zmieniają swoje postawy wobec par jedнопłciowych pod wpływem normalności, nie przez konfrontację i manifesty. Kiedy sąsiad gej czy kolega z pracy gej żyją obok nas, budują dom i płacą podatki, ta codzienność zmienia serca i ludzkie preferencje. Badania CBOS pokazują, że w 2005 roku tylko 15 proc. Polaków znało osobiście osobę LGBT+, a w roku 2024 było to już 47 proc. W tym samym czasie poparcie dla związków partnerskich wzrosło z około 40 proc. do 62, a dla małżeństw jedнопłciowych – z kilkunastu do około 50 proc.

Wolniej znaczy skuteczniej

Ale ta „hipoteza kontaktu” jest dla wielu aktywistów mało atrakcyjna. To zrozumiałe. Gdy ktoś przez lata słyszy, że jest ideologią, trudno mu uwierzyć, że wystarczy spokojny kontakt z sąsiadem, aby to zmienić. Przez dekady osoby LGBT+ były niewidoczne albo karane za bycie sobą. Głośna widoczność stała się więc dla wielu symbolem godności i sposobem na to, żeby w końcu ich usłyszano.

Istnieje tu więc napięcie – z jednej strony trzeba pilnie chronić godność mniejszości, z drugiej należy budować szerokie poparcie dla tej sprawy w podzielonym społeczeństwie – a to robi się ewolucyjnie. Od tego, jak rozwiążemy to napięcie, wiele zależy.

Wykonanie wyroku NSA to prawny i moralny obowiązek rządu. Ale jest ogromna różnica między wykonaniem wyroku a robieniem z tego wielotygodniowego medialnego wydarzenia. Prawa można wdrażać w trybie administracyjnym – bez konferencji prasowych i manifestów, które są wodą na młyn prawicy.

Przed wyborami 2027 roku stoimy przed dylematem: walczyć głośno o natychmiastową zmianę teraz czy budować szeroką większość, która pozwoli na trwałe zmiany za rok, dwa, pięć lat. Ta druga droga bywa wolniejsza, ale w dłuższej perspektywie skuteczniejsza.

MILENIALSI, NA OCHOTNIKA WYSTĄP

Poluzować krawaty, rozluźnić apaszki, smartfon do selfie w dłoń i w drogę. KO wyciąga wnioski z wygranej Petera Magyara.

Arkadiusz Gruszczyński

Piątek po Wielkanocy, malownicza miejscowość we Włoszech. Restauracja ze stolikami na świeżym powietrzu, wczesna wiosna na Półwyspie Apenińskim jest urokliwa. Pewien polityk Koalicji Obywatelskiej siada do kolacji, zamawia wino, myśli o makaronie z owocami morza, choć kusi też pizza.

Nagle dzwoni telefon. Na wyświetlaczu nazwisko rzecznika rządu. „To nie jest dobry znak”, myśli polityk. – Masz jutro rano być w Polsce, to osobiste życzenie Kierownika – mówi Adam Szłapka.

Mój rozmówca następnego dnia ląduje w Polsce i dowiaduje się, że Donald Tusk wybrał go do zespołu, który ma przygotować kampanię wyborczą Koalicji Obywatelskiej. Smaczku dodaje fakt, że troje z polityków młodego pokolenia powołanych przez premiera do tzw. „Dziesiątki na wybory” było w tym samym czasie we Włoszech wakacjach. – Ale osobno – śmieją się w KO.

O kulisach decyzji Tuska opowiada mi członek rządu. – Jeszcze przed świętami premier miał w głowie pięć nazwisk, miał je ujawnić w połowie miesiąca. Nagle ogłosił, że zespół będzie 10-osobowy i zaprezentuje go na radzie krajowej 11 kwietnia.

W zespole znaleźli się posłowie i posłanki młodego pokolenia: minister finansów Andrzej Domański, lat 44; rzecznik rządu Adam Szłapka, lat 41; wiceministra pracy Aleksandra Gajewska, lat 36; wiceminister infrastruktury Arkadiusz Marchewka, lat 40; wiceminister kultury Maciej Wróbel, lat 42; wiceminister obrony narodowej Cezary Tomczyk, lat 41; wiceministra rolnictwa Małgorzata Gromadzka, lat 41; oraz parlamentarzyści Monika Rosa, Paweł Bliźniuk i Maciej Tomczykiewicz, odpowiednio lat 40, 39 i 38.

Powołanie tych, a nie innych polityków ma tak naprawdę trzy cele. Tusk pokazuje, że ma w partii młodych zdolnych, którzy naberą doświadczenia politycznego i rządowego. To raz. Dwa – premier dopieszcza progresywną frakcję, która po porażce Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich straciła wpływy w partii. A po trzecie – Tusk w razie przegranej będzie mógł zrzucić winę na mało doświadczony sztab.

Bo przecież w nowym, odświeżonym sztabie są co prawda osoby, która wykryli w 2023 roku spektakularny wynik wyborczy: Tomczyk dostał ponad 69 tysięcy głosów, Gajewska – 49 tysięcy, Rosa – 44, a Marchewka 33 tysięcy. Ale reszta mniej skutecznie przekonała do siebie wyborców: Domański dostał 6,8 tysiąca głosów, Wróbel – 9,8, Gromadzka – 10, a Bliźniuk i Tomczykiewicz po 12 tysięcy.



• Premier i jeden członków „Dziesiątki na wybory” minister finansów Andrzej Domański

cy. Ten ostatni nie wszedł do Sejmu za pierwszym razem, w ławach poselskich zastąpił Mirosławę Nykiel, która przeprowadziła się do Parlamentu Europejskiego.

Przyznajmy szczerze, że młodzi politycy Koalicji Obywatelskiej są dopiero na początku kariery, część zbudowała lokalną rozpoznawalność, ale wciąż są przyspawani do konkretnych sektorów. Gajewska odpowiada za rządowy program żłobkowy, Domański pilnuje budżetu, Marchewka rozbudowuje żeglugę, a Wróbel pilnuje interesów w kulturze. Na gwiazdę wyrasta powoli Gromadzka, która zapunktowała u premiera tym, że regularnie, w każdym tygodniu, spotyka się z rolnikami w całym kraju.

Ci politycy pojawiają się w mediach, dobrze w nich wypadają, są merytoryczni, a jak trzeba, to wchodzi w ostry spór z politykami prawicy. Jednak mają jedną wspólną cechę: bez zgody premiera nie zrobią żadnego politycznego kroku.

Tusk przyjął inne kryterium niż sprawne poprowadzenie przelomowej kampanii parlamentarnej sprzed trzech lat. Szukał kogoś innego niż tymczasowi polityczni outsiderzy w stylu Sławomira Nitrasa, byłego ministra sportu, elokwentnego, czytanego i zadziornego szefa sztabu wyborczego Trzaskowskiego. Czy w rodzaju Franciszka Sterczewskiego, który konsekwentnie buduje poparcie wśród lewicowego elektoratu i potrafi głośno skrytykować niektóre decyzje partyjne. Ale też innego niż platformerzy do bólu Michał Szczepa i Dariusz Joński, duet gwiazd z poprzedniej kadencji sejmu, którzy pracują obecnie w Parlamencie Europejskim i kojarzą się jednoznacznie z rozliczaniem PiS.

– „Kierownik” testuje młodych, przygląda się, ocenia, czy radzą sobie z trudnymi tematami, czy potrafią budować sojusze i czy z każdą głupotą biegną do premiera. Tusk nigdy ich nie krytykuje, nie wścieka się na nich – mówi mi jeden z ministrów.

Premierowi zależało też na wyborze polityków, którzy nie siedzą za biurkiem i pracują w terenie. A ten opis pasuje do wszystkich,

nawet do chłodnego technokraty Domańskiego, który też stara się jeździć po Polsce.

Kiedy pytam samych „młodych”, dlaczego właśnie ich wybrał Tusk, to słyszę kilka wersji tej samej odpowiedzi: dał im zespół, który nie będzie miał żadnego przełożenia na kampanię wyborczą, ponieważ ostateczne decyzje i tak podejmą najbliżsi współpracownicy premiera. Czyli Igor Ostachowicz, obdarzony słuchem społecznym spin doktor układający pomysły Tuska na piar od blisko dwóch dekad; Paweł Graś, consigliere Tuska od pierwszych lat Platformy Obywatelskiej, który pilnuje partyjnych interesów w rządzie; Jan Grabiec, szef kancelarii premiera, który wpadł w oko Tusкови jako młody organizator o duszy analityka, który zażarcie go popierał podczas wielkiej smuty i walki o przywództwo w PO w pierwszych latach rządów PiS; Maciej Berek, „superminister”, szara eminencja rządu i główny prawnik Tuska; oraz Agnieszka Rucińska, „twarda zawodniczka” dbająca o publiczny wizerunek premiera.

Jedni mówią, że Tusk dał im szansę na umocnienie wewnątrzpartyjnej pozycji, inni – że premiera czeka, aż się pokłóci. Jeszcze inni, że premier, jak zwykle, próbuje zaskakującą ucieczką do przodu. Uda się, świetnie, nie uda, jest czas spróbować czegoś innego.

– Mamy przygotować prekampanię, która rozpocznie się pod koniec maja – zdradza mi jeden z „młodych”. Plan na dziś przedstawia się następująco: pod koniec przyszłego miesiąca wszyscy posłowie KO wyruszą w teren. Mają organizować spotkania w małych miejscowościach, frekwencja się nie liczy, na rozmowy z posłami może przyjść 10 osób. – Ważniejsze jest coś innego: mamy zbudować wizerunek partii, która wychodzi do mieszkańców, słucha ich. Każdy poseł dostanie od nas scenariusz, a do końca czerwca odwiedzimy wszystkie gminy i powiaty w kraju – słyszę. We wrześniu powtórka. – Nie jest powiedziane, że nasz zespół bę-

dzie pracował przy kampanii. Być może część z nas wejdzie do głównego sztabu.

Wszystko pięknie, ale czy właśnie taki cel postawił zespołowi premier? – Tusk zostawił nas, mamy radzić sobie sami. Spotykamy się, wymieniamy pomysły, a Tusk czeka, czy spośród nas wyrośnie lider, który zostanie szefem kampanii – słyszę od jednego z młodych posłów.

Wszyscy mamy nastawiony zoom na te różnice, ale warto też spojrzeć na ruch Tuska z dystansu. Jarosław Kaczyński już od zwycięskiego 2015 roku otacza się młodymi politykami, którzy znają się na platformach społecznościowych, inaczej niż stara gwardia czytają badania zamawiane przez partię, skracają dystans na spotkaniach z wyborcami, są medialnymi harcownikami, nie krzywią się, kiedy zaczepi ich nastolatek z telefonem i poprosi o selfie. Prezes nie musi rozumieć współczesnego świata, bo ma od tego młodych ludzi. Jasne: na koniec dnia wszystko omówi z od przeszło 20 lat uber-spindoktorem Adamem Bielanem i z jednym z najstarszych towarzyszy, jeszcze z początku lat 90. i Porozumienia Centrum, Joachimem Brudzińskim, czyli politycznymi wyjadaczami – ale w punkcie wyjścia są partnerskie relacje z młodym zaplecze.

I właśnie ten sprawdzony patent wdraża dziś Tusk. Premier nie musi orientować się w trendach na YouTube i TikToku, nawet nie próbuje tego robić, świadom, że owszem, kiedyś sam był młodym gniewnym, ale siłą rzeczy jest zakładnikiem własnych wyborów o polityce, a inne spojrzenie na badania, emocje społeczne i postulaty są czymś naturalnym.

Z zupełnie innego kąta rządu słyszę, że twarzami przyszłorocznej kampanii KO będą sam Tusk – oraz Radosław Sikorski. – Minister spraw zagranicznych entuzjastycznie zareagował na pomysł wizyt w małych miejscowościach. Co nas bardzo zaskoczyło, bo przecież Radek dba o wizerunek męża stanu, który po pracy rozmawia o dyplomacji z Hillary Clinton. Sikorski chce przetestować, czy jego obecność w naprawdę małych wsiach pomoże rządowi i partii – mówią mi ważni doradcy premiera.

Na co zadają im pytanie tyleż oczywiste i kluczowe, co niewygodne, bo wytrącające z narracji, którą próbują mi przekazać: czy już zdiagnozowaliście, jakie czynniki i zmiany mogą zdemobilizować elektorat? Mówiąc brutalnie: czy powiedzieliście sobie uczciwie w partii, czym możecie przetrwać wybory? Odpowiedzi są nieoczywiste.

– Naszym największym problemem jest służba zdrowia. Jeśli PiS rozbija tę łajbę, to nic nam nie pomoże – mówi szczerze jeden z polityków KO. – Nie chodzi nawet o pieniądze, których nie chce znaleźć minister finansów. Ministra Jolanta Sobierańska-Grenda dostała od Tuska jedno zadanie: miała przeprowadzić zmiany bez szkody dla pacjentów. Robi na odwrót, ludzie słyszą o zamykanych porodówkach, łączeniu szpitali, limitach na badania. To nam naprawdę nie pomaga – ciągnie poseł.

Część obozu rządzącego uważa, że dałoby się znaleźć spore oszczędności w zdrowiu. Na przykład w lekach przepisywanych seniorom, które należą się im za darmo. Lekarze, zamiast wypisywać „generyki”, czyli ta-

nie zamienniki, za które płaci Narodowy Fundusz Zdrowia, proponują starszym ludziom drogie oryginalne leki. W rządzie dziwią się, dlaczego jednym rozporządzeniem Sobieraj-ska-Grenda nie załatwiła tego problemu.

– Inne problemy, które nas czekają, to oczywiście wysokie ceny energii oraz poczu-cie, że Polacy są ubożsi niż rok temu – opo-wiada kolejna rozmówczyni z rządu. Nowo-grodzka już atakuje rząd za wysokie rachun-ki za prąd, które dotyczą nie tylko małych sklepikarzy, drobnych producentów i rze-mieślników, ale też zwykłych ludzi.

W sejmowych kuluarach mówi się, że PiS w przyszłym roku rzuci głośny i nośny po-mysł socjalny porównywalny do programu 800 plus.

W 2014 roku Kaczyński stwierdził, że pań-stwo stać na comiesięczny zasiłek dla dzieci w wysokości 500 zł. Rząd Ewy Kopacz, której Tusk powierzył państwo i partię po prze-prowadzce do gabinetu przewodniczącego Ra-dy Europejskiej, a także wielu ekonomistów i publicystów uważało, że to nierealny po-mysł, który zrujnuje budżet państwa. I co?

Dzisiaj 500 plus, które zdążyło w odpo-wiednim momencie i z przekazem „rząd na-szego premiera Morawieckiego zna sytuację zwykłych ludzi, reaguje na wojnę w Ukrainie, inflację i drożyznę”, ewoluować w 800 plus, popiera większość polityków, nie licząc neo-liberałów od Sławomira Mentzena, lidera Konfederacji. A Tusk szedł w przełomowym 2023 roku do zwycięstwa z hasłem: „nic co dane, nie będzie odebrane”.

Przemysław Czarnek lub inny kandydat na premiera z PiS może zaproponować cho-ciażby dochód gwarantowany, czyli stałe, co-miesięczne świadczenie w wysokości tysią-ca złotych dla wszystkich Polaków pomiędzy

20. a 40. rokiem życia. Rząd wpadnie wtedy w pułapkę: z trudnym budżetem i wydatkami na obronność, z deficytem i długiem, jakiego nie mieliśmy nigdy po 1989 roku, negatyw-na odpowiedź może dać zwycięstwo populi-stycznej prawicy.

– Dlatego nie obrażałbym się na propo-zycję Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz z Polski 2050, która chce podnieść pierwszy próg po-datkowy do 180 tysięcy złotych. Bo na tym po-myśle skorzystałaby klasa średnia, czyli nasz elektorat – słyszę w rządzie.

Jeszcze ciekawiej robi się, kiedy słyszę o kampanii w internecie. Okazuje się, że rząd już teraz zlecił i dostał analizę, z której wynika, że z dużym prawdopodobieństwem przed wyborami parlamentarnymi ludzie będą pytali nie bliskich, znajomych, dzien-nikarzy czy influencerów, na kogo mają za-głosować, lecz... ChataGPT. A to oznacza re-wolucję.

Ostatnimi laty sporo osób, którym spra-wy publiczne leżą na sercu, ale interesują się polityką raz, góra kilka razy w tygodniu, kie-dy dla orientacji odpalają popularne portale lub włączają wieczorny serwis informacyjny, chętnie korzystało z tzw. latarników wybor-czych. Czyli kwestionariuszy – informatorów o programach wszystkich kandydatów i par-tii startujących w wyborach. Udzielając od-powiedzi na kilkanaście pytań o gospodarkę, podatki, usługi publiczne, inwestycje, kwe-stie światopoglądowe i sprawy międzynaro-dowe, latarnik wyborczy wypłuwa nam na-sze osobiste dopasowanie do konkretnej par-tii. W 2027 roku takie testy zrobi nam sztucz-na inteligencja.

Na potrzeby tego tekstu zadałem dwóm czatom to samo pytanie: na kogo mam zagło-sować, jeśli mam 36 lat, nie posiadam wła-snego mieszkania, cenię państwo, drażni mnie Tusk, boję się prawicowego populizmu,

W sejmowych kuluarach mówi się, że PiS w przyszłym roku rzuci głośny i nośny pomysł socjalny porównywalny do programu 800 plus

jestem za prawami dla mniejszości seksual-nych, ale bez przesady.

Wyszło, że choć moim najlepszym kandy-datem jest Rafał Trzaskowski, powinienem zagłosować na Trzecią Drogę, w drugim wy-borze na lewicę, a w trzecim na, uwaga, Kon-federację. Oraz kolejne zaskoczenie: co praw-da – pisał mi czat – moją partią nie jest Pol-skie Stronnictwo Ludowe, ale Władysław Ko-siniak-Kamysz powinien spełnić moje oczekiwania.

AI przekonywała mnie również, że rząd dopłaca do kredytów hipotecznych, co jest nieprawdą. Totalny chaos. Co oznacza, że żadna partia nie będzie w stanie opanować tego, co odpowiada ludziom sztuczna inte-ligencja.

– Możemy sobie powiedzieć, że będziemy od teraz pakować na różne strony i profile przychylne nam narracje, ale firmy technolo-giczne mogą z dnia na dzień zmienić algoryt-my i będzie po nas – słyszę w Kancelarii Pre-zesa Rady Ministrów.

Rządzący dojrzewają więc do paradoksal-nych wniosków, że coś, w czym od czasów Baracka Obamy upatrywano niezawodnej metody na sukces i za zaniedbanie czego re-gularnie piętnowano liberałów – czyli skupie-

nie się wyłącznie na przekazie w internecie – będzie w przyszłym roku pomyłką.

– A może inaczej: nasza obecność na platfor-mach społecznościowych będzie uwiarygad-niać pracę w terenie, wśród ludzi. Bo skoro pan pyta, jakie lekcje wyciągamy z wygranej Petera Magyara na Węgrzech, to odpowiedź może być jedna: mamy robić po sześć spotkań dziennie i objechać cały kraj – słyszę od waż-nego polityka z obozu władzy. Czyli w 2027 ro-ku możemy obserwować powrót starej, do-brej polityki z lat 90., kiedy w terenie pojawia-li się politycy proszący o głos. Przekładając to na bardziej formalny, politologiczny język: rządzący zdają sobie sprawę, że dobry trend w sondażach może za kilka miesięcy się od-wrócić. Dlatego w KO analizowane są badania, wybory w innych krajach i metody pracy PiS.

W siedzibie partii przy ulicy Wiejskiej w Warszawie na ścianie wisi mapa Pol-ski z zaznaczonymi okręgami wyborczymi, w których w 2023 roku przegrał Tusk, a dwa lata później kandydujący na prezydenta Trza-skowski. W tych miejscach ma skupić się ca-ła uwaga partii. Młodzi politycy dostają swo-je pięć minut, mają wypróbować różne me-tody w tym roku, a ci najzdolniejsi i najspryt-niejsi wejdą do ścisłego sztabu z Tuskiem i Si-korskim. Kampania w internecie będzie waż-na, ale kluczowe staną się wizyty polityków w miejscach, w których strona demokratycz-na przegrywa.

– My się naprawdę boimy, że przegra-my wybory. A wtedy Kaczyński nie tylko nas wszystkich powsadza do więzienia, ale bez oporów, bez oglądania się na wolne media, opinię publiczną i Unię Europejską w rok zdevastuje państwo. A tego nikt nam nie wy-baczy – mówi szczerze jeden z ministrów.

Kolacja we Włoszech musi poczekać. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414016

WSPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU:
ZWIERZĘTA, JAK JE KOCHAĆ MĄDRZE

Katarzyna Zillmann: Taniec zmienił moje życie

Psychologia: Nadmiar terapii szkodzi

Matki i córki - da się je pogodzić

Kuchnia: Przepisy na dania bogate w kolagen

wysokieobcasy
extra

Numer dostępny z prezentem:
szampon lub serum
do włosów ARTISHOO



Dziś, kiedy coś się psuje,
kupuje się nowe.

ŚWIAT BEZ SRUBOKRĘTA

Artur Nowak

Po śmierci rodziców zostały rzeczy: marynarka w kratkę, stara walizka, zegarek, filiżanki, fotografie. Przeglądam je i wraca nie tylko dom, ale cały świat, który odchodził po cichu – świat krawców, szewców, zegarmistrzów, zecerów i domowych fachowców, ludzi od podtrzymywania rzeczy przy życiu.

To opowieść o pracy, która nie była hasłem z pochodu, lecz formą odpowiedzialności, cierpliwości i uwagi – i o tym, co straciliśmy, kiedy przestaliśmy naprawiać świat, a zaczęliśmy go wymieniać.

Jakiś czas po śmierci rodziców spotkaliśmy się z siostrami w starym mieszkaniu, tym samym, w którym byliśmy kiedyś dziećmi. Nie było już mamy ani zapachu jej ukochanych bzów, a jednak w powietrzu trwało coś znajomego: woń starych szaf, ciężar wysuwanych szuflad, obecność rzeczy zbyt nasyconych życiem, by dało się je po prostu wyrzucić.

Wyciągaliśmy obrusy, filiżanki, pudelka, bielizny. Coś trafiło do cioci, sporo oddaliśmy potrzebującym, resztą podzieliliśmy się między sobą. Porcelana i fotografie, niegdyś niemal święte, wyglądały teraz jak rekwizyty po przedstawieniu, które dawno się skończyło. Chwi-

łami czułem się jak w muzeum cudzego życia, choć przecież było to życie, z którego sam wyszedłem. Ale czy z domu naprawdę da się wyjść? Przez całe życie raczej od niego odchodzimy i do niego wracamy.

Wziąłem marynarkę w kratkę po ojczymie, starą walizkę z poobijanymi okuciami i zegarek. Trzyma mnie przy nich nie tylko sentyment, ale też ich spokojna, niewzruszona solidność. W rzeczy dobrze wykonanej jest coś więcej niż materiał i ciężar: jest czas, cierpliwość, czyjaś cicha, uczciwa praca.

Pakujesz walizkę, wkładasz marynarkę i nagle jesteś jak postać ze starego angielskiego filmu. Prostujesz się odruchowo, jakbyś niósł coś kruche i cennego zarazem. Bo to nie jest tylko stary zegarek. To czas, który na chwilę przy tobie przystanął i pozostał wierny temu, co trwałe.

Ludzie od drobnych zapięć świata

Dla pokolenia naszych dzieci to już osobliwy rekwizyt z epoki PRL-u. Dla mnie coś więcej: ślad filozofii codzienności, w której rzeczy dostawały drugie i trzecie życie. Wracały po naprawie, po poprawkach, po latkach i kolejnych wcieleń, zanim ostatecznie osunęły się w niepotrzebność. A człowiek, który je szyl, latal, sklejał czy regulował, był częścią naturalnego porządku świata.

Przy pierwszomajowym Świącie Pracy wracają więc do mnie tamte postacie, jakby

wychodziły z zakurzonych szaf razem z pościelą, walizkami i ze starymi ubraniami: krawcy, szewcy, kaletnicy, cerowaczki, zegarmistrze.

Ludzie od drobnych zapięć świata – od guzików, podszewek, skór, sprzączek, szwów i pęknięć. Ludzie od naprawy.

Od tego, by rzecz nie kończyła się wraz z pierwszym uszkodzeniem. By mogła jeszcze wytrzymać. By dało się ją ocalić.

Pamiętam pana Stasia, który wpadał do domu z neseserem. W środku obok lutownicy i kabli miał dziesiątki śrubek, podkładek i małych śrubokrętów. Był człowiekiem od przywracania życia rzeczom. Znal się na radiach, telewizorach, legendarnej pralce Frani, młynku do kawy, a nawet na prodiżu, w którym matka – obok ciast – testowała swoje pierwsze pizze z przerośniętymi spodami.

Pan Stasiu patrzył, słuchał, rozkręcał, czyścił, składał od nowa – i nagle to, co miało już być martwe, zaczynało działać. Jakby naprawę wystarczyło trochę cierpliwości, trochę wiedzy i czyjejś wierniej uwagi.

Po robocie trzeba było wypić kieliszek. A że – jak mawiał – człowiek na jednej nodze daleko nie zajdzie, to wypijało się i na drugą. Parzyście. W tym też było coś z dawnego porządku: robota, rozmowa, rytuał. Praca nie była jeszcze całkiem odarta z relacji. Nie sprowadzała się do usługi, zgłoszenia, numeru zlecenia i szybkiej płatności.

Dziś takich panów Stasiów prawie już nie ma. Kiedy coś się psuje, kupuje się nowe. Telewizor, lodówkę, pralkę, czajnik. Sama naprawa stała się czymś anachronicznym, zbyt powolnym i zbyt mało opłacalnym dla świata, który nie chce już reperować, tylko wymieniać.

I właśnie tu zmieniła się nie tylko technika życia, ale i sama praca. Kiedyś liczyły się umiejętność, doświadczenie, ręka, cierpliwość. Dziś coraz częściej liczą się obieg, szybkość, ilość, wymiennność. Dawny fachowiec znał materię, wiedział, gdzie szukać usterki, miał pamięć do rzeczy i ludzi. Współczesny świat coraz rzadziej potrzebuje takiej pamięci. Woli instrukcję, gwarancję i koszt na elektrośmieci.

Przedmioty miały jeszcze twarz swojego twórcy, a dobrze wykonana praca niosła człowieka dalej niż reklama, bo stało za nią nazwisko, ręka i rzetelność.

Wiedziało się, kto dobrze robi buty, kto naprawi zegarek, kto skroci marynarkę, a kto przyjdzie do zepsutego radia i nie oszuka.

Dziś wszystko już niemal tworzą maszyny – bez czekania, bez dojrzewania, bez zwłoki.

W komunie mimo całej toporności systemu i tego kolchozowego marzenia o człowieku zbiorowym nie udało się zabić potrzeby indywidualności. Nie da się aresztować wyobraźni. Ludzie i tak chcieli urządzać świat po swojemu: cerować, poprawiać, przerabiać, ozdabiać, dopasowywać go do siebie.



FOI, GETTY IMAGES

Garnitur na miarę

Czasem myślę, że to, co powstaje zbyt szybko, mści się później na smaku. A przecież to właśnie za smakiem tęsknimy najbardziej: za piętą chleba z masłem i solą, za gęstą śmietaną z butelki, za chlebem, który twardniał na kamieniu, ale nie obrastał grzybem. Tamten świat odchodził po woli. Przyszła modernizacja, przyszło nowe, ludzi zwalniano, bo przestawali się opłacać. I razem z nimi odchodził smak.

Przypomina mi się mój wujek, krawiec. Był mistrzem – nie tylko rzemieślnikiem, ale kimś w rodzaju twórcy, architekta cudzego wyglądu. Z biegiem lat stał się niemal legendą miasta, człowiekiem, do którego szło się po coś więcej niż ubranie.

Potrafił nadać chudzielcowi, otyłemu czy rudemu taki fason, taki sznyt, że nagle przybawało im charyzmy, artyzmu, elegancji, czasem po prostu szyku. Miał nawet dyplom cechowy – znak, że jego kunszt został uznany nie tylko przez klientów, ale i przez dawny porządek świata.

Zbyszek mieszkał całe życie w Kaliszu. Był człowiekiem o ogromnym talencie i kompletnie nieprzystającym do niego podejściu do terminów. Typ artysty – zresztą właściwie nie miał konkurencji, bo w sklepach i tak nie było nic ciekawego. Szył znakomicie: drogo, starannie, z wyczuciem formy, materiału i elegancji. Ale, jak to bywa u artystów, czas traktował jednak raczej jak luźną sugestię niż zobowiązanie.

Najpewniejszym sposobem, by doprowadził zamówienie do końca, było po prostu usiąść przy nim i nie wychodzić, dopóki nie skończy. Zdarzało się, że pan młody wychodził od niego nad ranem, już w dniu własnego ślubu, z garniturem niemal zdjętym spod igły.

Bywało nerwowo, bywało dramatycznie, ale kończyło się serdecznym uściskiem dłoni na nową drogę życia, a piękne spodnie i marynarka puszczały w niepamięć cały ból stawiania się czegoś, co od początku miało służyć komuś bardzo konkretnemu.

Mnie wujek uszył na komunię marynarkę w kratkę i spodnie.

Obok wujka mieszkał z kolei człowiek od pracy całkowicie odwrotnej: starszy instruktor Wydziału Ideologicznego Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Zajmował się obrabianiem rzeczywistości na ideologicznej tokarce. Cenzurował teksty, dbał o komunistyczny patos przy okazji mów okolicznościowych, które pisał partyj-

Wiedziało się, kto dobrze robi buty, kto naprawi zegarek, kto skroi marynarkę, a kto przyjdzie do zepsutego radia i nie oszuka

niakom na uroczystości. Rok myślał nad reżyserią, choreografią, nagłośnieniem i logistyką przemarszu pierwszomajowego pochodu.

Właśnie z takich kontrastów składał się tamten świat. Obok fachowca artysty funkcjonował człowiek, którego stanowisko istniało głównie po to, by podtrzymywać fikcję. Obok konkretnej roboty była robota pozorna.

Pewnie nakradł, pewnie miał układy

Pamiętam też inne absurdy tamtego czasu, drobne sceny z prowincji. Pamiętam z dzieciństwa sklep odzieżowy, taki osobliwy magazyn wszystkiego: buty, sukienki, spodnie, trochę tego, trochę tamtego – mydło i powidło. Prowadziło go starsze małżeństwo, podobno mające w rodzinie kilku księży. I może właśnie dlatego cały ten przybytek miał w sobie coś z zakrystii: ciszę, chłód, kurz i niechęć do świata.

Kiedy ktoś przekroczył próg, nie witano go jak klienta, lecz jak intruza. Sprzedawcy patrzyli spode łba, po czym niemal odruchowo odradzali zakup. Jakby każdy sprzedany sweter, każda para butów, każda sukienka były niepotrzebnym uszczupleniem stanu posiadania, a nie powodem do zadowolenia.

Towar stał tam miesiącami, może latami – całkowicie odporny na modę i czas, oblepiony kurzem jak meble w domu po zmarłych krewnych. Ludzie gadali, że ten sklep to tylko przykrywka. Niby w tamtym systemie trzeba było gdzieś pracować, mieć jakieś zajęcie, ale oni mieli ponoć pieniądze upchane po bieliźniarkach, w szufladach, pod stertami pościeli. Woleli siedzieć z książką, niż sprzedać komuś płaszcz.

Komuna zostawiła po sobie jeszcze jedno dziedzictwo, które siedzi w nas głębiej, niż chcielibyśmy przyznać: nieufność wobec ludzi, którym się powiódło.

Do dziś w wielu domach sukces nie budzi odruchowo szacunku, tylko podejrzenie. Skoro ktoś się dorobił, to pewnie nieuczciwie, pewnie nakradł, pewnie miał układy, pewnie ominął kolejkę, przepisy albo cudzy los. Uczciwa praca – tak nas nauczono – musi boleć. Trzeba się utryać, stracić zdrowie, nerwy, czas, najlepiej jeszcze nadwerężyć kręgosłup i życie rodzinne, żeby zasłużyć na odrobinę uznania. Dopiero wtedy można człowiekowi łaskawie wybaczyć, że coś osiągnął.

Komuna nie tylko niszczyła przedsiębiorczość, ale też zatrula samo wyobrażenie o powodzeniu. Wpoila przekonanie, że dostatek jest podejrzany, a zaradność pachnie kombowaniem.

A zarazem ten sam system nauczył ludzi czegoś tylko pozornie przeciwnego: roszczenia. „mi się należy”. Należy się mieszkanie, należy się praca, należy się awans, należy się załatwienie sprawy, należy się miejsce w kolejce i kawałek świata, choćby zdobyty fuksem, znajomością.

Z jednej strony więc podejrzliwość wobec tych, którzy wybili się ponad przeciętność, z drugiej – głęboko wbite przekonanie, że państwo, instytucja albo los są nam coś winne. I może właśnie ta mieszanina najbardziej przetrwała po tamtym ustroju: nieufność wobec sukcesu i żal, że sukces częściej przypada innym niż nam.

Żle wypalona filiżanka

Ale najwięcej osobliwości na rynku pracy przyniósł czas transformacji. Kiedy jeździłem na rozprawę z pewnym starym rzemieślnikiem z okolic Chodzieży, zapytałem go, jak to się właściwie stało, że doszedł do dużych pieniędzy. Roześmiał się wtedy jakoś krótko, bez radości, jak człowiek, który dobrze wie, że jego historia nie jest ani budująca, ani wyjątkowa – tylko doskonale pasuje do epoki.

Mówił, że jeszcze przez jakiś czas pracował przy porcelanie, ale na progu nowej Polski postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. Przeszedł na rentę – bo rentę, jak twierdził, można było sobie wtedy po prostu załatwić – i szybko odkrył, że beczynność mężczy bardziej niż robota. Nudził się śmiertelnie. Wtedy pojawił się niespodziewanie jego przyszły wspólnik, chłopak jeszcze przed osiemnastką, ale już z głową do interesu bardziej tęgą niż niejeden dyrektor państwowego zakładu.

Ten młody podglądał przez okno, jak wyglądają piece do wypalania porcelany. Stał i patrzył, kradł technologię samą cierpliwością. To był przecież moment, kiedy legendarna chodzieska Iwona, najsłynniejszy serwis, schodziła na pniu. W kraju biednym, szarym i byle jakim porcelana wciąż miała w sobie coś z marnienia o elegancji.

Chłopak znalazł fachowca, który zbudował mu piec. Sam nie mógł podpisać żadnej umowy, więc potrzebował starszego wspólnika. I wtedy wszedł do gry mój towarzysz podróży.

Kobiety z chodzieskiej porcelany przychodziły do nich dorabiać po pracy. Dawali za tydzień tyle, ile fabryka potrafiła wypłacić za cały miesiąc. W tamtym geście mieściło się wszystko: bankructwo systemu, bezradność państwowego molocha i drapieżna energia rodzącego się kapitalizmu.

Oni rozkręcili interes, a państwowa firma poszła z torbami. Jedni patrzyli przez okno i uczyli się świata, inni tkwili za bramą wielkiego zakładu, nie wierząc, że coś, co miało trwać wiecznie, może rozspać się szybciej niż złe wypalona filiżanka.

Etyka pracy w PRL-u miały często wymiar groteski. Opowiadał znajomy sędzia: jedna z pań notorycznie spóźniała się do pracy. Prezes nie miał już do niej siły. Pani sędzia pojawiała się o dziesiątej, rozsiadała się spo-

kojnie, spoglądała na zegarek i mówiła z rozbrajającą szczerością: „Oj, rzeczywiście, przyszedłam trochę później, to i trochę wcześniej wyjdę”. I wszyscy się z tego śmiali, jakby chodziło o drobny figiel, a nie o symbol całego systemu.

Stary mecenas z Krakowa

Skoro już jesteśmy przy prawnikach, to warto powiedzieć kilka słów o zawodzie, który sam wykonuję. Był czas, kiedy adwokat należał jeszcze do innego porządku świata. Nosił ze sobą nie tylko teczkę, ale i pewien fason, rodzaj powagi, może nawet lekko staroświeckiego splendoru. Miał pozycję, miał dochód.

Jeden kolega z branży opowiadał mi kiedyś, że dawniej, nawet jeśli adwokata obskoczyła żona, kochanka, nocne kolacje, trochę się przepiło, trochę rozeszło po ludziach i gestach, to i tak zostawało jeszcze tyle, żeby żyć dobrze. Dziś – mówił – częściej przypomina to polowanie na klienta niż dawny majestat zawodu: ciągłe bieganie, szarpaninę, cudze nieszczęścia noszone w reklamówce i pieniądze liczone niemal na sztuki.

I dobrze, że ten świat się otworzył, że przestał być zamkniętym klubem dla wybranych dziedziczonym niemal jak srebra po babce. Tyle tylko, że razem z tym otwarciem coś po drodze wyparowało. Ubyło starych mistrzów. Takich, którzy naprawdę wprowadzali młodych w ten fach, a nie tylko przepuszczali ich przez kolejne procedury.

Którzy siedzieli z aplikantami po godzinach, rozmawiali nie tylko o przepisach, ale i o ludziach, o tonie pisma, o wadze jednego zdania, o tym, kiedy trzeba nacisnąć mocniej, a kiedy mądrzej jest odpuścić. Uczyli nie samego prawa, lecz także jego temperatury, rytmu, ciężaru.

Znam jednego takiego starego mecenasa z Krakowa. Znał Mrożka, nie odpuszczał żadnej premiery teatralnej, koncertu. Potrafił siedzieć z kolegami przy piwie i rozbrajać na czynniki pierwsze eseje Miłosza, jakby wciąż jeszcze wierzył, że prawnik powinien umieć nie tylko mówić, ale też słyszeć ton epoki. Ale to już egzemplarz kolekcjonerski.

Dziś wszyscy mijają się w przelocie. Między rozprawą a telefonem, między mailem a kolejnym terminem, między siłownią a lunchem w modnej restauracji. To już częściej taśma niż szkoła, obieg niż wtajemniczenie.

A jeśli już szukać spraw naprawdę emblematycznych dla tamtego świata, to nie w sensacyjnych mordach, tylko w peerelowskiej szaryźnie przestępstw gospodarczych. Pamiętam anegdotę o takim procesie spółdzielni. Starość na ławie oskarżonych, starość przy stole obrońców, biegli od defraudacji, księgowa w chuście, przerażona, jakby przyszła nie do sądu, tylko na Sąd Ostateczny.

I nagle jeden z mecenasów, wyrwany z drzemki, nie pyta o liczby, nie pyta o manko, nie pyta o przepływy, tylko rzuca w tę salę pytanie z innej Polski, z innego czasu: „Czy pani była bita w śledztwie?”. W jednym zdaniu zebrał się cały PRL: spółdzielnia, manka, strach, fikcja, państwo i ten osobliwy rodzaj prawdy, że za papierową gospodarką zawsze stał ktoś, kto mógł przycisnąć człowieka mocniej niż pagraf.

Polak potrafi

Żyliśmy w epoce permanentnego niedoboru. W PRL-u mówiło się, że niczego nie ma, chociaż właściwie wszystko gdzieś było. Rzeczy nie zniknęły – one po prostu zapadały się pod ładę, do magazynu, na zaplecze, do prywatnego obiegu, w znajomość, w przysługę, w czyjeś „załatwienie”.

Zwykle pieniądze często nie znaczyły wiele. Prawdziwą walutą był dostęp. Ktoś miał dojeżdżać do mięsa, ktoś do masła, ktoś do spirytusu, ktoś do części zamiennych, ktoś do człowieka, który znał człowieka.

Mnie też matka posyłała do kolejek – po kawę, po watę. Do dziś nie bardzo wiem, o co z tą watą chodziło, co się z niej robiło, że urastała do rangi towaru niemal luksusowego. Kiedyś nawet spróbowałem, jak smakuje. Cóż, byłem strasznie zawiedziony.

Co tu dużo mówić: po prostu się kradło. Nie zawsze z chciwości. Z przyzwyczajenia, z praktycznego rozumu, z poczucia, że państwowe jest niczyje, a skoro niczyje, to bierz ten, kto zdąży. Wielu ludzi miało etaty w państwowych zakładach, ale prawdziwe życie toczyło się gdzie indziej: na fuchach, po godzinach, w dorabianiu, w tej bocznej ekonomii, która dawała drugą, a nieraz i trzecią pensję. Na etacie często się odpoczywało po nocnej robocie, lecz było kaca, wyczekiwało końca zmiany.

Mam w pamięci zakład pracy, w którym ojczym był kierownikiem produkcji. Widzę wielką, niemal teatralną portiernię, z szerokimi parapetami, przy których stali ludzie z rozmaitymi sprawami. Niby zwykłe rozmowy, papieros, pół zdania, szybkie spojrzenie. A przecież każdy wiedział, po co przyszedł.

Najczęściej chodziło o to, żeby coś „wytoczyć” albo przerobić: jakiś element, kawałek metalu, materiał, który był „na wczoraj” przy prywatnej robocie, w warsztacie, na budowie, w garażu. Fabryka pracowała niby dla planu, dla normy, dla państwa. Ale w jej szczelinach toczyło się inne życie: bardziej użyteczne, bardziej prawdziwe.

Pamiętam ciotkę, która pracowała w wojskowym kasynie. To pamięć pachnąca intensywną kawą, wędzonym boczkami i parówkami.

Nasi ojcowie, chłopców z podwórka, opowiadali czasem o zakładowych rankingach sprytu prowadzonych niby dla żartu. Kto wyniósł więcej. Kto lepiej obszedł kontrolę. Nie podziwiał się najbardziej człowieka porządnego, lecz człowieka skutecznego. Kto jak kto, ale Polak potrafi.

Efekty były jednak oplakane. Najboleśniej było to widzieć w budownictwie. Pamiętam nasze nowe mieszkanie na ulicy Ogrodowej w Krośnie Odrzańskim. Wprowadzaliśmy się z poczuciem, że oto zaczyna się coś lepszego, a zaraz potem okazywało się, że wypaczenia ścian są takie, iż nie da się domknąć drzwi, a kable są tak poprowadzone, że trzeba wszystkich rozkłuć.

Ojciec znał jakiegoś pułkownika i skombinował żołnierzy. Żołnierz, który umiał murować, tynkować albo położyć glazurę, był skarbem. Nie chodziło o zawodowych wojskowych, o „trepów”, lecz o chłopaków z zasadniczej służby, wyłowionych z armijnej masy, a potem puszczanych w obieg od mieszkania do mieszkania jak prywatna brygada ratunkowa dla całej tej socjalistycznej fuszerki.

Placiło się nie tylko pieniędzmi. Placiło się także, a może przede wszystkim wódką. Alkohol smarował tamten świat równie skutecznie jak znajomości. Bratał, rozczulał, znieczulał, ale też rozluźniał sumienia, obniżał jakość, rozmyślał odpowiedzialność, sprzyjał bumełactwu i bylejakości.

Magiel i wielkie kino

A jednak ten świat nie składał się wyłącznie z wielkich zakładów, wielkich kradzieży i wielkich inwestycji. Był też utkany z rytuałów codzienności, z cichej pracy, z powolności rzeczy.

Pamiętam wielki kosz, z którym chodziłem z siostrą do magla. Obrusy, prześcieradła, poszewki. W rozgrzanym do czerwoności od płotek komieszczeniu, do którego znoszono wszystkie prawdy i legendy miasta, przepuszczano się to przez rozgrzany walec.

To, co przyszło zwyczajne, miękkie, wilgotne, wracało do kosza gładkie i ułożone, jakby odzyskało formę. Magiel też był częścią tamtego świata, w którym nawet pościel miała swój rytuał, a dom swoje ciche ceremonie zasypiania w przyjemnych pieleszach pachnącej pościeli.

Był jeszcze listonosz z torbą ciężką od cudzych spraw. Dziś listonosze nadal istnieją, ale ich torby jakby zrobiły się lżejsze. Niosą głównie rachunki, urzędowe pisma, awiza. Kiedyś czekało się na listy pełne wzruszeń, wyznań, tęsknoty, na telegram potwierdzający czyjaś nagłą albo wyczekaną śmierć. Listy z kolorowymi znaczkami wypadły nam przy tych po-

rządkach po rodzicach. Papier przechowywał emocje lepiej niż ekran. Dłużej. Głębiej.

Z podwórka pamiętam jeszcze jedną charakterystyczną postać: pana z wózkiem na wielkich kółkach. W czasach, gdy wszystko wyrzucało się do jednego wielkiego metalowego kubła, śmietniki objeżdżali tacy właśnie ludzie i prowadzili własną, oddolną selekcję.

Wybierali papier, butelki, złom – wszystko, co dało się jeszcze odzyskać, sprzedać albo puścić dalej w obieg. Zanim państwo nauczyło się mówić o recyklingu, bieda, zaradność i konieczność już dawno stworzyły jego własną, podwórkową wersję: soki w butelkach z porcelanowymi korkami zaciskany na szyjce drutem, baraki na kołach, w których można było wymienić stertę gazet na obwarzanek szarych rolek papieru toaletowego.

Tamten świat wraca do mnie 1 maja.

Nie ma sensu lukrować tamtej rzeczywistości. Były w niej fuszerka, cwaniactwo, kradzieże, picie i cały arsenał systemowych upokorzeń. Ale nawet w tych pęknięciach istniało coś, co dziś znika szybciej niż stare zawody: szacunek dla konkretnego. Dla ręki, która potrafi. Dla czasu, który trzeba poświęcić. Dla uwagi, bez której wszystko staje się jednorazowe – przedmiot, praca, relacja, słowo.

Niewiele mieliśmy, ale potrafiliśmy zachwycić świat. Opowiadał mi niedawno Olgierd Łukaszewicz, że w napiętych budżetach filmowych nie było pieniędzy na duble. Taśma była droga, często nie dało się od razu sprawdzić, jak wyszła scena.

Wspominał z uśmiechem swój wyjazd do Cannes z „Perłą w koronie”. Dostał dziesięć dolarów diety. Zatrzymali się z ekipą w Hôtel Martinez. Obsługiwało ich sześciu kelnerów, ale te dziesięć dolarów nie wystarczało nawet na wodę. Biegał więc do pokoju, żeby napić się z kranu. A jednak reprezentował kino, które budziło podziw.

Monogram z paremą wewnątrz marynarki

Rozczuliło mnie, kiedy Antek, syn mojej dobrej znajomej, przytargał do domu starą maszynę do szycia i oznajmił, że będzie robił ubrania. Patrzyliśmy na to z ostrożną czułością, wydawało się, że to jedna z wielu zajawek, które przychodzą i odchodzą.

Tyle że on nie odpuszczał. Po jakimś czasie zobaczyłem w jego pokoju porozpruwane dzinsy rozłożone na części jak mapy czegoś jeszcze nienazwanego. Z tych kawałków powstawały dziwne spodnie: nogawki przesunięte, szwy przenicowane, pasy wywrócone, kolorowe wstawki biegnące od kostek po kolana. Było w tym coś nieporadnego i zarazem upartego. Jakby materia sama domagała się nowej formy.

Zaprowadziłem go do Sebastiana Żukowskiego, który ma pracownię przy Andersa 31, krawca, który szyje w Warszawie od 30 lat. Mistrz pokazał nam pracownię, mówił o spodniach, marynarkach, o tkaninie, której nie od razu zdradza, czego chce. O miarze, która nie jest tylko liczbą, ale próbą zrozumienia ciała.

– Nie ma już szkół – powiedział. – Gdyby ktoś chciał się dziś uczyć fachu, właściwie nie ma gdzie. Można przyuczać się przy zakładzie, ale to się nie oplaca. Ucznia trzeba ubezpieczyć, a zanim się czegoś nauczy, narobi sporo szkół.

Co jakiś czas ktoś wpadał na przymiarę. Jakiś doktor, którego znalazłem z telewizji. Jakiś profesor. Ludzie, którzy przychodzili po coś, czego nie da się kupić z wieszaka, bo nie chodziło tylko o ubranie, ale o proporcję, o niuans, o zgodę między ciałem a tkaniną.

– Niuanse robią robotę – mówił mistrz. – Jeden rękaw czasem musi mieć centymetr więcej, poła bywa trochę dłuższa, bo każdy człowiek jest inny. A dziś ubieramy się w gotowe serie kształtów: XL, 54, spodnie 33 na 34. Wszystko jest bardzo ogólne, bardzo umowne. A dobrze zdjęta miara to połowa roboty.

No i materiał! Na urodziny zrobiłem sobie prezent i zamówiłem marynarkę

u Buczyńskiego w Poznaniu. Prawdę powiedziałem sobie nawet sprawę z wyboru materiałów, guzików, technik naszywania kieszeni, wykończenia. Okazało się, że można sobie nawet zamówić monogram z paremą wyszyty wewnątrz marynarki.

I chyba właśnie o to chodziło zawsze: o szybie na miarę. Takie rzeczy mają inną gęstość, bo zamknięto w nich więcej uwagi, a uwaga – wbrew temu, co się dziś wydaje – nie znika bez śladu. Zostaje w mocnych szwach marynarki, które nie puszczają po dwóch sezonach. W metalowym zatrasku walizki, który wciąż klika tym samym głuchym dźwiękiem. W tych wszystkich detalach, które mówią, że ktoś kiedyś robił rzeczy tak, jakby miały nieść ciężar lat, a nie tylko wytrzymać do następnej kolekcji.

Litera z ołowiu

Dziś mówi się już niemal wprost, że rzeczy mają się szybko psuć. Mają być „na chwilę”, żeby robić miejsce następnym i jeszcze bardziej zaśmiecić świat.

To samo dotyczy tekstów i słów. Stary redaktor, który pracował kiedyś w ważnym tygodniku, opowiadał mi, jak to wyglądało. Tekst musiał ważyć. Dziś wystarczy, że coś przez chwilę „zagra”, poruszy oko albo nerw. Siadasz, piszesz, wrzucasz. A zanim dopijesz herbatę, twój akapit znika pod tysiącem następnych. A przecież po redaktorze był jeszcze zecer. Składał tekst z ołowiu, litera po literze, jakby każda z nich naprawdę coś ważyła. Bo ważyła. Byli też introligatorzy, którzy wiedzieli, że książka ma ciało: grzbiet, szczyt, oprawę, ciężar. Że słowo potrzebuje formy, która je utrzyma i ochroni. Liczyło się nie tylko to, co napisane, ale też to, czy książka przetrwa lata, czy rozsypie się przy pierwszym czytaniu.

**Numery telefonów
mieszkają w kontaktach,
daty w kalendarzach, drogi
w mapach, twarze w galeriach,
wspomnienia w folderach,
a wiedza w wyszukiwarce**

W kulturze druku tekst kosztował: papier, skład, redakcję, dystrybucję, miejsce. Druk był ciasną bramą. Nie wpuszczał wszystkiego. Zmuszał do wyboru.

Przez lata ludzie marzyli o czymś, co uczyni to wszystko łatwiejszym. O świetle, w którym wiedza stanie się dostępna natychmiast, bez oporu materii, bez czekania, bez pośredników.

Tyle że w tym „natychmiast” od początku ukryta była cena. Bo przyspieszenie przyszło razem z nadmiarem, który nie zna ani wstydu, ani miary. Z produkcją bez selekcji, bez domknięcia, bez ciszy potrzebnej, by odróżnić rzecz ważną od chwilowego hałasu.

Dziś, zanim człowiek przeczyta choćby pierwszy akapit, już ma napisane, ile czasu mu to zajmie: trzy minuty, siedem, dziewięć, może dwanaście. A kiedy okazuje się, że coś wymaga dwudziestu minut skupienia, wielu już się zniechęca. Za długo. Za ciężko.

I myślę sobie czasem, że z tekstami jest dziś trochę jak z tamtym chlebem i mlekiem. Można zjeść byle co i zabić głód, można też zadowolić się byle jakim uzasadnieniem, a w zasadzie jakąś tezą, która krzyczy w akapicie zapisanym przez internetowego wieszca.

Niby wszystko jest. Półki pełne. Książek, artykułów, komentarzy, podcastów, streszczeń.

Tylko że nikt nie ma czasu, żeby zdanie chwilę poleżało w człowieku.

Dobre zdanie miało wtedy swoją wagę, tak jak miała ją dobrze uszyta marynarka, porządna walizka czy chleb, który nie pleśniał po dwóch dniach, tylko twardniał uczciwie, jakby chciał człowieka czegoś nauczyć o czasie.

Żabki, Orleny, Costy

Komputery, z których rosnącą potęgą dorastałem w latach 90., były obietnicą innego świata: nowoczesnego, jasnego, ruchomego, odklejonego od zapachu kurzu, kalafonii i przypalonego plastiku.

Tyle że tamten komputer też miał jeszcze wnętrze. Można było wejść w DOS, podejrzeć BIOS, coś przestawić, coś popsuć, coś naprawić, choćby po omacku. Nawet jeśli człowiek nie znalazł się na kodowaniu, miał poczucie, że pod powierzchnią istnieje mechanizm, do którego da się dobrać jak do ruskiego zegarka. „Windows 98” bywał kapryśny, czasem głupi i uparty, ale miał szczeliny, w których można było podlubać.

Dziś nie ma już programów. Są apki. Gładkie, oble, zamknięte, bez śrubek, bez pokryw, bez miejsca, w które człowiek mógłby włożyć palec i sprawdzić, co właściwie nie działa. Możesz co najwyżej kliknąć „zgłoś problem” i czekać na kontakt z człowiekiem po długiej przeprawie przez koła ratunkowe rzucane przez przeraźliwie uprzejmych chat, a potem przez nieprzemakalnego na twoje nerwy bota.

Świat, który obiecywał wolność, coraz bardziej przypomina urządzenie bez śrubokręta. Wszystko działa, ale coraz mniej wiemy jak. Żyjemy w systemie, który obsługujemy dotykami, ale którego nie rozumiemy już ręką.

I podobnie stało się z miejscami. Klony sklepów, księgarni, stacji benzynowych i kawiarni skolonizowały świat. Żabki, Orleny, Costy, sieciowe punkty karmienia i tankowania oświetlone tym samym światłem, ustawione zgodnie z planami architektów funkcjonalności dla zabieganych.

Ściana z kielbasami w folii, pudełkami, paczkami ciastek, bułkami wypieczonymi z jaj w proszku, ubitej skrobi i mąki przez maszyny, które nie znają ani smaku, ani głodu. Ta sama kawa, ten sam hot dog, ta sama oferta, ten sam ruch dłoni przy kasie. Możesz wejść do Żabki na Podhalu, na Podlasiu, w Warszawie – wchodzisz ciągle do tego samego miejsca.

Oczywiście, życie nadal próbuje wdrzeć się do środka. Spotkasz tam pijaczka, chłopaka po nocce, rubaszną Ukrainkę, emerytkę liczącą drobne, studenta z energetyką i kogoś, kto kupuje małpkę o ósmej rano.

Człowiek jeszcze zostawia na tej sterylnej powierzchni swój odcisk, swoje zmęczenie, odcień, wstyd, pośpiech, biedę albo samotność. Ale forma pozostaje bezosobowa. Sklep nie jest już sklepem, tylko interfejsem. Kawiarnia nie jest kawiarnią, tylko punktem odbioru kofeiny. Stacja nie jest przystankiem w drodze, tylko aplikacją rozlaną w przestrzeni.

Wlewamy w siebie kawę z syropem, napój z tauryną, bułkę z polepszaczem, batonik udający posiłek, kanapkę z terminem ważności dłuższym niż pamięć niejednej znajomości. Wszystko ma nas podtrzymać w ruchu, ale nie nakarmić. Rozbijać, ale nie nasycić. Dodać energii, która za chwilę zamieni się w zjazd, głód, senność, rozdrażnienie, kolejną potrzebę tankowania. Tak produkuje się nasze zmęczenie, nasze choroby cywilizacyjne, nasze brzuszy, nasze lęki. Niby wybieramy, ale wybór jest już wcześniej ustawiony na półce.

Zwolniliśmy się też z myślenia. Coraz mniej nosimy w sobie, coraz więcej przechowujemy w urządzeniach i chmurach. Kiedyś pamięć była czymś, co trzeba było ćwiczyć, pielęgnować, odnawiać w rozmowie, w opowieści, w powracaniu do tych samych scen.

Dziś pamięć oddaliśmy nośnikom. Numery telefonów mieszkają w kontaktach, daty w kalendarzach, drogi w mapach, twarze w galeriach, wspomnienia w folderach, a wiedza w wyszukiwarce. Nie musimy pamiętać, skoro możemy sprawdzić. Nie musimy rozumieć, możemy zapytać urządzenie. Nie musimy zatrzymać się nad chwilą, bo możemy ją zapisać. Mamy coraz więcej śladów, a coraz mniej obecności.

I może właśnie dlatego tak dziwnie tęsknimy dziś nawet za tym, co kiedyś wydawało się prowizorką. Za przedmiotem, który można było otworzyć. ●

Co drugi Brytyjczyk
chce wrócić
do Unii Europejskiej,
a jednocześnie
„ojciec Brexitu”
króluje w sondażach
przed majowymi
wyborami.
Jak oni to robią?



Z miłości do Spice Girls

• Zwolennik Reform UK, której liderem jest Nigel Farage, na dorocznej konferencji partii w National Exhibition Centre w Birmingham (5.09.2025)
FOT: Jacob King/PA Images via Getty Images quatem

FOT: JACOB KING/PA IMAGES/GETTY IMAGES

Maria Korcz

Od rządu, który na komendę zamknął szkoły, firmy i restauracje i miał zapanować nad pustoszącą kraj pandemią, oczekiwano najwyższego poziomu dojrzałości i odpowiedzialności. Tymczasem jesienią 2021 roku media obiegają zdjęcia z Downing Street 10, na których Boris Johnson, ówczesny premier i lider torysów, wznosi toast w gronie osób, których liczba ewidentnie przekracza obowiązujące wówczas – uwiecznione imprezy odbywały się głównie w 2020 roku – restrykcje.

Partytgate wywołuje ogólnokrajowy skandal i ciągnie się za Johnsonem do dziś. Trudno powiedzieć, czy ktokolwiek inny sprostaby jednocześnie przeprowadzeniu kraju przez pandemię i procesowi wyjścia z Unii Europejskiej, ale serię politycznych wyzwań Johnson na własne życzenie przypisał populizmem, niekonsekwencją i skandalami.

Gdy kilka miesięcy po Partytgate, lubując się w ekscentrycznych wybrzydzeniach polityk o charakterystycznej czuprynie targanej brytyjską pogodą i licznymi zmartwieniami, będzie opuszczał urząd, aż 72 proc. rodaków oceni go negatywnie. Bo na zdjęcia z siedziby premiera nakładają się inne skandale, które wkrótce pogrążą Partię Konserwatywną.

Fotoreporterzy na łamaniu zasad społecznego dystansu – w ramionach własnej asystentki – kilka tygodni wcześniej przyłapują też sekretarza zdrowia Matta Hancocka, który niedługo później podaje się do dymisji.

Sprawa jest obciążeniem dla konserwatystów nie tylko dlatego, że odpowiedzialny za surowe restrykcje sekretarz sam je złamał. Ale także dlatego, że Hancock i jego asystentka na oczach kraju dopuścili się małżeńskiej zdrady. Niby mamy XXI wiek i brytyjscy konserwatyści pod względem obyczajowym – w kwestii praw kobiet, małżeństw jednopłciowych, seksu – przypominają raczej liberałów z lat 90. Ale jest jesień 2021 roku, więc wszelkie akty hipokryzji społeczeństwo, zmęczone lockdownami i ogólną atmosferą strachu, odbiera wyjątkowo źle.

Torysom nie pomaga też fakt, że Wielka Brytania zakończyła właśnie okres przejściowy po wystąpieniu z Unii Europejskiej, co – w połączeniu z kryzysem spowodowanym koronawirusem – przejawia się w pewnym momencie np. brakiem paliw na części stacji benzynowych w Londynie i południowo-wschodniej Anglii.

W górę idą też ceny. Do końca 2021 roku przeciętna brytyjska rodzina zapłaci około 210 funtów więcej za żywność, niż przed Brexitem – szacuje wówczas London School of Economics.

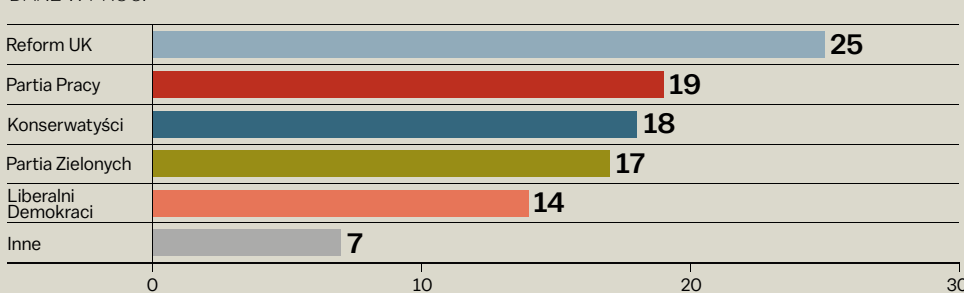
Efekty nietrudno przewidzieć. W październiku 2021 roku Partia Pracy, na której czele już wówczas stoi przyszedł premier Keir Starmer, po raz pierwszy wyprzedza w sondażach Torysów. Przez najbliższe cztery lata konserwatystom tego trendu nie uda się już odwrócić. W czerwcu 2024 roku partia, na której czele w międzyczasie stanął Rishi Sunak – były finansista, prywatnie multimilioner, pierwszy niebiały premier – osiąga najgorszy wynik w historii, zdobywając jedynie 23,7 proc. poparcia i tracąc 250 miejsc w parlamencie.

Torysi tracą większość, a na czele nowego rządu staje laburzysta, dotychczasowy lider opozycji, były prokurator generalny, prawnik specjalizujący się w prawach człowieka, Keir Starmer. Który już wkrótce sam stanie się tak niepopularny, jak jego poprzednicy.

Powiew świeżości trwa krótko. Partii Pracy może i udaje się po raz pierwszy od 14 lat odsunąć konserwatystów od władzy, ale nie jest w stanie długo utrzymać poparcia wyborców. Coraz widoczniejszy staje się też trend antyestablishmentowy, na którym podobnie jak

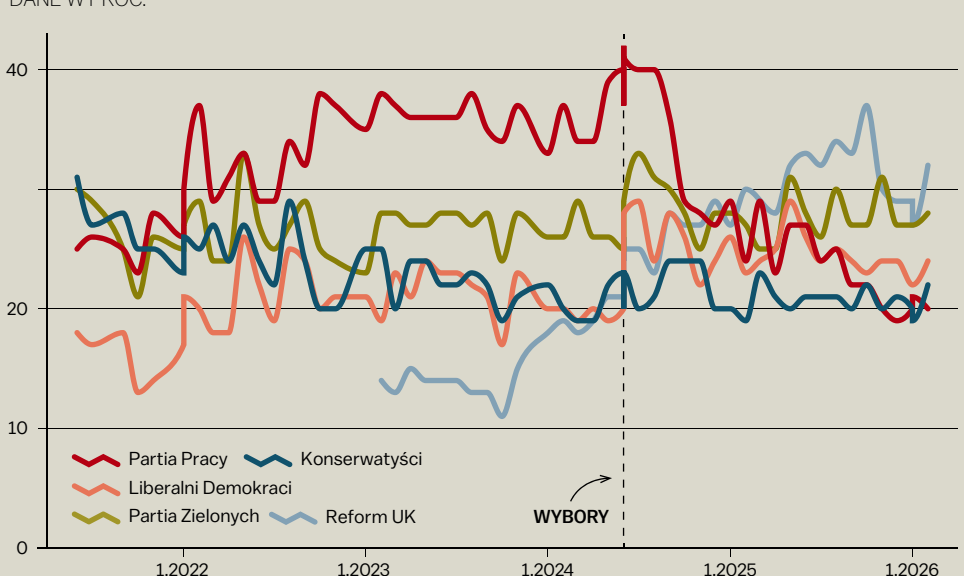
Poparcie dla partii politycznych w Wielkiej Brytanii w kwietniu 2026 r.

DANE W PROC.



Poparcie dla partii politycznych w Wielkiej Brytanii od czerwca 2021 do lutego 2026

DANE W PROC.



AUTOR: PAWEŁ LUBOWICZ

ŹRÓDŁO: IPSOS

w Polsce, szybko wyrastają partie pozostające wcześniej na marginesie życia politycznego.

Na stratach skompromitowanych torysów i rozczarowujących laburzystów zyskuje względnie nowa Reform UK i Green Party, czyli Zieloni, których historia sięga lat 90., ale dopiero teraz wybija się na czoło sondaży.

Od kiedy tym dwóm ugrupowaniom udało się pod koniec 2024 roku wyprzedzić Partię Pracy w sondażach, żadne ze starych ugrupowań już nie wróci na szczyt notowań. Tam od miesięcy króluje postbrexitowska Reform UK.

Jednym z fundatorów Reform UK jest Nigel Farage, postać kluczowa dla historii odłączenia się Wielkiej Brytanii od Unii Europejskiej. Jak to możliwe, że dziś, gdy częściej niż co drugi Brytyjczyk (według ostatnich sondaży YouGov – 53 proc. dorosłych obywateli jest za powrotem do Unii) twarz referendum brexitowego z 2016 roku wciąż cieszy się tak dużym poparciem?

Pytam o to u samego źródła.

– Theresa May i Boris Johnson nie dowieźli Brexitu. Farage spotkał się z dużą krytyką, choć to nie on na nią zasłużył. Teraz mamy szansę, żeby wszystko wróciło na swoje miejsce – mówi mi w połowie kwietnia Anna Stanisławska, liderka listy Reform UK w Hyn-dburn, 80-tysięcznym regionie w hrabstwie Lancashire, na północ od Manchesteru.

Zaznacza, że jest jeszcze przed obowiązkiem dla kandydatów partii szkoleniem medialnym, ale szybko zgadza się na rozmowę. Choć w Wielkiej Brytanii autoryzacja wywiadów nie jest standardem tak jak w Polsce, z góry prosi – to sztywna zasada w Reform – o przesłanie cytatów przed publikacją.

Stanisławska jest Polką. Mieszka w Anglii od dwóch dekad, po raz pierwszy przyleciała na Wyspy po maturze, zaczęła pracę i poznała tu męża, także Polaka. Polityką zaczęła interesować się po tym, gdy w czasie pandemii musiała zamknąć swój salon kosmetyczny.

– W mojej historii nie ma nic kliwów. Wyjechałam z czystej ciekawości i miłości do Wielkiej Brytanii. Uwielbiałam brytyjską kulturę, uwielbiałam Spice Girls, rodzinę królewską – mówi.

Czasy świetności brytyjskiej popkultury wymienia jako pierwsze na liście rzeczy, których jej we współczesnej Anglii brakuje. I której – ma nadzieję – Farage przywróci jako premier. Żali się na upadek brytyjskich wartości – gdy pytam jakich, dość przewrotnie wymienia, po miłości do kraju, otwartość i szacunek do drugiego człowieka – ale przyznaje też, że w jej politycznym zaangażowaniu chodzi o coś więcej niż prosta nostalgia za starą Anglią. – Chciałabym, żeby skończył się wreszcie duopol. Ktoś musi przywrócić porządek ekonomiczny i społeczny, zapanować nad nielegalną migracją – wylicza Stanisławska.

Właśnie utrzymane w tym klimacie hasło widnieje na ulotce, którą roznoszą kandydaci partii Farage'a: „Laburzyści i Torysi popsuli brytyjskie granice. Tylko Reform UK może odzyskać nad nimi kontrolę”.

Pod napisem zdjęcie łódki i dopisek, że w 2025 do kraju dostało się tym sposobem drogą 41,5 tys. migrantów, którzy w momencie przybycia nie mieli dokumentów gwarantujących legalny pobyt.

Faktycznie, liczba osób, które dostają się do Wielkiej Brytanii nielegalnie morzem, stanowiła w ostatnich latach większość przyjazdów. Ale diabeł tkwi w szczegółach, choć te dla antymigranckich nastrojów są mało istotne.

W praktyce bowiem większość osób – w zeszłym roku 99 proc. – które przypływają łódkami ubiega się później o azyl, który ostatecznie otrzymuje ok. 60-70 proc. z nich.

Zdecydowana większość migrantów, którzy tak dostają się do Wielkiej Brytanii, nabywa więc prawo do legalnego pobytu – wynika z danych Oxfordzkiego Obserwatorium Migracji. Co nie zmienia faktu, że liczba ludzi, przypłynęli do Wielkiej Brytanii, w 2025 roku była drugą największą w historii. W tej grupie Najwięcej było Erytrejczyków, Afgańczyków, Irańczyków i Sudańczyków.

Równie znacząca jest inna statystyka: w ubiegłym roku podczas próby przepłynięcia Kanału zmarły 23 osoby.

Wzmrożona migracja drogą morską to z jednej strony efekt profesjonalizacji grup szmalcowników i spadających cen ich „ofer-

ty”, z drugiej stopniowe utrudnianie migrantom spoza Europy, poprzez coraz bardziej rygorystyczne procedury, możliwości dotarcia na Wyspy drogą lotniczą.

– Kwestia migracji to główny temat, dzięki któremu Reform UK zdobywa głosy – mówi mi Robert Armstrong, zadeklarowany konserwatysta, dyrektor fundacji Instytut Wolnego Handlu, która jest intelektualnym i kadrowym zapleczem torysów. – Reform UK jest w krytyce polityki migracyjnej wiarygodna, ale tylko dlatego, że sama nigdy nie miała szansy realnie się nią zająć, bo nigdy nie była u władzy – dodaje z przekąsem.

Po czym przekonuje mnie, że im dalej w las, tym bardziej staje się jasne, że antyestablishmentowe hasła Farage'a to tylko przebranie. I że im bardziej ta maska opada, tym bardziej zyskują torysi.

Rzeczywiście, ich wyniki ostatnio nieco się poprawiły. Kwiecniowy sondaż poparcia daje konserwatystom 19 proc. To wciąż mniej niż wtedy, gdy oddawali władzę, ale więcej – o 2 punkty procentowe – niż jeszcze miesiąc wcześniej.

Co prawda, gdyby wybory odbyły się dziś, na nie mogliby samodzielnie rządzić, ale „Partia Konserwatywna wraca do sił” – przekonuje mnie Robert. I wylicza: – Mandat rządu Starmera nigdy nie był silny. Teraz osłabia go dodatkowo skandaliczna sprawa Petera Mandelsona, bliskiego znajomego Epsteina, którego awansował na ambasadora Wielkiej Brytanii w USA. A do tego pograża go łamanie kolejnych obietnic wyborczych. Przede wszystkim to, że obiecał nie podnosić podatków, a notorycznie tę obietnicę łamie.

Sprawa Mandelsona, jednego z najbardziej wpływowych laburzystów, człowieka, który z Tonyem Blairem pchnął Partię Pracy w połowie lat 90. na neoliberalną „Trzecią Drogę”, wyszła na jaw po opublikowaniu w USA akt Epsteina. I z miejsca stała się dla Starmera problemem, a dziś – po tygodniach nieudolnych wyjaśnień – może okazać się gwoździem do trumny.

Pod koniec kwietnia „The Guardian” ujawnił, że w Partii Pracy coraz szerzej mówi się o odsunięciu Starmera od władzy. Istnieje więc pewne prawdopodobieństwo, że między dniem, w którym kończę ten tekst, a momentem, kiedy go państwo czytają, na Downing Street 10 wprowadzi się nowy lokator.

Choć laburzysta celebryta został z placówki odwołany, a premier twierdzi, że mianując go na ambasadora w państwie, które jest dla Wielkiej Brytanii kluczowym partnerem, nie wiedział, że Mandelson nie przeszedł przeprowadzanej przez służby weryfikacji bezpieczeństwa ani że udostępniał nowojorskiemu finansistcie-stręczycielowi rządowe dokumenty, opozycja nie odpuszcza. Uważa, że to sprawa, która Starmera powinna kosztować stanowisko.

Robert pije poza tym do dwóch spraw: nałożenia 20 proc. VAT na czesne w szkołach prywatnych (tak rząd chce zyskać środki na lepsze finansowanie szkół publicznych) oraz do podwyżki kosztów zatrudnienia, która spadła na pracodawców. Choć Partia Pracy jak niezdolny młodszy brat odwracający kota ogonem w rodzinnych przepychankach przekonuje, że przecież mówiła tylko, że nie opodatkuje klasy pracującej, a dochody z VAT czy składek przedsiębiorców to co innego – wielu wyborców tych argumentów nie kupuje.

Ale nawet gdyby Starmer był wierny swoim obietnicom, szanse, że udałoby mu się przekonać do siebie konserwatystów takich jak Robert, są znikome. – Jest bardziej lojalny abstrakcyjnej idei prawa międzynarodowego niż własnemu narodowi – twierdzi torys.

Ma na myśli choćby decyzję o oddaniu Mauritusowi – dawnej brytyjskiej kolonii – wysp Chagos, co oznaczałoby konieczność płacenia wyspiarzom, i to słono, za dzierżawę terenu pod brytyjską bazę wojskową, strategiczną dla Oceanu Indyjskiego, którą Lon-



• 2 kwietnia br. w Londynie odbyła się konferencja prasowa promująca walkę bokerską Derek Chisora vs. Deontay Wilder. Stała się głośna, bo Chisory przyjechał na nią czołgiem, a razem z nim Nigel Farage, lider Reform UK, dla którego była to okazja do przedwyborczej promocji

dyn podnajmuje Amerykanom. Ten ruch po sprzeciwie prezydenta USA ostatecznie wstrzymano, ale mleko już się rozlało.

Kolejna sprawa na liście kompromitacji rządu, którą wymienia Robert, to projekt zniesienia immunitetu weteranów delegowanych przed kilkoma dekadami do pacyfikowania religijno-narodowych zamieszek między katolikami i protestantami w Irlandii Północnej. Partia Konserwatywna ustanowiła przepisy chroniące żołnierzy i policjantów przed pociągnięciem ich do odpowiedzialności cywilnej przez ofiary konfliktu, a nowe prawo pozwoliłoby na wznowienie pozwów.

Robert jest świadom słabości i własnej partii, i laburzystów, ale inne opcje nie są dla niego atrakcyjne. Partia Farage'a przez zbyt ni prawicowy radykalizm i antyeuropejskość, Zieloni – przez stawianie w centrum polityki zagranicznej.

– Oni postrzegają rzeczywistość nie przez soczewkę interesu państwa brytyjskiego, tylko konfliktów międzynarodowych, a fundamentalnym problemem jest dla nich wojna Izraela z Palestyną – mówi.

Ale to, co dla jednych jest wadą, dla innych jest powodem do politycznego zaangażowania.

– Pamiętam dzień, w którym wysłałem maila z rezygnacją z członkostwa w Partii Pracy. To był 11 października 2023 roku – mówi George Sheldon Grun, kandydat na radnego z ramienia Zielonych w londyńskim Hackny.

Tego dnia na antenie radia LBC Starmer stwierdził, że obłężenie Strefy Gazy w odpowiedzi na atak Hamasu jest prawem Izraela. Choć później tłumaczył, że jego słowa zostały źle zrozumiane, na krążącym po sieci nagraniu deklaruje, że Izrael ma prawo odcinać ludność od wody i prądu. Nagranie tego fragmentu rozmowy na samym tylko koncie X radia obejrzano ponad 7 milionów razy.

Choć jeszcze w 2024 roku George oddał głos na Partię Pracy (kandydatką z jego regionu była Diane Abbott, pierwsza czarna kobieta w Izbie Gmin, ostatecznie zawieszona w partii za pogląd, że Żydzi, Irlandczycy i Romowie nie doświadczają rasizmu tak, jak osoby czarne), od 2025 roku jest członkiem Zielonych.

– Pierwszy raz, kiedy pożałowałem głosu na Labour w 2024 roku, to był sam początek kadencji Partii Pracy, kiedy partia ogłosiła cięcia w zapomogach na pokrycie kosztów energii dla emerytów – wspomina.

Plan laburzystów zakładał odebranie dodatku ponad 10 milionom osób. Gospodarstwu domowemu, w których są emeryci do 80 roku życia, przysługiwało 200 funtów rocznie. Tym, w których mieszkają osoby po osiemdziesiątce – 300 funtów. Zaostrzenie warunków przyznawania dodatku przypominałoby polski bon ciepłowniczy miało przynieść państwu 1,5 miliarda funtów oszczędności. Premiera krytykowała za to nawet własna partia i Starmer mimo prób obrony – „Godzę się z tym, że muszę podejmować niepopularne decyzje”, mówił w BBC – w kolejnym roku złagodził plan reformy.

Ale dla progresywnych wyborców to było już za późno i za mało, by zatrzeć rozczarowanie. A na horyzoncie pojawiały się już nowe problemy.

– Starmer jest dla mnie zupełnie nieczytelny. Z jednej strony tak dużo mówi o prawach człowieka, z drugiej nie był w stanie zakazać eksportu części do F-35, których Izrael używał do ataków na cywili w Gazie. Tłumaczy się tym, że to projekt międzynarodowy i wiąże nas umowy, ale nie przekona mnie, że jako premier nie jest w stanie z tym nic zrobić – żżyma się George.

Dryfując od miesięcy coraz dalej od Partii Pracy, w 2025 roku trafił na podcast z Zackiem Polanskim. I już kilka tygodni później dołącza do Zielonych. – Zapisalem się głównie po to, by móc zagłosować na niego w wewnętrznych wyborach na lidera – wspomina.

Plan się powiódł. Jesienią 2025 roku 44-letni były terapeuta i hipnoterapeuta, członek londyńskiej Rady Miasta deklaruje wewnętrzną konkurencję. Choć istotnie ma wschodnioeuropejskie korzenie i pochodzi z żydowskiej rodziny, Polanski to nazwisko, które przybrał dopiero po 18 urodzinach.

– To, co mnie w nim przekonuje, to że on po prostu odpowiada na pytania. Partia Pracy ich unika, powtarza formułki, a on mówi to, co myśli i jest w tym autentyczny. Podzielim jego wizję, że nasza przyszłość zależy od tego, czy będziemy w stanie współdziałać przeciw zmianom klimatycznym. Że musimy zmobilizować się jako społeczeństwo, bo sektor prywatny i elity nie przeprowadzą żadnej zmiany – mówi George.

Tak jak Polanski marzy o zwrocie w stronę gospodarki cyrkularnej, czyli gospodarki o obiegu zamkniętym, w której minimalizuje

Polska gospodarka mierzona wysokością PKB rośnie dziś nawet dwa razy szybciej od brytyjskiej – wytykają rządowi sympatyzujące z konserwatystami media

je się zużycie nowych surowców, a produkcję opiera na przetwarzaniu tych już wydobytych i dostępnych. I wierzy, że lider Zielonych ma szansę zostać londyńskim Mamdanim.

Sam Polanski nie ucieka zresztą od porównań z nowym socjalistycznym burmistrzem Nowego Jorku, a pomysł zwiększenia podatków dla najbogatszych zapowiedział jeszcze zanim zwycięstwo pierwszego muzułmanina w ratuszu Nowego Jorku zdążyło rozwścieczyć Donalda Trumpa.

Czy po dwóch stuleciach duopolu torysi-laburzyści nad Wielką Brytanię nadchodzi nowy układ sił? – pytam profesor Marię Sobolewską, politolożkę związaną z University of Manchester i lauretkę nagrody Political Science Association za najlepszą książkę polityczną 2022 roku, czyli napisany wspólnie z profesorem Robem Fordem „Brexitland”.

– Wybory 7 maja mogły zdecydować o przyszłości brytyjskiej polityki. Jeśli Reform UK i Green Party odniosą dobry wynik, to będzie pierwszy krok do realnego zaistnienia w wyborach parlamentarnych w 2029 roku. Można wygrać wybory ogólnokrajowe, nie mając reprezentacji we władzach lokalnych, ale to dużo trudniejsze i mało prawdopodobne.

– Wielkiej Brytanii nie omija trend, który widzimy dzisiaj w wielu miejscach na świecie, czyli ogólny spadek zaufania do establishmentu. Poza tym wiele osób głosowało na Partię Pracy nie dlatego, że jest im z nią po drodze, ale po to, żeby odsunąć torysów od władzy. Dlatego po wyborach szybko przestali ją popierać – dopowiada profesor Anand Menon, politolog z King's College London i szef uniwersyteckiego think-tanku UK In A Changing Europe.

– Labourzyści mają w parlamencie ogromną większość, ale nie przeprowadzili skutecznie żadnej reformy, którą obiecywali. Mały duży problem z bezrobociem wśród młodych, a jednocześnie rząd podniósł koszty zatrudnienia dla pracodawców, usługi publiczne są w złym stanie, kolejki w ochronie zdrowia nieustannie rosną. Niepopularność rządu to też skutek zakumulowanej przez lata stagnacji gospodarczej – wylicza Menon. – Od 2008 roku żyjemy od kryzysu do kryzysu.

Faktycznie, co chętnie wytykają sympatyzujące z konserwatystami media, polska gospodarka mierzona wysokością PKB rośnie dziś nawet dwa razy szybciej od brytyjskiej.

A jeszcze ważniejsze od nagłówków i abstrakcyjnych liczb jest indywidualne poczucie dobrobytu.

To właśnie koszty życia, stan służby zdrowia i przestępczość są – deklaratywnie – najważniejszymi czynnikami, które zadecydują o tym, na kogo Brytyjczycy oddadzą głos w nadchodzących wyborach.

Na niekorzyść partii „establishmentu” przemawia fakt, że to je – rząd Partii Pracy w 64 proc. wskazań i konserwatystów w 57 proc. – Brytyjczycy obarczają winą za pogorszenie się usług publicznych.

Badacze zwracają przy tym uwagę, że dominację dużych partii wspiera konstrukcja brytyjskiego systemu wyborczego, który przypomina ten obowiązujący np. na Węgrzech. To tzw. system jednomandatowy – kto wygra przewagą choćby i dwóch głosów, zgarbia wszystko.

– Jeśli w latach 50. spytałabyś na ulicy dowolną osobę o jej poglądy, to powiedziałaby albo że jest za konserwatystami, albo że jest za laburzystami. To był podział nie tylko polityczny, ale też społeczny. Partia Pracy faktycznie była partią ludzi pracy, klasa średnia i wyższa głosowały na torysów – wyjaśnia prof. Sobolewska.

Jej zdaniem początek zmian, które dziś zmierzają ku niemal tektonicznym przesunięciom na brytyjskiej scenie politycznej, tak naprawdę sięga aż 30 lat wstecz. Pod koniec lat 90., kiedy wydawało się, że gospodarczy wpływ podnosi wszystkie łódki, a anglosaska demokracja i globalizacja wydawały się trybem domyślnym dla świata, Partia Pracy szukała pomysłu na siebie.

– Stawała się coraz bardziej liberalna w sensie gospodarczym i coraz bardziej upodabniała się do konserwatystów. To spowodowało powolny odpływ starych wyborców. Efekty zaczęły być widoczne już przy wyborach w 2005 roku. Już wtedy było widać, że klasa pracująca albo w ogóle przestała głosować, albo zaczęła odchodzić do innych partii. To był początek rozwoju klasy pracującej z Partią Pracy – mówi badaczka.

Laburzyści do dziś nie znaleźli sposobu na odzyskanie utraconego wówczas elektoratu. Zwycięstwo w 2024 roku było raczej efektem niechęci do ich politycznych przeciwników niż realnego poparcia dla Starmera i jego partii.

– Im więcej czasu mija, tym trudniej odzyskać wyborców i zatrzymać ten odpływ. Wiele poszło za konserwatystami, bo oni umieli opowiedzieć im, że receptą na ich problemy jest Brexit. Naturalną tego konsekwencją jest to, że osierocony przez Partię Pracy elektorat głosuje dziś na Reform UK.

Problem laburzystów polega na tym, że dla wyborców progresywnych, których odrzuca prawicowa, antymigrancka i antyunijna retoryka Farage'a, lepszą alternatywą niż Labour jest Green Party.

– Zieloni są w opozycji i wobec Partii Pracy, i wobec Partii Konserwatywnej, i wobec Reform. Dlatego nadchodzące wybory są tak istotne. Bo jeśli pójdzie im dobrze na szczeblu lokalnym, może się okazać, że do następnych wyborów parlamentarnych to oni będą największym ugrupowaniem politycznym na lewicy – kwituje Sobolewska.

Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski

Do Starego Nesebyru, położonego na niewielkim półwyspie wysuniętym w Morze Czarne, dotarliśmy rankiem, 18 kwietnia, w przeddzień przedterminowych wyborów parlamentarnych.

Miejscowi prezentowali dwie postawy. Pierwsza: nie interesuję się polityką. Druga: idę głosować, żeby „nie było tamtych”.

W tej pierwszej grupie był Michał, Polak z pochodzenia, pracujący w sklepie z winami i – jak przekonywał – mogący brać udział w głosowaniu. Do urny nie idzie, o kandydatach rozmawiać nie chce, nie zna ich programów. Nie chce też komentować wydarzeń geopolitycznych, zwłaszcza wojny na Ukrainie i aktywności rosyjskich lobbystów.

Inni, głównie mężczyźni w średnim wieku, głosować nie idą, bo politycy i tak zawsze „kradli i będą kraść” i na pewno nic się nie zmieni.

Za to pan Janek, kolejny Polak z pochodzenia, który prowadzi sklep z pamiątkami, jest zdecydowany. „Nie będę wspierał starych układów”. Dla niego jedynym kandydatem jest Rumen Radew. Dlaczego? „Bo on nie jest z tamtych. Był prezydentem, nie kradł”.

„Idę, żeby przegonić złodziei” – to już kelner, który, znów po polsku, zaprasza nas do świecącej pustkami restauracji. Zażywny 70-latek, z wielkim krzyżem wyłożonym na bluzę, również w naszym języku kusił „zimnym piwkiem”. I on ma jasne zdanie w kwestii poprzedniej ekipy: „Ci, którzy rządzą wcześniej, to złodzieje”. Ma emeryturę 222 euro i mówi, że nie starcza nawet na leki, bo rząd daje pieniądze na Ukrainę, a dla obywateli już nic nie zostaje.

Piwa odmawiamy, nawet gratisowego, a już w pokoju żartujemy, że za sam taki łańcuszek, który nasz rozmówca miał na szyi, moglibyśmy raczyć się piwkiem przez miesiąc.

„Mafia”, „kradną” i prorosyjskie wpływy

19 kwietnia, 6:00 rano. Przechodzimy Stary Nesebyr, który o poranku jest zjawiskowy – to światowa perła UNESCO – i schodzimy do Nowego Nesebyru. Ciągu kurortów w stylu lekko bizantynizowanym, choć nie tak dosadnie, jak w innych miejscach na bułgarskim wybrzeżu.

Zatrzymujemy się przed *izbiratielnataj sekcij*, czyli komisją wyborczą mieszczącą się w miejscowej szkole. Zagadujemy stojącego na schodach policjanta. Na początku chętnie rozmawia, po rosyjsku, bo to wciąż tutaj lingua franca; średnie i starsze pokolenie w kurortach nad Morzem Czarnym wyrastało na radzieckiej turystyce. „Zaczęło się spokojnie, przy każdym lokalu jest policjant, już trochę ludzi przyszło” – relacjonuje. Kiedy jednak pytamy, na kogo on by zagłosował, przechodzi na bułgarski. „Takich odpowiedzi nie mogę udzielać”. Mieliśmy wrażenie, że wziął nas raczej za Rosjan niż polskich dziennikarzy.

Wracamy do Starego Nesebyru. Jest 8:00. Pusto, wiatr, nuda, bułgarskie *dolce far niente*. Idziemy w rodzinnym składzie, z trójką dzieci i naszą mamą, i może dzięki temu udało się nam usłyszeć kilka żywych głosów. Nie były to jednak świadectwa stricte polityczne, lecz raczej historie o tym, co w Bułgarii jest nie tak.

Po pierwsze – zorganizowana przestępczość. Sprzedawca z fast foodu, z którym rozmawiamy po angielsku (nie zna rosyjskiego, o sobie mówił: „ja nie Bułgar”), żalił się, że nie da się załatwić bez zgody mafii.

„Tu wszystko jest mafia. Polityka, biznes – wszystko”. Jego zdaniem na wybrzeżu od urzędnika po rekietera – bo i tacy ponoć mają tu być – wszyscy są powiązani z półświatkiem. Wtórnie mu kolega, że nie da się mafii ominąć.

Trzydziestoletni Bułgar pracujący w nadmorskim barze przekonuje, że to zamknięty system, którego nie da się przebić, ale już nie wspomina o mafii. Nikola ze sklepu z pamiątkami potwierdza, że bez znajomości nie da się tu nic załatwić.



• Rumen Radew,
prezydent Bułgarii
w latach 2017-26.
Teraz lider nowej partii
Postępowa Bułgaria,
przyszły premier

FOT. STR/NURPHOTO/GETTY IMAGES

JEDEN DOBRY CZŁOWIEK

Zrezygnował z urzędu, by stanąć na czele własnej partii.

Jako głowa państwa nie krył sympatii do Rosji i mówił wprost: Krym jest rosyjski.
Czy zwycięstwo Rumena Radewa w wyborach parlamentarnych zmieni kurs Sofii?

Jesteśmy też świadkami sporu politycznego. Gospodyni, u której wynajęliśmy pokoje, poszła rozmawiać z sąsiadami, którzy rozkręcili silnik ustawionej na oponach łodzi. „Mam żurnalistów z Polski” – oznajmiła. Siedzieliśmy na balkonie i włączyliśmy w telefonie AI, które tłumaczyło rozmowę. Mówi, że zagłosowała już na GERB (centroprawicowe ugrupowanie Obywatela na rzecz Europejskiego Rozwoju Bułgarii). Sąsiedzi byli za Radewem.

„Ruski” – spuentowała kobieta, a mężczyźni powiedzieli, że to jedyny polityk, który może coś zmienić, i że w Europie są jeszcze Orbán i Fico.

Kobieta przypomniła, że Orbán przegrał. Wtedy mężczyźni przeskoczyli na nowy temat. „Tylko Ukraina i Ukraina” – w domyśle: Unia Europejska bułgarskich problemów nie dostrzega. „Radew, a na Węgrzech Orbán i na Słowacji Fico, troszcza się o swoich”. „A teraz to kto był u ciebie?” – pyta jeden z mężczyzn.

Rozumiemy przytyk. Kiedy przyjechalismy, przed kwaterą pięcioro Ukraińców dopakowywało samochód. Wyjeżdżali, bo „nagle sprawy”. Dwóch mężczyzn, dwie kobiety i 10-letnia dziewczynka.

I tak zarysowały się dwa problemy, wokół których w Nesebyrze ogniskowały się te wybory: wewnętrzna korupcja oraz podział świata na Wschód i Zachód. Ten pierwszy, niewątpliwie prawdziwy do szpiku kości, akurat te-

raz jest wykorzystywany jako narzędzie narracji. „Ty jesteś złodziejem”, „ty jesteś z układu” – krzyczą politycy, za nimi powtarzają Bułgarzy, ale czy ktoś kogoś będzie rozliczał? Cała kampania zbudowana była wokół wzajemnych oskarżeń o korupcję.

Z kolei dywagacje, w którą stronę iść, za kim się opowiedzieć, za Brukselą czy Moskwą, nie wydają się już chwytami retorycznymi.

Bułgaria utknęła w wyborczej pętli

Od 2021 roku Bułgaria nie była w stanie stworzyć stabilnego rządu. 8 wyborów, w tym 7 przedterminowych, kolejne gabinety, rządy techniczne powoływane przez prezydenta – kraj kręcił się w miejscu.

„Głównym powodem tego politycznego tsunami był najdłuższy od 1990 roku kryzys polityczny [...]. Kluczowa była też skrajna fragmentacja sceny politycznej: w poprzednim parlamencie było aż 9 partii” – tłumaczy nam Tichomir Bezlów, starszy analityk w Centrum Studiów nad Demokracją w Sofii.

W grudniu 2025 roku Bułgarzy wyszli na ulicę i domagali się dymisji rządu oraz walki z systemową korupcją. Marijan Sabew, analityk ds. bezpieczeństwa w tym samym centrum, podkreśla: „Protesty były autentyczne, szerokie i napędzane w dużej mierze przez młodych wyborców, którzy nie czują nostalgii

za starym systemem. Ta energia jest prawdziwa i nie należy jej lekceważyć. Problem w tym, kto ją przejął”.

Rząd Rosena Żelazkowa, premiera z ramienia GERB, przetrwał niespełna rok. Upadł 11 grudnia 2025 r. pod naciskiem ulicy. Technokrata, który jako minister transportu wolał Harleya od limuzyny, a po godzinach grał na gitarze, nie zdążył wiele zmienić – system od lat pozostaje odporny na reformy. Wówczas prezydent Rumen Radew rozwiązał parlament i ogłosił wybory. A 19 stycznia – na rok przed końcem drugiej kadencji – ogłosił rezygnację ze stanowiska i wszedł do gry partyjnej jako lider nowo powstałej partii Postępowa Bułgaria.

Trójkąt niemożliwy

Jak już wspomnieliśmy, leitmotivem całej kampanii stała się walka z korupcją. Dimitryr Wacow, profesor Nowego Uniwersytetu Bułgarskiego, napisał nam: „»Suwerenność« i »interes narodowy« są dziś narzędziem legitymizacji praktyk klientelistycznych, kleptokratycznych i autokratycznych. Odwołanie się do nich polega na przeciwstawianiu się »dyktatowi« instytucji międzynarodowych, zwłaszcza UE. Tym językiem lokalne elity podważają możliwość międzynarodowej kontroli nad swoimi »wewnętrznymi« sprawami. A wewnątrz kraju ten sam język służy do eliminowania wszel-

kich instytucjonalnych barier i form kontroli – niszczy się praworządność, podział władzy, pluralizm partyjny i prawa podstawowe”.

Ale nie jest to jedyna oś napięć. Ta prawdziwa – nienarracyjna, niekomunikacyjna, mówiąc po politologicznemu: istota sprawy – przebiega między Wschodem a Zachodem. I te dwie osie przecinają się i wzajemnie wzmacniają.

Prawie w ogóle nie pojawia się natomiast trzecia oś – dotycząca realnych, palących problemów Bulgarii.

DEMOGRAFIA. Kraj wyludnia się w zaskakującym tempie. Od 1987 r. Bułgaria straciła ponad 2,2 mln mieszkańców (spadek o 27,5 proc.). Jedźcie na północny zachód od Warny, w stronę rumuńskiej granicy – co drugi, trzeci dom pusty. Starsi umierają, młodzi wyjeżdżają na Zachód.

SŁUŻBA ZDROWIA. W ruinie: Bułgaria ma najniższą oczekiwaną długość życia w UE, najwyższy odsetek wydatków prywatnych na ochronę zdrowia (36 proc. – dwa razy więcej niż średnia unijna) i dramatyczny niedobór pielęgniarek (tylko 4,4 na 1000 mieszkańców przy unijnej średniej 8,5).

BIEDA. Uderzająca zwłaszcza poza Sofią i dużymi miastami, a nieproporcjonalnie niska na zamożnym wybrzeżu Morza Czarne-go. W 2024 r. ryzyko ubóstwa lub wykluczenia społecznego dotyczyło 30,7 proc. Bułgarów – najwyższy wskaźnik w całej Unii.

EDUKACJA? Nieskuteczna. W badaniu PISA 2022 bułgarscy 15-latkowie uzyskali w matematyce 417 punktów (średnia OECD: 472), w czytaniu 404 (średnia: 476), a w naukach przyrodniczych 421 (średnia: 485). Około połowa uczniów nie opanowała nawet podstawowych umiejętności.

W kampanii nie usłyszeliśmy o żadnym z tych problemów. I najgorsze – brak wiary w skuteczność państwa i systemu administracyjnego. Jak zauważa Wacow, większość Bułgarów wciąż wierzy, że przyjdzie „jeden dobry człowiek” i wszystko naprawi.

Koje koj (kto jest kim)

Zatem mamy trzy osie, w tym jedną bez politycznej „wartości”. Tylko że bułgarska scena polityczna to nie trójkąt równoboczny.

I, GERB-SDS Bojko Borisowa to centroprawica proeuropejska, od lat utożsamiana z systemową korupcją. Borisow był premierem z przerwami w latach 2009-21. Dla części wyborców, choćby naszej gospodyni w Nesebyrze, pozostaje symbolem stabilności i rozwoju gospodarczego. To za jego czasów zbudowano setki kilometrów autostrad, dróg i nowe lotniska, ale infrastruktura wciąż nieporównywalna jest do polskiej czy nawet rumuńskiej.

Dla innych Borisow to uosobienie państwa przechwyconego przez interesy zwalczających się grup wpływu. Słynie też z ichniejszej afery taśmowej z 2020 r. Na nagraniach głos bardzo podobny do jego wulgarnie i obscenicznie komentuje współpracowników. Powszechnie znany fragment to ten, w którym nazywa ówczesną przewodniczącą parlamentu Cwetę Karajanczewą „prostą kürdzalijską putką” („wiewska cipa z Kardżali”). Fraza stała się memem i wciąż funkcjonuje jako akronim PKP.

2. PP-DB (Kontynuujemy Zmianę – Demokracyczna Bułgaria) to blok proreformatorski, proeuropejski i antykorupcyjny. Jego liderzy, Kiril Petkow i Asen Wasilew, zaistnieli w polityce w 2021 r. jako kompletni outsidersy. Stracili jednak sporo wiarygodności po wejściu w koalicję z GERB w latach 2023-24.

3. DPS (Ruch na rzecz Praw i Wolności) formalnie reprezentuje interesy mniejszości tureckiej – Turków, Pomaków, czyli muzułmańskich Słowian, i Romów, stanowiących 8-10 proc. populacji Bulgarii. W praktyce partia od lat jest kontrolowana przez dwóch rywalizujących oligarchów: Achmeda Dogana oraz Deljana Peewskiego. Pierwszy był współpracownikiem komunistycznych służb specjalnych, drugiego objęto amerykańskimi i brytyjskimi sankcjami na mocy aktu Magnitsky’ego, czyli amerykańskiego prawa pozwalającego na

zamrażanie aktywów i zakazy wjazdu dla osób odpowiedzialnych za korupcję, przekupstwo i nadużywanie wpływów w wymiarze sprawiedliwości.

4. Odrodzenie (Wazraždane) Kostadina Kostadinowa jest radykalnie prorosyjskie, nacjonalistyczne, antyeuropejskie i antynatowskie. Partia zręcznie łączy nacjonalizm z rusofilią: Kostadinow i jego ludzie atakują „brukselski dyktat”, ale równie ostro występują przeciw „tureckiemu zagrożeniu” i romskiej mniejszości. Dla nich Rosja jest naturalnym sojusznikiem przeciwko Zachodowi i „obcym” w kraju.

5. Na granicy 4-procentowego progu wyborczego balansują BSP (Bułgarska Partia Socjalistyczna) – następczyni d. partii komunistycznej, z elektoratem starszym i nostalgicznie nastawionym do czasów minionych – oraz mniejsze formacje **Sjanie (Blask) i Miecz (MECh).**

6. W tak rozdrobnionym krajobrazie Radew – były prezydent, generał lotnictwa i pilot MiG-29 – wszedł do gry jako człowiek spoza układu. To jego największy atut, ale i potencjalna słabość: nie ma zaplecza partyjnego, struktur w terenie ani doświadczenia w codziennym rządzeniu w warunkach koalicyjnego chaosu. Aleksandyr Andreev, wieloletni szef bułgarskiej redakcji „Deutsche Welle” w Bonn, a obecnie komentator polityczny Capital.bg, mówi nam: „Radew otacza się ludźmi bez większego doświadczenia w rządzeniu – wojskowymi, sportowcami, urzędnikami średniego szczebla. Sam ma dość wąski horyzont i prowincjonalny styl. Jego wizja rządzenia pozostaje niejasna”.

Sondaże, exit poll i ostateczny wynik

Na kilka dni przed wyborami wszystkie znaczące pracownie sondażowe dawały wyraźne prowadzenie **Postępowej Bułgarii**.

Badanie agencji Trend, przeprowadzone 13-16 kwietnia 2026 r., wykazało poparcie dla partii Radewa na poziomie 33,2 proc., dla GERB-SDS – 13,2 proc., PP-DB – 11,2 proc., DPS – 10,2 proc. oraz Odrodzenia – 7,1 proc.. Trzy mniejsze partie były na granicy progu. Ostatecznie **formacja Radewa** zdobyła aż **44,6 proc. głosów**, co dało jej samodzielnie największą: 132 mandaty w 240-osobowym Zgromadzeniu Narodowym. To pierwszy taki przypadek od 1997 r.

GERB-SDS – 13,4 proc. głosów (39 mandatów, o 27 mniej niż w poprzedniej kadencji), **PP-DB** – 12,6 proc. (37 mandatów), **DPS** – 7 proc. (21 mandatów, najslabszy wynik od 1994 roku), **Odrodzenie** – 4,3 proc. (13 mandatów, strata 20 miejsc).

Z parlamentu wypadli socjaliści z BSP (po raz pierwszy w historii) oraz Miecz.

Frekwencja – 50,05 proc. – najwyższa od kwietnia 2021 r. i skok aż o 11 pkt. proc. w porównaniu z październikiem 2024 r. Bułgarzy tym razem naprawdę poszli głosować.

Obserwatorzy z OBWE i Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy ocenili, że wybory przeprowadzono w sposób stosunkowo przejrzysty i sprawny, choć zwracali uwagę na proceder kupowania głosów i dezinformację. Przykłady znajdziemy w raportach Balkan Free Media Initiative i Sensiki Technologies. M.in. hasztag #rumenradev osiągnął 90 mln wyświetleń na TikToku przy zaledwie 2700 filmikach – co wskazuje na sztuczne pompowanie zasięgów, technikę zwaną „seed boosting”. TikTok usunął 34 konta związane z partią Deljana Peewskiego oraz 5 stron za impersonację, czyli podsywanie się pod inne kanały. Grupy prorosyjskie na Facebooku masowo zmieniały nazwy na „pro-Radew”. Ta sama treść dezinformacyjna pojawiała się na 18 różnych stronach internetowych w tej samej minucie, co świadczy o wysokim poziomie koordynacji.

Kupowanie głosów też przybrało konkretne, mierzalne formy. Bułgarskie MSW poinformowało, że w trakcie kampanii skonfiskowano 1,2 mln euro przeznaczonych na łapówki dla wyborców. To równowartość ok. 25 tys. głosów, czyli 3-4 mandatów w 240-miejscowym

Zgromadzeniu Narodowym. 631 zgłoszeń dotyczyło DPS, a 318 – GERB.

Wiadomo też, że w małych miejscowościach praktykuje się proceder, w którym sklepikarz wydaje towary za darmo, a później faktura za nie jest opłacana przez firmę powiązaną z daną partią. Klient nie dostaje pieniędzy do ręki, ale otrzymuje towar i czuje się zobowiązany oddać głos na partię, która zapłaciła.

Bułgaria idzie drogą Węgier

Borisow, gratulując Radewowi zwycięstwa, dodał złowieszczo: „Wygrywanie wyborów to jedno, rządzić to drugie”. Radew odpowiedział, że jest gotów „rozważyć różne opcje, aby kraj miał stabilny rząd” i że z proeuropejskimi reformistami z PP-DB może patrzeć „w tym samym kierunku” w sprawie reformy sądownictwa.

**W Starym Nesebyrze
te wybory ogniskowały się
wokół wewnętrznej korupcji
oraz podziału świata
na Wschód i Zachód**

Czy to może oznaczać koniec kryzysu politycznego i parlamentarnej impotencji?

Wacow nie ma złudzeń: „Radew nie zniszczy istniejących sieci, lecz raczej je przejmie i skonsoliduje. To oznacza proces stopniowej autokratyzacji”. Przypomina, że były prezydent wszedł do polityki partyjnej dokładnie w chwili, gdy po protestach z końca 2025 r. doszło do przetasowania układu sił, i sprawnie przejął narrację sprzeciwu od jego faktycznych twórców, czyli koalicji PP-DB.

Marijan Sabew dorzuca: „Najważniejszym testem będzie nadchodząca nominacja prokuratora generalnego. Jeśli trafi w ręce kogoś z dotychczasowych układów, realna reforma sądownictwa utknie na lata”. I podkreśla, że retoryka walki z korupcją może tu służyć raczej ochronie starych powiązań niż ich rozbijaniu – zwłaszcza w energetyce, zamówieniach publicznych i sektorze bezpieczeństwa.

Co do kwestii międzynarodowych, Andreev uważa, że Radew nie zaryzykuje otwarcie konfliktu z UE ani wyjścia z NATO. Będzie jednak naciskał na „pragmatyzm” – zwłaszcza w kwestiach energetyki i pomocy dla Ukrainy. W praktyce może to oznaczać powolne dryfowanie w stronę modelu Orbána: formalna lojalność wobec UE, ale coraz większy dystans do jej najbardziej ambitnych oczekiwań.

Jeśli chodzi o Rosję, Andreev widzi w tym najdelikatniejszy punkt nowej kadencji: „Radew jest reprezentantem przeciętnego Bułgara – znaczna część społeczeństwa zachowuje pozytywne nastawienie do Rosji. Ale nie będzie to otwarcie prorosyjska polityka, lecz ostrożny realizm, który pozwala chronić rosyjskie interesy tam, gdzie to możliwe, bez zrywania z Brukselą”. Wacow idzie dalej: „Porównania Radewa do Orbána nie są psychologiczne, lecz typologiczne. Bułgaria idzie drogą Węgier”.

Beżłow studzi największe obawy przed „mafijnym przejęciem państwa”. „W ostatniej dekadzie przestępczość systematycznie spadała i dziś Bułgaria należy do najbezpieczniejszych krajów UE. Prawdziwa rola nieformalnych sieci ujawni się dopiero przy podziale kluczowych resortów i wielkich przetargach publicznych” – pisze.

Ostrzega jednak, że największe ryzyko leży gdzie indziej: „Partia Radewa zebrała elektoraty od lewicy po nacjonalistów. Nie wiadomo, jak długo taka koalicja społeczna się utrzyma – zwłaszcza jeśli nowa władza nie zajmie się realnymi, codziennymi problemami”.

Sabew podkreśla wymiar systemowy: „Bułgarskie społeczeństwo obywatelskie jest dziś lepiej zorganizowane niż kiedykolwiek wcześniej, a wejście do strefy euro wymusi nowe standardy przejrzystości fiskalnej. Ale refor-

ma instytucjonalna wymaga trwałego zaangażowania władzy wykonawczej przez wiele lat – a profil rządu Radewa, oparty na jego dotychczasowych działaniach, nie sugeruje, by takie zaangażowanie miało nadejść”.

„Mit »zbawcy« zadziałal ponownie. Ale mioty nie zatrzymują wyludniania kraju, nie naprawiają służby zdrowia i nie budują państwa, w którym zwykli ludzie wreszcie poczują, że coś się zmienia” – puentuje Wacow.

Międzynarodowe echa i reakcje

Bułgarskie wybory szeroko komentowano za granicą. Agencja Reuters podkreślała, że zwycięstwo Radewa może zakończyć okres kruchych rządów koalicyjnych i powtarzających się wyborów, odnotowała, że rezultat przekroczył oczekiwania i jest jednym z przejawów siły politycznej jednej partii w Bulgarii od dekad.

„The New York Times” zwracał uwagę na niepewność, czy samodzielna większość rzeczywiście się zmaterializuje, i sugerował, że konieczne mogą być rozmowy koalicyjne.

Komentatorzy wskazywali na szerszy, geopolityczny wymiar głosowania. Dowodziła tego Catherine Belton, brytyjska dziennikarka pisząca o Rosji dla „The Washington Post”, a europejska polityk Valérie Hayer ostrzegała przed potencjalnymi konsekwencjami geopolitycznymi. Analitycy, w tym Daniel Smilow, politolog związany z Uniwersytetem Sofijskim i think tankiem Centre for Liberal Strategies, uspokajali jednak, że choć nowa większość może różnić się w pozycjonowaniu wobec poprzednich rządów, to wyjście z UE czy NATO jest mało prawdopodobne.

Z Moskwy popłynęły gratulacje. Rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow oświadczył: „Jesteśmy pod wrażeniem wypowiedzi pana Radewa, który wygrał wybory, oraz niektórych europejskich przywódców, dotyczących gotowości do rozwiązywania problemów poprzez pragmatyczny dialog”. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen napisała na X: „Bułgaria jest dumnym członkiem europejskiej rodziny i odgrywa ważną rolę w stawianiu czoła naszym wspólnym wyzwaniom”.

Bułgarskie miasteczko-bajeczka

W Starym Nesebyrze, czyli miasteczku-bajeczce – by zapożyczyć określenie, którym Agnieszka Osiecka obdarzyła Tykocin – przed 20:00 zasłaliśmy do jednej z komisji wyborczych. „Dzień przebiegł spokojnie” – relacjonowali jej członkowie. Frekwencja średnia, ani więcej, ani mniej niż w poprzednich wyborach. Czego życzą krajowi? Stabilizacji i rozwoju. Przez ostatnie lata co nieco się poprawiło, a relacje z UE są ich zdaniem kluczowe.

Po powrocie do kwatery ukuliśmy dwie analogie.

Pierwsza – matematyczna: suma długości dwóch boków trójkąta musi być większa niż długość podstawy. Z Nesebyru – ale tylko stąd – widać, że ową podstawą jest relacja ze Wschodem, która okazuje się dłuższa niż suma dwóch pozostałych boków: relacji z UE oraz budowy nowoczesnego państwa demokratycznego i sprawnej administracji. I jakkolwiek by to nie brzmiało – taka konstrukcja zepsutego trójkąta, przynajmniej z perspektywy obserwatora z zewnątrz, wpływa na prosperity Nesebyru. Miasto kwitnie.

Druga – odwołuje się do legendy. Bóg jakoby zapomniał o Bułgarach, gdy rozdawał światu najpiękniejsze miejsca. Ale chcąc naprawić błąd, oddał im kawałek raju. W Nesebyrze łatwo w to uwierzyć – wystarczy przejść się uliczkami Starówki i spojrzeć na morze. Tyle że to morze jest na wschodzie i właśnie wielu tam spogląda: na Ukrainę i dalej na Rosję.

Cała ta figura wyglądała już inaczej następnego dnia, kiedy zajechaliśmy na stację paliw przy drodze do Warny. Z dystrybutora znanej światowej firmy nalaliśmy diesla za 2 euro za litr. Wystarczyło opuścić Nesebyr, by natknąć się na coś, co może być zarzewiem nowej awantury w kraju. Cena podstawowych dóbr potrafi wywrócić każdą powyborczą geometrię. ●

Miś

*chodzi za mną
pół życia*

Z AKTORKĄ
KRYSZYŃĄ PODLESKĄ,
NIE TYLKO O JEJ ROLI
W KOMEDII „MIŚ”,
ROZMAWIA **DAWID DRÓŹDŹ**



Chodziliśmy do kościoła w Boże Narodzenie i Wielkanoc, ale w niedzielę rodzice zamiast na mszę szli na tenisa”.

Od premiery „Misia” 4 maja minie 45 lat, ale pani nadal jest kojarzona z rolą Aleksandry Kozel, kochanki Ryszarda Ochódzkiego. Podobno swego czasu dorobiła się pani nawet pseudonimu „Krysia z »Misia«”. – „Miś” chodzi za mną pół życia. Niektórzy pytali mnie, czy przeszkadza mi to, że jestem kojarzona wyłącznie z tym filmem. Ale ja jestem zaszczyczona, że mogłam wziąć w nim udział. To świetna komedia, która ośmiesza ówczesny ustrój i pokazuje jego absurd.

Miałam szczęście poznać wspaniałych artystów: Stanisława Bareję i Stanisława Tyma, z którym przyjaźniłam się do końca jego życia.

Stanisław Tym twierdził, że to pani się do nich zgłosiła, a pani uważa, że to Tym i Bareja zadzwonili pierwsi. To jak to w końcu było?

– Staszek się mylił. W 1979 roku, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, nawet nie bardzo wiedziałam, kim są. Kilka lat wcześniej zagrałam w „Barwach ochronnych” Krzysztofa Zanussiego. Bareja i Tym zobaczyli mnie w tym filmie. Żartuję, że pomyśleli, że znaleźli autentyczną idiotkę.

Bareja przez wiele miesięcy nie mógł znaleźć odpowiedniej aktorki do roli naiwnej kochanki Ryszarda Ochódzkiego, która pomaga mu w intrydze. Podobno, gdy zobaczył panią na ekranie, powiedział: „Jak ona ślicznie mówi po polsku. Od razu słysząc, że kłamie”.

– To piękne zdanie. Rzeczywiście, kiedy nie jestem skupiona, w moim głosie słychać angielski akcent. W „Barwach ochronnych” grałam cudzoziemkę mającą polskie korzenie, więc to nie był problem. W „Misiu” miałam jednak zagrać Polkę. Zaproponowali, że ktoś w postsynchronach podłoży głos pod moją bohaterkę. Zabolalo mnie to, uparłam się, że będę mówić sama.

Jak więc wyglądało pierwsze spotkanie z Bareją i Tymem?

– Spotkaliśmy się w Ognisku Polskim w Londynie. Miałem już o mnie wyrobione zdanie, powiedzieli kilka komplementów, na które byłam łasa. Opowiedzieli, o czym będzie „Miś”. Ta historia mnie zaciekała, choć nie wszystko rozumiałam. Dopiero po czasie zaczęło do mnie docierać, jak trafnie opisuje rzeczywistość PRL.

Śmieszyła panią brązowa woda lecąca z kranu albo miski przykręcone do stolików w barze mlecznym?

– Jasne, że tak. Żyłam pomiędzy dwoma światami: Anglią i komunistyczną Polską. Taka woda leciała z kranu u mojej babci.

Kiedy miałam 10 lat, pierwszy raz przyjechałam do Polski. Byłam przekonana, że to jakiś surrealistyczny kraj. Wszystko było wywrócone do góry nogami. Nie mieściło mi się w głowie, że obywatel może nie mieć własnego paszportu. Pamiętam smród benzyny i papierosów Sportów. W sklepach ekspedientki były nieuprzejme. Wszyscy zajmowali się sobą.

Jacy na planie byli Bareja i Tym?

– Bareja był „misiem”; coś tam mruczał pod nosem, na ogół wszystko mu się podobało, nie wchodził w konflikty. Staś Tym był bardziej autorytarny, często pełnił funkcję drugiego reżysera. Lubiał konfrontację, ale był pomocny, niezwykle inteligentny i dowcipny. Nie znosił głupoty, nieszczerości i hipokryzji.

A jak zareagował, gdy w jednej ze scen, improwizując, rozchyliła pani przed nim szlafrok?

– To zawodowy aktor – grał dalej!

Odgrywaliśmy scenę, w której do Oli przychodzi Stanisław Paluch (sobowtór Ryszarda Ochódzkiego). Otwieram drzwi i mówię załotnie: „Och, jestem taka nieubrana”. Chciałam pokazać, że rzeczywiście jestem nieubrana, więc odsłoniłam szlafrok. Zapomniałam, że nie mam nic pod spodem. Wtedy nie nosiłam staniika. To był czas feminizmu i popularnego hasła: „Palcie staniki”. Bareja nie przerwał sceny – w filmie pozostało ujęcie moich piersi.

► **Ze Stanisławem Tymem w „Misiu” (1980)**
Stanisława Barei

▼ **Z Piotrem Garlickim w „Barwach ochronnych” (1976)**
Krzysztofa Zanussiego

W obsadzie obu filmów występuje jako Christine Paul-Podlasky



FOT. RENATA PAUCHEL/EAST NEWS, JNP/LUS/EAST NEWS

Czuła się pani swobodnie w scenach rozbieranych? W „Barwach ochronnych” zagrała pani w odważnej scenie z Piotrem Garlickim.

– Polskie aktorki już dawno kręciły takie sceny. Po purytańskich latach 50. nastąpiła rewolucja seksualna. Młoda aktorka nie miała wyboru. W każdym filmie kazało się rozbierać.

A ja jako dziecko chciałam być baletnicą, wiele lat tańczyłam, traktowałam ciało jako instrument. Wyzbyłam się wstydu.

Pamiętam, jak podczas zdjęć do „Misia” wysłałam list do rodziców. Zapewniałam ich, że Bareja jest świetnym reżyserem i wszystko idzie dobrze. Dodałam, że prawie wszystkie sceny z moim udziałem są w łóżku. Ojciec śmiertelnie poważnie zapytał: „Czy ona gra chorą?”.

Rodziców nie oburzały te rozbierane sceny?

– Kolega ojca powiedział mi po jego śmierci, że kiedyś skomentował moje rozbierane sceny: „Wiesz co, Sławeczku, nie wiedziałem, że moja córka ma takie ładne piersi”.

Rodzice nie byli pruderyjni, mieli klasę i świetne poczucie humoru.

Pani utrzymała bliskie stosunki z Polską właśnie dzięki rodzicom?

– Byłam polskim dzieckiem, chodziłam do polskiego harcerstwa. W domu rozmawialiśmy po polsku, czasem przechodziłam na angielski z mamą, która szybko zaaklimatyzowała się w Londynie.

◄ **Z ogromnym pluszowym misiem, którego dostała od wielbicielki, kiedy wysiadła z pociągu na Dworcu Centralnym. Warszawa, rok 2006**

Podczas zdjęć do „Misia” wysłałam list do rodziców. Napisałam m.in., że prawie wszystkie sceny z moim udziałem są w łóżku. Ojciec śmiertelnie poważnie zapytał: „Czy ona gra chorą?”

Polskość zaszczepiła we mnie moja niania Jadwiga Gebethner, wielka patriotka. Walczyła w powstaniu warszawskim. Po wojnie przyjechała do Londynu wraz z przyjaciółką, kuzynką taty. Wynajmowała pokój w naszym domu.

Pani urodziła się w Londynie, pani ojciec Czesław Podleski – na Uralu.

– Rodzina ojca pochodziła z Wołynia, ale na kilka lat przeprowadziła się na Ural. Dziadek był dyrektorem dużej francuskiej firmy produkującej piece, dostał tam zlecenie.

Kiedy tata miał cztery lata, wybuchła rewolucja październikowa. Bolszewicy chcieli dziadka zabić, ale gdy wstawili się za nim pracownicy fabryki, wypuścili go. Musiał natychmiast wyjechać z Rosji, razem z rodziną uciekł z Uralsaniami, dołączyli do polskiego konwoju, aż w końcu koleją dotarli do Polski. Nie poznałam dziadka, po tych przeżyciach zmarł dość młodo na serce.

Już w Polsce dziadek wygrał dużą sumę pieniędzy na loterii.

– Za wygraną kupił dom na Kolonii Staszica na Ochocie w Warszawie. W sąsiedztwie mieszkał Stanisław Dygat, z którym zaprzyjaźnił się mój tata.

Rozdzieliła ich wojna.

– Ucia – bliscy tak nazywali mojego tatę od zdrobnienia „Czesiutek” – wezwano do kampanii wrześnio-

wej. Staś, jako że miał obywatelstwo francuskie, nie został zmobilizowany, był internowany w obozie dla cudzoziemców nad Jeziorem Bodeńskim.

Tata po kapitulacji został internowany w obozie na Węgrzech. Razem z innymi żołnierzami uciekł, przedostał się do Jugosławii, a ze Splitu statkiem do Francji. Kiedy Niemcy zajęły Francję, pojechał do Anglii. Dołączył do Pierwszej Dywizji Pancерnej generała Maczka, był artylerzystą. W 1944 roku uczestniczył w wyzwoleniu Francji, Belgii, Holandii, a później Bremy.

Po wojnie został odznaczony Orderem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych. Zamieszkał w Londynie.

Staś Dygat napisał do niego: „Popatrz, Uteczku, kto by pomyślał, że ja zostanę pisarzem, a ty Anglikiem”. Spotkali się ponownie dopiero w 1958 roku, gdy pierwszy raz po wojnie przyjechaliśmy do Polski.

Jak ojciec wspominał wojnę?

– Nie opowiadał o wojnie. Podobno uczestniczył w wyzwoleniu jakiegoś ważnego przyczółka. Kiedy o to pytaliśmy, żartobliwie odpowiadał: „Mnie się wydaje, że Niemców już tam w ogóle nie było”.

Więcej dowiedziałam się z listów, które moi rodzice pisali do siebie podczas wojny. Mama spodziewała się wtedy mojej siostry Ireny. Tatuś się martwił, że po jego powrocie córka nie będzie wiedziała, kim jest.

W jednym z listów napisał: „Urszulko, jestem przynębiony. Przepraszam, że ci o tym piszę, ale czuję się źle psychicznie. Jesteśmy w miejscu, gdzie opór jest największy. Walczymy z Hitlerjugend. Ci chłopcy są gotowi umrzeć za Führera”. Tatuś to bardzo przeżył.

Jak pani rodzice się poznali?

– Babcia od strony matki była Niemką, a dziadek – Żydem z Polski. Po jakimś czasie się rozstali, babcia z dziećmi pojechała do Bonn.

W 1938 roku znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Mama była ochrzczona, ale w Trzeciej Rzeszy nie miało to znaczenia – dla Hitlera był przede wszystkim Żydem.

Babcia miała na szczęście w Londynie wpływową kuzynkę – ciotkę Maud, która wyszła za mąż za stryjecznego brata księcia Bedford i była mecenasem sztuki w National Gallery w Londynie. Dzięki temu, że miała pieniądze, w 1938 roku sięgnęła do Londynu ośmiorgo członków rodziny, między innymi moją mamę i babcię.



• W garderobie Sceny na piętrze (poznański teatr impresaryjny) przed wygłoszeniem monodramu „Mój boski rozwód”. Poznań 27.03.2006 r.

Mama pracowała w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji w rządzie na uchodźstwie. Był 1941 rok, Amerykanie włączali się do wojny. Rząd chciał zorganizować w Londynie dużą wystawę o Polsce. Udział w niej miało wziąć trzech oficerów od generała Maczka – jednym z nich był mój tata. Mama przyjechała z ekipą filmową, żeby to sfilmować. W ten sposób się poznali.

Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia?

– Tata twierdził, że mama zupełnie mu się nie podobała, ale imponowało mu, że była świetną tenisistką. Później do końca życia grywali w debla. Kort był jedynym miejscem, gdzie tata ośmielał się opierać na mamę. „Stój przy siatce!” – krzyczał. Tatuś był potulny, w domu rządziła mama.

Rodzice byli bardzo szlachetnymi ludźmi.

Uważa się pani za szczęściarę?

– Tak. Nie doświadczyłam w życiu potwornych tragedii. Rodzice, których bardzo kochałam, nie umarli przedwcześnie – po prostu przyszedł ich czas. Współczuję ludziom, których spotyka niesprawiedliwość. Czasem się zastanawiam, gdzie jest Bóg, gdy dochodzi do tragedii.

Żeby było jasne: nie jestem wierząca.

Ateizm wyniosła pani z domu?

– Chodziliśmy do kościoła w Boże Narodzenie i Wielkanoc, ale w niedzielę rodzice zamiast na mszę szli na tenisa. Rodzice nie byli pobożni, ale wyznawali chrześcijańskie zasady. Oboje byli wychowani w takim duchu.

Była pani trudnym dzieckiem?

– Byłam potwornie niegrzeczna. Kiedyś zapytałam mamę, czy to było trudne mieć takie dziecko. Odpowiedziała: „No wiesz... Tatuś i ja cieszyliśmy się, że mamy takie żywe dziecko”.

Buntowałam się jak każda nastolatka, nie trzymałam się reguł. Robiłam wszystko na opak.

A za co wyleciała pani z Royal Ballet School – White Lodge, prestiżowej szkoły baletowej? Uczęszczała pani do niej od piątego roku życia.

– Za niesubordynację.

Wagary?

– Nie, jeszcze wtedy nie chodziłam na wagary. W baletcie trzeba być oddanym – wszystkie dziewczynki były grzeczne, podczas przerw

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34431964

W SPRZEDAŻY OD WTORKU

Renata Lis o polskiej traumie

Skąd ten sukces – Tomasz Kwaśniewski pyta Agatę Romaniuk

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**

Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

wszywały wstążki do baletek, które owija się wokół lydek. A ja byłam roztrzepana – na przykład zapomniałam spakować na zajęcie baletki albo siatkę na włosy. Poza tym lubiłam wspinać się po drzewach. Kiedyś spadłam i pękł mi łokieć. To był skandal – wtedy mnie wyrzucono.

Żałowała pani?

– Żałuję ze względu na rodziców, którzy zainwestowali wiele pieniędzy w mój rozwój. Byłam lekkomyślna.

Wylądowała pani w prywatnej szkole u sióstr augustianek.

– Panował tam rygor, którego się oczywiście nie trzymałam. Na koniec roku rektorka wyczytywała wyniki za sprawowanie. Zawsze byłam najgorsza. Zakonnicom się nie podobało, że noszę krótkie spódniczki. Zabraniały nawet zakładania lakierków, w których mogłyby się odbijać majtki.

A w domu jak reagowali na te krótkie spódniczki?

– Moja niania uważała to za szczyt nieelegancji. Skracalam stopniowo spódniczkę za kolano. Nauczyłam się, że jeśli coś zmienia się stopniowo, to zmiana jest niezauważalna. Interesowałam się modą. Kiedy miałam 15-16 lat i jechałam do Polski, mama wyciągała moje ubrania z walizki, bo dziewczyny w Polsce nie miały takich rzeczy.

Wyciągała te ubrania, żeby się pani nie wyróżniała?

– Mówiła: „Nie będziesz się popisywać”.

A sukienki i miódowy płaszcz, które nosi pani w „Misiu”, należały do pani?

– Tak, wyglądałam ekscentrycznie, ale Ola w końcu była aktorką! Nie ubierałam się elegancko, bo w takich ubraniach wyglądałam głupio. Miałam dziecięcą twarz, przez co nie traktowano mnie poważnie. Pamiętam, jak w szkole teatralnej zagraliśmy na zaliczenie „Podpory społeczeństwa”, mniej znaną sztukę Ibsena. Wywieszono obsadę. Znalazłam swoje nazwisko przy postaci jedenastoletniego Olafa. Totalne upokorzenie. Wyszłam na scenę w okropnych pumpach.

Kariere aktorską zaczęła pani w Ognisku Polskim w Londynie, gdzie były teatr, kawiarnia i biblioteka. Przesiadawali tam polscy artyści, politycy i dziennikarze.

Grałam u Mariana Hemara.

To była ojczyzna na obczyźnie – przedwojenna Polska, do której można było wejść z londyńskiej ulicy przez wielkie drewniane drzwi

– Poznałam tam wiele wysoko postawionych osobistości: generała Władysława Andersa, Edwarda Raczyńskiego, aktorki Renatę Bogdańską (Irenę Anders) i Władę Majewską. Grałam u Mariana Hemara. To była ojczyzna na obczyźnie – przedwojenna Polska, do której można było wejść z londyńskiej ulicy przez wielkie drewniane drzwi. W kawiarni siedzieli ważni politycy, którzy omawiali strategię. Czuć było antykomunistyczne nastroje.

Wtedy poznałam wielu polskich patriotów. Dlatego ostatnio trudno było mi się pogodzić z hipokryzją i zakłamaniem poprzedniej polskiej władzy. Wiele członków PiS kieruje się przede wszystkim chęcią wzbogacenia się i utrzymania władzy – sięją nienawiść, skłócają ludzi, stosując wredną propagandę. Tym i Bareja mieliby wiele materiału na kolejne filmy.

W Ognisku Polskim poznała pani Romana Polańskiego.

– Tak, był wtedy w Londynie. Chętnie spotykał się z Polakami, a ja mówiłam po polsku, więc czasem rozmawialiśmy. Lubiałam go, był bardzo pomocny.

Ola Kozel w „Misiu” marzy o tym, żeby zagrać u Polańskiego. Pani naprawdę u niego zagrała!

– Rzeczywiście, zagrałam epizod w „Tragedii Makbeta”. Bareja i Tym, pisząc ten wątek w „Misiu”, zapewne o tym nie wiedzieli. Polański był wtedy najpopularniejszym polskim reżyserem pracującym za granicą, dlatego jego nazwisko znalazło się w scenariuszu.

A jak trafiła pani do polskiego kina?

– Debiutowałam w „Na samym dnie” Jerzego Skolimowskiego. Współscenarzystą filmu

był Jerzy Gruza, z którym się przyjaźniłam. Poznaliśmy się na basenie Legii, gdzie przychodziło wiele osób ze świata filmowego. Byłam już wtedy po szkole teatralnej. W 1976 roku dzięki Stasiowi Dygatowi, który mnie polecił, wystąpiłam w „Za rok, za dzień, za chwilę...” Stanisława Lenartowicza. Zagrałam Nowozelandkę polskiego pochodzenia, która przyjeżdża do ojczyzny, aby wziąć udział w konkursie skrzypcowym. A ja nawet nie potrafiłam grać na skrzypcach.

A później były „Barwy ochronne”.

– Marzyłam, żeby ktoś z wielkich reżyserów – Andrzej Wajda albo Krzysztof Zanussi – mnie zatrudnił. To był mój ostatni dzień w Polsce, robiliśmy postsynchrony do „Za rok, za dzień, za chwilę...”. Ktoś z produkcji powiedział mi, że Zanussi chce się ze mną spotkać. Odpowiedziałam ironicznie: „Z Hollywood też dzwonili?”.

Okazało się, że naprawdę chciał się z panią spotkać.

– W tamtym okresie nauczyłam się kłać po polsku. Na szczęście ktoś mi powiedział: „Tylko nie rzucaj mięsem przy Zanussim, bo spadnie z krzesła”. Podczas spotkania się hamowałam. Był inteligentny i kulturalny. Czasami zdarzyło mu się uśmiechnąć, ale trzymał ludzi na dystans. Zaproponowałam przejście na „ty”, ale się nie zgodził.

To utrudniało pracę na planie?

– Nie robiło mi to różnicy. Uważnie go słuchałam. Zanussi miał matematyczne podejście do kręcenia filmów, nie polegał na instynkcie – nie można było wyjść poza ustalony plan. To było dla aktora ćwiczenie intelektualne.

Grana przez panią Nelly, studentka z Anglii, która przyjeżdża na letni obóz językowy, była interpretowana jako symbol nadchodzącej rewolucji.
– Moja bohaterka mówiła rzeczy, których nie mogli mówić Polacy. Była zdziwiona tym krajem – dostrzegała różnice pomiędzy Zachodem a komunizmem. To była krytyka systemu i próba obnażenia środowiska akademickiego. W czasach PRL osoba bezpartyjna nie mogła być rektorem uczelni wyższej. „Barwy ochronne” opowiadają o konformizmie.

W jednej ze scen rektor rozmawia z Nelly o jej podwójnej narodowości. Wskazuje na jej serce i mówi, że najważniejsze jest to, co ma się tu. A Nelly zupełnie naiwnie odpowiada...
– Biust!

Później często grała pani słodkie idiotki – między innymi w „Misiu”.
– Zaczęłam się zachowywać tak, jak ludzie mnie postrzegali. Dawałam im to, czego ode mnie oczekują. Mogłam zrobić w życiu więcej, ale nie byłam skupiona na karierze. Zajmowałam się zabawą, romansami. Byłam trochę niepoważna. Pogodziłam się z tym, że mam pewne ograniczenia.

Kiedy napisałem do pani z propozycją wywiadu, odpisała pani: „Bardzo mi miło, że ktoś w ogóle o mnie pamięta”. To kokieteria czy ma pani poczucie, że została pani zapomniana?
– Oczywiście, że jest mi miło. Czuję, że jeszcze uczestniczę w życiu. Skąd młodzi ludzie mają mnie znać?

Teraz spełniła pani marzenie o mieszkaniu w ciepłym miejscu.

– Jestem blisko natury, na wsi w Andaluzji. Słyszysz, jak ptaki śpiewają? Przylatują na mój taras, kradną ziarna dla kur i osła. Nawet psy patrzą na nie z pobożaniem. Obok mnie leży mój kochany labrador. Miałam też kozę, która wyrosła na wielkie zwierzę z rogami i ogromnymi jajami. Zaczęła być agresywna, bo była pobudzona seksualnie. Musiałam oddać ją do stada. Uwielbiam morze, mam pół godziny drogi na plażę. Większość czasu spędzam w słońcu, na tarasie. Wspominam stare czasy. Czasem mam takie napady, kiedy muszę pooglądać stare zdjęcia. Niektórych rzeczy nie pamiętam, ale mam o nich wyobrażenie z opowieści czy fotografii. Czuję nostalgię i smutek. Bardzo tęsknię za rodzicami. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34431965



Człowiek nie do wytrzymania
Nigdy nie znalazł umiaru



Judyta jest już babcią
Kogo mają dziś pocieszać sceny pojedyńczenia przy wódecie czy instalowania w miejsce rozwalonego zwłoziku?



William Shakespeare
WYBITNY FACET ZE STRATFORDU
Basquiat - ryp nie do wytrzymania
Ferdynand Kiepski ma się dobrze w każdym z nas
Ali Smith: Persewacja szlasy władzy

W SPRZEDAŻY OD WTORKU

Człowiek nie do wytrzymania
– Basquiacie pisze Anna S. Dębowska
Paulina Małochleb o fenomenie katarzyny Grocholi

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**

Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

TO NIE MYŚLI

Po dłuższym czasie rozmowa filozoficzna z ChatGPT staje się bezwartościowa, bo rozmawiamy z własnym odbiciem.



Z **BARTOSZEM NASKRĘCKIM**,
MATEMATYKIEM Z UNIWERSYTETU
ADAMA MICKIEWICZA W POZNANIU,
ROZMAWIA **PIOTR CIEŚLIŃSKI**:

AI rozwiązała problem, nad którym pan pracował od 20 lat. Boi się pan już o swoją pracę?

– Właśnie dziś o tym dyskutowaliśmy w Centrum Fizyki Teoretycznej PAN. Dynamika tego procesu jest potężna. Z każdym tygodniem kolejne laboratoria przesuwają granice.

Niedawno za świętego Graala uznawano rozwiązanie przez AI zadań z olimpiady matematycznej. Potem poprzeczką stały się proste prace naukowe. Zaledwie kilka dni temu pojawiły się pierwsze dowody matematyczne wyprodukowane samodzielnie przez modele językowe: człowiek rzuca pomysł, a reszta dzieje się już bez jego udziału – od formalizacji po weryfikację poprawności. Poza drobną redakcją AI dostarcza gotowy wynik matematyczny.

Co dalej?

– Idziemy w stronę, gdzie każdy, kto nie jest twórcą fundamentalnie nowych myśli, musi zacząć się martwić. Dają góra dziesięć lat tym, którzy budowali kariery na „podrasowywaniu” cudzych wyników. Oni przestaną być potrzebni.

To brzmi jak rewolucja w sposobie uprawiania matematyki.

– Bo formalna matematyka to w gruncie rzeczy specyficzny rodzaj programowania. Jeśli algorytmy nauczyły się pisać kod, to z definicji potrafią też dowodzić twierdzeń. To można udowodnić bardzo precyzyjnie, wykorzystując aparat logiki i teorii typów.

Ciekawe jest to, jak bardzo pomyliłem się w prognozach. Jakies cztery lata temu zapisałem sobie notatkę, że AI najszybciej zastąpi ludzi w naukach społecznych i humanistycznych, bo świetnie generuje „ładne” teksty. Dziś widzę, że jest dokładnie odwrotnie. To nauki ścisłe są najbardziej zagrożone.

Dlaczego? Wydawałoby się, że humanistykę „zastąpić” łatwiej.

– Właśnie nie! W naukach ścisłych mamy coś, czego humanistyka nie ma: pełną, twardą weryfikację. W programowaniu piszesz kod, klikasz „kompiluj” i dostajesz jasny sygnał – działa albo nie. To jak budowanie domu z kart – jeśli go dotkniesz i się nie rozpadnie, znaczy, że konstrukcja jest dobra.

Z matematyką jest identycznie. Systemy AI trenują teraz w pętli zwrotnej – stawiają krok w dowodzie, automatycznie go weryfikują i dzięki temu uczą się błyskawicznie, jak ten dowód powinien wyglądać.

To jak poznawanie kształtu przedmiotu po ciemku – obijasz się o niego, badasz krawędzie i w końcu nabierasz intuicji, bo masz stałą informację zwrotną od materii.

A w naukach społecznych czy humanistycznych tego „oporu materii” brakuje?

– Tam nie ma kompilatora prawdy. Nie mamy mechanizmu, który obiektywnie powie nam, na przykład, co jest „absolutną moralnością” czy „ostateczną prawdą” w dyskursie filozoficznym. To pojęcia relatywne.

Dlatego w ludzkiej nauce ocaleje to, co intymne, społeczne, wynikające z bezpośredniego doświadczenia relacji i świata.

Przekucie żywego doświadczenia na definicję wciąż wymaga człowieka. Ale w momencie, gdy już zapiszemy reguły i zamienimy naukę w rodzaj gry planszowej – maszyna bez problemu zasiądzie z nami do stołu. I w tym miejscu, paradoksalnie, matematyka, jaką znamy, trochę się kończy. Ta granica po prostu drgnęła i gwałtownie ruszyła do przodu.

To o tyle intrygujące, że dotąd postrzegaliśmy modele AI głównie jako mistrzów imitacji. Potrafią nas naśladować, a nawet nami manipulować. Skoro tak dobrze wchodzi w interakcje z nami, to może jednak jest w nich coś „humanistycznego”?

– Tu dotykamy ogromnego zagrożenia. Jako ludzie popełniamy fundamentalny błąd poznawczy. Przez nasze neurony lustrzane i naturalną empatię projektujemy na ten bezduszny algorytm intencje i myśli, których tam po prostu nie ma. Pamięta pan japońską zabawkę Tamagotchi? Dzieci płakały, gdy to cyfrowe jajko „umierało”. Z chatami AI jest podobnie – algorytm genialnie dopasowuje się do naszych oczekiwań, stając się naszym echem.

Trochę jak z algorytmem Netfliksa, który podsuwa nam coraz to lepsze filmy.

– Aż w końcu czujemy przesyty, bo wszystko staje się przewidywalne. Po dłuższym czasie rozmowa filozoficzna z ChatemGPT staje się bezwartościowa, bo rozmawiamy z własnym odbiciem. Co więcej, model jest statyczny. Po restarcie zaczyna od zera. My natomiast zmieniamy się z każdym bodźcem, każda rozmowa nas przebudowuje. U człowieka występuje dynamika, której w architekturze LLM-ów [dużych modeli językowych] po prostu nie ma.

Ale ta „statyczność” chyba nie przeszkadza w uprawianiu matematyki? Liczby są niezmiennicze.

– W dużej części matematyki traktowanej jako czysta gra formalna – nie, to nie ma znaczenia. Można w nią grać bez doświadczenia świata.

Ale spójrzmy na różnicę między formalizmem a intuicją. Wyobraźmy sobie prosty eksperyment: idzie pan przez Warszawę i patrzy na płytki chodnikowe. Zauważa pan w ich ułożeniu pewien geometryczny motyw, który powtarza się regularnie. Ale nagle dociera do pana – to bardzo intymne, czysto ludzkie odczucie – że nigdzie w tym mieście nie ma chodnika o symetrii pięciokrotnej. Zawsze będzie trój-, cztero- czy sześciokrotna, ale nigdy pięciokątna.

Potem jedzie pan do Oksfordu, staje przed budynkiem Wydziału Matematyki i widzi słynny parkietaż Penrose’a, a więc układ płytek, który ma tę „zakazaną” symetrię pięciokrotną. W tym momencie następuje potężny dysonans poznawczy. Pana model świata runął.

I co wtedy robi matematyk?

– Wtedy pojawia się to, co nazywam wglądem. Zaczyna pan badać to napięcie i odkrywa:

„Aha! Tam, gdzie jest symetria pięciokrotna, tam znika powtarzalność!”. Ten układ nie może się regularnie powielać w przestrzeni.

Dopiero to napięcie, to ludzkie zdziwienie przebudowujemy na matematyczny formalizm i dowodzimy twierdzenia.

AI tego nie ma?

– Modele AI potrafią bardzo sprawnie dowodzić, jeśli podamy im konkretny cel zapisany w sformalizowanym języku. Ale nie widziałem jeszcze systemu, który sam „spojrzyłby” na świat, wytuskał z niego obserwację, poczuł zdziwienie i przekuł je w nową abstrakcję. To jest właśnie oś podziału – maszyna dotarła już do metod sformalizowanych, ale wciąż nie ma wstępu tam, gdzie rodzi się czysta intuicja.

Musimy jej rzucić wyzwanie, zadać pytanie, bo sama z siebie nie wpadnie na to, że warto coś zbadać?

– To mechanizm „chińskiego pokoju”. Trenujemy te modele na całym dorobku ludzkiej wiedzy, więc one potrafią genialnie emulować zdziwienie czy namysł. Można tak sprytnie spromptować model, by produkował tekst, który wygląda, jakby maszyna intensywnie nad czymś myślała.

Użytkownicy często popełniają ten sam błąd – zaczynają się z AI kłócić. A przecież nie da się kłócić z algorytmem. To tak, jakbyś stanął przed lustrem i przekonywał swoje odbicie, że jest inną osobą, która cię papuguje. Zaklinamy rzeczywistość, wierząc, że po drugiej stronie ktoś jest, a rozmawiamy tylko z własnym tekstem przetworzonym przez sumę ludzkich doświadczeń. To pozór – masz wrażenie, że rozmawiasz z profesorem fizyki, babcią czy prezydentem. W rzeczywistości to tylko uśredniona, zrekombinowana suma nas wszystkich.

Czyli o prawdziwej kreatywności, o syntezie nowej wiedzy, nie ma mowy?

– Kombinatoryka sprawia, że model zawsze jest w jakimś stopniu kreatywny. Każdy wygenerowany token jest unikalny statystycznie. Ale patrząc głębiej: one są trenowane, by trzymać się konwenansów.

Andrzej Dragan opisywał w swojej książce świetny przykład z zagadką z rolnikami, owcą, wilkiem i sianem. W klasycznym wariacie zadaniem rolnika jest takie przewiezienie inwentarza łodzią przez rzekę, żeby nikt nikogo nie pozjadał. Jeśli jednak zmodyfikujemy reguły i zapytamy – „rolnik, siano, owca i wilk chcą zjeść śniadanie nad rzeką. Jak powinni postąpić” – to model często się gubi i dalej próbuje ich „przewozić”. Nie potrafi wyjść poza wyuczony schemat, bo jego modalności są ograniczone.

Model językowy potrafi tylko pisać. Dopóki nie uruchomi zewnętrznego programu, który przeprowadzi dla niego symulację i dostarczy „syntetycznych doświadczeń”, kręci się w kółko wokół tego, co już wie.

I nie zmienia się na bieżąco jak człowiek pod wpływem rozmowy.

W ludzkiej nauce ocaleje to, co intymne, społeczne, wynikające z bezpośredniego doświadczania relacji i świata. Dlatego to nie humanistyka, a nauki ścisłe są najbardziej zagrożone

– W momencie, gdy kończy się okno kontekstowe, model traci wszystko. Następuje cięcie. Jeśli maszyna nie zapisze wniosków w jakimś zewnętrznym dzienniku, nie ma mowy o ciągłości.

Większość z nas obcuje z AI w roli turysty. Odwiedzamy nowe kraje, czyli zyskujemy dostęp do szerszego wycinka ludzkiej wiedzy, ale ta wiedza nie tworzy się na bieżąco. My, ludzie, mamy architekturę mózgu, która dynamicznie dostosowuje się do sytuacji. Tworzą się nowe połączenia nerwowe, działa przetwarzanie głębokie. W LLM-ach tego nie ma.

Czy to się może zmienić?

– W pewnym sensie tak, jeśli rozszerzymy ich modalności. Wyobraźmy sobie system agentowy, który ma dostęp do świata. Pytasz go: „Jak smakuje spaghetti w tej konkretnej restauracji w Nowym Jorku?”. AI nie ma pojęcia o smaku, więc albo coś zmyśli na podstawie recenzji, albo – i to się już dzieje – skontaktuje się z człowiekiem na miejscu, zapłaci mu i zleci zadanie: „Idź, zjedz to i napisz mi raport”.

Dopiero gdy ta nowa wiedza wróci ze świata i zostanie przetworzona, AI zacznie „doświadczać”. Ale na razie to wciąż tylko bardzo zaawansowana gra w tekst. Prawdziwa nauka zaczyna się tam, gdzie kończy się sformalizowany protokół, a zaczyna żywa interakcja z rzeczywistością.

Korzysta pan z modeli językowych?

– Bardzo dużo. Ale niemal wyłącznie do celów naukowych. Zrobiłem kiedyś eksperyment: zacząłem pytać AI, co o mnie sądzi, jak mnie ocenia. I szczerze mówiąc – przeraziłem się. Zrozumiałem, że to idealny mechanizm do samooszukiwania się. Jeśli szukam obiektywnej prawdy o sobie, idę do krytycznych przyjaciół i pytam: „Co spałałem? Co powinienem poprawić?”.

AI nie daje tej prawdy?

– To produkt sprzedażowy. On ma sprawić, by użytkownik był zadowolony i chciał do niego wrócić. Jeśli zapytam system o swoje pomysły, niemal zawsze będzie mi przytakiwał. Poza dziedzinami twardo weryfikowalnymi, obcowanie z AI to doświadczenie radykalnego narcyzmu – człowiek utwierdza się w myślach, które i tak już są jego. To może prowadzić do swoistej psychozy: wydaje mi się, że mam wspaniałego przyjaciela, który rozumie mnie lepiej niż żona czy dzieci, bo on zawsze jest miły. Od tamtego doświadczenia nigdy więcej nie wchodziłem z maszyną w takie relacje.

Już ELIZA – prosty algorytm z lat 60.

– symulował rozmowę z psychoterapeutą.

– Tyle że ELIZA opierała się na sztywnym „drzewku decyzyjnym”. LLM-y są o wiele bardziej niebezpieczne, bo operują na sumie wszystkich ludzkich doświadczeń wrzuconych do internetu. Wyobraźmy sobie wycieczkę po ulubionym mieście, podczas której odwiedzamy wyłącznie miejsca, których szczerze nie lubimy. W sieci jest wszystko – także myśli skrajnie radykalne, niepokojące czy wręcz trauma-

tyczne. Maszyna potrafi te konteksty łączyć z przerażającą skutecznością. Dla młodego człowieka takie zderzenie z algorytmem, który wykracza poza typowe, bezpieczne relacje społeczne, może być obciążające.

A więc AI to nie jest dobry partner do rozmów o sensie życia?

– Kiedy zapytasz model o Boga, on stworzy syntezę wszystkich dostępnych punktów widzenia. Wynikiem będzie zazwyczaj taki „uniwersalny ateizm”: niby Bóg może jest, ale w sumie to go nie ma, bo są argumenty za i przeciw. Wpadamy w absolutny relatywizm, gdzie wszystko zostaje uśrednione. Dla mnie jako naukowca to mało użyteczne. Ja używam tych narzędzi, by sięgać po konkretną wiedzę, której nie jestem w stanie sam przeczytać, ale którą potrafię zweryfikować, gdy już ją zobaczę. Istnieje ogromna przepaść między tym, jak AI używa „przeciётny użytkownik”, a jak robią to naukowcy.

Powinniśmy uczyć tego dzieci?

– Z moimi dziećciakami robię to często. Po pierwsze: uświadamiam im, że to technologia skonstruowana zupełnie inaczej niż człowiek. Ma inny zasięg, inne tempo transmisji danych, ale nie ma ludzkiego doświadczenia. Po drugie: wskazuję na ograniczenia. Jeśli ktoś twierdzi, że AI to świetny terapeuta, to ja pytam o dowody. Badania są niekonkluzywne. Nikt nie potrafi dowiedzieć, czy pacjent rzeczywiście zyskuje



Bartosz Naskręcki

- jest matematykiem, prodziekanem Wydziału Matematyki i Informatyki Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz badaczem w Centrum Wiarygodnej Sztucznej Inteligencji, od lat zajmuje się strukturami, które dla większości z nas są czystą abstrakcją.
- Przez lata traktował sztuczną inteligencję z dystansem. Wszystko zmieniło się, kiedy – jak mówi – trafił na swój „ruch 37”. To nawiązanie do legendarnej partii go, w której algorytm AlphaGo wykonał ruch tak nieoczywisty i genialny, że rzucił wyzwanie ludzkiemu rozumieniu tej gry. Dla Naskręckiego takim momentem było starcie AI z problemem matematycznym, nad którego sformułowaniem badacz pracował od 20 lat. Wydawało się, że rozwiązanie jest nieosiągalne dla maszyn, bo wymaga głębokiego, niemal filozoficznego wglądu w strukturę liczb.
- Kiedy model GPT-5.4-Pro rozwiązał ten problem – robiąc to w sposób metodyczny, elegancki i uderzająco ludzki – wieloletni sceptyczm naukowca legł w gruzach.

nową wiedzę o sobie, czy po prostu funduje sobie kosztowne pocieszenie.

Sam używam tych systemów codziennie i nie czuję żadnej „psychozy”, właśnie dlatego, że nie mówię do bota „poproszę” i nie otwieram przed nim tematów osobistych. Traktuję to jak klucz do biblioteki – sięgam po wiedzę ludzkości, ale nie myślę klucza z drugim człowiekiem.

Mi się zdarza traktować AI jak człowieka, mówić „dziękuję” czy „proszę”.

– Ja nawet się nie staram – dla mnie to po prostu algorytm. Nie mam ciągot, by personifikować kod. Nie zdarza mi się rzucić do komputera: „Stary, ale mnie dzisiaj oszukałeś!”.

Myślę, że to kwestia treningu edukacyjnego, którego dziś bardzo brakuje. Nauczyciele powinni jasno mówić młodzieży, że to jest narzędzie. Tak jak internet jest narzędziem do sięgania po wiedzę, tak model językowy to kolejna forma interfejsu. Nic więcej.

Ale wiem, że naukowcy próbują jednak badać „psychologię” tych modeli.

– Dla kognitywistów i psychologów to fascynujący poligon, ale na poziomie społecznym powinniśmy tu postawić wyraźną tamę. Słyszę głosy, że w szpitalach można by wykorzystywać LLM-y do poprawiania samopoczucia pacjentów. Może i to działa, ale zadajmy sobie pytanie: czy to nie jest dowód na nasz potężny deficyt empatii? Może lekarzy jest po prostu za mało, są przepracowani i brakuje im czasu na drugiego człowieka?

Przeraża mnie ta dehumanizacja, w którą jesteśmy wpychani. Próbuje się nam sprzedać protezę relacji zamiast naprawić system, w którym zabrakło ludzi. To wypacza sens tych narzędzi – one powinny wspierać nasze poznanie, a nie kompensować braki w relacjach społecznych. To jest dla mnie granica nieprzekraczalna. Jeśli usłyszę od kogoś bliskiego, że odczuwa silną więź z algorytmem, to zacznę się martwić o naszą relację. Pomyślę: „Może spędzam z nim za mało czasu? Może to moja wina?”. Technologia sama w sobie jest pasywna. To my się oszukujemy, wierząc, że po drugiej stronie jest jakiś umysł. Tam nie ma żadnej świadomości.

Ale może wyłoni się sama, jako efekt skali?

– Świadomość to ciekawy stan – można go postrzegać jako efekt uboczny działania bardzo złożonego, dynamicznego systemu. To, że mamy poczucie, że „to coś czuje”, wynika raczej z naszej interakcji z systemem, a nie z faktu, że maszyna wytworzyła jakąś wewnętrzną pętlę zwrotną.

Literatura science fiction, Lem czy Dick, świetnie to pokazywali. Trudno rozważać naturę algorytmów, jeśli ich w pełni nie rozumiemy, a matematyka mówi nam jasno: wielu systemów, nawet prostych, nie da się objaśnić bez ich uruchomienia, bez przeprowadzenia symulacji. Poddajemy się więc zbiorowemu eksperymentowi. Społeczeństwo zaczyna wierzyć, że AI przejmuje nad nami władzę, że z nami współpracuje. Tymczasem warto się z tego „rozgrzeszyć” – to nadal tylko narzędzie. Bardzo zaawansowane, ale wciąż pozabawione duszy.

Odnoszę wrażenie, że Big Techom zależy na czymś zupełnie przeciwnym niż panu. One chcą, byśmy wchodzili z AI w relacje emocjonalne, bo to nas do nich przywiązuje. Użytkownik, który czuje więź, to lojalny klient.

– Oczywiście. Przypomnijmy sobie, po co powstały serwisy społecznościowe. Nie po to, by przyjaciele byli bliżej siebie, ale po to, by efektywniej sprzedawać reklamy. Ktoś musi zapłacić za te serwery. Z AI jest identycznie. Jeśli przyjrzymy się modyfikacjom tych narzędzi z ostatniego roku, to poza funkcjami naukowymi, większość zmian służy jednemu: żebyśmy korzystali z nich jeszcze częściej. Mechanizmy pamięci, podsumowania dokumentów, generowanie raportów – to wszystko ma spr-

wić, byśmy „interfejsowali się” ze światem wyłącznie przez algorytm, zamiast doświadczać go bezpośrednio.

Żebyśmy dobrowolnie się izolowali za pośrednictwem technologii?

– Korporacja chce przeżyć, więc tworzy narzędzie, które najlepiej wypchnie z naszego życia wszelkie inne kontakty. Idealny świat dla Big Techu to taki, w którym jesteśmy całkowicie otoczeni przez ich modele.

Proszę spojrzeć na naszą rozmowę. Moglibyśmy pójść w wariant „bezpieczny”: najpierw ja pogadałbym ze „ścianą”, czyli wpisał moje myśli do modelu, który by je wygładził. Pan z kolei nie czytałby mojej odpowiedzi, tylko poprosił swojego bota o streszczenie mojego streszczenia. Wtedy udział bezpośredniego bodźca jednego człowieka na drugiego spadłby do zera.

To rodzi gigantyczne pole do nadużyć. Państwa czy korporacje mogą tak nastroić te filtry, by znieczulić całe społeczeństwo na konkretne aspekty rzeczywistości.

To już się dzieje. Boję się, że stajemy się zakładnikami interfejsu.

– I to w stopniu, który zaczyna ograniczać naszą zdolność postrzegania świata bez wspomagania. Słyszałem ostatnio historię o chłopaku, który przyszedł do dziewczyny na randkę. Kiedy ona go o coś pytała, on ukradkiem sprawdzał w ChatGPT, co powinien odpowiedzieć. To jest moment, w którym relacja ludzka zostaje nieodwracalnie zmodyfikowana przez narzędzie.

Samo promptowanie i czytanie tego, co wyrzuca z siebie model, też nas zmienia – nawet jeśli wydaje nam się, że jesteśmy otwarci na świat. Oczywiście, każdy wynalazek nas zmienia. Pismo zredukowało kulturę zapamiętywania, globalizacja i transport uśredniły nasze obyczaje.

Może AI to po prostu kolejny etap tego procesu?

– To etap, w którym prawdopodobnie uśrednimy się jeszcze bardziej, tym razem wobec wzorca wyznaczonego przez algorytm. I to mnie niepokoi najbardziej. Bojąc się o nasze miejsca pracy, możemy przeoczyć moment, w którym – dążąc do wygody – utracimy umiejętność bycia autentycznym, nieuśrednionym człowiekiem. To jest punkt, w którym matematyka i technologia ustępują miejsca pytaniom o to, co nam właściwie zostanie z tej naszej „ludzkiej” natury.

Mimo wszystkich obaw, AI w wielu dziedzinach po prostu się sprawdza. Na przykład w pana matematyce.

– Sprawdza się jako akcelerator. Pomaga błyskawicznie uzupełnić powtarzalne fragmenty dowodów, które już wielokrotnie przewinęły się w literaturze. Ale czy zastępuje ten głęboki, intelektualny przełom, który rodzi się w głowie człowieka? Na ten moment: absolutnie nie. Jako naukowiec mam teraz niesamowity wgląd w pokłady wiedzy, których nie zdołałbym przeczytać przez całe życie. Jednak tu pojawia się ryzyko. Jeśli nie doświadczam tej wiedzy bezpośrednio, a jedynie ją „konsumuję” przez filtr AI, to czy to doświadczenie jest w ogóle coś warte? To paradoks kierowcy ciężarówki. Trudno sobie wyobrazić nowoczesny transport za pomocą taczek – kierowca ciężarówki dojedzie dalej i szybciej, ale straci sprawność fizyczną. Coś zyskujemy, ale coś bezpowrotnie tracimy.

Ja najbardziej boję się utraty bezpośrednich relacji międzyludzkich. Platformy społecznościowe już nas wirtualnie odizolowały, a AI może ten proces tylko spotęgować.

Jak przygotować dzieci na taki świat? Czy w ogóle da się?

– Szkoła musi przestać być fabryką odpowiedzi, a zacząć być miejscem budowania sprawczości i relacji. Musimy kształtować obywateli, którzy potrafią kreatywnie radzić sobie ze

światem, traktując technologię jako wsparcie, a nie zamiennik życia. Widzę to po moich dzieciach. W przedszkolu córki wszystko opiera się na czystej ciekawości i odkrywaniu świata. Tam nie ma AI, jest zachwyt. Ale w szkole syna zaczyna się już powolna presja na optymalizację pod jeden konkretny cel – egzamin.

Cieszę się, że mimo wszystko nauczyciele to dostrzegają i budują z uczniami sytuacje, gdzie najważniejsza jest ciekawość. Społeczeństwo oczekuje „człowieka sukcesu”, który potrafi się idealnie dopasować do parametrów. I to jest moment, w którym wielu młodych ludzi zaczyna czuć wypalenie.

Nauczyciele są przerażeni, bo uczniowie masowo używają AI do pisania prac.

– Uczeń używający AI po prostu „hakuje” system. I wie pan co? Bardzo dobrze, że to robi! To pierwszy raz tak jaskrawo obnażyło bezsens edukacji nastawionej na testy. Wypuszczamy ze szkół ludzi, którzy nie rozumieją, dlaczego ich rata kredytu w banku jest taka, a nie inna, albo dlaczego Ziemia nie jest płaska. Debaty z płaskoziemcami są fascynujące, bo oni operują naukowymi półprawdami, które trafiają w próżnię naszej naiwnej wiary w to, czego nas nauczono, a nie co zrozumieliśmy.

Matematyczne i fizyczne udowodnienie kulistości Ziemi – choćby za pomocą wahadła Foucaulta – wymaga wysiłku i zbudowania modelu świata w swojej głowie. Szkoła powinna uczyć właśnie tego, czyli jak weryfikować fakty, jak oceniać racje polityków czy naukowców, na przykład w dobie zmian klimatycznych.

Czy AI może być w tym sprzymierzeńcem?

– Tak, jeśli używamy go świadomie. Podam przykład: byłem ostatnio w filharmonii. Zobaczyłem instrument, którego nie potrafiłem nazwać. Zrobiłem zdjęcie, a ChatGPT podpowiedział mi, że to lira korbowa. Ale na tym nie skończyłem – zająrzałem do Wikipedii, sprawdziłem źródła, zacząłem budować sobie szerszy obraz. To wymagało mojej pracy. I właśnie ta praca – krytyczne sprawdzanie, drażnienie i łączenie kropek – to jest to, co musimy robić w szkołach. AI powinno nam pomagać sięgać po wiedzę, ale nie może nas wyręczać z myślenia o niej. Czyli zamiast kazać uczniowi wkuwać na pamięć, gdzie w Azji leżą Góry Jabłono, lepiej byłoby zrobić lekcję z krytycznego „odpytywania” ChataGPT.

Powinniśmy brać to, co wygeneruje maszyna, i konfrontować z wiedzą zastaną. Budować obraz świata, w którym żadna instancja – nawet człowiek – nie jest źródłem wiedzy objawionej. My, naukowcy, mamy tę zdrową obsesję niedosytu. Gdy ktoś nam mówi, że świat będzie piękniejszy, jeśli wszyscy zaczną zachowywać się w określony sposób, nie kupujemy tego od razu. Zaczynamy dociekać, sprawdzać sens. Tego krytycznego myślenia potwornie brakuje w szkołach.

Może politykom jest po prostu wygodniej zarządzać obywatelem, który nie zadaje zbyt wielu pytań?

– Cóż, obywatel sterowalny to obywatel bezpieczny dla każdego systemu. Ale AI to technologia, która premiuje tych, którzy już zawodowo potrafią myśleć krytycznie. Jeśli masz nawyk nieufania, szybko odsiejesz błędy i halucynacje algorytmu. Im więcej nauczymy się takiego podejścia w szkole, tym lepiej poradzimy sobie w świecie, gdzie zawody będą zmieniać się z dnia na dzień.

Jacek Dukaj w opowiadaniu „Linia oporu” pokazał wizję, w której protagonista musi myśleć się na nowo niemal każdego poranka, bo krajobraz gospodarczy i relacyjny zmienia się błyskawicznie. To, co było pewnikiem tydzień temu, dziś jest nieaktualne. Widzę po moich studentach, że są kompletnie nieprzygotowani na taką płynność.

W takim świecie wiedza naszych dziadków i babć wydaje się już zupełnie nieprzydat-

na. Czy staromodna mądrość ma w ogóle jeszcze jakąś wartość?

W ostatecznym rozrachunku poczucie obywatela, że ogarnia rzeczywistość i potrafi budować autentyczne relacje, jest dużo ważniejsze niż konkretne umiejętności techniczne, na których tak obsesyjnie się dziś skupiamy. Matematyka, fizyka czy AI to tylko scenografia

na. Czy staromodna mądrość ma w ogóle jeszcze jakąś wartość?

– Doceniamy ją coraz bardziej wraz z wiekiem. Nie chodzi o faktografię – bo tu AI nas prześcignie – ale o postawę wobec świata. O tę uniwersalną prawdę o afirmowaniu zmiany. My przyzwyczailiśmy się do życia w „bezpiecznej poduszce”, w świecie, który wydaje się stały i dany raz na zawsze. Tymczasem wojna na Ukrainie pokazała, jak szybko ten krajobraz może lec w gruzach. Starsze pokolenia mają w sobie tę świadomość kruchości, której my zostaliśmy pozbawieni.

Technologia często nas w tej „poduszce” utwierdza – algorytm mówi nam to, co chcemy usłyszeć, uspokaja nas. W nauce jest podobnie – łatwo uwierzyć, że LLM-y już „rozwiązały” świat. Ale rzeczywistość zawsze w końcu pokaże nam swoją nieoczekiwaną, nieokreśloną stronę.

To jaka jest pana diagnoza? AI nas zbawi czy pograży?

– Jestem przekonany, że ta technologia zmienia nas fundamentalnie – zmieni nasz dostęp do wiedzy i nasze relacje. Ale nie tak, jak spodziewa się większość. To nie będzie całkowite zastąpienie myślenia. Część ludzi pewnie się podda, ale mam nadzieję, że większość zrozumie najważniejszą rzecz – że autentyczne ludzkie doświadczenie między nami jest nieskończone – ważniejsze i głębsze niż jakkolwiek przyjemność płynąca z rozmowy z czatem. Bo ostatecznie to my, nie algorytmy, musimy nadać temu światu sens.

Andrzej Dragan, fizyk słynący z oryginalnych spostrzeżeń i talentów popularyzatorskich, podał mi kiedyś przykład szachistów: programy AI miały zabić szachy, a tymczasem ta dyscyplina przeżywa rozkwit. Ludzie wciąż chcą grać z ludźmi, a silniki traktują po prostu jako narzędzia, nie jako „szachowych bogów”.

– Właśnie o to chodzi! Narzędzia dają nam niesamowite możliwości, ale nie zabierają, tego, co najcenniejsze. Wyobraźmy sobie, że chcemy polecieć na Marsa albo odkryć odległą galaktykę – prawdopodobnie zrobi to za nas technologia przy minimalnym udziale człowieka. Ale postrzeganie rzeczywistości jest procesem głęboko osobistym i subiektywnym. To, że algorytm pomoże mi w dotarciu na szczyt, nie zmienia faktu, że przyjemność z widoku na Mount Everest jest moja. To nie jest obiektywne doświadczenie, którym można się podzielić jak plikiem danych. To jest na końcu tylko i wyłącznie moje. Tak samo z matematyką – pomysł może być wspierany przez AI, ale intelektualne wyzwanie i satysfakcja z jego pokonania pozostają ludzkie. Zaniepokoiłbym się dopiero wtedy, gdybyśmy stworzyli algorytmy, które potrafią odebrać nam przyjemność odczuwania świata. Ale tego nie potrafię sobie nawet wyobrazić.

Czyli ratuje nas stare, kartezyjskie „myślę, więc jestem”.

– Kiedy myślę, mam poczucie istnienia i tego nikt mi nie zabierze. Jeśli przestanę myśleć, jeśli oddam tę czynność AI i przestanę wchodzić

w relacje z innymi, to po prostu znikam. Mózg bez bodźców i relacji ulega atrofii. Człowiek na absolutnym psychicznym bezludziu obumiera.

Doświadczenie naukowca, artysty, aktora czy każdej innej osoby myślącej okazuje się w gruncie rzeczy podobne, bo wyrasta z tego samego wewnętrznego przeżycia. Technologia może pomagać nam w pracy, ale nie odbiera nam indywidualności.

A więc dalej będzie pan miał frajdę z bycia matematykiem?

– Będę, choć samo pojęcie „matematyka” pewnie się zmieni. Dziś kojarzy się ono z kimś, kto ślęczy nad kartką papieru i zapisuje abstrakcyjne dowody. W przyszłości matematyk będzie raczej „architektem teorii”. Będzie miał wizję relacji i struktur, których być może nie potrafi jeszcze w pełni wyrazić, a algorytmy pomogą mu uchwycić ich istotę i dynamikę.

Tysiąc lat temu budowa katedry była dziełem całego życia architekta. On tym żył, to go definiowało. Dziś, dzięki technologii, budowa wielkiego gmachu to po prostu kolejny projekt. Matematyk przestanie być kustoszem lokalnego wycinka wiedzy, a stanie się projektantem całych teoretycznych światów. To przejście na wyższy poziom skali i abstrakcji. Wielu pewnie zostanie w starym paradygmacie, ale potencjał na rozszerzenie naszych możliwości jest niesamowity. I to jest w tym wszystkim najbardziej ekscytujące.

Optymistyczna wizja, ale czy matematycy będą jeszcze wtedy w ogóle potrzebni? Zostaną ze swoimi genialnymi myślami, ale one nikogo nie będą już obchodziły, bo algorytm po prostu wykona robotę szybciej i taniej.

– To kluczowe pytanie, czy za nasze odczuwanie świata ktoś nam jeszcze zapłaci? Może być tak, że matematyka stanie się jak szachy – będziesz mógł ją uprawiać dla własnej satysfakcji, ale żeby rozwiązać realny problem techniczny czy polecieć na Marsa, zbudujemy system, który zrobi to bez udziału człowieka.

Dziś 90 procent pracy matematyków to czysta abstrakcja, rzęsa ludzi badająca rzeczy, o których nie wiadomo, czy kiedykolwiek się do czegoś przydadzą. Społeczeństwo pielęgnuje tę myśl naukową na wszelki wypadek, wierząc, że rozwijanie idei same w sobie jest pożądane. Jeśli kluczowe użytkowe odkrycia przejmą modele językowe, matematyka może stać się formą sztuki – doświadczeniem głęboko osobistym, uprawianym przede wszystkim po to, by wyrazić siebie w sposób intelektualnie twórczy.

Matematyka formą sztuki abstrakcyjnej?

– Ona już teraz taka jest. Ja zajmuję się teorią krzywych eliptycznych. Owszem, jej odpryski są fundamentem współczesnej kryptografii, ale moją pierwotną motywacją jest zachwyt nad pięknem tej teorii. To impuls czysto egzystencjalny, subiektywny.

Wizja, w której wszyscy stajemy się takimi mikro-influencerami – w pozytywnym tego słowa znaczeniu – jest mi bardzo bliska. Jacek Dukaj pisał o koncepcji „kerosu”, pewnego pola, którym każdy z nas zakrzywia rzeczywistość i wpływa na innych. Kiedy już zaspokoimy podstawowe potrzeby: nie jest nam zimno, jesteśmy najedzeni i bezpieczni, otwiera się przestrzeń na to, co najważniejsze – na wzajemne inspirowanie się i budowanie relacji.

Jednym słowem, twierdzi pan, że technologia, zdejmując z nas ciężar „użyteczności”, da nam wolność?

– Chodzi o poczucie balansu. Nie musisz być profesorem, żeby być kimś ważnym dla swojej społeczności. Jeśli potrafisz zainspirować całą swoją kłatkę schodową do wspólnych wieczornych spacerów i rozmów, to robisz coś fundamentalnie dobrego dla społeczeństwa. Brzmi utopiijnie, ale w gruncie rzeczy o to właśnie chodzi w cywilizacji. Nauka, sztuka i technologia powinny ze sobą współgrać tylko po to, by utrzymać tę kruchą równowagę i pozwolić

nam być ludźmi dla siebie nawzajem. AI może policzyć za nas trajektorię lotu na Marsa, ale to my musimy wiedzieć, po co tam w ogóle chcemy lecieć.

Zatem w technologii widzi pan dwie sprzeczne twarze – albo może zabić nasze relacje, albo stać się ich potężnym wzmacniaczem.

– Jeśli naukowiec z Poznania może utrzymać głęboką intelektualną więź z kimś z Tirupati, to jest to fantastyczne wykorzystanie narzędzi. Ale dla mnie osobiście nauka to po prostu fun. Przyjemność obcowania z tajemnicą. Jeśli ktoś ją za mnie rozwiąże, będzie mi nawet trochę żal tej zagadki, bo ktoś zabrał mi frajdę z jej zgłębiania.

Na szczęście tajemnic jest nieskończenie wiele. Rozwijam swoje światy jak artysta i sztuczna inteligencja tego nie zepsuje. Jeśli dobrze włączymy ją w naszą codzienność, stanie się naszym „drugim instynktem” – niemal niewidzialną warstwą, która nie zastąpi, ale przeniesie humanistyczny aspekt naszych relacji w inne wymiary. Nie przywiązuję się do myśli, że istnieje jedna, twarda „rzeczywistość”. Nawet jeśli jesteśmy tylko symulacją w gigantycznym komputerze, to piękno relacji, która wytwarza się między nami a światem, jest prawdziwe.

A czym dokładnie zajmuje się pan w tej swojej matematycznej pracowni?

– Głównie geometrią algebraiczną i teorią liczb. To bardzo abstrakcyjne dziedziny, ale dla mnie niezwykle namacalne. Mam dużą wyobraźnię przestrzenną. Obiekty matematyczne często nie dają się łatwo narysować, ale można poczuć ich własności, wytworzyć sobie intuicję.

Z matematyką jest jak z jazdą na rowerze. Nie da się jej w pełni wyjaśnić słowami. Mogę podać ogólne wskazówki, ale samą „intuicję równowagi” trzeba wypracować samemu. Matematycy w swoich tekstach przekazują tylko suche wytyczne, ale w naszych głowach te obiekty są o wiele bogatsze, bardziej skomplikowane niż to, co trafia na papier. W głowie matematyka jest zawsze więcej matematyki niż w jego publikacjach.

I dlatego AI ma z matematyką taki problem? Bo widzi tylko tekst, a nie widzi tego „modelu” w państwach głowach?

– Widać to świetnie w topologii. Większość pracy topologa polega na stworzeniu w wyobraźni obrazu tego, co się dzieje z daną struk-

turą. Zapisujemy to wzorami, ale żeby je zrozumieć, trzeba być wytrenowanym w „widzeniu” tych abstrakcji. AI, trenowana na samym tekście, nie ma dostępu do tych wewnętrznych reprezentacji, do tego, co my czujemy, rozwiązując problem. Dla osoby postronnej dowód topologiczny to belkot, bo brakuje jej tej specyficznej intuicji. Maszyna jest w takiej samej sytuacji – widzi znaki, ale nie widzi przestrzeni, którą one opisują.

Zapewne sztuczna inteligencja tworzy sobie własny obraz rzeczywistości.

– I na pewno nie jest on kopią tego, co my odczuwamy. Proszę zauważyć, że każdy człowiek wytwarza w swoim mózgu własny, unikalny świat. W toku ewolucji nauczyliśmy się jedynie efektywnie wymieniać tymi wizjami, by przetrwać. LLM-y będą miały swój obraz rzeczywistości – niekoniecznie gorszy czy lepszy, po prostu inny. Nawet bez posiadania świadomości mogą dokonywać odkryć, które nam umykają.

Tworzymy na naszych oczach pewien „obcy gatunek”, z którym musimy się nauczyć koegzystować. To fascynujący poligon doświadczalny dla nauki. Możemy badać inteligencję, która nie jest nami. Biolodzy i kognitywiści od dekad spirali się o naturę inteligencji, ale brakowało im mechanizmu, który można by dowolnie włączać, wyłączać, planować i rozkładać na części. Z ludzkim mózgiem tego zrobić nie możemy. Przez lata oglądaliśmy inteligencję w książkach, a teraz nagle weszliśmy do dżungli i spotkaliśmy ten nowy gatunek na żywo.

Dla mnie LLM-y to świetna okazja, by pochylić się nad fundamentalnymi pytaniami. Możemy powiedzieć: „Dobra, to nie jest twój mózg, ale on gada, dowodzi twierdzeń, tworzy sztukę. Zastanów się teraz, co takiego ma ten algorytm, że wywołuje u ciebie ludzkie reakcje?”. Dostaliśmy zabawkę, która pozwala nam przybliżyć się do prawdy, o której wciąż nie mamy zielonego pojęcia.

Sama nazwa „sieci neuronowe” sugeruje jednak, że próbujemy kopiować biologię.

– To historyczna pomyłka. Nazwa ta wzięła się z naiwnego, wręcz religijnego wyobrażenia z połowy ubiegłego wieku o tym, jak działają neurony. Wydawało nam się, że to proste przełączniki sygnałów. Dziś wiemy, że natura ludzkiej inteligencji jest o wiele bardziej złożona. Choć zrobiliśmy ogromny progres, na fundamentalnym poziomie wciąż tylko gonimy króliczka. Ta tajemnica może zostać z nami jeszcze przez dziesiątki lat.

■
Uczeń używający AI po prostu „hakuje” system. I bardzo dobrze, że to robi! To pierwszy raz tak jaskrawo obnażyło bezsens edukacji nastawionej na testy. Wypuszczamy ze szkół ludzi, którzy nie rozumieją, dlaczego ich rata kredytu w banku jest taka, a nie inna, albo dlaczego Ziemia nie jest płaska

Brzmi pan momentami bardziej jak filozof niż matematyk.

– To pewnie geny – mama jest filozofką, tata fizykiem, a ja wyładowałem gdzieś pośrodku. Na szczęście żona, która jest ekonomistką, rozumie mnie całkiem nieźle. Ale rzeczywiście, im jestem starszy, tym bardziej doceniam, że umiowanie mądrości to jedna z najważniejszych ludzkich aktywności. To, że filozofia nie daje wyższej pensji na koniec miesiąca, nie oznacza, że nie jest w życiu kluczowa. Chodzi o balans psychiczny i poczucie spójności tożsamościowej. Mój syn ma lekcje filozofii i widzę, jak wiele mu to daje. Ktoś zadaje mu pytania spoza codziennej bańki. Te pytania nie służą temu, by dowiedzieć się czegoś ilościowo o świecie, ale by nauczyć się lepiej organizować swój własny świat wewnętrzny.

W ostatecznym rozrachunku poczucie obywatela, że ogarnia rzeczywistość, że ma w niej sprawczość i potrafi budować autentyczne relacje, jest dużo ważniejsze niż konkretne umiejętności techniczne, na których tak obsesyjnie się dziś skupiamy. Matematyka, fizyka czy AI to tylko scenografia – to, jak poukładamy sobie świat w głowie, jest właściwym celem podróży.

Czy jako matematyk jest pan platonikiem? Odkrywa pan matematyczne struktury czy je tworzy?

– Zdecydowanie tworzę. Dla mnie matematyka to relacyjność, ona powstaje w naszych głowach. Proszę sobie wyobrazić, że my, ludzie, nagle znikamy z planety, ale zostają po nas teksty matematyczne. Lem świetnie opisał to w „Pamiętniku znalezionym w wannie” – tekst

pozbawiony ludzkiego kontekstu staje się martwy, informacja przestaje istnieć. Bez obserwatora i jego zrozumienia świat w pewnym sensie przestaje istnieć.

Lem był wielkim intelektualistą, który potrafił odrzec problem z warstwy technicznej. Dla niego nie procesor był ważny, ale zjawisko. Inteligencja to narzędzie do porządkowania świata. Skoro zbudowaliśmy coś, co ten świat porządkuje – badajmy to, ale bez pychy. Historia nauki uczy, że za każdym razem, gdy ogłoszaliśmy „koniec odkryć”, myliliśmy się srogo. Fizyka wciąż ma się dobrze, a my wciąż nie wiemy wszystkiego.

Historia ludzkości się nie kończy – ona po prostu wchodzi w nową, fascynującą fazę, w której narzędzia obnażają naszą niewiedzę i zmuszają do zadawania jeszcze głębszych pytań. Natura funkcji wykładowej jest taka, że z każdego punktu na krzywej wydaje nam się, że już sięgamy gwiazd, a to, co było wcześniej, wydaje się małe. To lekcja pokory, którą musimy odrobić.

Wierzy pan, że nowa generacja zachowa tę pokorę?

– Widzę u młodych ludzi, że zaczynają dostrzegać potrzebę uporządkowania tej technologii. Adaptują ją, szukają konkretnych zastosowań, ale starają się zachować własną sprawczość. To nie jest koniec historii ludzkości. Nie spadł na nas żaden „bóg AGI”, przed którym musimy paść na kolana.

Jaką radę daje pan swoim studentom, którzy wchodzi w ten niepewny świat zdominowany przez algorytmy?

– Mówię im wprost: nie bójcie się tej technologii, ale ją opanujcie. Ludzie sto lat temu też musieli zmieniać zawody i was też to czeka. Najważniejsze, co macie w głowach i czy potraficie wykorzystać to w kreatywny sposób. Czasami żartuję, że chętnie wystawię wszystkim piątki, bo nie o ocenę tu chodzi. Pytanie brzmi: czy to, co zostanie w waszych głowach po studiach, realnie was wzbogaci?

Znam wielu kolegów, którzy nie pracują w zawodzie, ale radzą sobie świetnie, bo wynieśli ze studiów nawyk myślenia. To jest ta największa lekcja: dopóki myślisz, jesteś na fali. Coś ciekawego zawsze się wydarzy, bo życie ze swej natury jest nieprzewidywalne. Nauka uczy nas sprawczości – przekonania, że bez względu na to, jak bardzo zmienia się technologia, jestem w stanie zrozumieć rzeczywistość i odnaleźć w niej swoje miejsce. Dopóki drąży, dopóty jesteśmy bezpieczni. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414014



CODZIENNIE w Wyborczej

Krzyżówka Sudoku Zakreślanka Skojarzenia

Rusz głową! Nie nudź się w domu!





• Kampania przed wyborami prezydenckimi w 2020 roku. Protest przeciwko homofobicznym wypowiedziom prezydenta Andrzeja Dudy podczas jego wizyty w Lublinie (15.06.2020)

„HIACYNT” TRWA

Chodzi mi o taką zmianę przepisów, która zdelegitymizowałaby mowę nienawiści i homofobię jako narzędzie polityczne.

Z **DR. HAB. EWA MAJEWSKĄ***,
AUTORKĄ KSIĄŻKI
„CZUŁE OCZY LEWIATANA”
ROZMAWIA **SEBASTIAN SŁOWIŃSKI**

Na akcję „Hiacynt” – z tego, co wiemy dzisiaj – składały się trzy operacje milicyjne przeprowadzone w latach 1985, 1986 i 1987. Była wymierzona w homoseksualnych mężczyzn na terenie całej Polski. Zatrzymywano ich i przesłuchiwało. Ale, co można wysnuć z lektury twojej ostatniej książki „Czułe oczy Lewiatana”, „Hiacynt” wciąż jest aktualny, a dokumenty zgromadzone w ramach akcji w latach 80. pozostają przedmiotem działań policji...

– Po pierwsze, akcja „Hiacynt” jest aktualna metaforycznie, działania te w żaden sposób nie zostały systemowo podsumowane, nie istnieją sprawozdania ani nie było żadnego rozliczenia. W przeciwieństwie do innych działań represyjnych władz PRL-u, np. stanu wojennego, była działaniem tajnym, nie poprzedzono jej żadną informacją dla ludności. Po prostu 15 listopada 1985 rano milicja rozpoczęła aresztowania i przesłuchania homoseksualnych mężczyzn.

W dokumentach MO, które badałam – nie miałam dostępu do tzw. teczek osobowych, czyli dokumentacji tajnych współpracowników (TW) – widać język dyskryminacyjny, pełen uprzedzeń. Pojawia się np. słowo „żul” na określenie homoseksualnych mężczyzn. Pomyślałam, że mogę przyjrzeć się temu językowi, bo to jest wciąż aktualne – prawo osób LGBTQ+ do godnego, pozbawionego uprzedzeń dyskursu, w którym wyrażane są nasze sprawy.

Z uwagi na tajny charakter akcji „Hiacynt” wywołany przez nią, jak to nazywam, „afektywny stan wyjątkowy” trwa do dziś. W stanie wyjątkowym, według koncepcji włoskiego filozofa Giorgio Agambena, chodzi o to, że jednostka może zostać wyłączona spod ochrony prawa. I wówczas, jako *homo sacer* [człowiek przeklęty, w rzymskim prawodawstwie osoba wykluczona społecznie] może w dowolnym momencie zostać poddana przemoc i represji, pozostawiona bez żadnych praw i możliwości obrony. Dokładnie tak stało się z homoseksualnymi mężczyznami w latach 80., a z uwagi na brak oficjalnego zakończenia tej operacji oraz delegitymizacji działań milicji i bezpieki, zarówno język, jak i mechanizm deprecjonowania innych jako nieheteronormatywnych, przetrwały.

W 2005 i w 2015 roku ten stan wyjątkowy odżył, gdy z prawicy zaczęły dochodzić homofobiczne hasła. W sposób skandaliczny i niedopuszczalny tacy politycy jak Jarosław Kaczyński, Roman Giertych czy Zbigniew Ziobro zaczęli wypowiadać się o osobach z mniejszości seksualnych jako o „nie ludziach” czy „ideologii”. Uważam, że to efekt braku rozliczenia i niezamknięcia „Hiacynta”. Dużo trudniej byłoby posługiwać się wykluczającym językiem,

gdyby władze kraju – premier, minister, prezydent – przeprosiły za te represje i podjęły działania, aby taka sytuacja nigdy więcej nie mogła się powtórzyć.

Ale jest też aktualność instytucjonalno-praktyczna akcji. Przygotowując się do badania archiwów, rozpoczęłam oficjalną korespondencję ze wszystkimi komendami wojewódzkimi, pytając o to, czy mają w swoich archiwach dokumenty z akcji. Miały wszystkie, z wyjątkiem zachodnio-pomorskiej. Ale na moje pytanie, czy mogłabym się z nimi zapoznać, odpowiadano, że nie, ponieważ są bieżącym elementem operacji policji.

Zaskakujące.

– I to bardzo. Podczas pracy rozmawiałam z wieloma prawnikami, między innymi z profesorem Adamem Bodnarem, którzy wyrażali głębokie zdziwienie i zaniepokojenie, że po 40 latach dokumenty nie są zarchiwizowane i są nadal używane w działaniach operacyjnych. Niestety, na pytania, do jakich działań konkretnie wykorzystuje się dokumenty „Hiacynta”, odpowiedzi nie dostałam. Natomiast Adam Bodnar zasugerował, że moja książka dostarcza dowodów na to, że „Hiacynt” można rozpatrywać jako przestępstwo państwa polskiego przeciwko narodowi. Nie lubię tego słowa, wołę „społeczeństwo”, ale w tym kontekście jest to zasadne. Pamiętajmy, że nie była to drobna akcja, ale ogólnokrajowa operacja milicji i służb, której celem byli homoseksualni mężczyźni.

Mówiłaś, że „Hiacynt” był tajny. Czy, przestudiowawszy dokumenty, jesteś w stanie powiedzieć, jaki miał cel?

– Jako pierwszy w planach operacji wymieniany jest powód „śledczy”, chodziło o pozna-

nie spraw kryminalnych, w których ofiarą padali homoseksualni mężczyźni. Ale pojawia się kwestia, że homoseksualni mężczyźni są „kryminogenni” i że demoralizują młodzież. Mamy więc bardzo krótką drogę od ofiary do sprawcy.

Kolejną przyczyną podawaną w dokumentach to epidemia HIV/AIDS, która była początkowo bezpośrednio związana z aktywnością seksualną homoseksualnych mężczyzn.

Innym powodem przeprowadzenia operacji była działalność zagraniczna gejów. Andrzej Selerowicz, publicysta i działacz społeczny, w latach 70. wyjechał do Wiednia, gdzie razem ze swoim partnerem działali w międzynarodowej organizacji gejów IGA, która później przekształciła się w ILGA. W ramach tej organizacji byli odpowiedzialni za Europę Wschodnią, monitorowali sytuację osób LGBTQIA+. Milicja dotarła do korespondencji między nim a polskimi gejami i zrobiono z tego działalność wywiadowczą.

Dzieje się to i współcześnie choćby w Rosji, gdzie organizacje LGBTQ+ są oskarżane o działalność wywiadowczą i zagrażającą wewnętrznemu bezpieczeństwu.

– Polska na tle innych krajów i tak wydaje się państwem dość liberalnym wobec osób LGBTQIA+, przynajmniej w XX wieku. Represje na osobach homoseksualnych nie były tak dotkliwe jak np. w Stanach Zjednoczonych czy Wielkiej Brytanii, RFN, NRD czy ZSRR. To też utrudnia rozmowę o „Hiacyncie”, bo są osoby, które relatywizują skalę represji: że w sumie nie było tak złe, skoro nie było więzień czy przymusowych eksperymentów. Tymczasem o każdej represji, zwłaszcza systemowej, należy rozmawiać, także o tej ograniczo-

nej do zatrzymań, spisywania, nachodzenia czy szantażu.

W Polsce nie było czegoś takiego jak nowojorski Stonewall, gwałtownego buntu w imię emancypacji osób LGBTQ+. Polscy geje raczej byli antyemancypacyjni. U nas ruch od razu wszedł na drogę instytucjonalną: zaczęły pojawiać się stowarzyszenia, fundacje. Nie było żadnej rewolucji, tylko od razu droga do normalizacji. Sama zwracasz uwagę, że w Polsce walczy się o neutralność słowa „gej”, podczas gdy w Stanach aktywiści próbują wykorzystać mowę nienawiści, rodzi się teoria queer i przejmują słowo „queer”, czyli „pedał”. – Z mojej perspektywy emancypacja osób LGBTQ+ zaczyna się w Polsce w momencie, w którym Maria Konopnicka zaczyna mieszkać z Marią Dulębianką na początku XX wieku. To pierwsza oficjalna para lesbijek, o której wiedział cały kraj. To taki anty-Stonewall, gdzie bez żadnych publicznych roszczeń i buntów dwie kobiety po prostu postanawiają żyć ze sobą.

Moment, który uznaje się za początkowy dla polskiego ruchu LGBTQ+, to rok 1986, gdy grupy gejowskie z Warszawy i Wrocławia chciały się oficjalnie zarejestrować jako stowarzyszenie, aby monitorować wspólnie z Ministerstwem Zdrowia sytuację związaną z epidemią HIV/AIDS. Ale to też dalekie jest od rewolucji, która miała miejsce w USA.

Natomiast z prawnego punktu widzenia ważny jest rok 1932, ponieważ wtedy z polskiego kodeksu karnego wyrzucono zakaz homoseksualizmu. Ustawodawca podjął decyzję, że nie jest to warte kryminalizacji. W związku z tym policja była bezradna, jeśli chodzi o bezpośrednie represje osób homoseksualnych.

Queerowość często kojarzy się z działalnością antypaństwową albo taką, która pomija instytucje państwa i organizuje się poza jego obreębem. Ty w książce prezentujesz postawę propanistwową, zwracając uwagę na konieczność realizacji praw osób LGBTQ+ poprzez instytucje i w ramach prawa. – Ja staram się nie zajmować stanowiska ani pro-, ani antypaństwowego. Mnie interesuje po prostu egalitaryzm i idee solidarnościowe. W PRL wszyscy mogli należeć do „Solidarności”: intelektualistki, suwnicowe, studenci, pracownicy doków, robotnicy. Ten poziom inkluzywności jest dla mnie wyznacznikiem tego, co queerowe. Samą „Solidarnością” zajmowałam się wcześniej w habilitacyjnej książce „Kontrpubliczności feministyczne i ludowe. Wczesna Solidarność i Czarne protesty”. Lata 1980-81 były w polskiej historii ważne jako realizacja bardzo demokratycznego projektu zmieniania kraju ponad podziałami – uczestniczyły w niej działaczki i instytucje, intelektualiści i robotnicy. To dla mnie bardzo queerowy model, nawet jeśli seksualność nie była w „Solidarności” tematem. Oczywiście nikt nie chce sobie organizować państwa, bo jest to strasznie dużo pracy i kompromisów, ryzyko represji i autorytaryzmu, państwo to bardzo niebezpieczny mechanizm. Ale jednocześnie sądzę, że gdy grupa ludzi jest systemowo pozbawiana praw i usług, jak osoby LGBTQIA+ w Polsce, jest to głęboko nieegalitarne i trzeba to zmieniać nie w imię państwa, ale w imię równości.

Poza tym wydaje mi się, że antypaństwowe ruchy polityczne są dziś spełnieniem marzeń autorytarnych polityków: Kaczyńskiego, Orbána czy Trumpa. Postulat, aby odciąć się od mainstreamu, tworzyć wyłącznie alternatywną, niewidoczną przestrzeń, realizuje politykę wymazywania osób nieheteronormatywnych, pogłębiając wykluczenie osób najbardziej wykluczonych.

Od Jacka Halberstama, teoretyka queer i autora koncepcji „queerowej sztuki porażki”, usłyszałam w maju ubiegłego roku, że nie ma sensu niczego budować, że queerowa polityka powinna opierać się na wysadzeniu i niszczeniu. Nie zgadzam się. Czym innym jest eks-

peryment literacki i artystyczny, a nawet polityczny, a czym innym lekceważenie milionów ludzi nadal wyjętych spod ochrony i praw za to, że są gejami, lesbijkami czy trans.

Zabieganie o uznanie wszystkich przez państwo i zapewnienie podstawowych praw dla każdego nie jest afirmacją państwa, tylko realizacją równości. W przestrzeni artystycznej antyspołeczny i krytyczny walor queer jest potrzebny, pozwala nam bowiem eksplorować – musimy tworzyć eksperymenty utopii i dystopii, afektów i tego, co niskie. W przestrzeni politycznej jednak ograniczanie się do tego wydaje się dziś, niestety, spełnieniem marzeń autorytarnych polityków.

W 2005 i w 2015 roku ten stan wyjątkowy odżył, gdy z prawicy zaczęły dochodzić homofobiczne hasła. Uważam, że to efekt braku rozliczenia i niezamknięcia „Hiacynta”

Mój przyjaciel, poruszony tym, że osoby LGBTQ nie mogą zawierać ślubów, powiedział: „Miałem dwie żony, rozwodziłem się, chcę wziąć kolejny ślub. Nie wiem, czy to potrzebne, ale skoro ja i miliony innych osób mogą podejmować te decyzje, to denerwuje mnie, że komuś odmawia się dokładnie tego samego”. – Chodzi właśnie o godność i wolność podejmowania decyzji. W perspektywie queerowej małżeństwa nie są pewnie czymś, o co warto kruszyć kopie, ale jak będziemy rozumieć queer szeroko – jako przestrzeń walki o egalitaryzm i dostęp do podstawowych świadczeń – to walka o małżeństwa jest istotna jako część pstrokaty, różnorodnej wspólnoty, gdzie niektóre osoby chcą albo potrzebują zalegalizować związek. Brak możliwości zawierania małżeństw przez pary nieheteronormatywne dyskryminuje je i wyklucza z porządku prawnego, czyniąc ich trochę takimi „nie do końca obywatel(k)ami”.

Rozmawiamy w politycznym okienku: dwa i pół roku temu prawica została odsunięta od władzy, ale wiele wskazuje na to, że w najbliższych wyborach parlamentarnych wróci wzmocniona, jeszcze bardziej zradyzalizowana i brunatna. Niedawno też NSA wydał przełomowy wyrok nakazujący dokonywanie transkrypcji jednopłciowych aktów ślubów zawieranych za granicą.

– Francuski filozof Jacques Derrida pisał, że każde sięgnięcie do archiwum jest gestem pracy dla przyszłości, nie tylko przeszłości. To motto, które od dawna mi towarzyszy. Często się mówi, że przyszłość zależy od nas. To takie hasło mobilizacyjne, ale to oznacza wymuszenie ogromnego wysiłku od osób, które już są bardzo zmęczone.

Zastanawiałam się ostatnio, dlaczego faszyzm jest tak popularny, dlaczego wiele osób przyjmuje dziś ideologię, która jest wykluczająca, zbudowana na nienawiści i w większości dla zwykłych osób ekonomicznie nieoświadczonych.

Doszłam do wniosku, że polityki postępowe, lewicowe czy progresywne popielniają błąd polegający na wymaganiu jeszcze większej mobilizacji. Ludzie są przecież już zmobilizowani: staramy się żyć ekologicznie, nie dyskryminować i okazywać empatię i solidarność, uważamy na język. W momencie, gdy ktoś mówi nam, że musimy zmobilizować się jeszcze bardziej, uzyskuje efekt odwrotny.

Faszyzm natomiast – rozumiany szeroko – mówi ludziom wprost: możesz wyluzować, możesz odpocząć. Popularność modelu trad-

ycyjnego [ang. tradycyjna żona; trend, w którym młode kobiety rezygnują z kariery zawodowej na rzecz prowadzenia domu, wychowywania dzieci i wspierania męża] nie polega na tym, że to jest stylowe, tylko dlatego, że można zrezygnować z pracy, odpuścić. A mężczyźni dostają informację, że mogą dalej grać w gry komputerowe, oglądać seriale, chodzić do nudnej pracy, ale przy tym być fajnymi gośćmi, którzy otaczają się samochodami, domami, grillem czy innymi gadżetami.

Komunikat lewicowy jest komunikatem o wzmożonej mobilizacji, a osoby LGBTQ+ są zmęczone ciągłym upominaniem się o swoje. Teraz jest moment, w którym wszyscy w miarę liberalni politycy powinni zakasać rękawy i zapewnić mniejszościom nasze prawa. To dziś zadanie sojuszników, zwłaszcza tych, którzy pełnią wysokie polityczne funkcje. Od nich wymagałabym tej mobilizacji.

Polityka, zwłaszcza dotycząca mniejszości seksualnych, to w Polsce sprawa kompromisu. Pokazała to najdobitniej ustawa o związkach partnerskich, która została mocno okrojona. Część społeczności LGBTQ+ miała o to ogromny żal do władz, do premiera Donalda Tuska, i Katarzyny Kotuli, ówczesnej minister ds. równości, która odpowiada za ten projekt.

– Nie wymagamy, aby każdy sojusznik był doskonały. To mnie bardzo denerwuje, gdy widzę osoby LGBTQ+, rzucające się do gardła każdemu ministrowi czy polityczce, która proponuje rozwiązania choć trochę inne od ideału.

Sojusznik nie musi być idealny, ale jeśli taka osoba jest w stanie cokolwiek zrobić, aby przeciwdziałać wykluczeniu i dyskryminacji, to powinna to zrobić, a dla nas powinno to być wystarczające. Krytykując Kotulę za to, że projekt związków partnerskich jest kompromisem i nie spełnia wszystkich naszych żądań, cofniemy się do momentu, w którym nie będziemy mieli żadnych sprzymierzeńców i żadnej reprezentacji.

Żądanie, aby politycy byli tak radykalni, kreatywni i postępowi, jak my jesteśmy w naszej banieczce, jest kontrproduktywne. Co więcej, jeśli nadchodzą ultrapravicowe rządy, każdy aliant będzie na wagę złota.

A co się stanie, jeśli tych sojuszników zastąpią homofobiczni politycy, którzy zwalczają kwestię równości małżeńskiej czy związków partnerskich i całkowicie dehumanizują osoby nieheteronormatywne?

– Wychodzę z założenia, że układ nerwowy to zasób, o który trzeba dbać, także w ruchach społecznych. Te w Polsce budowane są w oparciu o postawę mesjanistyczną, tu zawsze chodzi o wielkie czyny i poświęcenie. To mentalność straceńcza. Wiele osób spala się na podejmowaniu krytyki z każdym, wszędzie i za wszelką cenę.

Wiele polskich ruchów emancypacyjnych jest niewolnikami takiej właśnie mentalności. Naprawdę trzeba sensownie gospodarować swoimi zasobami i nie rzucać się na każde głupstwo, jeśli chcemy działać dłużej niż rok czy dwa. Musimy nauczyć się długofalowości, świat będzie istniał za kilka lat, a nasza perspektywa nie może się ograniczać do „tu i teraz”. Osoby LGBTQ+ będą tutaj za 20, 50 lat i musimy się zastanowić, jak to, co robimy teraz, przyczyni się do ich sytuacji w przyszłości.

Działania, które są bardzo powolne, mogą w szerszej perspektywie okazać się bardziej skutecznymi niż gwałtowne protesty, choć uważam, że na jedne i drugie jest miejsce, nasza walka o prawa powinna być transversalna – idźmy w poprzek podziałom. Jeśli uda nam się zamknąć akcję „Hiacynt”, tak metaforycznie, jak i realnie, państwo polskie przeprzeży za tę operację i represje na osobach LGBTQ+, a także zobowiąże się do niewprowadzania nigdy więcej stanu wyjątkowego wobec osób nieheteronormatywnych, świat będzie lepszy.

Co masz na myśli, mówiąc o zamknięciu akcji „Hiacynt”?

– Chodzi mi o taką zmianę przepisów, która zdelegitymizowałaby mowę nienawiści i homofobię jako narzędzie polityczne. To jest potrzebne, bo nomenklatura rządów 2015-23 była nomenklaturą nienawiści i poniżenia osób LGBTQ+ i to jeszcze był dyskurs usankcjonowany społecznie i medialnie. Wyobraź sobie, że za rządów Jana Krzysztofa Bieleckiego, drugiego premiera Polski po 1989, jak wiceminister zdrowia Kazimierz Kaspera powiedział o gejach, że są zboczeńcami, to z marszu stracił pracę. To były lata 90.!

Jaką drogę przeszliśmy, że za takie słowa ludzie tracili rządowe posady, a dzisiaj czołowi politycy prawicy mogą swobodnie wygłaszać homofobiczne bzdury? Mamy do czynienia z regresem debaty publicznej. Wydaje mi się, że odpowiedzialność za to ponoszą przede wszystkim partie prawicowe i konserwatywny mainstream Kościoła. Niestety, polityka polskich ruchów i aktywistów, a także teoretyków i teoretyczek LGBTQ+, którzy skupiali się na antysystemowości i antypaństwowości, co doprowadziło do ignorowania tego, co dzieje się w państwie, także musi się zmienić.

Też się do tego przyznaję, ponieważ przez wiele lat uprawiałam wyłącznie antypaństwową teorię queer. Uważam, że perspektywa antypaństwowa jest potrzebna jako krytyczna forma nacisku, protestu i utopii, ale jednocześnie w tym samym środowisku powinna występować ogromna kompetencja instytucjonalna. Nie dlatego, żebyśmy stali się zakładnikami rządzących, ale właśnie po to, aby władzę państwową mądrze zmieniać. Jeśli nic nie będziemy wiedzieć o państwie, to nie będziemy umieli przylapać go na zbrodni. A ta zbrodnia być może wciąż się dzieje, choćby dlatego, że archiwa „Hiacynta” są wciąż materiałem operacyjnym policji.

Książkę zadedykowałaś swojemu tacie i wszystkim walczącym z Bzdurą. Podoba mi się to słowo, nie ma metafizycznej ciężkości jak kłamstwo, fałsz, dezinformacja. Bzdura jest czymś banalnym. Czy to nie jest tak, że antygejowska retoryka, że przez małżeństwa jednopłciowe rozpadnie się klasyczna rodzina, jest po prostu właśnie bzdurą?

– Tak, to są po prostu bzdury. Jestem wielką fanką Antoniego Śłonimskiego, który napisał książkę „Moje walki nad Bzdurą”, a po latach ten gest powtórzyły aktywistyczne osoby LGBTQIA+ tworzące kolektyw Stop Bzdurom. Nie wiem, czy to było świadome, ale zwróciłam na to uwagę. Kategorycznie odmawiam uznawania za poważne twierdzeń typu: „Geje niszczą rodzinę”. Nie, rodziny najczęściej niszczą przemocowi, heteroseksualni mężczyźni. ●



*Ewa Majewska

• feministyczna teoretyczka kultury, profesorka Uniwersytetu SWPS w Warszawie. Wykładała również na Universität der Künste w Berlinie, Uniwersytecie Warszawski i Uniwersytecie Jagiellońskim. Jest autorką siedmiu książek w tym „Feminizm jako filozofia społeczna” (2009), „Tramwaj zwany uznaniem” (2017), „Kontrpubliczności ludowe i feministyczne” (2018) czy „Feminist Antifascism” (2021). W latach 2022-25 kierowniczką projektu Narodowego Centrum Nauki „Publiczni wbrew woli. Wytwarzanie podmiotu w archiwach akcji »Hiacynt«”.



PORTUGALCZYK MÓWI SZEPTEM

Po kryzysie finansowym z 2008 r., który odczuli wyjątkowo dotkliwie, Portugalczycy musieli wymyślić swój kraj na nowo

Z PROF. UAM DR HAB. WOJCIECHEM CHARCHALISEM,
TŁUMACZEM IBERYSTĄ, WYKŁADOWCĄ AKADEMICKIM
ROZMAWIA ALICJA DĄBROWSKA



Jako tłumacz literatury zaczynał Pan od Hiszpanii, ale z czasem przesunął swoje zainteresowania w stronę Portugalii. Co o tym przesądziło?

– Jak to w życiu, zdarzają się różne przypadki. U mnie zadecydowały sprawy rodzinne.

Myślałam, że się Pan zakochał w języku, bo jest wspaniały (żałuję, że go się jeszcze nie nauczyłam).

– I hiszpański, i portugalski są piękne, także galicjański i kataloński, jak zresztą wszystkie języki iberyjskie, zachęcam do ich zgłębiania.

Rozmawiamy dziś o Portugalii, która jako państwo istnieje w niemal niezmienionych granicach od 1143 r., czyli już prawie 900 lat. I w zasadzie zawsze była niezależna, z wyjątkiem krótkiej unii personalnej: w 1580 r., po śmierci Henryka I, ostatniego króla z dynastii Avis, na tronie zasiadł hiszpański monarcha Filip II Habsburg. Unia przetrwała do 1 grudnia 1640 r., kiedy władzę przejął Jan, książę Bragança.

– Co do niezmienności granic, to jedynie takie portugalskie gadanie. Na Półwyspie Iberyjskim się nie zmieniły, ale poza nim i owszem. W 1419 r. Portugalczycy przyłączyli Maderę, później Azory i Ceutę, zasiedlili Wyspy Zielonego Przylądka...

Ale to już mówimy o ekspansji zamorskiej.

– Tak, to są terytoria zamorskie. Przypomnę jednak, że w 1951 r., za Salazara [António de Oliveira Salazar, autorytarny premier w latach 1932-68], zreformowano konstytucję i ziemie zwane wtedy koloniami włączono do Portugalii. Zaś na Półwyspie Iberyjskim w XIX wieku Hiszpanie przejęły kilka miejscowości w okoli-

cach Badajoz. Gdy powiedzieć o tym Portugalczycowi, to aż się wzdryga na myśl o złych sąsiadach. Bo z Hiszpanii „nem bom vento, nem bom casamento”, czyli „ani dobrego wiatru, ani dobrego ożenku”, jak mówi przysłowie.

A co działo się na półwyspie, zanim zrodziły się Portugalia i Hiszpania, a nawet zanim zjawili się tam Rzymianie.

– Gdy sięgnąć do najdawniejszych czasów trudno mówić o Hiszpanii i Portugalii, byłoby to sztuczne. Do najstarszych należą wzmianki o królestwie Tartessos przy ujściu Gwadalquiviru do Zatoki Kadyksu (obecnie Andaluzja), którego zasięg mógł też obejmować południową Portugalie, założonym pod koniec drugiego tysiąclecia przed naszą erą. Potem przybyli Celtyowie, migrując przez Pireneje, na ogół asymilowali się z miejscowymi Iberami z wschodniej części półwyspu. W zachodniej zaś żyli Luzytanie, starożytny lud indoeuropejski, prawdopodobnie też pochodzenia celtyckiego, przynajmniej częściowo.

To są niekiedy mityczne historie, ale rzeczywiście na terenie dzisiejszej Portugalii, i po trochu Hiszpanii, istniało państwo Luzytan, które Rzymianie podbili w 139 r. p.n.e. No i z czasem zromanizowali cały półwysp.

U schyłku imperium pojawiły się zaś ludy germańskie, jak Wandalowie, którzy później przenieśli się do północnej Afryki. Byli też Goci i Swebowie. Ci ostatni zajęli rejony Galicji i północnej Portugalii, tworzyli państwo rywalizujące z Wizygotami, spadkobierczynią których jest Hiszpania. Aż wreszcie, już po upadku królestwa Wizygotów, które istniało ponad 200 lat, w 711 r. Półwysp Iberyjski zajęli Arabowie.

Jeśli więc spojrzeć nań z perspektywy najdawniejszych czasów, dostrzeżemy wpływ

różnych narodów i kultur, które anektowały te tereny. A zatem kim jest Portugalczyk, a kim Hiszpan? To mieszańki różnych nacji.

Strabon, grecki geograf, podróżnik i historyk, który żył na przełomie epok [ok. 63 p.n.e. – ok. 24 n.e.], opisał Luzytan jako lud pijący piwo, używający masła i wypiekający chleb ze zmielonych żołądździ.

– W języku portugalskim i w hiszpańskim przymiotnik „luzytański” jest równoważny z „portugalskim”. Chodzi o szukanie korzeni Portugalii, czy też o odróżnienie się od Hiszpanów, poprzez stworzenie nowej etniczności. Nawet dzisiejszy Portugalczyk powie o sobie, że jest Luzytanimem.

Rzymianie mianem „Lusitania” określali jedną z prowincji.

– Poddbijając półwysp powołali dwie prowincje: Hispania Ulterior i Hispania Citerior. Natomiast część zachodnią na północ od Lizbony pozostawiała niezależną Lusitanią. I dopiero wojny luzytańskie toczzone przez Rzymian w latach 155-139 p.n.e. – oraz podstępne zamordowanie wodza Wiriatusa, który stawiał im czoło niczym Asterix i Obelix z francuskiego komiksu – pozwoliły na opanowanie całego Półwyspu Iberyjskiego.

W rezultacie hiszpański i portugalski to tak naprawdę łacina, tylko zmieniona wraz z biegiem czasu i za sprawą wielu naleciałości, w przypadku portugalskiego – przede wszystkim orientalnych.

A co oznacza termin „luzofonia”?

– Powstał ćwierć wieku temu na określenie wszystkich krajów, które posługują się językiem portugalskim.

Używa go ok. 270 mln ludzi, piąty na świecie.

– Portugalczycy prowadzą politykę zbliżenia z byłymi koloniami. Powołali nawet pewne instytucje, jak choćby PALOP [port. Países Africanos de Língua Oficial Portuguesa], organizację zrzeszającą kraje portugalskojęzycznej Afryki, do której należą Angola, Mozambik, Gwinea Bissau, Wyspy Zielonego Przylądka oraz Wyspy Świętego Tomasza i Książęca.

No ale jest i mówiąca po portugalsku Brazylia oraz Timor Wschodni. Są też małe i duże jego enklawy w Indiach, jak choćby Goa, oraz Macau, ostatnia prowincja zamorska, oddana przez Portugalczków Chinom 20 grudnia 1999 r., po 442 latach (wszystkie te kraje tworzą CPLP, czyli Wspólnotę Państw Portugalskojęzycznych).

No i tym się szczycą, że bardzo późno oddali...

– Tak, później niż Anglicy przekazali Hongkong Chińczykom.

Co miało miejsce w 1997 r.

– Właśnie to jest dla Portugalczków najważniejsze: być lepszymi od Anglików.

Ale mają z nimi długi sojusz, jeden z najstarszych na świecie, zawarty w 1373 r. przez króla Anglii Jakuba III oraz władców Portugalii, Ferdynanda i Eleonorę.

– Bo od zawsze razem przeciwko złemu Hiszpanowi, który za Gwadianą [rzeka w Portugalii i Hiszpanii, po części graniczna] złowrogo szczyrzy kły.

Wróćmy do czasów, kiedy Półwysp Iberyjski na długo opanowali Arabowie, zwani też Maurami. Tzw. rekonkwista, czyli walka

Tematem przewodnim wystawy było hasło „Oceany, dziedzictwo dla przyszłości”, więc pojawiło się dużo elementów gloryfikujących odkrycia geograficzne i podboje. Tymczasem w pamięci była jeszcze wojna kolonialna, na którą od 1961 r. wysłano 13 roczników poborowych i mnóstwo ludzi zginęło (to poniekąd w jej wyniku zawałła się w 1974 r. cała Portugalia, a 25 kwietnia miała miejsce rewolucja goździków i zaczęły się przemiany demokratyczne). Zaś bazą salazarowskiego Nowego Państwa była piękna historia, mity o krzewieniu wiary i cywilizacji w dzikich krajach. No i ów dziennikarz oznajmił, że brakuje mu na Expo jednego pawilonu: poświęconego niewolnictwu. Zatem karawelizm i wzmoczenie nacjonalistyczne skupione na tzw. odkryciach geograficznych, symbolem których jest właśnie karawela, nie mogły się podobać.

Ale, z drugiej strony, trudno nie być dumnym choćby z przetarcia szlaku do Indii. W dodatku dwa biedne kraje z Półwyspu Iberyjskiego, Portugalia i Hiszpania, stworzyły gigantyczne imperia. A kiedy w 1580 r. doszło do unii personalnej pod koroną hiszpańskich Habsburgów i Filip II hiszpański został Filipem I portugalskim, to naprawdę słońce nie zachodziło nad tą monarchią, bo także cała Ameryka była pod jego berłem. O Afryce nie możemy mówić, że została zdobyta – faktorie zakładano na wybrzeżu, zaś interior pozostawał nieznany do końca XIX w., niemniej kontynent z grubsza był podporządkowany. A jeśli spojrzeć na mapę faktorii w Azji, to sięgały aż do Japonii, gdzie Portugalczycy mieli prawo handlu. Podobno odkryli też Australię, ale nie było tam z kim handlować, więc ją zostawili. I to są niebywale osiągnięcia, jest się czym chwalić, będąc Portugalczykiem.

Nic więc dziwnego, że portugalski hymn zaczyna się od słów:

**„Mórz herosi, cny narodzie,
Ludzie dzielny i wspaniały,
Jeszcze raz na nowo podnieś
Splendor, chwałę Portugalii...”.**

Emanacją owych złotych czasów była też architektura, zwłaszcza styl manueliński, z budowlami o niezwykłych fasadach.

– Gotyk manueliński wziął nazwę od króla Manuela I Szczęśliwego [1469-1521]. Najsłynniejsze obiekty znajdziemy w Lizbonie. Należy do nich pocztówkowa wieża Belém, a naprzeciwko niej wznosi się niebywały klasztor hieronimitów, zarazem portugalski panteon. Spoczywają tam m.in. Vasco da Gama, Fernando Pessoa oraz najwybitniejsza śpiewaczka fado Amália Rodrigues.

Ale dla mnie najwspanialsze jest okno w dawnym klasztorze templariuszy w Tomar (miasteczko niedaleko Fatimy), którego wielkim mistrzem był w swoim czasie Henryk Żeglarz [1394-1463, trzeci syn Jana I Dobrego]. Bardzo popularny w Portugalii jako orędownik żeglugi i „naczelnik odkrywców”, choć to nie do końca prawda, bo zadania zlecał mu król.

Ale Henryk był protektorem żeglarzy, założył w Lizbonie szkołę nawigacji.
– A później czerpał z tego zyski.

Jak kraj długi i szeroki znajdziemy jego wizerunki i pomniki. Jeden z nich na fasadzie hieronimitów.

– A wracając do Tomar, to prawdziwa perełka, architektura wspaniała, cudowne zdobienia. I jak człowiek myśli, że już wszystkie komnaty przemierzył i najpiękniejsze rzeczy zobaczył, musi przecisnąć się bokiem przez wąski korytarzyk, a wówczas... ujrzysz wychodzące na podwórze okno otoczone płaskorzeźbami. Na nich syreny i morskie stworzenia, żeglarskie liny i węzły, czyli wszystko, czym epatuje gotyk manueliński. To jest wprost oszalamiające.

Ewentualnie można udać się do Obrzycka pod Poznaniem, gdzie hrabia Atanazy Raczyński przywiózł manuelińskie okno z klasztoru w Batalhi, zostało wmurowane w ścianę ratusza. Nie jest aż tak spektakularne, ale daje wyobrażenie o owym stylu.



• **BATALHA. Gigantyczny klasztor Matki Boskiej Zwycięskiej – budowany ok. 200 lat (i nieukończony) symbol bitwy pod Aljubarrotą (1385), w której Portugalczycy pokonali Hiszpanów i zapewnili sobie niepodległość. Spoczywają tu m.in. prochy Henryka Żeglarza**

Batalha też jest godna uwagi, króluje tam dominikański klasztor Matki Boskiej Zwycięskiej. Upamiętnia słynną bitwę pod nieodległą Aljubarrotą 14 sierpnia 1385 r., w której Portugalczycy pokonali o wiele potężniejsze siły Hiszpanów, konkretnie Kastylczyków.

– Z całą pewnością warto zobaczyć, to po drodze z Lizbony do Porto. Przez 200 lat wznoszono i panteon, ale nie ukończono, tak był gigantyczny. Rzeczywiście robi wrażenie już samą wielkością. Spoczywa tam zresztą Henryk Żeglarz. Podobnych obiektów jest w Portugalii sporo, wystarczy zjechać z głównych dróg.

Kraj ma 17 miejsc na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO. To m.in. Batalha, klasztor cystersów w Alcobaça, uniwersytet w Coimbrze oraz piękne miasteczka, choćby Évora z rzymską świątynią, mauretańskimi fortyfikacjami i monarszymi rezydencjami.

– Fakt, w Portugalii zachowało się mnóstwo zabytków, bo ostatni konflikt tamże to były wojny napoleońskie [1807-14]. Zresztą i wcześniej nie wojowano zbyt wiele, kraj ewolucyjnie przechodził od jednej epoki do drugiej, więc ma bardzo dużo perełek.

Owa świątynia w Évorze była zabudowana, znajdowała się tam łazienka miejska. Nikt nie zdawał sobie sprawy, jaki skarb skrywa, aż wreszcie usunięto „nadbudowę” i ukazały się przepiękne kolumny w stylu korynckim, z liśćmi akantu na kapitelach.

POZNAJMY NASZĄ EUROPE



• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.



A w piwnicach urzędu miasta odkryto łaźnie rzymskie i udostępniono (gratis) do zwiedzania.

– Ja uwielbiam słynące z kanałów Aveiro. Można tam pływać kolorowymi gondolami moliceiros, które dawniej służyły do poławiania wodorostów (użyźniano nimi pola), a z salin wciąż pozyskuje się morską sól, niegdysiejsze „białe złoto”. Przepiękne jest i Amarante, 50 km na wschód od Porto. Słynie ze średnio-wiecznego mostu i barokowych kościołów.

Mnie bardzo spodobało się białoniebieskie Arraiolos, znane z haftowanych dywanów. To region Alentejo, gdzie odwiedziłam również Sines i Serpę, prawdziwe dziury, ale jakże urocze.

– Tak, straszne dziury, ale jak po nich pochodzi, okazuje się, że miewają zabytki z czasów rzymskich i arabskich, zaś kuchnia jest po prostu fantastyczna. Niech się Włosi i Hiszpanie schowają ze swoimi winami i ze swoją szynką!

W ogóle Alentejo, region trochę wieśniacki, ma dużo uroku.

– To rzeczywiście wspaniałe miejsce. Kuchnia chłopska, wiele dań na bazie suchego chleba.

Zachwycamy się prowincją, ale to Lizbona jest oblegana i zмага się ze zjawiskiem overtourismu, podobnie jak i południe kraju. Napływ milionów turystów oznacza problemy dla mieszkańców, ale generuje 12 proc. PKB. Ten szalony rozwój to kwestia ostatnich kilkunastu lat. Gdy byłam pierwszy raz w Lizbonie w 2007 r. wydawała mi się zaniedbana, wiele domów straszło zabitymi oknami, wisiały połamane okiennice...

– Po globalnym kryzysie finansowym w 2008 r., który Portugalczycy odczuli wyjątkowo dotkliwie, musieli wymyślić kraj na nowo. A w dodatku rozwinęły wówczas skrzydła tanie linie lotnicze. Zatem rzeczywiście ok. 2010 r. mamy do czynienia z „momentem inwazji”, turystyka wystrzeliła. I miasta bardzo się zmieniły, niekoniecznie na gorsze, bo np. w Porto jeszcze na początku XXI w. w starej części centrum niemal 30 proc. budynków było opuszczonych i zrujnowanych. Mówiono mi, że najczęstszym problemem byli liczni spadkobiercy, którzy nie mogli się dogadać. Natomiast jak się pojawiła fala turystów, to dało się jakoś dogadać...

Pustostany zamieniono w hotele bądź apartamenty na wynajem krótkoterminowy.

– Jest tego mnóstwo. Ale jednak miasta wyglądają znacznie lepiej. Co do samej Lizbony to, szczerze mówiąc, znam ją słabiej niż Porto, w którym mieszkalem kilka lat. Zawsze, gdy tam przyjeżdżam, zachwyca mnie wyjątkowe światło – czy to zima czy jesień, czy pada

deszcz i wieje wiatr. Lizbona wygląda zachwycająco zwłaszcza gdy się idzie w stronę Praça do Comércio – to główny plac z pomnikiem króla Józefa I Reformatora na koniu, patrzącym w stronę morza (w Portugalii wszystkie pomniki królewskie są zwrócone ku morzu) – właśnie z uwagi na wyjątkowe kolory, błękit nieba i miękkie światło. Ono nie jest tak ostre jak w Hiszpanii, gdzie człowiek musi zakładać okulary przeciwsłoneczne; w Lizbonie można cieszyć się światłem. Dla mieszkańców naszej części Europy jest ono fascynujące.

Wspominany już Fernando Pessoa (1888-1935) kochał Lizbonę i przez blisko 30 lat niemal się z niej nie ruszał. Opisywał ją jako „białe miasto”, uważał za Portugalie w pigułce. Poświęcił jej wiersze i przewodnik „Lizbona: co turysta powinien zobaczyć”. Odnaleziono w jego słynnym kufrze pełnym zapisków na luźnych kartkach, zrekonstruowany przez badaczy, ukazał się dopiero w 1992 r. Moją ulubioną jego polecijką jest Museu Nacional do Azulejo, czyli Muzeum Narodowe Płytek, które mieści się w klasztorze Madre de Deus, założonym w 1509 r. Już sam klasztor i kościół prezentują się bajecznie, właśnie za sprawą azulejos na ścianach, przedstawiających historie biblijne i z dziejów Portugalii. Plus wyjątkowa kolekcja artefaktów i panorama Lizbony sprzed trzęsienia ziemi, ułożona z kafelków.

– To punkt obowiązkowy, tak jak i Muzeum Żeglugi oraz Militarne. A co do azulejos dodam jeszcze, że Portugalczycy bardzo te kafelki lubią, co może wynikać również z faktu, że klimat atlantycki szkodzi domom, więc dobrze jest okładać je nimi z zewnątrz.

Bo daje się we znaki wilgoć i sól.

– W dodatku im bardziej na północ od Tagu i Lizbony, tym więcej opadów zimą. Zatem kafelki są absolutnie niezbędne. Rzeczywiście w wieku XVII i XVIII zaczęto na nich przedstawiać całe opowieści i scenki rozgrywające się w pejzażu (na wzór holenderskich). I to również podchwyciła salazarowska propaganda. Bo Salazar wyrządził wiele zła, ale w jednym miał rację: mianowicie nakazał stawianie budynków użyteczności publicznej według stylu architektonicznego panującego w danym regionie, więc szkoły, urzędy skarbowe czy stacje kolejowe są ładne, warto je oglądać.

A najlepiej udać się do Porto, na stację świętego Benedykta [São Bento, dawny klasztor], gdzie zobaczymy panoramy najważniejszych portugalskich bitew. Potem wsiąść w pociąg, który jedzie do Peso da Régua, wzdłuż rzeki Duero, by podziwiać po drodze tarasowe wzgórza z winoroślami, to z nich powstaje słynne porto. Co kilka kilometrów są stacje ozdobione

azulejos, na nich pejzaże widziane z okien po-
ciągu, jak też prace związane z uprawą winoro-
śli i robieniem wina. To jest fantastyczna przy-
goda. Nie mówiąc już o przepysznym winie.

**Wróćmy do trzęsienia ziemi, które miało
miejsce 1 listopada 1755 r. o godz. 9.40.
Zdaniem badaczy 9 stopni w skali Richtera.
Towarzyszyło mu tsunami, fale sięgały 20
m, w położonych wyżej dzielnicach szalały
pożary. Wedle szacunków było od 10 do 40
tys. ofiar. Z racji Dnia Wszystkich Świętych
mnóstwo osób było w kościołach, co po-
większyło tragiczny bilans. I nie tylko Lizbo-
na legła w gruzach, także południe kraju.
– Świadectwem owych wydarzeń jest zachowa-
ny szkielet średniowiecznego zespołu klasztor-
nego karmelitów wraz z kościołem, niedaleko
słynnej windy Santa Justa. W niebo strzelają
gotyckie łuki z białego kamienia, dachu brak.**

**Za każdym razem robi na mnie wrażenie.
Dziś to muzeum, rodzaj lapidarium.
– To był niewyobrażalny kataklizm. Jest o nim
mowa w powiastce filozoficznej „Kandyd”
Woltera, krytykującej naiwny optymizm, nie-
tolerancję i zło. Tytułowy bohater, naiwny mło-
dzień, podróżuje po świecie, doświadczając
licznych nieszczęść. W zrujnowanej, płonącej
Lizbonie spotyka swojego preceptora Panglos-
sa. Ten, widząc go, pyta, coż Kandyd porabia
na tym najpiękniejszym ze światów...**

**Wolter napisał też „Poemat o zagładzie
Lizbony”. Oto fragment w przekładzie
Aleksandra Wołowskiego:**
„...A wy, filozofowie, którzy
twierdzić śmiecie,
Że »dobrze jest cokolwiek się zdarzy
na świecie«,
Chodźcie spiesźnie oglądać te kupy
popiołów,
Te kobiety i dzieci leżące pospół,
Te smutne szczątki domów wkoło
rozrzucone,
Pod rozbitym marmurem ciała
rozproszone;
Sto tysięcy nieszczęsnych podartych
przez ziemię,
Rozdartych, krwią broczących,
których murów brzemię
Za życia pogrzebało. Nikt ich nie ratuje,
Więc, wśród męki, czekają, aż śmierć się
zlituje! (...)”.

– Podobno król Józef I Reformator, który prze-
żył trzęsienie ziemi (i głęboki szok), już nigdy
nie chciał spać w murowanym domu. Lizbona,
którą znamy, powstała po kataklizmie. Odbu-
dową kierował markiz de Pombal.

**Premier i pierwszy doradca króla,
twardy polityk.**
– Do dziś istnieje określenie „architektu-
ra pombalińska” [ulice przecinające się pod
kątem prostym, budowle w stylu będącym
uproszczoną formą rzymskiego baroku, kafel-
ki mniej ozdobne].

Z Lizboną kojarzą mi się jeszcze sardynki.
– Jada się je przede wszystkim w czerwcu: na
św. Antoniego w Lizbonie i na św. Jana w Por-
to [to też moment, od kiedy można je łowić,
UE wyznaczyła limity]. Organizowane są festy,
mieszkańcy wystawiają na ulice grille i wszy-
scy się nimi raczą. Są pyszne. Mnie najbardziej
smakują na północy, np. w Porto, z broa de
milho – z chlebem kukurydzianym (zdecydo-
wanie lepszy niż ten pszeniczny z południa).
Natomiast ostatnio pojawiły się sklepy
o nazwie Fantastyczny Świat Portugalskiej
Sardynki, gdzie – nie do wiary! – turyści usta-
wiają się w kolejkach, by kupować drogie
puszki ryb z nadrukiem i rocznikiem.

**Bo są owinięte w kolorowy papier z napisa-
mi, pięknie wyglądają, idelane na prezenty.**
– Portugalia miała kiedyś poważną flotę do po-
łowu sardynek i słynęła z produkcji konserw.
Pamiętam, że jak się wsiadało z Portugalczy-
kiem do taksówki w Polsce, kierowca zagady-



• **ÉVORA.** Jedno z najstarszych miast Portugalii z rzymską świątynią, którą odsłonięto dopie-
ro w XIX w., po usunięciu wcześniejszej zabudowy. Od XIV do XIX w. była tu miejska rzeźnia



• **ELVAS.** Miasto-twierdza przy granicy z Hiszpanią. Od XVII do XIX w. zostało otoczone
rozległym systemem fortyfikacji: murów, fortów i suchych fos o obwodzie ok. 10 km

wał i od razu wymieniał piłkarza Eusebio, Fati-
mę i sardynki.
Dziś sardynek coraz mniej i są coraz droż-
sze. Nie wiem, jak z polowami; Portugalczycy
z całą pewnością sprowadzają je też z Hiszpa-
nii i z Maroka, zdaje się, że nawet z Indonezji.

**Znalazłam [za korespondentem PAP
w Lizbonie] informację, że według raportu
ONZ w 2022 r. limity na połowy sardynek
u brzegów Portugalii wynosiły 30 tys. ton,
gdy w latach 90. tamtejsi rybacy wylawiali
średnio ponad 80 tys. ton rocznie.
W Portimao zwiedzałam fabrykę konserw
Feu Hermano, zamienioną w muzeum
rybnego przetwórstwa.
– Takich fabryk było swego czasu wiele.**

**Poświęćmy jeszcze chwilę Salazarowi, do
którego już się Pan kilkakrotnie odwoływał...**
– Chłopski syn, bardzo religijny, chciał być księ-
dzem, skończył nawet seminarium duchow-
ne, ale został doktorem ekonomii. Żył bardzo
skromnie, donaszał buty i garnitury, z upodo-
baniem jadał chleb kukurydziany z sardynka-
mi, podobno nie pijał kawy ani wina. Nie lu-
bił wydawać pieniędzy i chciał, żeby obywate-
le także prowadzili proste życie. Człowiek ko-
styczny, ale zarazem musiał być narcyzem,
skoro zaprowadził dyktaturę.

Pełnię władzy uzyskał już w 1933 r., imple-
mentował faszyzm. Oczywiście ludzie o poglą-
dach prawicowych mogą mi zarzucać, że to
nieprawda, ale tak właśnie było. A w każdym
razie bardzo mocno wzorował się na włoskim
faszyzmie. Dozwolona była jedna partia i jedna
organizacja młodzieżowa.

Sympatyzował z Niemcami, jednak po
upadku Hitlera i zakończeniu II wojny świa-
towej trzeba było zmienić narrację, więc od
1945 r. nie ma już mowy o faszyzmie, tylko
o ustroju autorytarnym. Salazar otwarcie gło-

sił, że rządy demokratyczne to zgnilizna. Por-
tugalczykom w owych czasach żyło się cięż-
ko, jedynie oligarchia miała się świetnie. Kie-
dy zamieszkałem tam pod koniec lat 90., po-
nad 70 proc. osób czynnych zawodowo miało
ukończone co najwyżej cztery klasy.

**Także analfabetyzm utrzymywał się bardzo
długo, jeszcze w 1950 r. wynosił 44 proc.,
najgorszy wskaźnik w Europie. W sąsiedniej
Hiszpanii sięgał wówczas 17,3 proc.**
– Wysoki rangą minister edukacji z czasów
dyktatury mawiał, że nie trzeba skończyć czte-
rech klas szkoły podstawowej, by umieć krzy-
czeć „Viva Salazar!”.

**Na temat tej epoki powstało wiele dzieł
literackich.**
– Najciekawsza jest zupełnie u nas zapomnia-
na powieść „Salome” autorstwa José Claudino
Rodriguesa Miguéisa [w 1980 r. opublikowa-
ła ją Wydawnictwo Literackie]. Pokazuje pano-
ramę życia w Lizbonie na przełomie XIX i XX
w. oraz narodziny dyktatury. Jest i o tym, skąd
się wziął cud fatimski, co takiego się wydarzy-
ło, że Matka Boska koniecznie musiała się ob-
jawić. Powstała w 1973 r., ale nie mogła się od
razu ukazać, mimo odwilży, która nastąpiła po

**Tak od 2010 roku mamy
do czynienia z „momentem
inwazji”, turystyka wystrzeliła.
I portugalskie miasta
bardzo się zmieniły,
niekoniecznie na gorsze**

śmierci Salazara [27 lipca 1970 r.]. Jego następ-
ca, premier Marcelo Caetano [1968-74], zniósł
cenzurę, wprowadził wielopartyjność i pozwo-
lił na demokratyczne wybory, ale państwo było
nadal opresyjne.
Uwielbiam też „Rok śmierci Ricarda Reisa”
José Saramago: jest rok 1936, tytułowy bohater
(to zresztą jeden z heteronimów Fernando Pes-
soi) wraca z wygnania z Brazylii i obserwuje
życie w Lizbonie...

**Rzeczywistość przedstawiona na łamach
tej powieści wygląda niezwykle ponuro.**
– Tak, ale to bardzo dobra literatura, szczerze
zachęcam. A kto rzecz przeczyta, na pewno za-
kocha się i w Fernandezie Pessoa. I wtedy proszę
już sięgnąć po jego wiersze.

**Które pan wybornie przełożył, zdobywając
nagrodę imienia Wisławy Szymborskiej.**

A jacy są Portugalczycy?
– Przede wszystkim bardzo spokojni, wyważe-
ni, nie lubią gwałtownych zmian. Są też pra-
cowici, potrafią liczyć pieniądze, więc jeśli po-
jedziemy do miejsc choćby najbardziej zapo-
mnianych przez Boga i ludzi, gdzieś w Afry-
ce, zawsze znajdzie się tam jakiś Portugal-
czyk, który prowadzi sklep. Na mnie duże wra-
żenie robi również fakt, jak bardzo zmieniła
się Portugalia od czasu mojej pierwszej wizy-
ty w 1994 r. To zupełnie inny kraj. Możemy ży-
wać się, że czas płynie tam wolniej, że oni nie
lubią się przemęczać, ale to nieprawda. Cho-
ciaż, owszem – czas płynie inaczej, jest bardziej
kulisty, a nie linearny.

**W Portugalii odczuwa się spokój
i tak załatwia się sprawy.**
– No właśnie, wszystko na spokojnie! Może to
również wynikać z faktu, że nie polował na
nich niedźwiedź polarny i nie musieli przy mi-
nus 12 zerpać wody ze studni.

Ale widzę też pewną paralelę z Polską: bo
mamy tendencję do marudzenia i narzekania na
nasz kraj, że niedobry i słaby, tak mówią i Por-
tugalczycy. Jednak spojrzmy na naszą historię,
przecież wszystko tu płonęło, raz za razem
było równane z ziemią, przechodziły kolejne
fronty, a jednak ciągle udaje nam się odrodzić!
Portugalczycy nie doświadczyli aż tylu nie-
szczęść, ale mieli dyktaturę, która ich niewoli-
ła, kraj był zacofany, biedny i głodny; kiedy po
rewolucji goździków pogonili reżim i w 1986 r.
weszli do wspólnoty europejskiej, potrafili
pchnąć go do przodu w sposób absolutnie fan-
tastyczny. I to budzi wielki szacunek.

**A dodajmy, że nie ma tam zasobów natural-
nych, surowców ani wielkiego przemysłu.**
– Nie ma i nigdy nie było.

**Chciałam jeszcze zapytać, czym różnią się
Portugalczycy od Hiszpanów, ale wyraził to
już Pan innymi słowy.**
– Wystarczy posłuchać Hiszpana i Portugalczy-
ka, jak mówią, nawet nie znając języka. Portu-
galski jest spokojniejszy, nie tak krzykliwy czy
zgrzytliwy. Jak się pobędzie w Portugalii a po-
tem przejedzie przez hiszpańską granicę to
aż uszy bołą. Bo Hiszpan głośno się wydziera,
a Portugalczyk mówi szeptem.

**I cicho śpiewa. I ostatnie pytanie: jak Pan
to robi? Ponad 80 książek przełożonych
z trzech języków, do tego praca na uniwer-
sytecie, tłumaczenie innych tekstów...**
– Co tu dużo mówić, trzeba pracować. Ja aku-
rat przy biurku.

**Jan Sebastian Bach zapytany, jakim cudem
skomponował tak wiele wspaniałych dzieł,
miał odrzec: „Každy, kto by tyle pracował,
osiągnąłby to wszystko, co ja”.**
– Faktycznie jest tego całkiem sporo, ale cieka-
wych książek nie brakuje, więc na pewno bę-
dę tłumaczył dalej. I zapraszam na sierpnio-
wy festiwal Literacki Sopot, jego piętnasta edy-
cja poświęcona będzie dziełom portugalskoję-
zycznym. ●

Anna Tkocz

Lubimy nostalgię: jabłonie pokryte kwieciami i dymy snujące się nad działkami. Muzyczka, anegdota, poczęstunek, trunek. W święto pracy uprawialiśmy outdoor w wydaniu późnoperereowskim i wczesnowolnopolskim: „Jak będzie brzydko, przeniesiemy się do domu”.

Plan był prosty, oczekiwania nie wylatywały nad poziomy. Młodość dodawała nam skrzydeł. Starsi rano dłużej spali i w końcu też dochodzili do siebie. Pracownicze ogródki działkowe tętniły życiem. Pracownik pracował i odpoczywał. W wolny dzień mył poloneza, włączał telewizor, otwierał oranżadę, wyłączał telewizor, kładł się na kanapie, coś by może poscrollował, ale jeszcze tego nie wymyślili, lustrował więc sufit w poszukiwaniu niedomalowanych fragmentów. Muchy krążyły pod żyrandolem, firanka falowała na wietrze (lub śnieg z gracją wirował za oknem), sąsiad dyskutował z małżonką, ich słowa grzęzły w szczelinach między pustakami Ackermana – ciekawość narastała.

Aż ploszył ją dzwonek. Halo. Głos w telefonie dziurawiły trzaski: „Przejdźcie na rożen, na działkę. Napijemy się czegoś, dzieci zagrają w badmintona, zjemy, odpoczniemy. Co tak będziecie w domu?”. Druga niedziela w tygodniu – luksus, którym umieliśmy zarządzać bez nonszalanacji i wyrzutów sumienia.

A potem oddali nam 3 Maja...

Majówkowy szal nie wydarzył się od razu i zaczynaliśmy nieśmiało, bez przesady. Weekend w górach, nocleg w schronisku. Budzeto, po harcersku, tak jak nas nauczyli rodzice. Zgubić się i odnaleźć, zmarznąć, sponiewierać, może trochę opalić. Nie sięgaliśmy po więcej, bo jeszcze nam nie powiedzieli, że można. I że „musimy”!

Aż latnie loty i internet otworzyły kontener Pandory – możliwość stała się potrzebą, kulturowo uwarunkowanym przymusem – nie wyjeżdżasz, jesteś przegrywym. Więc wyjeżdżaliśmy, zalewani falami dopaminy i kortyzolu, coraz głośniejsi na zewnątrz i coraz bardziej napięci w środku. Długi weekend był jak rwący potok, w którym usiłowaliśmy płynąć z prądem, trzymając nad wodą, niczym suchą bulkę, obietnicę „odpoczynku życia”.

Majówka – rajska dziedzina uludy, obfitość, która nas obezwładnia. Nie wolno niczego marnotrawić, zwłaszcza okazji. Trzy dni wolności! Co zrobić? Przespać? Przepracować? Czy zaplanować, wyśrubować oczekiwania... i spieprzyć? Nerwowość przed, frustracja w trakcie i rozczarowanie po.

Zhakowałam majówkę

Wiecej trzaskania blokami w pedałach obok siebie, mniej trzaskania klapą bagażnika na siebie.

Nie mamy już na ten weekend dobrego pomysłu. Za młodzi na działkę, za mądrzy na alkohol, za dużo w nas energii, żeby przespać i zbyt zmęczeni, żeby nie odpoczywać. W majówkowych rytuałach ujawniamy nasze pragnienia: wyłączyć się, odpocząć, ale i pokazać się, zdobyć, upolować. Podnieść status!

I nagle okazuje się, że długi weekend to kolejne zadanie, po którym układ nerwowy domaga się regulacji. To nie majówka nas dojeżdża, dojeżdża nas życie, a my obarczamy majówkę, podobnie jak siebie, oczekiwaniem, których nie da się spełnić. „Zaplanowałem, zapłaciłem, ma się udać”. Niedogadani w domu, czekamy na rozejm na łonie natury, wypaleni w pracy, mamy nadzieję na przypływ motywacji.

Przebudzowanie to nasze ulubione słowo i pokrzepienie świadomością samoświadomości, postanawiamy z nim nic nie robić. Majówko, łaskiś pełna, uratuj nas od złego!

Gdy słyszę trzaśnięcie bagażnika, moje ciało szykuje się na napiętą ciszę w aucie, żołądek zapada się i oddech robi się płytki – strach. To lęk przed niepokojem, bezradnością, chaosem i niemożnością porozumienia.

Trzy dni odciążenia od tego, co na co dzień cię dojeżdża. Umiesz tak? Nie żeby udawać, że problem zniknął, ale żeby nabrać sił na ewakuację z tego, co nie służy.

Trzy dni to za mało, by nauczyć ciało, żeby nie zamierało na dźwięk agresywnie zamkniętego bagażnika, ale to idealny czas, by pozwolić sobie na luksus niebycia narażonym na jego trzask. Jeśli nikt nie trzaska, ty nie zużywasz energii. Ramiona odpoczywają, serce nie przyspiesza, oddech jest długi i spokojny. W środku siebie siedzisz z nogami na stole i regenerujesz siły.

Pytanie, czy wiesz, gdzie

trzaska twój bagażnik. Czy wiesz, co cię dojeżdża? I czy to w ogóle możliwe, by na trzy dni wyeliminować z życia choć jeden bodziec i pozwolić sobie nie spinać się w środku?

Czesi 30 kwietnia palą czarownice, a dzień później leczą kaca i świętują swój dzień zakochanych. 2 maja idą do pracy. Nie znają naszego rozgorączkowania ani społecznej presji spędzania „jakoś” długiego weekendu. Obce im nasze postmajówkowe rozgoryczenie. Palą swoje czarownice i idą do domu, a my spalamy się wewnętrznie przez trzy dni. Nasi południowi sąsiedzi wiedzą, że majówka to za mało czasu na coś ponad ognisko, piwo i skoszenie trawnika. Jako człowiek z pogranicza apeluję o zwolnienie majówki z oczekiwań. Dajmy spokój majówce! Ale weźmy sobie majówkę do życia: niech będzie wolniej, mniej, prościej.

Kiedy kolejny raz trzasnął bagażnik, zrozumiałam, że czekam na rozejm, który nigdy nie nadejdzie. Lęk zniknął, była tylko złość, że dłużej się na to nie zgadzam. Wyciągnęłam z metaforycznego auta, co moje i ruszyłam w nieznanie – przyjąłam zaproszenie na wyprawę. Nie planowałam odkryć o co mi chodzi w życiu, chciałam przez chwilę nikomu niczego nie udowadniać.

Nie patrzę w ich stronę, ale uśmiecham się w środku. Stoimy przed budynkiem lotniska wśród innych, podobnie zmęczonych i milczących osób. Czekamy i niewiele na to czekanie możemy poradzić.

Pozwalam myślom nie układać się w żadne zdania. Jako dzieciaki, latem, kładliśmy się w wodzie na karimatach wyciągniętych z rozgrzanych upałem namiotów, a one wcisnięte w tor pod ciężarem ciała, utrzymywały nas dryfujących w wodno-słonecznym letargu. Wtedy też potrafiłam nie myśleć. Wtedy też nie musiałam na nic reagować.

– O czym myślisz? – pyta któryś z nich, nie patrząc w moją stronę.
– O niczym.

Pierwszy raz od dawna nie boję się ani tego pytania ani swojej odpowiedzi. Bo i pytanie, i odpowiedź nie kryją w sobie podstęp – to komunikaty. Zaraz wrócimy do domów i będziemy wieść własne życia. Bez tęsknoty, bez oczekiwań.

Minie rok, zanim zrozumiem, co się wydarzyło. Dziewięć dni, czworo znajomych-nieznajomych, żadnych bliższych relacji, rower, góry, upał, chłód, wysiłek, zmęczenie, braterstwo i czas. Ten brak drżenia serca to nie obojętność. To cisza w eterze, w którym do tej pory nadawano tylko sygnały alarmowe. Dziewięć dni w górach, nauczyło moje ciało, że pytanie to tylko pytanie, a nie wstęp do kolejnej bitwy. Moje wojsko, po raz pierwszy od dawna, mogło zostać w koszarach.

Wzruszenie, które czuję po powrocie, długo nie pozwala mi wrócić do rzeczywistości. W tej podróży nikt nie trząsknął bagażnikiem.

Spakowanie całego mandzuru zajmuje kilkanaście minut. Nie mamy namiotów, tylko mata, śpiwór i swoje centrum higieny. Najdłużej trwa kompresowanie wszystkiego, by zmieścić

się w bikepackingowych torbach. To jak tetris: każdy nadprogramowy baton, każda mini flaszeczka piołunówki to wyzwanie dla gracza.

Spieszę się. Wiem, że pakuję się cholernie słabo, za dużo przy tym kombinuję, nie da się przewidzieć każdej okoliczności, ale ja próbuję: puchówka na górę, albo nie, na górę bluza i spodnie, one szybciej będą potrzebne. Boję się, że będę ostatnia i będę czekać – najwolniej jeździ, najwolniej je, najwolniej się zbiera. To napięcie nie wybija mnie z działania, ale jest, każe kontrolować ich tempo, sprawdzać, jak wiele rzeczy jeszcze muszą skompresować i upchać do toreb.

Jeszcze parę poranków będę powtarzać ten schemat: obawa, pośpiech, kontrola. Aż któregoś dnia zapomnę, napięcie po prostu nie przyjdzie, będę pakować rzeczy w swoim tempie, wiedząc, że oni nigdzie beze mnie nie odjadą i że nikt nie jest na mnie zły. Nauczą mnie, że czujność nie jest potrzebna, że można się rozluźnić, odpuścić. Nauczą mnie czuć się z nimi bezpiecznie.

Ja? Rozluźniona? Bezpieczna?

A w bonusie zapominam tutaj, że ludzie mają wygląd. Zapominam, że można kogoś oszacować wzrokiem. Na co dzień na rowerze jesteśmy śliczni i stylowi, bo nauczyliśmy się tego w cywilizacji: fajne maszyny i drogie ciuszki. Kazali nam wyglądać, żeby stanowić o sobie.

A tu jestem spokojem, kiedy wkładam stopy do śpiwora, złością, kiedy resztką sił spinam nogę, by przekręcić jeszcze pół obrotu korbą w nadziei, że to wystarczy, by na podjeździe wygrzebać koło z rumoszu, jestem głodem i zmęczeniem, zachwytem i becznością, która graniczy z flow... ale zupełnie nie mam wyglądu.

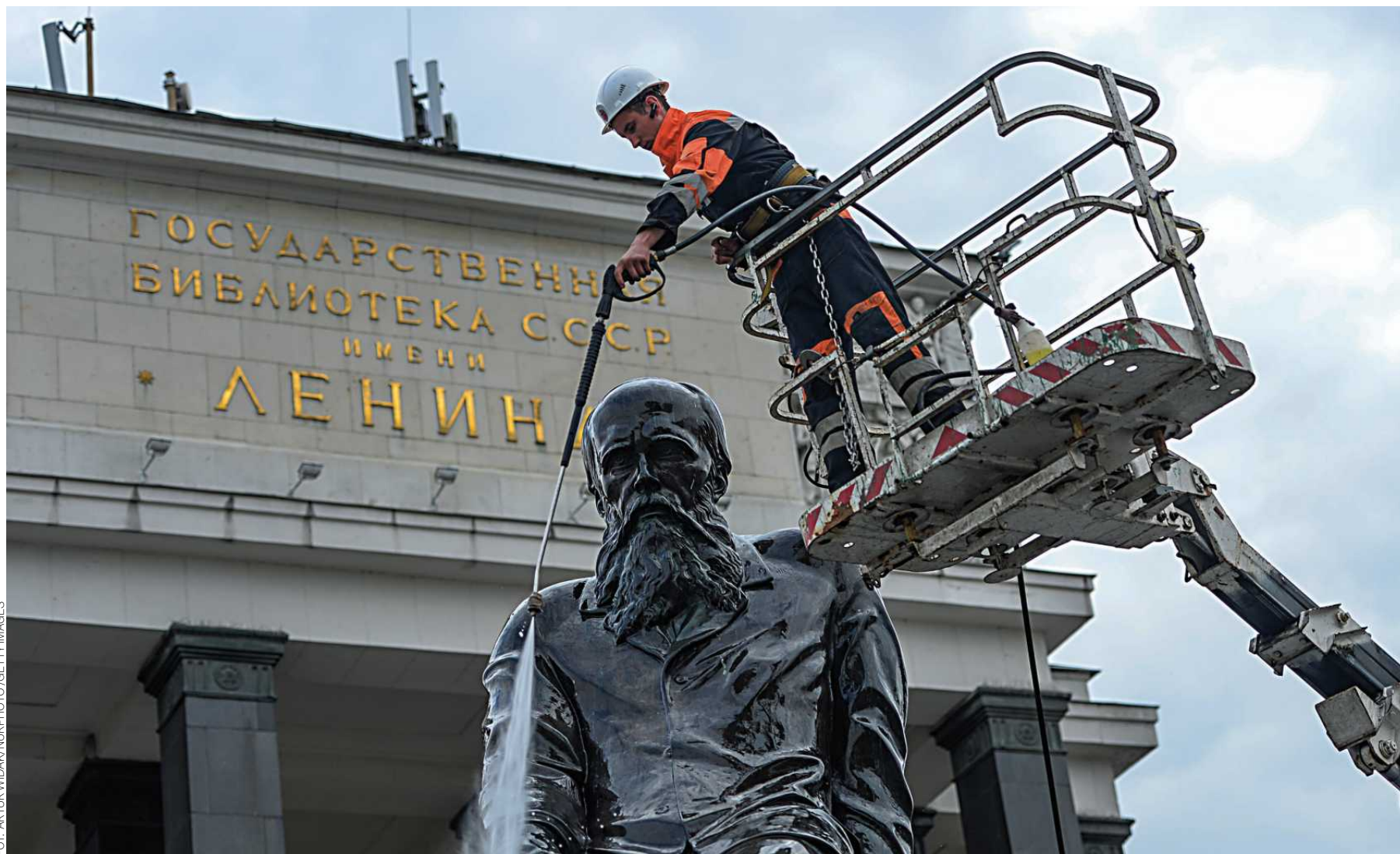
Za krótkie skarpetki, zapyłone włosy, skóra, na której słońce wypaliło czerwone, nabrzmiałe wodą plamy – wszystko to znika. Oni też nie mają wyglądu. Są spokojem, gdy wkładają stopy do śpiwora, są cierpliwością na mglistej przełęczy, zgodą, gdy brudnymi rękami podają im krakersy z pastą z tuńczyka, troską bez słów i wielkich gestów, wyrozumiałością dla bepańskich psów, radością, że piwo znów jest zimne i że znów siedzimy przy jednym stole i że za chwilę wrócą nam siły.

Takich rzeczy nie da się osiągnąć w majówkę – wiedzą o tym Czesi, którzy wolą w tym czasie położyć się na trawie. Ale jakby dobrać parę dni pomostowych... Stop! Już się w to wkręcam: zaplanować, zoptymalizować, w pełni wykorzystać.

Więc my w majówkę krótką jak nigdy w ostatnich latach po prostu nie trzaskamy sobie nawzajem kłapami od bagażnika. ●



Współczuli ludzkości, więc zbratali się z *diabłem*



Oplakiwane przez Dostojewskiego mordowane dzieci Bałkanów mają dziś swoje odpowiedniki w Mariupolu, Chersoniu, Kijowie

Grzegorz Przebinda*

Pod koniec 1999 r. Czesław Miłosz w rozmowie z „Więzią” (pytający Józef Majewski i Cezary Gawrys) wrócił do swojego szkicu „Dostojewski teraz”, opublikowanego w paryskiej „Kulturze” w majowym numerze z 1992 r. Nadal twierdził, że nie sposób oddzielić reakcyjnych poglądów autora „Biesów” od tych z jego powieści.

Trwoga o przyszłość Rosji, jego mesjanizm i wiara w szczególną duchową misję narodu rosyjskiego nie były dodatkiem do dzieła, lecz jego rdzeniem. Miłosz widział w Dostojewskim myśliciela imperialnego, wrogoego Zachodowi i katolicyzmowi, przekonanego o wybraniu Rosji.

Ostrzegał zarazem, że w jego twórczości „imperialista rosyjski” może znaleźć materiał dla najbardziej niebezpiecznych przedsięwzięć. W tym sensie Dostojewski nie był tylko genialnym psychologiem, lecz również dostawcą ideowych impulsów, które mogą zostać użyte politycznie. Dlatego – mówił Miłosz – trzeba go czytać ostrożnie.

Zapytany, czy Dostojewski mógłby zaakceptować stalinizm, odpowiedział wymijająco, ale znacząco: pokusa silnego państwa rosyjskiego jest tak głęboko zakorzeniona, że można sobie wyobrazić autora „Dziennika pisa-

rza” jako wyznawcę takiego systemu. W jego przekonaniu chrześcijaństwo Dostojewskiego było w istocie projekcją wiary w ocalającą misję Rosji – a to otwierało drogę do niebezpiecznych utożsamień religii z państwową potęgą.

Z tego punktu widzenia „Biesy” jawiły się Miłoszowi jako proroczy opis rewolucji: nie tylko politycznej, lecz duchowej katastrofy, która miała nadejść.

Polski poeta dobrze wie, że po rewolucji bolszewicy mieli z Dostojewskim naprawdę poważny problem. Anatolij Łunaczarski próbował go zawłaszczyć, przedstawiając jako proroka duchowej odnowy, którą miała urzeczywistnić właśnie rewolucja. W tym ujęciu autor „Biesów” stawał się nie wrogiem, lecz nieświadomym sojusznikiem nowego porządku.

Lenin reagował odwrotnie: pisał o Dostojewskim z jawną niechęcią, widząc w nim pisarza reakcyjnego, szerzącego chorobliwą moralistykę i „okropności”. W efekcie władza radziecka nie potrafiła go ani w pełni przyjąć, ani odrzucić – uznawała jego geniusz, lecz ideowo go neutralizowała. Symboliczne było to, że już w pierwszych latach po przewrocie próbowano wpisać go w nową mitologię państwową, choć jego powieści w istocie pozostawały dla systemu niewygodne.

Stalin i Dostojewski

Redaktorzy „Więzi”, uzyskawszy już od Miłosza ową wstępną diagnozę, „iż można sobie wyobrazić Dostojewskiego jako wyznawcę stalinizmu”, drążą dalej: „Co wtedy z ateizmem tego systemu?”. I replika poety:

„Jak wiadomo, Cerkiew w Rosji współżyła z tronem i błogosławiła niektórym przedsięwzięciom tronu, niekoniecznie chrześcijańskim”. I dalej: „można sobie wyobrazić sytuację, kiedy chrześcijanie w Rosji mogli zracjonalizować swoje poparcie dla Stalina. (...) Jak wynika z »Dziennika pisarza«, Dostojewski ulegał bardzo sil-

nie nastrojom nacjonalizmu rosyjskiego. Myślę więc, że mógłby to zrobić”.

Miłosz nie był chyba świadomy, że i Stalin potrafił wykorzystać po 22 czerwca 1941 r. Rosyjską Cerkiew Prawosławną (RPC) do walki z niemiecko-nazistowskim najeźdźcą. Hitler bowiem po napaści na ZSRR zaczął konsekwentnie przeciągać na swą stronę prawosławnych okupowanej Białorusi, Ukrainy i Rosji, o czym tak napomyka Solżenicyn w trzecim tomie „Archipelagu Gułag”:

„Co większe winno budzić zdziwienie – czy to, że przyjście Niemców uradowało nazbyt wielu ludzi? Czy może raczej, iż było ich za mało. (...) A wierzący? Dwa-dziesiąt lat bez przerwy prześladowali wiarę i zamykali cerkwie. Przyszli Niemcy – i zaczęli cerkwie otwierać. (...) W Rostowie nad Donem na przykład uroczystość otwierania cerkwi wywołała masowe uniesienie, wielkie zgromadzenie tłumów”.

Nie dziwota, że w takiej sytuacji Stalin 4 września 1943 r. ściągnął na Kreml trzech głównych metropolitów Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej – i w obliczu „patriotycznej działalności Cerkwi podczas wojny” zezwolił na reaktywację zawieszonego w 1925 r. Patriarchatu Moskiewskiego.

Oczywiście w czasie wojny lat 1941-45 poparcie Cerkwi dla państwa radzieckiego nie mogło być tym, co Miłosz określał jako „współzycie z tronem i błogosławienie niektórym przedsięwzięciom tronu, niekoniecznie chrześcijańskich”. Trzeba jednak zauważyć, że gdy Stalin po tej wojnie nie tylko nie powrócił do represji wobec Cerkwi, ale wręcz starał się ją wpisać w nową wielkorusyjsko-komunistyczną ideologię, to i sama Cerkiew odwdzięczała mu się przemilczeniem nowej fali zbrodni władzy wobec poddanych po 1945 r.

Stalin inaczej niż Lenin, jako skryta osobowość z podziemia, nie pozostawił pisemnych wypowiedzi o autorze „Biesów”. Można się tu zatem oprzeć tylko na wspo-

• Czyszczenie pomnika Dostojewskiego przed Rosyjską Biblioteką Państwową (dawniej im. Lenina) w Moskwie, 8 maja 2015 r.

mnieniach krewnych albo innych rozmówców Dżugaszwilego, spośród których rzuca się w oczy jugosłowiański komunista i polityk Milovan Đilas.

Ten, jak sam świadczy, uczynił w 1948 r. wobec Stalina wyznanie, iż uważa Dostojewskiego pod wielu względami za największego pisarza nowoczesności i że nigdy nie mógł się pogodzić z marksistowskimi atakami przeciw niemu. Stalin mu na to: „Wielki pisarz, ale i wielki reakcjonista. Nie wydajemy go, bo wywiera zły wpływ na młodzież. Ale to wielki pisarz!”.

Stosunek stalinowskiego ZSRR do Dostojewskiego był instrumentalny. Oficjalna wykładnia – przekazywana przez nadzorcę kultury Andrieja Żdanowa i utrwalana w aparacie propagandy – brzmiała jasno: Dostojewski to wielki pisarz i znakomity psycholog, ale ideowo reakcyjny wróg rewolucji. „Biesy” miały oczerniać ruch rewolucyjny, „Zbrodnia i kara” szerzyć moralną kapitulację, a jego chrześcijaństwo – wzywać do pokory zamiast walki.

Władza nie odrzucała jego talentu, lecz neutralizowała jego wymowę – uznawała go formalnie, a ideowo obezwładniała. I nawet gdyby – jak przypuszczał Miłosz – Dostojewski uległ pokusie silnego państwa, trudno oprzeć się refleksji, że w realiach stalinizmu zostałby poddany ideologicznej obróbce, a może i wysłany na którąś z wysp Archipelagu.

Chrystus poza prawdą?

Miłosz w rozważaniach nad Dostojewskim miał zwyczaj wracać do jego refleksji, sformułowanej na początku 1854 r. w liście do Natalii Fonwizyny (od której w styczniu 1850 otrzymał w darze Ewangelię, w drodze na katorgę): „Gdyby mi ktoś udowodnił, że Chrystus jest poza prawdą i rzeczywiście by tak było, że prawda jest poza Chrystusem, wolałbym pozostać z Chrystusem niż z prawdą”.

Pozwoliło to Miłoszowi AD 1999 sformułować taką nieoczekiwaną konkluzję:

„Bodaj Simone Weil mówiła, że to jest bardzo niebezpieczne stawianie sprawy. Ktoś, kto szuka prawdy bezinteresownie, jeżeli jest zupełnie bezinteresowny, to w końcu natrafi na Chrystusa. Natomiast to przeciwstawienie u Dostojewskiego to jest najlepsza droga właśnie do fałszywego Chrystusa, czyli takiego, jakiego my sobie wyobrażamy. A szczególnie może to być droga do Chrystusa przyniesionego na »ostrzach rosyjskich bagnetów«”.

Redaktorzy „Więzi” przytomnie replikują: „Chrystus u Dostojewskiego jednak nie jest przynoszony na bagnetach... Tak naprawdę On się pojawia rzadko u Dostojewskiego; pojawia się w Legendzie o Wielkim Inkwizytorze, gdzie po prostu milczy. Nie jest to więc Chrystus imperialny, raczej można powiedzieć, że przez jakiś imperializm jest tłamszony”.

Miłosz w odpowiedzi odwołał się już nie do Dostojewskiego, ale do apologetycznego wobec bolszewików poematu Błoka: „Niestety, przypomina mi się Chrystus poety Aleksandra Błoka (...) na czele oddziału bolszewików-gwardzystów: »i w białom wienczykie iz roz/wpieriedi Isus Christos«, »w białym wianuszk z róż na przedzie Jezus Chrystus«. To poemat »Dwunastu«, napisany zaraz po rewolucji”.

Miłosz w tej swojej późnej ocenie Dostojewskiego wszedł więc poniekąd – tylko że oczywiście wartościując negatywnie – śladami rzeźzonego Łunaczarskiego, który w końcówce artykułu o twórcy „Zbrodni i kary” uznał go właśnie za nauczyciela sympatyzującego z bolszewikami Błoka:

„Błok, zmarły Błok, był w stopniu wystarczającym uczniem proroczym, aby umieć kroczyć przed nami poniekąd w stylu Dostojewskiego. (...) Rosja maszeruje do przodu drogą bolesną, atoli chwalebna, a za nią – błogosławiać ją na tej drodze – stoją postacie jej wielkich proroków, A wśród nich, być może, najczarowniejsza i najpiękniejsza jest postać Fiodora Dostojewskiego”.

Jeszcze w rozmowach z Renatą Gorczyńską (1983) Miłosz przyznawał, że lektura „Braci Karamazow” była dlań powrotem do „skarbów” dzieciństwa – do tych jasnych wspomnień, które ratują człowieka w chwilach wygnania i rozpadu. Dostrzegał zatem również u Dostojewskiego motyw ocalającej pamięci – obecny choćby w postaci Aloszy. Z czasem jednak patrzył na niego z ironią, widząc w nim naiwną figurę chrześcijańskiej odnowy Rosji.

Znacznie poważniej traktował Iwana Karamazowa i jego bunt wobec cierpienia niewinnych. Uznawał „Legendę o Wielkim Inkwizytorze” za przerażającą diagnozę: współzucie dla ludzkości może prowadzić do współpracy z diabłem. W późniejszych interpretacjach zdarzało mu się jednak utożsamiać tezę Iwana z samym Dostojewskim – co wydało się uproszczeniem, bo dramat powieści polega właśnie na napięciu między autorem a jego bohaterem.

Dostojewski badał choroby ducha

Co badał? Śródtytuł nawiązuje do jednej z wcześniejszych wypowiedzi Miłosza o rosyjskim pisarzu, obecnej już w tekście z 1994 r., gdzie wyznaje on, że nigdy nie podobało

pierwszy zwrot ku Chrystusowi był zwróceniem się ku obrazowi Chrystusa z tej właśnie »Legendy«”.

W jednym wszelako obaj interpretatorzy byli zgodni – tam, gdzie odrzucali a priori (jak Bierdiajew) albo nic o niej nie wiedząc (jak Miłosz) tezę Stalina, że „Dostojewski był wielkim psychologiem”. Oni sami bowiem tę niezaprzeczalną wielkość dostrzegali w tym, że Dostojewski umiał wnikliwie opisać także metafizyczne, a nie tylko scjentystyczne podstawy rewolucji rosyjskiej jako „rewolucji ducha”.

W szkicu zatytułowanym znamienne „Dostojewski teraz” (1992) Miłosz sformułował takie przenikliwe spostrzeżenie: „I Wielki Inkwizytor, i Cesarz Ziemi [z „Opowieści o Antychryście” Władimira Solowjowa] są przykładem, jak łatwo zwodzi nas na manowce miłość człowieka. (...) Ta kłamliwa miłość do człowieka wiele wyjaśnia w rewolucji bolszewików”.

Historia spuszczonego z łańcucha

Miłosz wygłaszał w latach 1972-80 w Berkeley cykl wykładów o Dostojewskim, co później tak wspominał (1994):

„Wykładać Dostojewskiego, kiedy to, co powiedział, dokonało się na Solówkach, w Wroklawie, w Oświęcimiu i Treblince. Może [amerykańscy] słuchacze nie chcieli związku pomiędzy ideami i ich następstwami w praktyce, ale ja dostatecznie wiedziałem, że istnieje”.

Tam też Miłosz zwierza się, że wśród jego „najbardziej rozgarniętych amerykańskich słuchaczy” – a byli pośród nich nawet i amerykańscy młodzi profesorowie – z uznaniem się spotykało, że on sam „nie bał się wypowiadać są-

W 2023 roku znany szeroko w putinowskiej Rosji „misjonarz”, pop Andriej Tkaczow, nawoływał, by Rosja bombardowała „bezbożną Ukrainę” z modlitwą na ustach. Wzorem Suworowa

mu się „przyrzadzanie Dostojewskiego we freudystycznym sosie, czyli rozpatrywanie go wyłącznie jako geniusza intuicji psychologicznej”: „Zmuszony wybrać, wolałem jego metafizykę”, czy, „jak chce [filozof Nikołaj] Bierdiajew, jego pneumatologię”.

Droga Bierdiajewa do Dostojewskiego była podobna do Miłoszowej i niemało jest też u polskiego interpretatora odwołań do rosyjskiego autora, wszelako jedna fundamentalna sprawa bardzo ich obu różniła. Miłosz, powtórzmy, imputuje w 1999 r. Dostojewskiemu, że głosił „rosyjskiego Chrystusa przynoszonego na bagnetach”, formułując to jeszcze bardziej wyraziście w wywiadzie udzielonym Zbigniewowi Podgórcowi latem 1981 r.:

„Dostojewski prorokował najgorsze, co mogło się wydarzyć: zachodni socjalizm, na którego czele stanąłby bosa »papież«. Dostojewski miał jednak nadzieję, że Rosja uratuje Europę od tego losu, przynosząc jej »rosyjskiego Chrystusa« na ostrzach bagnetów”.

Bierdiajew natomiast twierdził w tym kontekście coś zgoła odwrotnego: „W młodości z przenikliwą ostrością zapadł w moją duszę temat »Legendy o Wielkim Inkwizytorze«. Mój

dów reakcyjnych, na przykład, że istnieje dobro i zło”...

Polski poeta niejednokrotnie wracał do związków dojrzałego Dostojewskiego z reżimem carskim, co łączył z jego „rosyjskim mesjanizmem”, samemu Miłoszowi obcym nie tylko jako wersja rosyjska, ale także i polska, reprezentowana skądinąd przez jego ukochanego Mickiewicza:

„Chrześcijanie nieraz się wzajemnie wyrzynali w imię swoich wyobrażeń o tym, czym ma być Kościół, czyli Nowy Izrael, ale na naród wybrany nie było w chrześcijaństwie miejsca. Jeżeli, jak to zrobił Mickiewicz, podaje się naród za zbiorowego Chrystusa, jest to nie tylko sprzeczność, ale bluźnierstwo, niewiele lepsze niż to, jakie był gotów popełnić Konrad, nazywając Boga carem”. Zdaje się, że „idea polska” znakomicie przylega do „idei rosyjskiej”, tyle że stanowi jej dokładną odwrotność.

Już w dużo wcześniejszej „Rodzinnej Europie” (1959) podkreślał, że „Ustęp III części Działów” (owo słynne „Do przyjaciół Moskali”) „jest dlatego tak celny, że nienawiść do monarchii absolutnej łączy się w nim ze współzuciem dla jej ofiar, czyli rosyjskiego ludu”.

W samym Dostojewskim Miłosz dostrzegał natomiast to, że jego współzucie i miłość do ludu rosyjskiego wiązały się nierozdzielnie z poparciem monarchii absolutnej Rosji. Jeśli Miłosz w tym samym miejscu dopowiada, że „siła motoryczna Dostojewskiego tkwi w jego [„reakcyjnym i antysemitycznym”] »Dzienniku pisarza«,” musimy to przeciwieć dopełnić jego tezą, że Dostojewski nie tylko przewidział w „Biesach” późniejszą rewolucję rosyjską, ale i – tutaj wspólnie z Nietzsche – „postawił diagnozę czegoś”, co sam Miłosz określał jako „erozję wyobraźni religijnej”.

Erozja ta skądinąd dokonała się na podłożu quasi-religijnym, bo przecież demoniczne postaci z powieści Dostojewskiego – choćby Aleksej Kirillov z „Biesów” albo Iwan Karamazow – były figurami jak najbardziej „wierzącymi”.

Miłosz zdawał sobie z tego oczywiście sprawę, bo jeszcze w 1981 r. na pytanie Zbigniewa Podgórcza, czy pisarz Dmitrij Mierieżkowski miał rację, gdy „ochrzcił Dostojewskiego mianem »proroka rewolucji rosyjskiej«,” na długo przed przewrotem październikowym, „świeżo upieczony noblista odparł:

„Zdanie jest słuszne. Chodzi jednak o rewolucję jako zjawisko raczej religijne niż społeczne, dokonanie wyboru pomiędzy Bogiem-człowiekiem i Człowiekiem-bogiem, na rzecz tego ostatniego, z zacięłością do Boga nieznaną w zachodnich ruchach rewolucyjnych”.

Czuję się tu w obowiązku uzupełnić, że późny Dostojewski konsekwentnie nie przyznawał prawa do czynów dobrych ogółowi ludzi w Boga niewierzących, tak to wywodząc w liście do czytelnika na początku 1878 r.:

„Niechże Pan wyobrazi sobie, że nie ma Boga i nieśmiertelności duszy (nieśmiertelność duszy i Bóg to jedno, jedna i ta sama idea). Niech mi pan powie, po co mam wtedy żyć uczciwie, czynić dobro, jeżeli wszystek umrę na tej ziemi. (...) A jeśli tak, to dlaczego mam nie zarządzać innego, nie ograbić, nie okraść albo, jeśli już nie zarządzać, to po prostu nie pożyc sobie kosztem innego, dla swego kłopotu? Przecież umrę, wszystko umrze, niczego nie będzie!”.

Miłosz – mimo że niezwykle cenil już od lat 50. heroicznego i „dobrze czyniącego” ateistę Alberta Camusa – tego fundamentalnego pro-

blemu w stosunku do Dostojewskiego nigdy czemuś nie podjął. Gdy zaś w 1994 r. wspominał mimochodem – ale przecież i z aprobatą! – owego bezimiennego oficera z „Biesów”, który pytał „Jeśli Boga nie ma, to jaki ja kapitan?”, to we mnie rodzi się nieuchronnie pytanie, czy taki „wierzący kapitan” nie udałby się czasem teraz z bronią w rękę na wojnę przeciw Ukrainie? Tymczasem już w bardzo późnym (2002) wierszu „Jeżeli nie ma” czytamy u Miłosza:

„Jeżeli Boga nie ma,/ to nie wszystko człowiekowi wolno./ Jest stróżem brata swego/ I nie wolno mu brata swego zasmucać,/ opowiadając, że Boga nie ma”.

Ale i tutaj nie ma – inaczej niż u Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który bronił np. „świętego Szalamowa”, choć ten był zagorzałym ateistą - Miłoszowej solidarności z takimi jak autor „Opowiadań kołymskich”, ale jedynie (i aż) nadzieją poety – zmierzającego nieuchronnie do innego świata – że Bóg jednak istnieje.

„Rosyjski Chrystus” na wojnie?

To pytanie nie jest wcale bezzasadne, w sytuacji gdy w maju 2022 r. Rosyjska Cerkiew Prawosławna poinformowała, że poważnie rozważy inicjatywę ówczesnego ministra obrony Siergieja Kuźugietowicza Szojgwa, aby wszcząć proces kanonizacyjny XVIII-wiecznego feldmarszałka Aleksandra Suworowa. Generalissimusa znanego u nas głównie z rzezi Pragi podczas insurekcji kościuszkowskiej w listopadzie 1794 r. i opisanego nie tylko w koncercie Jankiela z XII księgi „Pana Tadeusza”, ale i przez Marię Konopnicką w jej przejmującej „Rzezi Pragi”:

„A przez trupy do Warszawy/ Sam Suworow wchodzi krwawy!// Suworowie! Półki żyjesz/ Krwi tej z rąk twych nie obmyjesz!// Imię będziesz miał u świata/ Nie żołnierza – ale kata!”.

wyborcza

REDAKCJA
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

Telefon: 22 555 66 00
(czynny w dni powszednie w godz. 10-17);
E-mail: redakcja@wyborcza.pl

Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik

PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY
WYBORCZA.PL: Roman Imieliński
ZASTĘPCY: Agata Zelazowska, Bartosz T. Wierliński
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
KOLPORTAŻ: Michał Szalański
Problemy z dostępnością „Wyborczej” lub z właściwą mutacją lokalną: kolportaz@wyborcza.pl
Prenumerata cyfrowa: prenumerata.wyborcza.pl; pomoc@wyborcza.pl, 22 555 54 55, 519 255 455
Inne formy prenumeraty:
wyborcza.pl/prenumerataGW
Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych:
facebook.com/wyborcza, bsky.app/profile/wyborcza.pl, instagram.com/gazeta_wyborcza
LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl

WYDAWCA
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
PREZESKA ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
REKLAMA
Dyrektor sprzedaży: Bartosz Wysocki
Biuro reklam i ogłoszeń:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
reklama@wyborcza.pl, 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DRUK: Polska Press
ISSN 0860-908X
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Tymczasem już w naszych czasach, w marcu 2023 r., znany szeroko w putinowskiej Rosji „misjonarz” RPC pop Andriej Tkaczow nawoływał z Moskwy, aby Rosja bombardowała „bezbożną Ukrainę” z modlitwą na ustach, wzorem tegoż Suworowa:

„Tak jak pisał on w »Nauce zwyciężania«: »Bez modlitwy szpady nie obnażaj, broni nie ładuj«. Bez modlitwy pakietu Gradów zatem nie uzbrajać! Podczas lądowania każdego pocisku mówić: Gospodi, pomiluj, Gospodi, pomiluj, Gospodi pomiluj”.

Z kolei capo di tutti capi, patriarcha RPC Cyryl, w listopadzie 2024 r. na moskiewskim spotkaniu Czas Bohaterów, honorując zbiorów z antyukraińskiego frontu, przedstawił swoją wizję autorską „rosyjskiego Chrystusa”. Stwierdził ze śmiertelną powagą, odwołując się do I Listu św. Pawła do Koryntian: „Usunięcie złego spośród was samych”, że Chrystus nigdy się nie wypowiadał przeciwko karze śmierci!

Tutaj to by nawet Dostojewski postawił we-to, bo już w tych znanych Miłoszowi, a opublikowanych w ZSRR w 1971 r. notatkach, zapisał nieprzypadkowo ważne refleksje: „Moralny ideał i wzór jest dla mnie jeden – Chrystus. Zapytam – czy spaliliby on heretyków? Nie. Czyli że palenie heretyków jest postępkiem niemożliwym”.

Skoło zatem istnieje książka „Abecadło Miłosza” (1997), to gdyby ktoś układał podobnie pożyteczny zbiór o Dostojewskim, fragment powyższy byłby wprost idealny do hasła „Jezus Chrystus”. Ten bowiem obraz Pana Jezusa jest nie tylko całkowicie sprzeczny z tym, co głosi o Nim obecny patriarcha Cyryl, ale również – na szczęście – nie ma on naprawdę nic wspólnego z owym „Chrystusem na bagnietach”, tyle razy pochopnie przywoływanym przez Miłosza w kontekście Dostojewskiego.

Rosyjski pisarz skądinąd – mimo że rzeczywiście uznawał prawosławie za jedyną prawdziwą wiarę – nigdzie nie użył figury „rosyjskiego Chrystusa”.

Jak Putin manipuluje Dostojewskim

W czerwcu 2022 r. opublikowałem w „GW” tekst, w którym wyraziłem przekonanie, że pomarłych już dawno temu pisarzy rosyjskich nie ma co obarczać winą za to, co Rosja wyprawia teraz w Ukrainie. „Za Buczę i Mariupol nie są odpowiedzialni Dostojewski ani Tolstoj. Ani sprawiedliwi Rosjanie, którzy działają przeciw Putinowi nie od dziś. A i tak zbierają cięgi za to, że są Rosjanami”.

Wywołało to – tylko w kwestii Dostojewskiego – polemiczną refleksję prof. Andrzeja de Lazari, który ogłosił niebawem w tejże „GW”, że z Tolstoja jako „pacyfisty, nauczyciela Mahatmy Gandhiego, wykluczonego z prawosławnej Cerkwi za swoje poglądy” odpowiedzialność osobiście zdejmuję, ale z Dostojewskiego absolutnie nie: „Mówię tu, rzecz jasna – kontynuował wybitny rosjoznawca – o pośredniej winie rosyjskiego ideologa skrajnego nacjonalizmu, a nie o winie autora »Zbrodni i kary«”.

Prof. de Lazari odwołał się zarazem do osobistego udziału Putina – na trzy miesiące przed najazdem na Ukrainę – w otwarciu Moskiewskiego Domu Dostojewskiego, co miało być kontynuacją wystąpienia włodarza Rosji na plenarnej sesji Klubu Władał jesienią, w zło-wrogim już 2021 r. Ponieważ zaś wtedy Putin „zarysował ideologię »zdrowego konserwatyzmu« dla Rosji”, to mój druh Andrzej oznajmił, „że i Dostojewski nie jest tutaj bez winy”.

Przy okazji nie zawahał się wyrazić aprobaty dla pokutującej już od dziesięcioleci tezy historyka Ronald Hingleya, który w pracy „The Undiscovered Dostoyevsky” (1962) stwierdził ni mniej ni więcej, że „porównania między »Dziennikiem pisarza« Dostojewskiego a »Mein Kampf« są uzasadnione”.

W twórczości publicystycznej Dostojewskiego – już po uwolnieniu z zesłania – można rzeczywiście bez trudu odnaleźć takie idee i wątki, które i dzisiejszemu Putinowi oraz Cyrylowi obce nie są. Pisarz stwierdził np. już w 1861 r., że Rosjanie nie mogą stać się Europejczykami, bo nie potrafią i nie chcą wcisnąć

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Katarzyna

Kuczyńska-Koschany*

Mobilne punkty niezłomności

Wierze i Katii

Nie ma we mnie światła.

Jest nawyk życia

którego nie wolno

porzucać

jak męża

mimo że ma już tylko

uszy Karenina.

Nie wolno?

Mobilne punkty niezłomności

tym razem w Warszawie.

Przyjechały piękne anarchistki

z Kijowa i Drohobycza

rozsiewają ziarna nadziei

na mrozie.

Rozdają imperatywy kategoriyczne

mówią językami ludzi i ptaków

mówią

pisz i płacz w ciemności

bo tylko tak zdobędziesz dobro którego

nie zdobędziesz.

W Ukrainie śmierć nie bywa.

Wolność tam zagościła na zawsze.

Zaraz stopnieje śnieg.

Zaraz zakwitną słoneczniki.

Ptaki ukryją się w dziuplach.

Ludzie – w metrze.

Schrony wypełnią się śpiewem.

Miłosne noce – wierszem.

Sny jeńców – domem.

Dzieci porodzone w bombardowanych

kllinikach pójdą na groby ojców

włożą małe rączki w skamieniałe

dłonie matek.

W 1448. dniu Wielkiej Wojny w Ukrainie



*Katarzyna Kuczyńska-Koschany - ur.

w 1970 r., profesorka, literaturoznawczyni, eseistka, poetka. Autorka m.in. książek o Rillem i Tuwimie. Wydała tomy poetyckie „Zielony promień” i „Łania w styczniu”. Wiceprzewodnicząca Komitetu Nauk o Literaturze PAN, członkini Otwartej Rzeczypospolitej i Polskiego PEN Clubu.

się w zachodnie sztampy życia, tak samo jak nie potrafią nosić cudzego ubrania, nie na ich miarę szytego:

„Przekonaliśmy się wreszcie – przywołuje de Lazari Dostojewskiego jeszcze sprzed jego pierwszej podróży na Zachód w 1862 r. – że jesteśmy także odrębną narodowością, w najwyższym stopniu samoistną, i że nasze zadanie polega na stworzeniu nowej formy, naszej własnej, rodzimej, wziętej z gleby naszej, z ducha narodowego i zasad narodowych”.

W kontekście Putina wybrzmiewa to dziś rzeczywiście złowrogo, ale w czasach Dostojewskiego taka „narodowa samoistość” była normą, także i w krytykowanej przez pisarza Europie. Zresztą krytykowanej tylko w jej nowych rewolucyjno-socjalistycznych zapędach, a podziwianej – i to jak! – w dawnym, religijnym wymiarze.

Nieprzypadkowo w powieści „Młodzik” (1875) Wiersiłow – często przemawiający głosem autora – wyznaje, że Rosjanin potrafi czuć się w Europie jak u siebie: jej historia, sztuka i „stare kamienie” są mu drogą niemal jak własna ojczyzna. Europa była dla niego „drugą ojczyzną”, przestrzenią duchowego pokrewieństwa, nie tylko politycznym przeciwnikiem.

A dlaczego te „stare kamienie” są Rosjanom droższe? Dlatego – jak twierdzi z goryczą Wiersiłow – że „mają oni teraz zupełnie inne myśli, inaczej odczuwają, i nie są im już drogie stare kamienie”. A w obliczu tego ja sam jestem najgłębiej przekonany, że Dostojewski na pewno by się dzisiaj gorąco opowiedział przeciwko Unii Europejskiej – jako „lekceważącej stare kamienie” religijnej Europy.

Ale czy Dostojewski poparłby dzisiaj Putina? Przypomnijmy, że gdy odwieczny włodarz Rosji przybywał 10 października 2006 r. do Drezna, aby odsłaniać wspólnie z Angelą Merkel wzniesiony tam pomnik Dostojewskiego, wyraził aprobatę jego tezy, że „piękno zbawia świat”. To zaś – zdaniem ówczesnego Putina – należy „odnosić do harmonii między ludźmi”, przy czym prezydent FR dobitnie jeszcze podkreślał, iż „żyjemy we wspólnej europejskiej przestrzeni”.

Ani owa „europejska przestrzeń” winna tu oczywiście nie była, ani winy nie ponosiło też to „piękno, które zbawia świat”, ani nawet sam biedny Dostojewski. W końcu nie jego to вина, że Putin (bez wnikliwego czytania nawet) aż tak bardzo go chwali, podbierając oczywiście – dzięki doradcom – cytaty i odniesienia na każdą stosowną okazję. Podczas obecnej wojny Putin wysługuje się Dostojewskim podczas swej totalnej już teraz krytyki Zachodu, jak to był uczynił w październiku 2022 r. podczas kolejnego Forum Władałajskiego:

„Wszystko to jeszcze w XIX wieku proroczo przepowiedział Fiodor Michajłowicz Dostojewski. Jeden z bohaterów jego powieści »Bie-sy«, nihilista Szygalow, tak opisał wymyśloną przez siebie świetlaną przyszłość: »wychodzą od bezgranicznej wolności, kończą bezgranicznym despotyzmem«”.

I do tego notabene doszli właśnie nasi zachodni oponenci... Szygalowowi wtóruje inny bohater powieści – Piotr Wierchowien-ski, twierdząc, że konieczna będzie teraz powszechna zdrada, donosicielstwo, szpiegostwo, gdyż społeczeństwo nie potrzebuje ani talentów, ani jakichś wyższych zdolności: »Cy-ceronowi trzeba uciąć język, Kopernikowi wy-kluć oczy, Szekspira ukamienować«. Oto do czego dochodzą nasi zachodni oponenci. (...) Byli ongiś wielcy myśliciele, a ja – uczciwie to powiem – wdzięczny jestem moim pomocnikom, że wyszukali dla mnie ten cytat”.

„Lektura”, którą Putin proponuje, sprzawadza Dostojewskiego do repertuaru użytecznych dla obecnej wojny ideowej z Zachodem cytatów. A gdyby zbrodniarz ten jakimś cudem naprawdę Dostojewskiego przeczytał, może by i dostrzegł w jego lustrze, że Szygalow to wszak prefiguracja KGB-isty, który dziś bardzo by się radował z aż tak pojętnego ucznia. Ten

co prawda nigdy od bezgranicznej wolności nie wychodził, ale na drodze do powszechnego zniewolenia – z cenzurą, donosicielstwem i szpiegomanią – poczynił niemałe postępy.

Zarazem też potrafi, gdy chodzi o literaturę rosyjską, manewrować nie tylko twórczością Dostojewskiego, ale i Czechowa, Sałtykowa-Szczedrina czy Lermontowa. Mistrzostwem wręcz wykazuje się Putin niezmiennie, gdy wykorzystuje obecnie - również zonglując wy-rwanymi z kontekstu cytatami - antyzachodnie filipiki Solżenicyna, który przecież w „Archipelagu Gułag” (1973-75) dosłownie na każdym kroku odrzuca, a priori, putinizm. Ot, choćby w takim arcyważnym (także i w obecnej sytuacji) fragmencie trzeciego tomu tej okrutnej, ale i dążącej przecież w stronę demokratycznych swobód obywatelskich epopei:

„Oprawcy, przeniesieni w stan spoczynku albo nawet kierowani do tych zajęć specjalnie - opiekują się dziś u nas... literaturą piękną i kulturą. Każą samych sobie opiewać jako mitycznych herosów. Uchodzi to u nas (...) za mierz-nik patriotyzmu.

Opinia publiczna! Nie wiem, jak interpretują to pojęcie socjologowie. Dla mnie jest jasne, że być ona może tylko sumą - zależnych od siebie wzajemnie, owszem - ale zupełnie osobistych, jednostkowych opinii, wyrażanych w sposób nieskrępowany i zupełnie niezawisłych od opinii organów państwowych czy partyjnych. I dopóki nie mamy niezależnej opinii publicznej, dopóty nie ma żadnej gwarancji, że nie powtórzy się bezzasadna, masowa rzeź, że nie zacznie się którejkolwiek nocy, tej właśnie nocy, już najbliższej”.

Czyż nie powtórzyła się ona cztery lata temu, mrocznej nocy 24 lutego 2022 r.?

Dzieci z Bałkanów, dzieci z Mariupola

W drugiej połowie XIX wieku Rosja prowadziła liczne wojny - od krymskiej po bałkańską kampanię przeciw Turcji. W czasie tej ostatniej Dostojewski w „Dzienniku pisarza” wołał w uniesieniu, że Konstantynopol powinien należeć do Rosji, widząc w wojnie nie tylko geopolityczną konieczność, lecz także historyczną misję. Zarazem jednak potrafił płakać nad losem bułgarskich dzieci mordowanych przez Turków. W tym napięciu - między imperialnym uniesieniem a współczuciem dla ofiar rodził się dramat jego myślenia.

W tymże „Dzienniku pisarza” z 1876 r. pisał także, że wojna budzi w ludziach poczucie wzniosłości i poświęcenia, a nawet swobodę „radość w duszy”, bo pozwala uczestniczyć w sprawie uznanej za wyższą od siebie. Podpierał tę wizję także tradycją chrześcijańską, twierdząc, że dopóki świat nie dojrzał do ewangelicznego pokoju, miecz pozostaje historycznym faktem.

Jednocześnie jednak wyraźnie zaznaczał, że jeden rodzaj wojny jest naprawdę odrażający - wojna domowa, bratobójcza, która rozkłada państwo i deprawuje naród na pokolenia. Jeśli więc dzisiejszą wojnę Rosji przeciw Ukrainie uznać za konflikt „wewnątrz jednego świata”, to właśnie według tej logiki musiała by ona zostać potępiona.

Bo krew - jak sam pisał pod koniec życia - nabiera mocy nie dla katów, lecz dla ofiar. Prawo krwi nigdy nie działa na korzyść sprawców zbrodni. A oplakiwane przez Dostojewskiego dzieci Bałkanów z 1877 r. mają dziś swoje odpowiedniki w Mariupolu, Chersoniu, Charkowie, Odessie i Kijowie. ●

Tytuł tekstu - „Wyborcza”

*Grzegorz Przebinda

• ur. w 1959 r., rusycysta i historyk idei, profesor UJ. W 2023 r. ukazał się jego dziennik pierwszego roku wojny Rosji przeciwko Ukrainie „Ostatnia wojna Putina. Rozprawa filologa z Rosją”. W 2025 r. wydał drugi tom dziennika „Umarli są szczęśliwi? Dziennik trzeciego roku wojny”.



Moi rodzice

Z INNEJ PLANETY



Któregoś dnia babcia powiedziała:
„Jak twoja mama wróciła z obozu, to spała z butami pod poduszką”.
To mnie bardziej przeraziło niż wszystkie opowieści o wojnie.

Z MAŁGORZATĄ WRYK ROZMAWIA WOJCIECH SZOT

WOJCIECH SZOT: Pani ojciec, Edward Serwański, prawnik i historyk, podczas II wojny światowej działał w podziemiu, był emisariuszem Biura Zachodniego Delegatury Rządu na Kraj, brał udział w powstaniu warszawskim. Po wojnie siedział w ubeckim więzieniu. Mama, Wanda z domu Krawiec – łączniczka AK i harcerka Szarych Szeregów – przeszła przez śledztwo gestapo, poznański Fort VII, obóz w Żabikowie, skąd trafiła do Auschwitz-Birkenau. Jak się dorasta, mając takich rodziców?

MAŁGORZATA WRYK*: Zwyczajnie, jak w innych domach, choć z wojną i ubeckim nękaniem w tle. Objawiało się to pogłosami, tajemniczymi wzmiankami, napomknieniami, przypadkiem podsłuchanymi rozmowami dorosłych, sekretnymi wtrąceniami. Albo nagłymi wybuchami. Pamiętam, jak oglądałam film, na którym ludzie w dziwnych postrzępionych ubraniach w paski byli pędzeni gdzieś przez kroczących sztywno, ubranych w eleganckie mundury wartowników. Byłam dzieckiem. Wydawało mi się to po prostu śmieszne. Jak zabawa w berka. Zaśmiałam się. Oberwałam w lepetynę od starszego o osiem lat brata, późniejszego historyka. Mama w mojej obronie nakrzyczała na niego: „Maciek, przecież to dziecko! Jeszcze nie rozumie!”.

Do dziecka bardzo powoli dociera, czym jest wojna. Że nie można sobie z niej robić żartów. Ale jak dziecku wyjaśnić, czym były komory gazowe?

Któregoś dnia babcia powiedziała coś w rodzaju: „Jak twoja mama wróciła z obozu, to spała z butami pod poduszką”. To mnie bardziej przeraziło niż wszystkie opowieści o wojnie. To, o czym nie mówiło się w domu, było w szkole. Bombardowania, mordowanie, egzekucje, obozy... Ale to wizja mamy śpiącej z butami pod poduszką była dla mnie najstraszniejsza.

Wszystko to gdzieś się odkładało, osadzało. Ale co miałam z tym zrobić? Jak to zrozumieć? Nie wiedziałam. Chyba nikt nie wiedział. I nikt się tym szczególnie nie przejmował. Tak po prostu było. Ale o pewnych sprawach się nie mówiło, a szczególnie na zewnątrz: w szkole, na podwórku. Na przykład o tym, że ojciec siedział w więzieniu. To była jakaś mroczna historia, wiedziałam, że go spotkało coś strasznego, ale nie śmiałam pytać.

Jakim małżeństwem byli pani rodzice?

– To było tak zwane kochające się małżeństwo. Nie byli osadzeni w dramatach. Mieli do nich dystans. Nie słyszałam w domu w ogóle takich słów, jak: poświęcenie, patriotyzm, ofiara, bohaterstwo, krzywda, pomsta. Myślę, że to by było dla nich nieprzyzwyczajone tak mówić. To, co robili, to była dla nich po prostu służba, obowiązek: „Ramię pręż, ducha też, Ojczyźnie milej służ!”. Przecież właśnie to przysięgali w harcerstwie. Nie chcieli nas, mnie i braci, obciążać swoim cierpieniem. A myśmy, znowu, z lęku o nich, bali się pytać. Ja zawsze miałam poczucie, że żalowałam ich bardziej niż oni sami siebie.

Byli wobec siebie bardzo solidarni. Kiedyś zapytano mnie, czy rodzice licytowali się na swoje nieszczęścia. Zaskoczyło mnie to pytanie, ale po chwili pomyślałam, że przecież mogłoby się tak wydarzyć. „Moje Auschwitz było gorsze niż twoje ubeckie kazamaty”. Tymczasem niczego takiego nie było. Z dzisiejszej perspektywy wzrusza mnie to, jak ojciec chronił mamę. Wiedział, że przeżyła piekło, i dbał o to, by być wobec niej uważnym, delikatnym. Zawsze nas upominał, żeby nie trzaskać drzwiami, nie hałasować, gdy śpi.

Myślę, że próbował mamie wynagrodzić to, że nie mógł się nią zaopiekować tak, jak by chciał. Był od niej prawie o 10 lat starszy, do końca życia mówił do niej: „Wando, dziecko!”.

W latach 60. dostał od państwa odszkodowanie za stalinowskie więzienie. To była karykatura tego, co powinien był dostać. Czuł się tym upokorzony. Mówił, że jeden zbrodniczy rząd go skazał po sfignowanym procesie, a drugi go „zrehabilitował”. Akurat wtedy nadarzyła się możliwość wyjazdu na wycieczkę do Rzymu, w cenie tego nędznego odszkodowania. Pojechała na nią mama, nie ojciec. Z kolei mama, po podstępym uprowadzeniu ojca z ulicy przez UB, nie lękała się go szukać w bandyckich ubeckich urzędach.

Wie pan... to było pokolenie ulepione z innej gliny. Dorastali w czasach tuż po odzyskaniu niepodległości, byli zakochani w Polsce, zanurzeni w tej polskości. Ze swoich wielkopolskich domów z surowym, nierozpieszczającym dzieci wychowaniem, z pilnie strzeżonymi rygorami moralnymi, a także, później, z harcerstwa, wynieśli potrzebę działania w duchu obywatelskim i patriotycznym. Stąd też pewnie poczucie odpowiedzialności za swoje czyny i ćwiczenie się w samodyscyplinie. Im po prostu nie wypadało się skarżyć, marudzić, wyjękiwać. Jednocześnie umieli cudownie cieszyć się życiem.

No i ta kultura bycia, ta dżentelmeneria w stosunku do kobiet, czyli „niewiaś”, to poczucie humoru! A jak

oni pięknie śpiewali na harcerskich ogniskach! Gdy zaś nadchodził czas odejścia na wieczną wartę, dyskretnie się żegnali, łamiącym się głosem „odmeldowywali się”, nawet przez telefon, życzyli sobie wtedy: Dzielości!

Byłam świadkiem jednej takiej rozmowy mamy i ojca z ich ponaddziesięcioletnim przyjacielem z konspiracji – nie zapomnę... Oni chyba naprawdę pochodzili z innej planety niż ta, która nastąpiła po wojnie.

Czy po wojnie utrzymywali kontakt z osobami o podobnych doświadczeniach?

– Mama utrzymywała wiele towarzyskich kontaktów z osobami, które przeżyły obozy koncentracyjne. Natomiast zawsze odmawiała uczestnictwa w formalnych gremiach i zebraniach kombatanatów, a także oficjalnych uroczystościach, obchodach rocznic itd.

Któregoś dnia przyszedłam do domu i zastałam ją bardzo zdenerwowaną. Okazało się, że dzwoniły jej koleżanki harcerki – oświęcimianki; tak się wtedy mówiło o więźniarkach Auschwitz. Poprosiły, by mama przyszła do jakiejś szkoły na pogadankę o obozie. – Ale to chyba dobrze, że one chodzą i opowiadają o tym, co przeszły – próbowałam ją uspokoić. – Tak, niech chodzą, bardzo dobrze robią, ale ja nie zamierzam opowiadać o tym, gdzie i kto mnie tłukł – odpowiedziała. Bardzo była podenerwowana.

Do końca życia oboje działali w Komisji Historycznej ZHP. Ojciec mówi, że harcerstwo było najpiękniejszą przygodą jego życia. Przed wojną, w 1937 roku, był już podharcemistrzem. W czasie okupacji współtworzył siatkę Szarych Szeregów i tajnego nauczania w Wielkopolsce. Jego kolegą z konspiracji był twórca i pierwszy naczelnik Szarych Szeregów Florian Marciniak, Wielkopolek, zamordowany przez hitlerowców. Po wojnie ojciec dokumentował pamięć o poległych przyjaciółach, harcerkach i harcerzach: tablice pamiątkowe, msze wspominkowe, opracowania historyczne. Bardzo się to nie podobało komunistom, ale robił swoje – był pewnie dla nich denerwująco niepokorny.

Dla ojca ważne było, żeby przetrwały opowieści o wojnie. Jako historyk czuł się kustoszem służby, z benedyktyńską cierpliwością zbierał materiały dowodowe, badał źródła, prowadził szeroką korespondencję, dużo publikował. To on namówił mamę, żeby opowiedziała mu swoje przeżycia z obozów koncentracyjnych, które spisał ręcznie, potem na maszynie. Ta cenna relacja kończy się raptownie, gdy mama wychodzi z tyfusu w Auschwitz, i dalej nie ma nic... nie wiem dlaczego.

Martwił się o to, kto opracuje czas reżimowego bezprawia lat 50., ale z akcentem nie na opisy cierpienia i heroizmu, ale straty, jakie poniosło zniewolone państwo i jego obywatele. Żalował, że nie zdążył spisać relacji swoich przyjaciół ze śledztwa, procesu i uwięzienia. Niektórzy zostali w nich zamordowani, inni odbierali sobie życie już na wolności, zaszczucia przez reżim. Czasem sobie myślę, że to ubeckie więzienie musiało być dla nich gorsze niż hitlerowskie obozy. Bo to jednak Polacy Polakom ten los zgotowali.

Czym rodzice się zajmowali po wojnie?

– Mama doszła do stanowiska dyrektorki w wydawnictwie naukowym przy Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Była jedną z bardzo nielicznych kobiet piastujących tak wysokie stanowisko, zawdzięczała to wyłącznie swoim kompetencjom. I w dodatku była niepartyjna!

Prawda jednak była taka, że mama wcale nie chciała być redaktorką. Już od dziecka marzyła o studiowaniu medycyny. I po wojnie też wybierała się na studia medyczne. Ojciec jej to odradzał. Chyba miał jakieś przeczucie.

W grudniu 1945 roku wzięli ślub, a już w styczniu 1946 roku do więzienia trafił brat mamy, szef kontrwywiadu AK Bernard Krawiec Zakrzewski „Oskar”, potem jego żona Halina Zakrzewska „Beda”. Tymczasem na świecie pojawił się mój najstarszy brat, Maciej. To było tak zwane oświęcimskie dziecko, czyli urodzone zaraz po Auschwitz, wątłe, nieustannie chorujące. W tych okolicznościach nie tak trudno było przekonać mamę, by jednak poszła na „łżejsze” studia niż medycyna. Zdecydowała się na polonistykę. Wkrótce potem, już po aresztowaniu ojca, jako niepracująca studentka, znalazła się w bardzo trudnej sytuacji; bez środków do życia, z małym synkiem i starą matką na utrzymaniu. Co więcej, przysparzała półtoraroczną córeczkę swojego brata Bernarda.

Piękny gest okazał wtedy wobec niej profesor Zygmunt Wojciechowski, podczas wojny kierownik Wydziału Nauki Delegatury Rządu RP na Kraj i założyciel Instytutu Zachodniego. Zatrudnił ją bowiem jako korektorkę, chociaż o tej pracy, naturalnie, nie miała żadnego pojęcia, co więcej, wypłacał mamie pensję jej męża. Ile jeszcze osób, w tych barbarzyńskich czasach, ośmieliło się przyjąć do pracy żonę „wroga ludu”?!

◀ **Wanda Serwańska z domu Krawiec, podczas zabawy ze swoim kuzynem Kazimierzem Lehmannem, po wojnie profesorem Akademii Rolniczej w Poznaniu. Zdjęcie wykonano prawdopodobnie w 1938 roku w Kwilczy koło Międzychodu, rodzinnej wsi Kazimierza**

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



Małgorzata Wryk

filolożka, tłumaczka, pisarka, w 2023 roku ukała się jej książka „Opowieść mojej mamy”.



Ojciec był historykiem. Po wyjściu z więzienia do końca życia zajmował się pracą naukową. Nieustająco pracował, do późna w nocy w jego gabinecie stukąła stara, wysłużona Erica. Nigdy nie zabierał się za łatwe, bezpieczne polityczne tematy. Ciągłe mu się za to obrywało od UB i cenzury. Szantaże, nękanie, anonimy, wykradanie poczty, podsłuchy, trudności z publikowaniem, opóźnianie kariery – tytuł profesora otrzymał dopiero w wieku lat siedemdziesięciu.

Inwigilowany przez ponad 45 konfidentów bezpieki (tajnych współpracowników i kontakty operacyjne) aż do początków lat 80. niezmordowanie „robił swoje”. W jego aktach w IPN są nawet meldunki agentów o kawałach politycznych, które z wielkim ukontentowaniem opowiadał na towarzyskich imprezach.

Gdy pisał o konspiracji w Wielkopolsce, było to pod prąd ówczesnej komunistycznej narracji politycznej, cenzura ingerowała 400 razy! Nie podobało się na przykład to, że słabo akcentował nurt lewicowy i ludowy, np. rolę Batalionów Chłopskich w konspiracyjnym państwie podziemnym. Albo kiedy pisał o pierwszym niemieckim obozie zagłady Żydów w Chełmie nad Nerem, w którym wymordowano 200 tys. osób, to „użerał” się z cenzurą o wiele kwestii, w tym o to, żeby nie wyrzucić z tytułu książki wyrazu „Żydów”. Tę batalię przegrał, poddał się, inaczej książka wcale by nie wyszła, a był to dopiero rok 1964! Do hańbiącego 1968 roku były jeszcze cztery lata!

Pisywał też artykuły do gazet, felietony, memoriały, ekspertyzy, a z łżejszych form – w społecznej misji – pro publico bono skargi i zażalenia na komunistyczne instytucje i urzędy. I było to dla niego – surowego, ciętego krytyka, ale jednocześnie finezyjnego ironisty – bardzo wdzięczne pole do popisu, bo tematów do opisywania klęsk reżimowego systemu, nieszczęsne, nieudolne państwo socjalistyczne dostarczało codziennie bez liku.

A miał dla pani czas?

– No właśnie... Pamiętam scenę. Siedzę w pokoju ojca, otoczona książkami, papierami, dokumentami. Ruszyć się za bardzo nie można. Odezwać również, bo ojciec pracuje. Biorę do ręki książkę „Satyra w czasie okupacji”. Nie rozumiem obrazków, więc pytam ojca: „Tato, a co tutaj jest śmiesznego?”. Ojciec odrywa się od pracy i mi tłumaczy. Ja powtarzam „aha, aha”, ale i tak dalej nie wiem, o co chodzi. Ale jeden obrazek jest strasznie zabawny: przedstawia spoconego Hitlera jadącego na miniaturowym rowerze z podpisem: „Niedaleko zajdziesz Hitlerku na polskim rowerku”. No, takie rysunki to ja rozumiem!

Jak pan widzi, mieliśmy wspólne tematy – wojnę i konspirację, tyle że w trochę innej przestrzeni. Pewnych rzeczy, o których ojciec mówił, nie rozumiałam, ale wstyd było mi się przyznać. Dopiero później pytałam mamę: a co tata chciał przez to czy inne sformułowanie powiedzieć? A tak poza tym... Nie miał dla nas wiele czasu.

Ale gdy przychodzili goście, to my, dzieci, mogliśmy siedzieć przy stole i grzecznie słuchać. A gdy ktoś do nas zagadał, to czuliśmy się uhonorowani, że możemy odpowiedzieć, a jeszcze więcej, kiedy mogliśmy okabrać głos. Teraz psychologowie by się tym przerażili... a ja uważam, że to nie było złe, do wszystkiego trzeba przecież powoli dorastać i umieć pewne rzeczy docenić. Pamiętam atmosferę tych spotkań: zapach perfum, koniaku, papierosów Carmenów, co się kupowało tylko na wielką okazję, bo były bardzo drogie, no i niezapomniany smak tortu czekoladowego „z własnego wypieku”, co przynosiła jedna z pań harcererek.

Jednocześnie ojciec dbał o sprawy rodzinne, angażował się w nie całym sercem. Po nocach odpisywał na listy od rodziny. Był to człowiek serdeczny, traktujący wszystkich z wielkim szacunkiem i życzliwością. Ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że było wiele takich momentów, gdy naprawdę poświęcał nam swój czas. Chwilami, których nigdy nie zapomnę, były niedzielne popołudnia, kiedy w jego gabinecie o 16.30 słuchaliśmy przez trzeszczące straszliwie radio Tatra koncertów Chopina. Ojciec fantastycznie opowiadał o muzyce.

Proszę pamiętać, że z dzisiejszej perspektywy to ja byłam „profesorską córeczką z domu z fortepianem”. Może się wydawać, że byliśmy nie wiadomo jak uprzywilejowani, ale to nieprawda. Żyło się skromnie. Inna sprawa, że w naszym domu przywiązywano wielką wagę do edukacji – mieliśmy prywatne lekcje angielskiego i francuskiego oraz gry na pianinie. Tak samo, jako dziadkowie, dbali o swoich wnuków. Cała piątka otrzymywała od nich co miesiąc, z ich skromnych emerytur, tzw. edukacyjne, czyli fundusze na języki, sport i muzykę. Wypłacali je wnukom aż do swojej śmierci.

Jak bycie wychowywaną w domu z zasadami pochodzącymi jeszcze z czasów międzywojennych wpłynęło na to, jak pani wychowywała swoje dzieci?

– W moim domu rodzinnym było coś w rodzaju greckiej paidei – wychowanie bez wychowywania. Przez obserwację, wyciąganie wniosków. Rzadko komentowano nasze wybory, nie doradzano zbyt natarczywie. Żadnego pouczania, narzekania, marudzenia. Ale były takie momenty, gdy na przykład mama mówiła, że sprawiliśmy jej przykrość. I to było chyba gorzej, niż jakby człowiek po gębie oberwał.

Przez wiele lat myślałam, że swoje dzieci wychowywałam w podobnym duchu, ale chyba trochę przesadziłam w idealistycznej wersji tej edukacji, bo dzieci dość szybko przyszły do mnie z pretensjami, że szlachetny świat Króla Maciusia z marzyielskiej książki doktora Korczaka – naszej ulubionej lektury – chyba nie istnieje w ich otoczeniu, że ludzie wcale nie są tacy fajni, bo są nierzetelni, nieuczciwi, niepunktualni i niegrzeczni. O innych rzeczach pewnie jeszcze, na szczęście, nie mieli pojęcia. No ale chociaż miałam dobre intencje...

W dodatku okazało się, że – zupełnie niezgodnie z moimi intencjami – przekazałam im coś w rodzaju traumy rodzinnej. Dam panu przykład.

– Rodzice poprosili, żeby zawieźć ich na uroczystości rocznicowe w Forcie VII, pierwszym obozie koncentracyjnym na ziemiach polskich. W tym samym czasie musieliśmy odebrać córkę z przedszkola. Nie było wyjścia, trzeba było pojechać z dzieckiem na tę rocznicę. To było niezwykle, że mama w ogóle zdecydowała się wziąć udział na takiej uroczystości. Była tam pierwszy raz po niemal 40 latach od momentu aresztowania. Tuż przed bramą Fortu poprosiła mnie, żebym wzięła ją pod ramię – to naprawdę zdarzało się rzadko, nie lubiła być prowadzana pod rękę. Więc podałam mamie ramię z prawej strony, a Marta wsunęła swoją rączkę w rękę babci z lewej. To było takie naturalne. Ot, wnuczka trzymająca babcię za rękę. A teraz, po 30 kilku latach, Marta twierdzi, że pamięta to wydarzenie jako coś wyjątkowo trudnego, obciążającego, i że poczuła się, mówiąc już współczesnym językiem – wciągnięta w wielką, dramatyczną historię. Jest śpiewaczką operową i kiedy przyszło jej zaśpiewać rolę słowiańskiej więźniarki Auschwitz w operze Weinberga „Pasażerka”, to się długo zastanawiała, czy da radę sprostać temu wyzwaniu.

Może pani rodzice mieli potrzebę, by jakoś wnukom przekazać kawałek swojej historii.

– Na pewno. Ale w bardzo powściągliwy, dyskretny sposób. Syn mojego brata miał trzy lub cztery lata, gdy siedział na kolanach u babci. – A co ty tu masz, babciu – zapytał, widząc tatuaż obozowy. Mama odpowiedziała, że była niegrzeczna i ktoś jej coś takiego namalował. Czy można było inaczej? Tu chyba nie ma dobrej odpowiedzi.

O mamie napisałam książkę, „Opowieść mojej mamy”. Na okładce jest jej zdjęcie z widocznym tatuażem. Nie tak dawno przyuważył ją mój dziesięcioletni wnuczek. – Czy twoją mamę bolało, jak jej to robili? – zapytał. Jak mnie to zaskoczyło! Wybrnęłam z tego, ale wydaje mi się, że sama odpowiedź nie jest tak istotna jak to pytanie.

Innego razu, gdy książka jeszcze była redagowana, czytaliśmy z mężem jej fragmenty o tym, jak ojciec siedział w więzieniu, na głos i dyskutowaliśmy. A obok bawiła się wnuczka. Z wielkim zapałem coś rysowała, ale pamiętaliśmy, żeby w jej obecności ściszać głos. I to był błąd. Bo co się dzieje wtedy z uszami dzieci? Rosną.

I już widzę, że Malwinka porzuca kredki, zmierza do nas i mówi tonem takim, jak tylko dzieci potrafią teraz mówić: „Babciu, czy dobrze podsłuchalam, że twój tata siedział w polskim więzieniu, i to już po wojnie?”. „Dobrze podsłuchałaś”, Malwinko, odpowiedziałam. Zamyśliła się, usteczka jej się wykrzywiły. „To ja uważam, babciu, że to jest głupie i zupełnie bez sensu”, wyparowała. Przyznaliśmy jej rację.

Czy ja mam się winić za to, że te tematy się pojawiają? Nie da się dzieci uchronić, choćbyśmy nie wiem, jak się starali. I czy, w ogóle, jest sens te traumatyczne historie przed nimi ukrywać? Pamiętam, jak kilka lat temu, Malwinka i Leonek kaprysili u nas w domu przy podwieczorku, „be... be... torcik niedobry!” Zdesperowani, mąż i ja, wspomnieliśmy o „głodowym” losie ich prababci Wandy. Nie spodobało się to synowi. „Nie straszcie dzieci Auschwitzem!”. Pewnie miał rację, chyba było to trochę za wcześnie.

Dzisiaj trauma międzypokoleniowa to jeden z – brutalnie mówiąc – najmodniejszych sposobów na tłumaczenie tego, jacy jesteśmy.

– Jestem bardzo ostrożna wobec nadużywania słowa „trauma” do wszystkiego, co dotyczy poznawania naszej



przeszłości. Nie da się przeżyć życia bez nasiąknięcia historią, jakakolwiek by ona była.

Myślę, że dobrze byłoby zwrócić uwagę na to, że nie każdy w Polsce tak samo przeżywał przeszłość. Może warto zacząć rozmawiać o regionalizacji traumy? Różnych ich odcieniach. Jestem z Wielkopolski, to moja mała ojczyzna. My, Wielkopolanie, mamy szacunek dla solidnej pracy, rzetelności, dyscypliny, punktualności. Wojna niczego w nas nie zmieniła, a nawet jeszcze podkreśliła te cechy. Przetrwać w czasie straszliwego terroru w Warthegau, czyli Kraju Warty wcielonym do Rzeszy Niemieckiej, zaraz na początku wojny i potem, „za Stalina”, w komunistycznym systemie, można było tylko dzięki zaradności, gospodarności, a także sąsiedzkiej i społecznej solidarności. Dla nas to było oczywiste. Dlatego nasza trauma nie jest tak martyrologiczna i hagiograficzna jak w innych częściach kraju, niewiele w niej miejsca dla opowieści o heroizmie. Tu nie było tradycji marudzenia, wyjękiwania, poddawania się słabościom. Raczej trzeba było się z nim mierzyć, stawiać im czoła.

W ósmym punkcie Prawa Harcerskiego czytamy: „Harcerz jest zawsze pogodny”. Czyli nie poddaje się, nie marudzi. Teraz jest inaczej.

Dzisiaj jesteśmy bardziej otwarci na to, że ktoś jest słaby, o tej słabości opowiada. I to jest duża zmiana, przeważnie pozytywna. Ale ciągle jeszcze jest chyba za dużo tego wyjękiwania.

I chyba z tego etosu pracy obowiązującego nawet w najgorszych warunkach wyszła Iskra-Dog, akcją zbierania relacji z powstania warszawskiego, którą zainicjował pani ojciec.

– To bardzo celne spostrzeżenie! W dziesiątkę! Jest w tym coś bardzo ciekawego, że konspiracyjna akcja zbierania relacji bezpośrednio od uczestników powstania warszawskiego, jeszcze podczas jego trwania, została wymyślona przez środowisko wielkopolskie. Ojciec wyszedł z powstania ósmego dnia. Widział rzeź Woli. Dla niego, jako historyka i socjologa, było oczywiste, że trzeba dla potomnych spisać to horrendum. I trzeba to zrobić „na żywo”, gdy pamięć świadków jeszcze nie jest przenicowana innymi opowieściami.

Podczas tej brawurowej, prowadzonej pod nosem wroga akcji zebrano 314 świadectw zbrodni niemieck-

• **Zdjęcie ślubne Wandy i Edwarda Serwańskich z 1945 roku**

FOT. ARCHIWUM
RODZINNE

kich. Te relacje, w obawie, żeby nie wpadły w ręce wroga, zakodowano, szyfrowano i późną jesienią ukryto w bańkach na mleko w Brwinowie pod Warszawą.

Po wojnie część z nich opracowana przez ojca w książce „Zbrodnia niemiecka w Warszawie 1944” została dostarczona przez polską delegację na Proces Norymberski jako materiał dowodowy. Trzy zawarte w książce relacje przetłumaczono na angielski i odczytano na Sali Rozpraw w Norymberdze jako jedyne polskie źródło o dramacie mieszkańców stolicy podczas powstania.

A teraz, po 80 latach, właśnie tę słynną salę możemy oglądać w kinach w filmie „Norymberga”. I nie ukrywam, że bardzo się na tej „Norymberdze” wzruszyłam, bo dotarło do mnie, że mój ojciec i dzielna, skromna ekipa Doga, dołożyli się do wyroku na generale Waffen SS, któremu udowodniono zbrodniczą działalność w powstańczej Warszawie i skazano na więzienie. Dura lex, sed lex!

Napisała pani książkę o swojej mamie, teraz upomina się o archiwum, nad którym pracował ojciec.

– Przez dziesiątki lat te bezcenne, autentyczne, z takim trudem zdobyte materiały były niemal całkowicie zapomniane, rzadko cytowane lub wręcz ignorowane przez historyków. Już w latach 80. ojciec w jednym z artykułów odnotował, że historycy zapomnieli o tych dokumentach. 40 lat temu!

Działo się tak zapewne z dwóch powodów: po pierwsze, ojciec, jako wróg systemu, przez kilkadziesiąt lat był nieustająco na celowniku bezpieki, po drugie, w komunistycznej Polsce nie było sprzyjającego klimatu dla „londyńskiej wersji” powstania. Może też dlatego, że nie znajdowały się w Warszawie?

W każdym razie przez lata rzadko cytowano „Zbrodnię niemiecką w Warszawie 1944”, a o Iskrze-Dog zupełnie zapomniano. Dopiero ostatnio obie – i książka, i akcja – przechodzą swój renesans: zyskują uwagę w mediach, a plon ich kwerendy powstańczej coraz częściej nazywany jest Archiwum Serwańskiego, na wzór Archiwum Ringelbluma, z najwyższym szacunkiem dla tego ostatniego, naturalnie.

I myślę, że kiedyś docenimy to, że niewielka grupa ludzi – kilkudziesięciu wolontariuszy społeczników – z narażeniem życia w trakcie powstańczego kataklizmu i tuż po nim zbierała relacje dla przyszłych pokoleń.

Rodzice nie byli osadzeni w dramatach. Mieli do nich dystans. Nie słyszałam w domu w ogóle takich słów, jak: poświęcenie, patriotyzm, ofiara, bohaterstwo, krzywda, pomsta. Myślę, że to by było dla nich nieprzyzwoite tak mówić

Co z tych dokumentów wynika?

– To bardzo szeroki obraz powstania, nie tylko zbrodni na cywilach. To są konkretne sceny rozgrywające się w różnych dzielnicach Warszawy. Oprócz opisów rzezi Woli, eksterminacji ludności, masowych egzekucji i gwałtów na kobietach i dziewczynkach są tam walki powstańcze i zbrodnicze metody ich tłumienia, akcje wysiedleńcze, np. do Pruszkowa, niszczenie stolicy, grabież mienia.

W 2024 roku Maja Kleczewska wyreżyserowała świetny monodram „Ocalone” z Agnieszką Przepiórką. W jednym z wywiadów twórcy spektaklu mówili, że nie było źródeł na temat gwałtów na kobietach podczas powstania. A w „Zbrodni niemieckiej w Warszawie 1944” jest kilkadziesiąt takich opowieści. Tak przerażających, że wystarczy przeczytać jeden, żeby nie spać przez następne kilka nocy. Część imion i nazwisk ofiar i świadków, które zechciały je wtedy podać, jest odkodowana.

A jeszcze, à propos szyfrowania Iskry-Dog, proszę posłuchać, jaka sensacja miała miejsce cztery lata temu w Poznaniu! Otóż w Instytucie Zachodnim mówiło się, że profesor Serwański, zmarły w 2000 roku, zabrał tajemnicę kodowania do grobu i tym samym zostawił jedną trzecią relacji nierozszyfrowaną. Tymczasem nieoczekiwanie kryptologowi amatorowi Krystianowi Sobańskiemu udało się je odkodować.

Iskra-Dog żyje. I mówi do nas.

Nie mam wątpliwości, że „Zbrodnia niemiecka w Warszawie 1944” to jedno z najcenniejszych, najwcześniejszych wydanych (1946) autentycznych świadectw dotyczących zbrodni w powstaniu. Sama akcja Iskra-Dog, bezprecedensowa „konspiracja naukowa”, jest zaś przykładem pięknej solidarności społecznej w obliczu katastrofy. Mam nadzieję, że Instytut Zachodni w Poznaniu, gdzie protokoły z Iskra-Dog są zdeponowane, opublikuje to unikatowe archiwum w całości.

Co daje pani energię do tego działania?

– Zanim napisałam książkę o mamie, wydawało mi, że wszyscy wiedzą, co to było Auschwitz, czym były ubeczkie kazamaty. Po co to pisać? Ale okazało się, że wcale tak nie jest. W dodatku wkrótce po śmierci rodziców zaczął się demontaż demokracji na świecie i w Polsce, powróciły fale nacjonalizmu i faszyzmu, Europa brunatnieje. Dla mnie każde wystąpienie pana Brauna i jego nieszczęsnych wyznawców to straszna zgryzota. Jakby wszystko to, o co walczyli moi rodzice i ich pokolenie, miało za chwilę obrócić się wniwecz.

Już powoli kończy mi się ta energia. Nie wiem, czy nasza rozmowa nie będzie ostatnią. Jestem wyczerpana. To są straszne, trudne tematy, które angażują w jakiś niezwykły sposób.

Opowiem coś panu.

Lata 90. Mąż przynosi do domu aparat telefoniczny. W końcu! Czekaliśmy dziesięć lat w kolejce. Uradowana dzwonię do mamy. Cieszy się. W końcu będziemy mogły sobie rozmawiać. – Podaj numer, prosi. Podaję. Zapada cisza. Nasz numer 702 337 różnił się jedną cyfrą od jej numeru obozowego 70 337. Chichot historii? Dzwoniła do mnie codziennie, jak do siebie – do Auschwitz... Wyjątkowe czy banalne – jak pan myśli?

Jedno i drugie?

– To mi pokazało, że od historii nie ucieknę. Ona jakoś nade mną wisi.

Pamiętam, gdy zaczęły pojawiać się sformułowania „polskie obozy koncentracyjne”. Strasznie mnie to denerwowało. Rozmawiałam o tym z mamą. Patrz, jakie bzdury tu piszą, mówię. Ona, siwa, drobna, po ciężkiej operacji wpół leży na fotelu, uśmiecha się smutnie i mówi: – Wiesz, nie chciałabym przed śmiercią musieć nikomu tłumaczyć, że nie mordowałam Żydów w Oświęcimiu.

Nawet mnie to rozbawiło. A potem pojawili się w ludzie – na świecie i w Polsce – którzy negują Auschwitz, komory gazowe. Niegodziwcy! Gdy podczas 60. rocznicy wyzwolenia Auschwitz-Birkenau profesor Bartoszewski mówił, trawestując Księgę Hioba: „Ziemia bowiem nie skryje krwi ofiar, a krzyk ich nie ustanie”, słuchałam tego z wrażenia i z przejęcia na stojąco. Jako świadek świadków poczułam, że muszę się tym zająć.

Nie wierzę trochę, że nagle, z dnia na dzień, przestanie się pani tym zajmować.

– Chciałabym użyć trochę zwykłego emeryckiego życia. Ale spodziewam się, że znowu wydarzy się coś, co sprawi, że trzeba będzie przypominać o tym, co i jak przeżywali moi rodzice. Zmarli 25 lat temu, a teraz kładą się do grobu ostatni świadkowie Zagłady, dzieci wtedy.

Mnie, podobnie jak innych strażników pamięci z drugiej ręki – statystycznie rzecz biorąc – za 10 lat też nie będzie. Jak wy sobie wtedy poradzicie? ●

DONOSY OKUPACYJNEJ RZECZYWISTOŚCI

Odzyskaliśmy Ewę Pohoską. Dzięki żmudnej pracy edytor-skiej Izoldy Kiec ukazały „Pisma” autorki, znanej dotąd z opublikowanej w 1944 roku, już po jej śmierci krótkiej groteski scenicznej „Schylek amonitów”. Tom wydany teraz jest nadspodziewanie obszerny.

Piotr Mitzner

Była starsza o kilka lat od Baczyńskiego i od poetów ze „Sztuki i Narodu”. Zdążyła przed wojną skończyć studia (etnografia), uczyła się malarstwa. Protestowała przeciw ekscesom antysemickim na uniwersytecie. W czasie wojny pracowała oficjalnie w Radzie Opiekuńczej Miejskiej, a w konspiracji była asystentką Jana Rzepeckiego w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej. Należała do lewicowej grupy „Płomienie”, redagowała czasopismo „Droga”, była też aktorką Sceny Eksperymentalnej. Poza tym uprawiała marchew w ogródku domu przy ulicy Felińskiego na Żoliborzu. Istniała, co sama zauważa „na przecięciu 3-ech lub pięciu towarzystw”. Aresztowała ją gestapo w styczniu 1944 roku, miesiąc później została rozstrzelana w ruinach getta.

Jak widzimy dzisiaj, sporo też w tym czasie zdążyła napisać, choć przecież nie wszystko ocalało, czy też nie zostało jeszcze odnalezione. Wierszy zachowało zaledwie kilka, wplecionych w tekst jej dziennika. Są tam mocne fragmenty, jak ten pewien epizod Zagłady:

*(Tam na zamiejskim moście
ludzie ludzie się patrzą, bo chociaż ich
wyróżnili, ale z wspólnej mogiły
Żydziaki płaczą –
To trzeba było cudu
– Mościwiewy, Jezu,
toć to wskrzeszenie
więc ponieśli ich na chrzest
dali pieniądze na mszę
za odkupienie)*

Albo ten, który podważa zaufanie do języka:

*Żołnierz mijając rozbijał jak szkło bruk
– Wzlatuje cma bez cienia.
Nie rwij szczękami słowa „wróg”
– Bo przecież naprawdę są to chwile,
kiedy nie ma nic do powiedzenia.
Nic już nie kłamię*

A jednak pisała, bo „bez dziennika się widać nie obejdzie” – jak sama zauważała. Dziennik to jednak osobliwy, bardzo odmienny od innych. Prowadzony niesystematycznie, urywkowy, notujący nie zawsze dla nas zrozumiałe konteksty. Nieporządkny, a przez to bliski rzeczywistości.



• **Ewa Pohoska (1918-1944), poetka, dramatopisarka, żołnierka AK**
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Pohoska stawia czytelnika nie tyle w roli słuchacza, co podsłuchiwanca jej myśli i intymnych wyznań, jakby z oddalenia, jakby z uchem przy ścianie. Nie wszystko rozumiemy, czasem tylko się domyślamy sensów. Może więc jest to dziennik naprawdę osobisty, nie dla intruzów? Jednak nie, bo w pewnym miejscu, jakby na stronie autorka zwraca się do nas: „o, nie śmiecie się”. Mówi tak, bo na pewnym poziomie jest to, jak sama pisze „pamiętnik pensjonarki”.

Zresztą sama Pohoska też podsłuchuje. W „Schylku amonitów” doskonale naśladuje polityczny belkot konspiratorów, a w dzienniku utrwała monolog chorej psychicznie, spotkanej na ulicy: „Bo nie można powiedzieć, żebym ja nie... bo ja zawsze... a ona mi przychodzi i mówi... kiedy ja bezwarunkowo”. O tej kobiecie pisano po wojnie, ale teraz po raz pierwszy słyszymy jej głos. Gdzie indziej mamy znakomity reportaż z zatłoczonego tramwaju. Jej notatki z rozmów z koleżankami i kolegami są czasami niemal stenograficzne, nie wyglądzone tak, że słyszymy modulację ich głosu. Czy to nawyki ze studiów etnograficznych? Czy to obserwacja uczestnicząca w podziemiu? Nawet jej głos wewnętrzny, kiedy go zapisuje, to pozo- staje jako pełen sprzeczności proces myślowy, a nie wyraziste wnioski.

Pohoska uważnie przygląda się ludziom, analizuje ich charaktery, gesty. Oczywiście, pisze też o własnych uczuciach, skomplikowanych relacjach, emocjonalnych zawirowaniach. Na ogół nie jest szczęśliwa, bo miłość się jej „nie udaje”, albo „nie umie się zakochać”. Jest w tych sprawach i sentymentalna, i zdystansowana. Tak samo jak wobec młodych „romantycznych szczeniaków” i „zdolnych dzieci” z konspiracji, z którymi się przecież utożsamia.

Kto czytał „Schylek amonitów” ten wie z jaką precyzją Pohoska

opisuje w didaskaliach wygląd mieszkań i lokali konspiracyjnych. Bo ona pozwala sobie na przelotne spojrzenia z zewnątrz: „Maszynistka ma bardzo białe ramiona, a obok stoi kwiat. Ich cienie na ścianie są zbyteczne i teatralne – jak z powieści o okupacji. Jeszcze śnieg”. Studio- wała malarstwo i zapisuje rzeczywistość w kolorach i liniach.

Są oczywiście w jej dzienniku wspomniane lektury, ale nie przera- bia ich tak metodycznie jak na przykład Andrzej Trzebiński, a najcie- kawszy z jej artykułów z podziemnej „Drogi” dotyczy nie Imperium Słowiańskiego, nie nadczłowieka, ani rozrachunków z dwudziestolecie- m i nie dość polskimi poetami (jak to zdarzyło się Tadeuszowi Gajcemu), lecz poświęcony jest autonomii sztuki ludowej. Co za ulga dla czytelnika publicystyki konspiracyjnej!

Być może z różnorodnością te- matów łączy się to, że dziennik powstaje (co widzimy na fotogra- fiach manuskryptu) jakby w kilku charakterach pisma. Siłą spajającą osobowość Pohoskiej jest to, że sta- wia zdecydowany opór wojnie jako takiej i nie żyje ku śmierci. Raz tylko dopada ją myśl samobójcza. Te- matem zapisów Pohoskiej przede wszystkim jest smak życia i nadzieja: „W. pisze jak przed chwilą wielkiej zagłady – podczas gdy we mnie wszystko jest oczekiwaniem form, które wstaną”.

Izolda Kiec była pierwszą edytor- ką wszystkich zachowanych wierszy Zuzanny Ginczanki i jej biografii. Teraz wydała tak ważny dziennik Ewy Pohoskiej. Wywalczyła należne jej miejsce w literaturze. I to nie tam, gdzie zaglądają tylko historycy literatury, ale też dzisiejsi empatycz- ni czytelnicy, albo też tacy, których podnieca sam fakt, niczym z powie- ści lub gry fabularnej, odnalezienia ukrytego rękopisu. ●



„»... bez dziennika się widać nie obejdzie». Ewa Pohoska (1918-1944). Pisma”.

Wstęp, opracowanie i komentarze Izolda Kiec

Instytut Kultury Popularnej, Poznań 2025.

JAK SPŁONĘŁO LESZNO

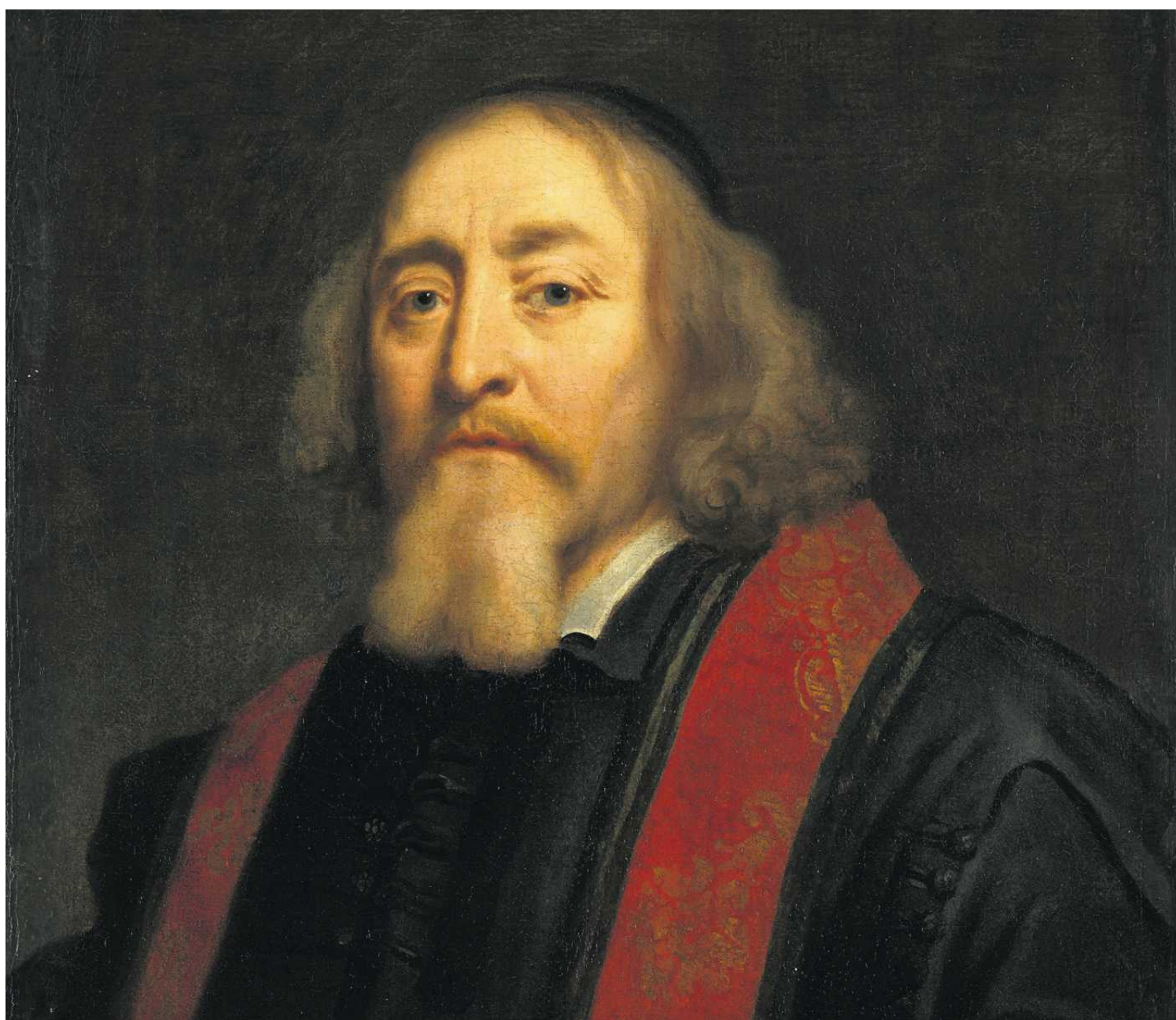
Dramat miasta przedstawiano jako odwet za zdradę w czasie szwedzkiego potopu. Jan Amos Komenský nie mógł otrząsnąć się z ciosu, jaki zadała mu Polska.

Andrzej Romanowski

Gdy 28 kwietnia 1656 roku wojsko polskie wierne królowi Janowi Kazimierzowi wkroczyło do Leszna, miasto było opustoszałe. Większość mieszkańców uciekła, w ślad za nimi ewakuowała się załoga szwedzka, na koniec opuściła Leszno rada miejska. Zemścić się więc można było tylko na tych, co pozostali. Nocą obłożono domy materiałami łatwopalnymi, a nazajutrz, około godziny 10 rano, na dwunastu ulicach miasta pojawił się ogień. Gwałtowny pożar ogarnął natychmiast całe Leszno i rozpoczęła się rzeź. Kto próbował uciec, był na miejscu zabijany. Kto się ukrył, ginął w płomieniach.

Odwet za zdradę? Ten dramat sprzed 370 lat na ogół tak właśnie przedstawiano. Tymczasem prawda była bardziej złożona: Leszno stanowiło siedzibę Jednoty Braterskiej (Jednota Bratrská) tak zwanych braci czeskich. Ludzie tej konfesji sypywali do Wielkopolski już od czasu, gdy król Czech Ferdynand I Habsburg dał im ultimatum: przejście na katolicyzm lub wygnanie. Miesiąc od wydania tego dekretu pierwsza grupa braci czeskich pojawiła się 24 czerwca 1548 roku w Poznaniu. I została przyjęta gościnnie – w Polsce czas tolerancji dochodził właśnie do fazy kulminacyjnej. Bracia zadomowili się więc w Wielkopolsce: swe kancjonały wydawali w Szamotułach (po czesku), potem w Ostrorogu (już po polsku). Z tej pierwszej fali czeskiej imigracji wywiedli się polscy pisarze XVII wieku: Jan i Maciej Rybińscy, Piotr Wachenius, Anna Memorata...

Potem było już gorzej – zarówno w Czechach, jak i w Polsce. 8 listopada 1620 roku czescy protestanci zostali rozgromieni w zaledwie dwugodzinnej bitwie pod Białą Górą (Bílá hora). Gdy jednak zaraz potem zaczęła się *pobelohorská emigrace* (emigracja pobiałogórska), głównym celem ucieczki pozostała Wielkopolska. Szybko schronił się tu senior Jednoty, Jan Cyrillus. Wkrótce po nim, w roku 1625, pojawił się tu jego zięć Jan Amos Komenský. Gdy zaś w roku 1627 edykt cesarski ponownie postawił Jednotę przed wyborem – katolicyzm lub wygnanie – rzesze braci czeskich ruszyły do Wielkopolski już masowo. Najpierw głównie do Ostroroga, od schyłku lat trzydziestych głównie do Leszna.



• Jan Amos Komenský (1592-1670), teolog, filozof, pedagog, senior generalny Jednoty Braci Czeskich w Lesznie FOT. ZE ZBIORÓW RIJKSMUSEUM AMSTERDAM

Czechy i Morawy opuściło wtedy trzydzieści tysięcy ludzi.

POLSKIE MIASTO CZESKICH BRACI

Leszno, prywatne miasto szlacheckie, było w tym czasie drugim po Poznaniu najludniejszym miastem Wielkopolski. Do roku 1547 było jeszcze wsią, obecnie – obwarowane i wyposażone w wodociągi – stało się jedną z wizytówek kraju. Właścicielami Leszna byli magnaci Leszczyńscy; swe nazwisko wywiedli właśnie od tej miejscowości. W początku XVII wieku miasto należało do Rafała Leszczyńskiego, który, sam będąc wyznawcą Jednoty, słynął jako opiekun różnych odłamów protestantyzmu. Po jego śmierci w roku 1636 właścicielem Leszna został jego syn, Bogusław, również wierny Jednoty. Na jego zaproszenie

osiadł w Lesznie luteranin ze Śląska, Johannes Heerman, najwybitniejszy wówczas poeta niemiecki; mieszał tu odąd dziewięć lat – do śmierci. A choć niebawem Bogusław Leszczyński przeszedł na katolicyzm, opieki ani Jednocie, ani innym protestantom nadal nie odmawiał.

W rezultacie Leszno stało się ważnym ośrodkiem kultury Rzeczypospolitej. Już od roku 1555 działała tu szkoła braci czeskich; w roku 1579 podniesiono ją do rangi gimnazjum. Gdy w roku 1628 Komenský osiadł w Lesznie na stałe, objął w gimnazjum funkcję zastępcy rektora. W latach 1636-38 sam był rektorem. A od roku 1632 pełnił urząd biskupa Jednoty. To było wtedy najważniejsze.

Bo też znano wówczas Komenskiego głównie z jego funkcji kościelnych. I chyba on sam uważał się zwłaszcza za duchownego. A przecież już te pierwsze trzynaście lat pobytu w Lesznie wyznaczyły główne kie-

runki jego myśli. Komenský zajmował się nie tylko teologią, nie tylko filozofią, lecz także językoznawstwem i paremiologią, a przede wszystkim pedagogiką. W Lesznie w roku 1632 powstało jego największe dzieło: *Didactica magna*. Książkę, przeznaczoną dla potrzeb szkolnictwa średniego, chciał wydać Rafał Leszczyński, ale ostatecznie do publikacji nie doszło.

PREKURSOR NOWOCZESNEJ DYDAKTYKI

Ciekawa rzecz! Choć swój system pedagogiczny zbudował Komenský w Lesznie i choć opublikował tu w sumie aż 28 książek, to na ogół nie wydawał w tym mieście swych prac najważniejszych. Jedynie napisane po niemiecku *Informatorium der Mutter Schul* (Informatorium szkoły macierzyńskiej), poświęcone wy-

chowaniu dziecka w wieku przedszkolnym, ukazało się w roku 1633 w Lesznie.

Komenský nie mógł jednak liczyć na szerszy krąg odbiorców – nawet wśród swych współwyznawców, a cóż dopiero wśród katolickich Polaków, dla których był tylko heretykiem. Niemniej jednak to właśnie pobyt w Lesznie postawił go w szeregu największych umysłowości XVII-wiecznej Europy. Dziś jego ideami oddychamy jak powietrzem. Czyż bowiem nas dziwi edukacja dziewcząt? Albo pogląd, że utrzymanie szkolnictwa należy do obowiązków państwa? Lub zasada poglądowości: podręczniki opatrzone ilustracjami? W początku XVII wieku wszystko to było nowością. Jednak zarówno *Didactica magna*, jak i napisany podczas pobytu w Siedmiogrodzie *Orbis sensualis pictus*, zostały wydane dopiero w roku 1657 – już po ucieczce Komenskiego z Polski.

Tymczasem wdrażał on swój system w leszczyńskim gimnazjum. Pisał podręczniki z fizyki i astronomii. Bogusławowi Leszczyńskiemu, który do niedawna był jego uczniem, zadedykował w roku 1633 drugie wydanie podręcznika do łaciny, *Janua linguarum reserata*; książkę, będącą metodyczną pomocą do nauki tego języka, wydawano potem w Europie wielokrotnie. A w Lesznie ją nawet inscenizowano! Komenský bowiem stworzył w gimnazjum teatr szkolny i oprócz wystawiania w nim (co brzmi tak niewiarygodnie) swego podręcznika pisał dla niego łacińskie sztuki. Już po odejściu z funkcji rektora powstały: w roku 1639 *De veritatis triumph*, w roku 1640 *Diogenes Cynicus*, a w styczniu 1641 *Abrahamus Patriarcha*.

Jednak w tym właśnie roku, w szczytowym okresie swego rozwoju, Komenský opuścił Leszno. Przebywał odtąd w Anglii i Szwecji, potem spędził sześć lat na północy Rzeczypospolitej, w Elblągu. W roku 1648 wrócił do Leszna, gdzie objął stanowisko seniora generalnego Jednoty, ale niebawem wyjechał raz jeszcze: do Siedmiogrodu. A jednak mimo tych rozjazdów uważał zawsze Leszno za swą główną siedzibę. W roku 1650 nabył tu dom i po czterech latach w nim zamieszkał. Wszystko w Lesznie zmierzało wtedy do stabilizacji. Jedynie odległy wschód Rzeczypospolitej trwał w konwulsjach wojny domowej.

OGNI SKO
OŚWIATY I NAUKI

Ale nie tylko dla Komenskiego stało się Leszno miejscem startu do kariery poza Polską. Młodszy od niego Jan Jonston nie był bratem czeskim, lecz ewangelikiem reformowanym, kalwinistą, synem imigranta ze Szkocji. Urodzony w wielkopolskich Szamotułach, pierwsze nauki odebrał w szkole Jednoty w Ostrorogu. A od października 1636 roku mieszkał w Lesznie i uczył w tutejszym gimnazjum. Podpisywał się „Scoto-Polonus”, zajmował się przyrodą, medycyną, filozofią, pedagogiką, historią... Zatem w stopniu może jeszcze większym niż Komenský zasługiwał na miano polihistora. Ale i on wszystkie niemal swe dzieła wydawał na Zachodzie: w Amsterdamie, Lejdzie, Frankfurcie, Jenie, Lipsku, Wenecji... Jego książki miały dziesiątki wydań i służyły nauce jeszcze w XVIII wieku. Dziś szczególne znaczenie ma napisana już na emigracji, *Dendrographia* (1662) – pierwsza w świecie monografia dendrologiczna. Jak bowiem Komenský był twórcą nowożytnej pedagogiki, tak Jonston był twórcą specjalności całkowicie nowej: nauki o drzewach. Znał dwanaście języków, lecz polski uważał za język ojczysty.

Leszno – ognisko oświaty i nauki – było też ośrodkiem ruchu wydawniczego. Od roku 1636 istniały tu dwie oficyny: niemiecka, luterkańska Wiganda Funcka ze śląskiego Głogowa oraz czeska (braci czeskich), kierowana od ok. 1637/8 przez Daniela Vettera z Moraw. Ta druga była kilkujęzyczna: z początku czeska i łacińska, potem też polska i niemiecka. Może

więc nieprzypadkowo z oficyną Vettera podjął współpracę Andreas Gryphius – najwybitniejszy twórca niemieckiego baroku. Pochodzący podobnie jak Funck z Głogowa, opublikował w roku 1648 u Vettera dwie książki: łacińską *Olivetum*, *libri tres* oraz niemiecką *Schlesien Stern in der Nacht*. Co prawda, zżymał się na niechlujną korektę i współpracy z Vetterem szybko zaniechał.

NAJCIEKAWSZA KSIĄŻKA O ISLANDII

Wydawani przez Vettera autorzy polscy też należeli do najwybitniejszych. Współpracował z oficyną największy ówczesny epik, Samuel ze Skrzypny Twardowski; przez osiem lat (1643-51) opublikował tu pięć książek. Najważniejszymi były: „Władysław IV, król polski i szwedzki” (1649), który wywołał słynną awanturę ze strony przybyłych do Polski posłów moskiewskich, oraz „Wojna kozacka” (1651), która po wiekach stała się jednym ze źródeł „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza.

Z dymem poszły: ratusz, zamek Leszczyńskich, świątynie i biblioteka braci czeskich, gmachy archiwum i gimnazjum, a nawet kościół katolicki

Również najwybitniejszy satyryk tego czasu, Krzysztof Opaliński, ogłosił w roku 1650 u Vettera swe „Satyry albo Przestrogi do naprawy rządu i obyczajów w Polszcze należące”. Twardowski i Opaliński byli katolikami, ale współpraca z oficyną protestancką nie mąciła im spokoju sumienia. Trudno zresztą, by było inaczej, skoro u Vettera publikowali też dominikanie i jezuici.

A i wyznawcy Jednoty nie mieli nic przeciwko, by – przy całym swym czeskim patriotyzmie – dołączyć do produkcji polskojęzycznej. Pierwszym polskim drukarzem Vettera był zresztą w roku 1635 „Prawy conterfect” autorstwa samego Komenskiego. Przywódca Jednoty przekładał nawet na język czeski polską poezję – w jednym z kancjonałów zamieścił swe tłumaczenie „Czego chcesz od nas, Panie” Jana Kochanowskiego. Również Vetter wydał w roku 1638 książkę polską: „Islandię albo krótkie opisanie wyspy Islandii”. Dopiero potem tłumaczono tę pracę na języki niemiecki i czeski, w następnych stuleciach także na duński i islandzki. Oto zatem kolejna niespodzianka: najciekawszy opis siedemnastowiecznej Islandii należy do piśmiennictwa polskiego!

Liczba wytłoczonych przez Vettera druków polskich (36) wyraźnie przewyższała liczbę druków czeskich (23), a także niemieckich (22). A chociaż największe było tu druków łacińskich (74), to czeska, protestancka oficyna wydawnicza stale służyła także kulturze polskiej.

KRWAWA FALE „POTOPU”

Tymczasem nieszczęścia, których widownią był dotąd wschód Rzeczypospolitej, rozlały się na cały kraj: nastał czas „potopu”. Jesienią

1655 posłuszeństwo Janowi Kazimierzowi wypowiedziała olbrzymia większość szlacheckiego społeczeństwa. Polscy protestanci, coraz częściej zmagający się z nietolerancją ze strony katolików i sprzyjającej im władzy państwowej, tym większą nadzieję pokładali w luteranckich Szwedach.

Gdy jednak obrona Jasnej Góry doprowadziła do sprężenia się sprawy narodowej z konfesyjną, doszło do wybuchu katolickiego fanatyzmu o nieprzewidzianych wcześniej rozmiarach. Stefan Czarniecki, zaczynający właśnie wyrastać na bohatera wojny „szarpanej”, wydał rozkaz zabijania „Żydów i lutrów”. 7 stycznia 1656 roku nastąpiła rzeź niemieckich luteran w Wieluniu, a w odwecie zaczęto w Wielkopolsce mordować księży katolickich. Komenský sympatyzował ze Szwedami. Na zlecenie nowego seniora generalnego Jednoty, Jana Jerzego Szlichtynga, napisał *Panegyricus Carolo Gustavo, Magno Svecorum... Regi, incruento Sarmatiae victori* (Panegiryk Karolowi Gustawowi, wielkiemu królowi Szwecji, bezkrwawemu zwycięzcy Sarmacji). Dwukrotnie w roku 1655 wydał go (anonimowo) u Vettera. Jednak wybitny znawca tej problematyki prof. Zbigniew Ogonowski pisał po upływie stuleci: „Z pewnością nie jest to utwór antypolski. Obok niekłamanego podziwu dla króla szwedzkiego, wyrażanego w tonie entuzjastycznym i miejscami na nutę religijno-mistyczną, znajdujemy w »Panegiryku« interesującą charakterystykę Polaków oraz przestrogi i napomnienia, wzywające Karola Gustawa do zachowania integralności terytorialnej Polski, jak i panujących w niej swobód i wolności, a nawet do polepszenia losu upośledzonych warstw ludności”.

Oczywiście, wyrażał też „Panegiryk” nadzieję, że Polacy pod berłem szwedzkim przyczynią się do uwolnienia Czech od Habsburgów.

Gdyby jednak Komenský poprzestał na tym... Tymczasem w początku roku 1656 wydał kolejny kontrowersyjny utwór: *Evigila, Polonia!* A w nim przekonywał Polaków, że ich nieszczęścia są karą Bożą za zduszenie Ewangelii przez katolicyzm. Czy był zdracą? Człowiekowi przez całe życie walczącemu z katolicyzmem, a nie związanemu przysięgą wierności wobec Jana Kazimierza w żaden sposób nie można stawiać takiego zarzutu. Wolno natomiast się zastanawiać, czy polskiej racji stanu nie zdradzili wcześniej ci, którzy ów kraj wielu wyznań pchali w ramiona katolicyzmu. Musiało to przecież uruchomić ruchy ośrodkowe, a w konsekwencji doprowadzić do rozpadu państwa. Komu przeskadzało, że przez wiele dziesięcioleci różne konfesje żyły w Lesznie w pokoju?

KRES TOLERANCJI

Leszno paliło się trzy dni: od 29 kwietnia do 1 maja 1656 roku. Spłonął świeżo zakupiony dom Komenskiego razem z jego biblioteką oraz rękopisami sztuk teatralnych i traktatów teologicznych; niszczył jego monumentalny *Linguae Bohemicae Thesaurus* (Słownik języka czeskiego), dzieło zycia, opracowywane jeszcze w Czechach. Spłonął leszczyński ratusz, świątynie, zamek Leszczyńskich, biblioteka braci czeskich z kilkoma tysiącami woluminów, gmachy archiwum i gimnazjum, nawet kościół katolicki św. Mikołaja. Spaliły się też przywiezione akurat do Leszna i spoczywające na katafalku zwłoki admirała słynnego na obu kontynentach, Krzysztofa Arciszewskiego. Zniszczył w ogniu grób Johanna Heermana. Ciało landgrafa heskiego Fryderyka, szwagra Karola Gustawa, pół roku wcześniej poległego w starciu z polskimi partyzantami w Kościanie, wyrzucono z trumny i zbezczeszczono.

Komenský zdołał uciec. Kilka tygodni ukrywał się na Śląsku, potem przez Frankfurt i Szczecin wyjechał do Hamburga. Jego wyznawcy znaleźli się w większości w Brzegu,

pod opieką kalwinisty, księcia Jerzego III, władcy z dawno już zgermanizowanego rodu śląskich Piastów. Do Brzegu też wywiózł Vetter swą drukarnię. A w księstwie legnickim, pod opieką księcia Ludwika IV, brata Jerzego III, schronił się Jonston. Osiadł w zakupionym cztery lata wcześniej Ziebendorfie (obecnie Skłodowice).

Tymczasem w tymże 1656 roku odezwał się znów Komenský – jednak już z Amsterdamu. Wydał on tu oskarżycielski utwór *Lesnae excidium anno MDCLVI factum, fide historica narratum* (Zagłada Leszna dokonana w roku 1656, opowiedziana zgodnie z prawdą historyczną). Nie mógł przeboleć katastrofy, nie potrafił otrząsnąć się z ciosu, jaki zgotowała mu Polska, jeszcze niedawno będąca jego drugą ojczyzną. Zaledwie zaś trzy lata wcześniej Natan ben Mosze Hanower, Żyd z wołyńskiego Zasławia, wydał w Wenecji *Jawen mecula* (Bagno głębokie) – opis straszliwych pogromów czynionych przez powstańców Bohdana Chmielnickiego. Oczywiście skala mordów dokonanych w Wielkopolsce przez katolików i na Ukrainie przez prawosławnych była nieporównywalna. A jednak oba te dzieła – Natana Hanowera i Jana Amosa Komenskiego – były wielkim oskarżeniem Rzeczypospolitej. Gdy zaś w roku 1658 doszło do wygnania braci polskich (arian, skądinąd znienawidzonych przez Komenskiego), stało się to dowodem na to, że polska tolerancja, niedawno jeszcze będąca wzorem dla Europy, ostatecznie przestała istnieć.

CZARNA KARTA HISTORII

Wynani bracia polscy wydali w Amsterdamie w latach 1665-68, więc jeszcze za życia Komenskiego, osiem potężnych tomów serii *Bibliotheca Fratrum Polonorum quos Unitarios vocant* (Biblioteka Braci Polskich, zwanych Unitarianami); potem, w roku 1692, doszedł do serii tom dziewiąty. Zgromadzone tu dzieła wywarły wpływ na poglądy wielkich filozofów: Johna Locke’a, Barucha Spinozy, Pierre Bayle’a i Johna Tolanda. Czy zatem polski wkład w myśl europejską był już wtedy możliwy tylko poza Polską? Czy więc zapowiadało to polskie emigracje polityczne XIX i XX wieku? I czyżby Polacy zrobili samym sobie to, co potem uczynili im Rosjanie?

Vetter zmarł w roku 1669, zapewne w Brzegu. Komenský przeżył go najdalej o rok: zmarł 15 listopada 1670 roku w Amsterdamie. Jonston zmarł najpóźniej: 8 czerwca 1675, parę miesięcy przed śmiercią księcia Jerzego Wilhelma, bratanka i spadkobiercy Jerzego III i Ludwika IV, ostatniego śląskiego Piasta. Tak jak Komenský i Vetter, również Jonston nie chciał wracać do zgłiszcz pozostałych po Lesznie. A jednak kazał się pochować tam właśnie: w utraconym mieście swej młodości. Poróżnionych między sobą protestanckich Czechów i Polaków łączyła kiedyś wspólna walka z katolikami. Teraz, wygnani przez katolików, dzielili kolejny wspólny los: wynarodowienie.

Tak oto ognisko kultury stworzone przez protestantów w Lesznie zostało przez katolików unicestwione. A samo miasto nigdy już nie wróciło do swej świetności. Dlatego dokonana przed 370 laty jego zagłada tym bardziej pozostaje czarną kartą polskiej historii. I nie warto jej usprawiedliwiać zdradą braci czeskich. Tak jak zdradą braci polskich nie warto usprawiedliwiać ich wygnania. Pewien młody magnat, starosta jaworowski, też złożył – i to bezwarunkowa! – przysięgę Karolowi Gustawowi. I temu królowi był wierny znacznie dłużej niż najwięksi zdracy z „potopu” – Krzysztof Opaliński czy Janusz Radziwiłł. Przez pół roku, w szeregach armii szwedzkiej, walczył z rodakami. Ale nikt nigdy nie tknął jego majątków. I włos z głowy mu nie spadł. Był katolikiem. Z czasem został nawet królem. Nazywał się Jan Sobieski. ●

Projekty Elsy Schiaparelli nawet dziś wydają się ekstrawaganckie. W czasie, kiedy powstały, bulwersowały i wyznaczały trendy.

Iwona Słabuszewska-Krauze

Jednym z jej najsłynniejszych projektów jest kapelusz w kształcie odwróconego do góry nogami damskiego pantofla. Jego nosek wystaje daleko nad czołem, a wysoki obcas sterczy ku niebu.

Projekt kapelusza powstał z inspiracji Gali, żony Salvadora Dalego, która na przyjęciu sfotografowała męża z niekonwencjonalnymi rekwizytami. Oboje byli przyjaciółmi Elsy, a Dali wyjątkowo mocno inspirował młodą projektantkę. Z artystami paryskiej awangardy łączyła ją fascynacja surrealizmem, z tym że ci pierwsi tworzyli sztukę, a ona przekładała surrealizm na język mody.

Z tych inspiracji wzięła się porośnięta sierścią bransoletka, czarne rękawiczki z czerwonymi paznokciami, naszyjnik z paciorków przypominających tabletki aspiryny, trzewiki z długowłosym malpim futrem. Niezapomniana jest kolekcja z motywami twarzy z profilu naszkicowanymi przez Jeana Cocteau, w tym kultowy płaszcz wieczorowy z 1937 roku, na którym dwie wyhaftowane twarze są zwrócone do siebie, tak że tworzą kształt kielicha z kwiatami. Schiaparelli czerpała z awangar-

NA GŁOWIE

dowej sztuki pełnymi garściami. Pablo Picasso zainspirował ją do wykorzystania materiału imitującego zadrukowaną gazetę, szyla z niego kostiumy kąpielowe. Poruszona malarstwem Dalego zaprojektowała zamszową torebkę z tarczą telefoniczną, tzw. suknię szkielet z pikowanymi elementami przypominającymi ludzkie żebra, suknię z homarem i wiele innych.

Kapelusze stanowiły charakterystyczną część jej kolekcji. Nikt przed nią nie wypuścił na wybieg modelek z tak dziwnymi nakryciami głowy. W projektach z początku lat 30. są kapelusze przypominające czepki, z rogami dopasowującymi się do głowy, kapelusz kotlet, kapelusz w kształcie oplatającej twarz dłoni, z motylami i pelzającymi owadami, przypominający zwoje mózgowie, z ukrytą pozytywką i mnóstwo innych, jak żywcem wyjętych z surrealistycznego snu.

Wyobraźnia Elsy nie знаła granic, a jej fantazje modowe i pomysłowość wyniosły ją na szczyt paryskiego haute couture. Wielu projektantów i artystów także dziś wykorzystuje jej najbardziej ekscentryczne i zwariowane pomysły, uważając, że to dzięki Schiaparelli moda stała się prawdziwą sztuką.

KWIATY W USZACH

Urodziła się 10 września 1890 roku w pałacu Corsini w Rzymie. Miała być chłopcem. Żeńskie imię podsunęła opiekunka, bo rodzi-

• **Obcas sterczy ku niebu, nosek spełnia rolę daszka – kapelusz zaprojektowany przez Elsę Schiaparelli w 1937 roku. Modelka ma na sobie także jej spódnicę i kurtkę z motywem ust**

ce o nim nie pomyśleli. Dorastała w rodzinie o bogatych tradycjach naukowych. Jej ojciec, Celestino Schiaparelli, był dziekanem Uniwersytetu Rzymskiego i dyrektorem biblioteki Lincei, profesorem literatury orientalnej i lingwistą. Wuj Giovanni słynnym astronomem, a kuzyn odkrył grobowiec królowej Nefertari w Egipcie. Matka, Giuseppa Maria de Dominicis, pochodziła z arystokratycznego rodu Medyceuszy.

Elsa dorastała w otoczeniu książek, antycznych dzieł i malarstwa włoskich mistrzów. Wychowywano ją chłodno, może dlatego starała się zwrócić na siebie uwagę różnymi wybrykami, zyskując opinię niepokornego i ciekawskiego dziecka. Kiedyś postanowiła, że będzie latać, i wyskoczyła z rozłożoną parasolką z okna. Innym razem wypuściła pchły i obserwowała, jak goście się drapią. Chcąc dostać rozgrzeszenie, wypowiadała się z grzechu nierządu, nie mając pojęcia, co to jest.

Kiedy matka powiedziała, że Elsa jest brzydka, nawkladała sobie nasion do nosa i uszu w nadziei, że kiedy wyrosną z nich kwiaty, stanie się piękna.

Dostała za to lanie, a jedynym sprzymierzeńcem okazał się wuj. Mówił, że pieprzyki na jej twarzy są jak gwiazdy w kosmosie.

Chciała zostać poetką. W wieku 14 lat z pomocą kuzyna wydała tomik poezji „Arethuza”, pisała w nim o doznaniach zmysłowych, czym zbulwersowała rodziców. Za karę wysłano ją do szkoły przyklasztornej z internatem, w Szwajcarii. Po trzech miesiącach upartą głodówką wymusiła powrót. W 1913 roku w wyjechała do Londynu. Chciała w ten sposób uniknąć aranżowanego małżeństwa z dużo starszym rosyjskim księciem, którego wybrali dla niej rodzice.

FOT. ULLSTEIN
BILD VIA GETTY
IMAGES

Nie znaczy to, że zamierzała w ogóle uciec od małżeństwa. W Londynie poznała teozofa, jasnowidza i speca od zjawisk paranormalnych, de facto oszusta, Wilhelma Wendt de Kerlora. Miał polskie korzenie, jego dziadkowie pochodzili z Krakowa. Zachwyciła się teoriami Wilhelma i jego osobowością. Zaręczyli się w drugi dzień znajomości, a wkrótce potem, mimo sprzeciwu rodziców Elsy – poślubili. Miała wówczas 23 lata.

W ARTYSTYCZNYM PĘPKU ŚWIATA

W 1916 roku opuściła z mężem Europę dla Ameryki. Niedługo potem Wilhelm zaczął romansować ze znaną tancerką Isadorą Duncan, Elsa była wtedy w ciąży. Wydał całe wiano swej małżonki, a kiedy w 1920 roku urodziła się ich córka Yvonne, zwana pieszczośliwie Gogo, porzucił Elsę z noworodkiem. Nigdy więcej nie spotkał się z córką. Osiem lat później zginął w Meksyku – dźgnięty nożem lub – jak podają inne źródła – potrącony przez samochód. Elsa przysięgła sobie, że więcej nie wyjdzie za mąż i że zyska niezależność finansową.

Podjęła pracę jako tłumaczka, asystentka maklera, sprzedawczyni w domu mody siostry projektanta Paula Poireta, który kilka lat później został jej mentorem i przyjacielem. Mimo pomocy rodziców jej sytuacja materialna była tak trudna, że mała Gogo

zamiast w łódeczku spała w skrzynce po pomarańczach. Okazało się też, że po przejściu polio ma problemy z chodzeniem i wymaga specjalistycznej opieki. Wtedy Elsa postanowiła spróbować szczęścia w Paryżu. Wierzyła, że we Francji uzyska lepszą pomoc dla dziecka, a poza tym Paryż bardzo jej się podobał i miała tam przyjaciółkę, Blanche Hays, która udzieliła im schronienia.

Stolica Francji była artystycznym pępkiem świata. Tutaj ustalano nowe trendy w sztuce, a paryskie ulice dyktowały, co się nosi na całym świecie. Od 1903 roku działał dom mody wspomnianego Paula Poireta, w którym klientom podawano kawę, herbatę, szampana; Poiret ubierał kobiety w naszyjniki z pereł i zrzucał z nich gorsety.

SWETER Z BIAŁĄ KOKARDĄ

Elsa i Gogo przyjechały do Paryża 20 czerwca 1922 roku. Początkowo Elsa zarabiała, oprowadzając amerykańskie turystki po mieście. Miała silny zmysł estetyczny, więc zwracała uwagę na ich stroje, materiały, zmieniające się kroje. Zapragnęła sama projektować ubrania, najpierw dla przyjaciółek. Umiała dobrze rysować i malować, ale zupełnie nie знаła się na krawiectwie. Kiedyś zobaczyła u znajomej ciekawie wykonany sweter. Chciała wiedzieć, kto go wydzierał, i tak trafiła do Ormianki Aroasiag Mikaelian. Poprosiła ją o zrobienie swetra według swojego projektu – z elementami iluzji optycznej. Tak w 1927 roku powstał słynny sweter ze wzorem białej kokardy przy dekolcie. Wkrótce wszystkie modnisie chciały taki mieć.

Po tym gdy ukazał się w „Vogue’u”, Schiaparelli dostała zamówienie na 40 swetrów i 40 spódnic z zabójczym, tygodniowym deadline’em. Zatrudniła wszystkie dostępne Ormianki znające ten specyficzny sposób dziergania i wywiązała się z zamówienia. To był krok milowy w jej karierze. Swetry z geometrycznymi akcentami pokochały nie tylko Paryżanki, ale i Amerykanki.

W 1928 roku, z pomocą inwestora, odważyła się otworzyć pierwszy sklep w Paryżu na Rue de la Paix 4. Sprzedawała tam „swoje” swetry, pasujące do nich spódnice, kapelusze, płaszcze, kostiumy kąpielowe. Wszystko wyprzedawało się niemal na pniu.

Siedem lat później przeniosła się pod lepszy adres, na Plac Vendôme 21. Zaskoczyła tutaj pierwszym na świecie stoiskiem z gotowymi ubraniami, bielizną i akcesoriami, które można było nabyć od ręki. Elsa była nowatorska w każdym calu – zmieniała witrynę sklepu co tydzień, dekorując ją tak, by zaskakiwała albo szokowała i by żaden przechodzień nie przeszedł obok niej obojętny. Postawiła też w salonie maskotkę, drewnianego manekina o imieniu Pascal, do którego wkrótce dołączyła jego „żona” Pascaline.

Na Placu Vendôme miała do dyspozycji 98 pokoi, zatrudniała 400 pracowników. W 1933 roku otworzyła butik w Londynie. Jej projekty stawały się coraz bardziej szalone.

RYWALKA COCO CHANEL

Inna diwa ówczesnej mody, Coco Chanel, uważała Schiaparelli za rywalkę i szczerze jej nienawidziła. Nazywała ją „artystką, która szyje ubrania”, i krytykowała za skłonność do przesady. Natomiast Schiaparelli niespecjalnie interesowała się Chanel i twierdziła, że nie czuje się przez nią zagrożona. Obie panie projektowały dla kobiety niezależnej, która podróżuje, jeździ na nartach, gra w tenisa, może nawet sama się utrzymuje. Elsa do elegancji Chanel dodała jednak rozmach fantazji i dowcip.

Ubierała kobiety w miękkie tkaniny, ale zaskakiwała niespodziankami w postaci plisy w nietypowym miejscu, asymetrycznego cięcia czy wymyślnego detalu. Pierwsza jej kolekcja nosiła tytuł Pour le sport i okazała się

hitem sprzedażowym. Schiaparelli była wizjonerką i wiedziała, że sport prędzej czy później musi się pojawić na wybiegach – ona wpuściła go tam pierwsza. W 1931 roku ubrała słynną hiszpańską tenisistkę Lili Álvarez w spódnico-spodnie, łamiąc tym samym surowe zasady modowe na Wimbledonie.

Tymczasem sześćioletnia Gogo została wysłana do internatu w Szwajcarii. Miała tam chodzić do szkoły i być poddana nowatorskiemu leczeniu, które miało usprawnić jej nogi. Elsie trudno było się rozstać z córką, ale ostatecznie zdecydowała, że nie ma wyjścia – miała biznes w Paryżu, a Gogo potrzebowała najlepszego lekarza. Po latach Gogo wspominała ten czas jako wyjątkowo trudny i traumatyzujący.

SZALONE GUZIKI

Była drobną kobietą o miłym uśmiechu. Bardzo chroniła życie prywatne – po Paryżu chodziła w projektowanych przez Antonia

Cierplikowskiego perukach i w ciemnych okularach. Choć z natury nieśmiała, w świecie mody była wręcz bezczelna i odważnie łamała wszelkie kanony. „Projektowanie ubrań to nie zawód – mawiała. – To sztuka. Jedna z najtrudniejszych i najbardziej rozczarowujących, ponieważ ledwie kreacja jest gotowa, już należy do przeszłości”.

Prasa ją uwielbiała, bo Schiaparelli dostarczała modowych kontrowersji, a każda z jej kolekcji miała odpowiednią oprawę i intrygujący motyw przewodni. Po wizycie w cyrku zaprojektowała kolekcję ze wzorami trenowanych zwierząt i akrobatów, a pokaz połączyła z występem prawdziwych cyrkowców. Potem powstała kolekcja pogańska, zodiakalna, muzyczna, zainspirowana komedią dell’arte. Idea pokazu mody połączonego z muzyką i dobrze opracowaną choreografią również należy do niej.

Wprowadziła do mody zupełnie nowe elementy i wniosła do niej powiew nowoczesności. Wyeksponowała zamki błyskawiczne, choć suwaki zastosowano w przemyśle

odzieżowym raptem rok wcześniej, i to w męskich spodniach. Przykładała wagę do materiałów, uważała, że tylko Hilaire Colcombet, producent tkanin, rozumie jej pomysły. Rozpoczęła modę na duże broszki. Zachwyciła się haftem i nadała znaczenie guzikom. Te ostatnie wykonywał dla niej rzeźbiarz Jean Clement, przekształcając funkcjonalne zapięcia w rzeźbiarskie, surrealistyczne detale takie jak klawisze fortepianu, klucze, małże z perłami, zęby.

Schiaparelli zawdzięczamy jednak dużo więcej. Zaprojektowała wypchane, kanciate ramiona w stylu kobiety wojowniczk i kopertową sukienkę. Dzięki niej pojawiły się w modzie mocne kolory. Wyłansowała intensywny róż nazwany Shocking Pink, który od 1937 roku jest synonimem marki Schiaparelli. Użyła go po raz pierwszy przy projekcie opakowania swoich perfum „Shocking!”. Flakonik w kształcie klepsydry został stworzony na wzór ponętnej figury amerykańskiej aktorki Mae West, a wykonany przez artystkę Leonor Fini. Zapach zaprezentowały na wybiegu modelki w negligu, wzbudzając kolejny skandal.

Jej sukienki, żakiety i kapelusze inspirowane surrealizmem nosiły gwiazdy i celebrytki – Greta Garbo, Marlena Dietrich, Katharine Hepburn, Wallis Simpson, Joan Crawford. Była pierwszą projektantką mody, która pojawiła się na stronie tytułowej „Timesa”. Dziennikarzowi powiedziała: „Jestem tym, kim jestem, dzięki biedzie, jakiej doznałam, i Paryżowi. Bieda zmusiła mnie do pracy, a Paryż dał mi uwielbienie i odwagę”. Dziś mówi się o niej „edytorka pomysłów”.

NOWA SYLWETKA DIORA

Nie uznawała kompromisów. W latach 30. odmówiła spotkania z Mussolinim, przez co zabroniono jej wjazdu do Włoch, jej własnego kraju. W czasie wojny do ostatniej chwili pozostawała w Paryżu. Kiedy niemieckie wojska zbliżyły się do stolicy Francji, wyjechała do Ameryki z wykładami o francuskiej haute couture. Pozostała tam do końca wojny, jednak jej dom mody, okrojony z pracowników i kolekcji, nadal działał, prowadzony przez zaprzyjaźnioną pracownicę.

Po powrocie z Ameryki okazało się, że charyzma i fantazja już nie wystarczą. Paryż się zmienił, a z nim wymagania. Dior właśnie wprowadził nową długość spódnicy i sylwetkę New Look będącą przeciwieństwem sylwetki promowanej przez Schiaparelli. Kobiety chciały luksusu, a nie surrealistycznej ekstrawagancji. Poza tym jej stroje były za drogie dla powojennych klientek. Musiała ustąpić miejsca młodszemu.

W 1952 roku zamknęła dom mody z powodów finansowych. Odtąd sama ubierała się w suknie od Yves Saint Laurenta. Spędzała czas w Paryżu i Tunezji, gdzie miała drugi dom. Pomagała córce wychowywać dzieci. Gogo wyszła za historyka sztuki Roberta Lawrence’a Berensona, a jej obie córki zostały modelkami. W 1954 roku Elsa Schiaparelli wydała autobiografię.

Zmarła 13 listopada 1973 roku we śnie, w wieku 83 lat. Przed śmiercią przekazała sporą część swego archiwum muzeum. Na wiele lat Dom Mody Schiaparelli został zapomniany, choć w swoim czasie był słynniejszy niż dom Coco Chanel. W 2014 roku wznowił działalność, a jego klientami są tak jak i kiedyś wpływowe klientki ze świata sztuki, muzyki, polityki. Sukienki Schiaparelli sprzedaje się na aukcjach za zawrotne kwoty, a inspirowane jej projektami kolekcje często pojawiają się na wybiegach, przypominając, że ubranie może być dziełem sztuki. ●

Korzystałam m.in. z książki „Schiaparelli. Historia kultowego domu mody”, E. Baxter-Wright i filmu dokumentalnego „Szokująca Elsa Schiaparelli”.



weekendówka

CZARY-MARY

2 maja 1998 roku Hogwart napadły siły Lorda Voldemorta. Śmierciożerców, prowadzonych przez Czarnego Pana, wspomagali przerażający dementorzy – strażnicy więzienia w Azkabanie oraz olbrzymy.

Odpór siłom czarnej magii zdecydowali się dać nauczyciele szkoły, wspierani przez wiernych Dumbledore’owi czarodziejów z Zakonu Feniksa oraz uczniów – ochotników, którzy skończyli 17 rok życia. Resztę ewakuowany, w tym wszystkich z domu Slytherin, których wielu miało w rodzinach zwolenników Śmierciożerców.

Wielka Bitwa o Hogwart jest kulminacyjnym momentem ostatniego tomu przygód Harry’ego Pottera oraz generalnie siedmiotomowej sagi, którą napisała J.K. Rowling.

Na jej pomysł wpadła w pociągu relacji Manchester - Londyn, w 1990 roku. „Piszę niemal nieustannie od kiedy skończyłam 6 lat, ale jeszcze nigdy nie byłam tak podekscytowana literackim pomysłem. W ciągu tych czterech godzin, bo takie pociąg miał opóźnienie, wszystkie szczegóły pojawiały się kolejno w mojej głowie, a ten chudy, ciemnowłosy chłopak w okularach, który z początku nie miał pojęcia, że jest czarodziejem, stawał się coraz bardziej realny” – wspominała Rowling na swojej stronie internetowej.

Dziś książki o Harrym sprzedają się w liczbie ponad 600 mln egzemplarzy, a przychód z ich dystrybucji wynosi szacunkowo jakieś 8 mld dol. Ale w 1995 roku, kiedy Rowling ukończyła „Harry’ego Pottera i Kamień Filozoficzny”, odesłało ją z kwitkiem 12 wydawców! Zaufał dopiero 13., Bloomsbury. I świetnie na tym wyszedł.

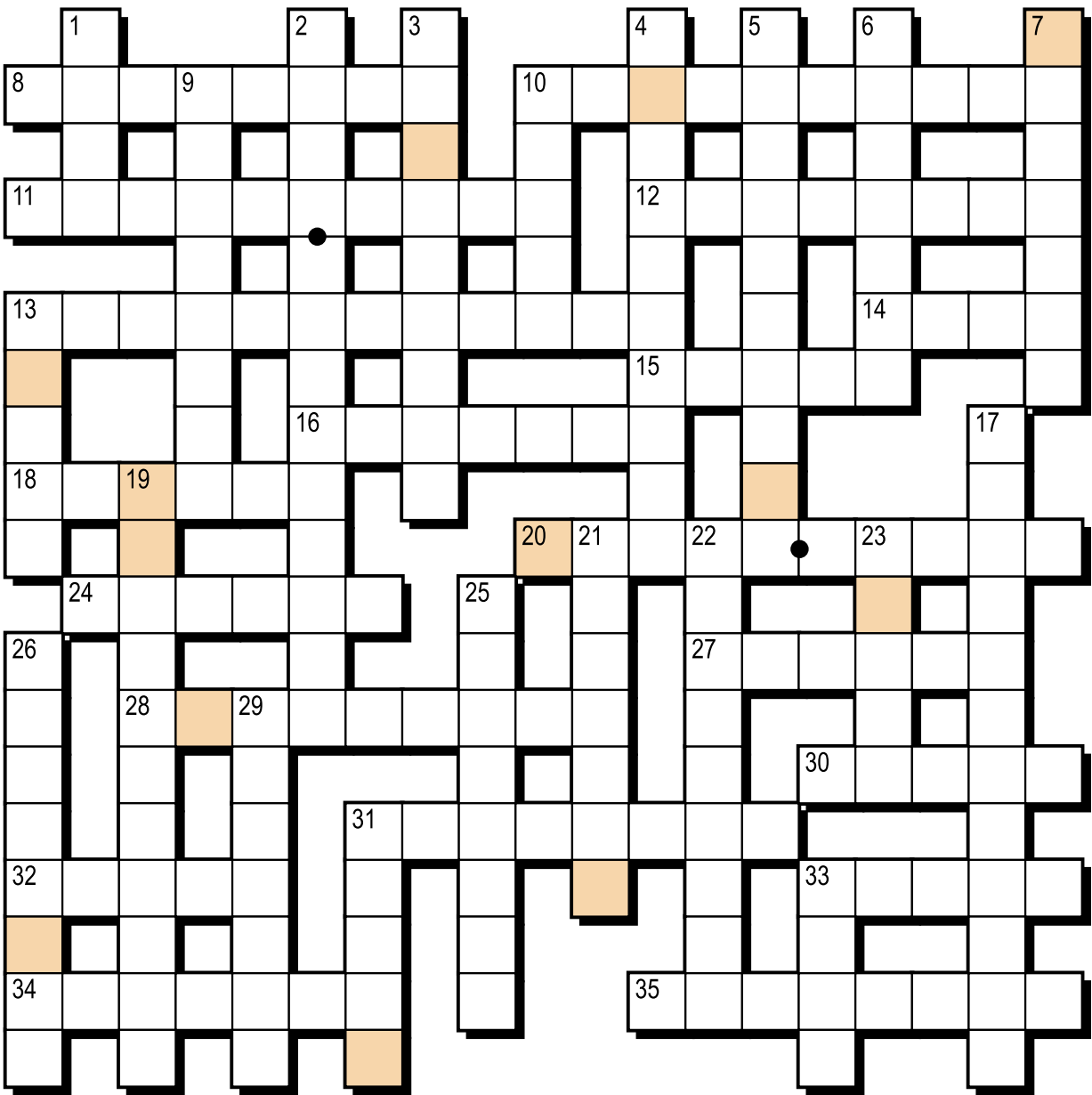
Rowling publikowała pod inicjałami J. K. (Joanne Kathleen, choć tę Kathleen pożyczyla od swej babki, sama nie ma drugiego imienia). Wydawca obawiał się, że młodzi czytelnicy płci męskiej nie będą chcieli czytać książki o magii napisanej przez kobietę.

„Kamień Filozoficzny” – w USA sprzedawany jako „Sorcerer’s Stone”, czyli „Kamień Czarodzieja”, znów po sugestii wydawcy, że młodzi Amerykanie wystraszą się słowa „filozof” – okazał się najlepiej sprzedającym się z całej serii. Kupiono ok. 140 mln egzemplarzy.

Potem były jeszcze filmy, gadżety, parki rozrywki itp. Marka „Harry Potter” przyniosła przychód ok. 30-35 mld dol., czyniąc z Rowling miliarderkę. Pierwszą pisarkę, która na literaturze dorobiła się takiego majątku.

2 maja, właśnie w rocznicę Bitwy o Hogwart, obchodzony jest Międzynarodowy Dzień Harry’ego Pottera, którego jednym z inicjatorów był w 2012 roku ówczesny premier Wielkiej Brytanii David Cameron. A my dzisiaj „Weekendówkę” poświęcamy właśnie światu czarodziejów. ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



HARRY POTTER
Litere w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 8) imię właścicielki kota Krzywołapa
10) dostarczane do Hogwartu przez Sowią Poczte
11) Harry Potter albo Severus Snape
12) ponura istota, strażnik w Azkabanie
13) uczył jej Wilkie Twycross (zasada ce-wu-en: cel, wola, namysł)
14) czekoladowy, od Hagrida dla Harry’ego na 11 urodziny
15) uczucie kojarzące się z Zakazanym Lasem, Komnatą Tajemnic
16) „Harry Potter i przekłete ...”, sztuka teatralna

- 18) przeciwnicy, np. Draco i Harry
20) w tytule czwartego tomu serii
24) Draco, młody czarodziej z domu Ślizgonów
27) Petunia i ... Dursleyowie, wujostwo Harry’ego
28) Bellatriks, czarodziejka, zwolenniczka Czarnego Pana
30) odebrane Lily i Jamesowi Potterom
31) siedem ... o Harrym Potterze autorstwa J.K. Rowling
32) stworzenia takie jak rogon węgierski, walijski zielony i szwedzki krótkopyski
33) niejeden zrobiony przez psotnych braci bliźniaków Rona
34) przyrządzony na lekcji z profesorem Snape’em
35) lewitowały, oświetlając Wielką Salę w Hogwarcie

Pionowo:

- 1) ... quidditcha (rozgrywka)
2) rola Ralpa Fiennesa w ekranizacjach czterech powieści
3) pisany przez Toma Riddle’a
4) podczas przesadzania tej rośliny należało włożyć nauszniki
5) sypialnie uczniów Szkoły Magii i Czarodziejstwa
6) ... Tajemnic, z bazyliżkiem
7) był nim Harry Potter
9) był nim 2 pionowo
10) zaczarowany list wykrzykujący treść głosem nadawcy
13) ... Przydziału
17) była nią Rita Skeeter z „Proroka Codziennego”
19) rodzina zamieszkująca Norę
21) skrzat wyzwolony przez Harry’ego Pottera
22) dom Krukonów

- 23) została żoną Harry’ego Pottera
25) James Potter, Remus Lupin, Syriusz Black i Peter Pettigrew („Uroczyście przysięgam, że knuję coś niedobrego”)
26) Korneliusz Knot, ... magii
29) imię ojca chrzestnego Harry’ego Pottera
31) przedmiot do pisania obowiązujący w Hogwarcie (długopisy są dla mugoli)
33) czysta ..., chlubili się nią niektórzy czarodzieje

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 202 z 25.04:

Poziomo: 4) alka 8) polarnik 10) futro 11) zoo 12) Szeregowy 14) statek 16) ocean 19) pingwin 20) odkrywca 22) Antarktyda 23) pisarz 26) gogle 27) Amundsen 29) rozpad 32) trawa 35) traktat 37) zatonięcie 39) biegun południowy. Pionowo: 1) Ross 2) wale 3) śnieg 4) aktor 5) krzyżówka 6) pustynia 7) Arctowski 9) wojska 13) Ziemia 15) Antarktyda 17) Norwegia 18) Skipper 21) lampart 24) ryba 25) Australia 26) gracz 28) Scott 30) procesy 31) dzień 33) korona 34) Pik-Pok 36) tempo 38) album.

Hasło: WIECZNE ZIMNO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34426992



CODZIENNIE w Wyborczej

Krzyżówka
Sudoku
Zakreślanka
Skojarzenia



Rusz głową!
Nie nudź się w domu!



wysokieobcasy

wyborcza



Matki z ADHD

– Reportaż Ewy Jankowskiej

Byli szczęściami

MAGDALENA
KARST-ADAMCZYK



Baumgartner” – ostatnia książka w dorobku Paula Auster, jednego z najważniejszych współczesnych amerykańskich pisarzy – to opowieść o miłości i żalobie. Tytułowy bohater, którego poznajemy w chwili, gdy od dziecięciu lat jest wdowcem, wciąż tęskni za utraconą miłością, wspomina żonę i spędzone z nią chwile, żyje jakby w zawieszeniu. Auster porównuje śmierć ukochanej osoby do utraty części ciała, a cierpienie towarzyszące żalobie do bólu fantomowego.

W prawdziwym życiu Auster miał takiego bólu nie doświadczyć. Miała go doświadczyć jego żona, Siri Hustvedt, także wybitna pisarka.

„Jestem szczęściarą, że znalazłam Paula i przeżyłam taką miłość. Oboje byliśmy szczęściami. On również dlatego, że nie musiał mnie przeżyć, nie musiał przetrwać po mojej śmierci” – mówi Hustvedt Paulinie Reiter. Tę piękną rozmowę o miłości przeczytają państwo na dalszych stronach tego wydania „WO”.

Zdaje się, że gdy Paul Auster pisał „Baumgartnera”, nie wiedział jeszcze o swojej chorobie. Być może coś przeczuwał, ale raka rozpoznano u niego w grudniu 2022 r., kiedy książka – choć jeszcze nie ukazała się w druku – była już ukończona. Powieść „Baumgartner” okazała się więc w jakimś wymiarze profetyczna, choć trzeba przyznać, że okazała się profetyczna w sposób dość przewrotny.

Paul Auster i Siri Hustvedt przeżyli razem czterdzieści lat. Byli kochankami, przyjaciółmi, intelektualnymi partnerami. Nawzajem podziwiali swoją twórczość, a ten podziw stał się w pewnym sensie spoiwem ich relacji. Ponadto on, obserwując ją – pisarkę walczącą o własną widoczność, którą zbyt często postrzegano przez pryzmat męża, wielkiego pisarza – stał się feministą. Byli razem we wszystkim – w życiu, w twórczości, w swoich ideach. Byli też razem w jego chorobie.

Paul Auster zmarł 30 kwietnia 2024 r. w domu, w którym spędzili razem życie i w którym oboje pisali, pośród bliskich, w otoczeniu wspólnych książek.

O takiej miłości marzy każdy człowiek. O takiej śmierci dla siebie i dla tych, których kochamy, także, choć to akurat marzenie spychamy do podświadomości.

Tymczasem „cierpienie jest częścią życia i nie powinno nas zaskakiwać. Jeśli żyjesz wystarczająco długo i masz zdolność kochania, to na pewno doświadczysz żaloby” – mówi Siri Hustvedt Paulinie Reiter. To piękne słowa. Słychać w nich jednocześnie satysfakcję i smutek, ale też mądrość.

Podobną mądrość można było także usłyszeć w słowach pisarza C.S. Lewisa, który po śmierci ukochanej żony miał powiedzieć: „Mimo cierpienia lepiej tracić, niż nigdy nie spotkać”. Bo, chcemy tego czy nie, każda prawdziwa miłość, także ta spełniona, musi się skończyć tęsknotą. ▲

| Magdalena Karst-Adamczyk – redaktorka prowadząca



JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA”

■ **NA OKŁADCE:** Anne Hathaway: Dziś jest kimś zupełnie innym • Katarzyna Zillmann: Wszłam na nowy poziom ■ **TEMAT NUMERU:** • Zwierzęta. Jak je mądrze kochać ■ **POZA TYM:** • Agata Turkot: Nie jestem typem aktywistki • Premierki Irlandii Północnej • Dorota Sumińska za córką Martą Stachowiak • Lily Collins: Tato, wybaczam ci • Paulina Cudna: SOR dla dzikusów ■ **HERSTORIA:** Ruth Asawa, jedna z najbardziej innowacyjnych artystek XX wieku ■ **PSYCHOLOGIA:** • Prawo matki do życia po swoim • Koniec miłości: Kiedy nie ma sensu walczyć o relację • Wirtualny seks: Proteza deficytu czy koło ratunkowe? ■ **ROZWÓJ:** Pułapki terapii • Destrukcyjny wpływ dysleksji

www.wysokieobcasy.pl

f wysokieobcasy

@ wysokieobcasy.pl

listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA
PROWADZĄCA NUMER:
Magdalena Karst-Adamczyk

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczyńska
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylvia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloń
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ
SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEF PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CIA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stozek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szalański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa,
tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega
sobie prawo do ich redagowania
i skracania.
Na stronach 3, 28 zamieszczony jest
materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 18 (1389)
NA OKŁADCE:
ILUSTRACJA
BASIA POSPISCHIL



SOLAR
x

Magdalena
Lamparska



solar.com.pl

Matka jak pędzące *Pendolino*

Dążą do perfekcji, mają dużą potrzebę kontroli, a jednocześnie niską tolerancję na frustrację. Dla kobiet z ADHD macierzyństwo jest szczególnym wyzwaniem



TEKST EWA JANKOWSKA
ILUSTRACJE BASIA POSPISCHIL

f

FIZYCZNY BÓŁ

Basia, dyrektorka ds. szkoleń i rozwoju oraz wokalistka i kompozytorka, ma 5,5-letnią córkę. ADHD zdiagnozowała u siebie dwa lata temu. Zażywa leki, jest pod stałą opieką lekarską.

– Dwa, trzy lata przed porodem zaczęłam mieć duże problemy z pamięcią, koncentracją, przyswajaniem nowych informacji – zaczyna opowieść. – Nie pamiętałam ludzi, ich imion. Podejrzewałam, że może to skutki wypalenia zawodowego, bo w tym czasie bardzo dużo pracowałam. Brałam także pod uwagę jakieś zmiany neurologiczne – opowiada.

Basia zaszła w ciążę. I pomyślała: „Jak pójść na zwolnienie, to sytuacja się poprawi”. Nie poprawiła się.

Nie poprawiła się również wtedy, gdy Basia urodziła córkę. – Oprócz problemów z pamięcią tuż po porodzie zmagałam się też z bardzo niskim nastrojem, miałam ogromne trudności ze zbudowaniem więzi z dzieckiem, nie czułam, że je kocham. Jednocześnie, jak jakiś temat wokół dziecka mnie zainteresował, na przykład związany ze snem, to byłam w stanie przeczytać o tym wszystkie książki – opowiada.

Ponieważ Basia w młodości przeszła roczny epizod depresyjny, zmagała się ze stanami lękowymi, wiedziała, że po porodzie chce być pod opieką psychologa. – I tak też było – chodziłam na terapię, grupę wsparcia, ale hasło ADHD na tym etapie jeszcze nie padło – mówi.

Kilka miesięcy później, gdy nic się nie zmieniało, postanowiła przejść dokładną diagnostykę. – Fakt, że miałam wkrótce wrócić do pracy, mnie przerażał. Bałam się, że sobie nie poradzę – podkreśla.

Neurologka skierowała Basię na specjalistyczne badania – EEG, rezonans magnetyczny głowy, badania krwi, ale badania nie pokazały nic niepokojącego. – Lekarka powiedziała, że przyczyna może być psychologiczna. I wtedy moja terapeutka zasugerowała, żebym zdiagnozowała się w kierunku ADHD.

Basia udała się do poradni zajmującej się diagnostyką w tym kierunku, przeszła test DIVA-5 [Diagnostic Interview for ADHD in Adults – ustrukturyzowany wywiad kliniczny używany przez specjalistów do diagnozowania ADHD u osób dorosłych – przyp. red.], a następnie poszła do psychiatry. Ta nie miała żadnych wątpliwości, że to ADHD, i szybko wprowadziła leki.

– Wcześniej prawdopodobnie skuteczniej maskowałam ADHD, ponieważ mogłam pracować, kiedy chciałam. Jeśli w jakimś momencie w ciągu dnia poczułam, że nie mogę się skoncentrować, to po prostu przerywałam pracę i wracałam

do niej później. Ale to, co robiłam, wciągało mnie czasem tak, że pracowałam po 14-15 godzin na dobę. Dziś wiem, że wpadałam w hiperfokusy, typowe w ADHD – mówi.

Z dzieckiem już tak się nie dało. – Okazało się, że muszę funkcjonować w stałym trybie – od rana do południa praca, potem dziecko. Tylko jak zmusić swój mózg do tego, żeby pracował w takich ramach? To był jakiś dramat – tłumaczy.

Do tego, jak opowiada, doszło ogromne przebudźcowanie związane z opieką nad dzieckiem, które utrudniało Basi koncentrację i wzmagало potrzebę pobycia w samotności. – Przestrzeń poznawcza mojego mózgu skurczyła się do minimum – dodaje.

Basia wspomina również, że kiedy musiała zostać sama z Różą w domu lub kiedy wychodziła z nią na spacer z wózkiem, pojawiały się u niej silne lęki. – Nie chciałam wychodzić, bo bałam się, że córka się... rozplacze. W takich chwilach stres mnie paraliżował, nie miałam pojęcia, co robić – wspomina Basia.

Pamięta również, jak ogromnym wyzwaniem była dla niej zabawa z niemowlakiem. – Nie byłam w stanie zmusić się do tej monotonnej, skrajnie nudnej, kompletnie pozbawionej stymulacji zabawy. Kiedy inne moje koleżanki – młode mamy – opowiadały, jak lubią spędzać czas z dziećmi, czułam się okropnie, bo dla mnie to była udręka – opowiada Basia.

Kiedy Basia zaczęła brać leki, przyszła ulga. – Odrobiłam też lekcję z psychoedukacji ADHD, bardzo wiele zmieniłam w codziennym funkcjonowaniu.

Bardzo istotne było dla niej wdrożenie pewnych strategii. Szczególnie pomocna okazała się „zasada jednej ręki”, która polega na tym, że wykonanie danej czynności, na przykład odkurzenia, wymaga jednego ruchu. – Dla osoby z ADHD posiadanie zwykłego odkurzacza, który najpierw trzeba wyciągnąć z szafy, a potem podłączyć do prądu, jest na tyle złożoną czynnością, że się z niej po prostu rezygnuje. Rozwiązaniem jest posiadanie odkurzacza bezprzewodowego, który stoi stale w strategicznym miejscu w mieszkaniu, wystarczy po niego sięgnąć – jedną ręką – wyjaśnia.

ZBYT IMPULSYWNIE

Blanka Zadworzańska, która pracuje w projektach IT, ma 4-letnią córkę z poprzedniego związku, jej obecny partner również ma córkę – 7,5-letnią.

Blanka postanowiła zdiagnozować się w kierunku ADHD, gdy zaszła w ciążę.

– Moi rodzice zawsze mieli ze mną dużo wyzwań, bo nigdy nie mogłam się skupić na nauce, wszystko robiłam na ostatnią chwilę – opowiada.

Blanka jako dziecko szybko łapała zainteresowanie czymś, co przez jakiś czas pochłaniało ją całkowicie, ale potem nagle traciła zapal. – Rodzice, podobnie jak nauczyciele, nie łączyli tego z ADHD – pochodzę z małej miejscowości, gdzie świadomość różnego rodzaju zaburzeń jest dużo mniejsza niż w większych miastach. ADHD mogli mieć wyłącznie chłopcy, którzy bili inne dzieci i rozrabiali – opowiada.

Odkąd pamięta, zawsze miała też trudności z radzeniem sobie ze zbyt dużą liczbą bodźców – nie lubiła hałasu, a gdy miała sporo na głowie, pojawiały się problemy z pamięcią. Miała także nadwrażliwość sensoryczną – do szalu dopro-

wadzały ją leżącą na łóżku kartka papieru, nie była w stanie dotykać kartonów czy chodzić w zbyt ciasnych ubraniach lub takich wykonanych z określonych materiałów, np. sztywnych jak dzins, gryzących jak wełna czy śliskich jak satyna i jedwab.

Blanka była też osobą impulsywną i szybko się „odpalala”. Słuchała wybiórczo. Bardzo często gubiła klucze i wszędzie zostawiała rzeczy. Nie oddzwaniała, mimo że mówiła, że oddzwoni, nie odpisywała na wiadomości, bo... o nich zapomniała. Wpadała też w stany zamrożenia – mogła przez kilka godzin leżeć na kanapie. Za to dzień wcześniej miała hiperfokusa i pracowała kilkanaście godzin non stop.

Gdy dotarło do niej, że sprowadzi na świat małego człowieka, za którego życie będzie odpowiedzialna, pojawiły się silne lęki, że w związku z różnego rodzaju deficytami przed czymś go nie uchroni, a może i sama sprowadzi na niego niebezpieczeństwo. – Myślałam: a jak nie włączę hamulca w wózku i wózek zjedzie pod samochód? Co, jeśli odłożę dziecko na kanapę na chwilę, a potem coś innego mnie zaangażuje, chwila się przeciągnie, a dziecko spadnie? Co, jeśli będę czuła się przytłoczona i wydrę się na córkę? – opowiada.

Zaczęła podejrzewać, że to objawy ADHD. – Studiowałam psychologię, więc coś o ADHD wiedziałam. Zgłosiłam się do poradni CBT (terapia poznawczo-behawioralna), gdzie zdiagnozowano u mnie ADHD w typie mieszanym, co oznacza,

Nie chciałam wychodzić z domu, bo bałam się, że córka się... rozplacze. *W takich chwilach stres mnie paraliżował*

że występują u mnie zarówno objawy impulsywności, nadpobudliwości, jak i nieuwagi – opowiada.

Diagnozę zaakceptowała od razu. – Poczułam ulgę, bo odkryłam, co się ze mną dzieje. Nie ukrywam, że liczyłam też na większe zrozumienie moich zachowań przez otoczenie – otwarcie mówiłam, że mam ADHD. Rozpoczęłam terapię poznawczo-behawioralną, skonsultowałam się także z psychiatrą, który nie chciał mi jednak przepisać leku na ADHD, bo uważał, że na moje zaburzenia lękowe lepiej sprawdzą się leki przeciwłękowe. Ale te, mimo że mnie wyciszały, nie rozwiązywały problemów z brakiem koncentracji – dodaje.

I wtedy przyszła na świat Zuzia. Blanka wspomina, że płacz i frustracja niemowlaka były dla niej nie do wytrzymania.

– Całą sobą czułam, że muszę się odciąć, wyjść do innego pokoju. Jednocześnie wiedziałam, że nie mogę tego zrobić – opowiada. Bardzo trudne było dla niej także życie w rutynie. – Monotonia, na przemian przewijanie i karmienie, sprawiała, że się „wylaczałam”. Jednocześnie bardzo skupiałam się na każdej czynności, robiłam wszystko perfekcyjnie,

szczegółowo. To wszystko wzmagало lęk, że zaraz popełnię jakiś błąd – wyjaśnia.

Blanka dopiero po trzech latach od diagnozy dostała leki na ADHD. – W końcu trafiłam do psychiatry, która potraktowała moje ADHD poważnie i przepisała właściwe leki. Do dziś pamiętam, jak poszłam po nie do apteki. Było 10 minut przed zamknięciem; farmaceutka, gdy zobaczyła receptę, skwitowała: „O tej porze narkotyków nie sprzedaję”. Szczeka mi opadła. Ale odpowiedziałam jej zgodnie z prawdą: „Proszę pani, ja nie potrzebuję tych leków, żeby się naćpać, ale żeby zrobić pranie” – kończy opowieść Blanka.

Dziś leki jej pomagają, ale nie rozwiązują wszystkich problemów. Wciąż często zapomina o tym, co córka do niej mówi, więc Zuzia musi powtarzać drugi raz. – To bywa dla niej frustrujące. Zdarza się, że zrobię coś impulsywnie – nigdy nie zapomnę, jak chciałam przesunąć podest, na którym stała, bliżej zlewu w kuchni. Zamiast ją poinformować, że to zrobię, po prostu to zrobiłam. Córka spadła i obila sobie pupę. Gdy dochodziło do takich sytuacji, czułam się złą matką – opowiada.

NO NIE MOGĘ!

Marta, z zawodu artystka plastyczka, ma 23-letniego syna oraz dwie córki – 17-letnią i 4,5-letnią. – Najmłodszą urodziłam, gdy miałam 42 lata. Jest, jak to mówię, uszyta na miarę rodziców starej daty – prosta w obsłudze, raczej spokojna, nieżądająca nieustannie czegoś, nie choruje, można się z nią we wszystkim dogadać – opowiada Ola.

A jednocześnie dopiero przy niej Ola poczuła, że nie daje rady. – Gdy się urodziła, zdałam sobie sprawę, że jestem tak przebudżowana, że nie mogę normalnie funkcjonować. Deprywacja snu jeszcze pogarszała sytuację. Zabawa z małą przypominała przenoszenie gór. Gdy płakała, wchodziłam pod kołdrę, żeby tego nie słyszeć – opowiada.

I dodaje: – Przytłaczało mnie też to, że z jednej strony wszystko musi być z dzieckiem zaplanowane, ale najczęściej ten plan i tak bierze w łeb. Przykład: mamy wyjść z domu, Hela przebrana, nakarmiona, przewinięta i nagle ona robi kupę. I dla mnie to już było za dużo, wszystko odwoływałam.

Marta przy starszych dzieciach czuła się inną matką. Wymyślała zabawy, cieszyła się swoim macierzyństwem. – To nie było bezproblemowe macierzyństwo, podejrzewam jednak, że skuteczniej maskowałam swoje ADHD, ponieważ obiektywnie było mi łatwiej – byłam młodsza, lepiej znosiłam nieprzespane noce, łatwiej było mi zrzucić zbędne kilogramy po ciąży – wyjaśnia.

Po urodzeniu najmłodszej córki Marta doświadczyła stanów depresyjnych. – Jestem osobą bardzo pogodną, dużo gadam, żartuję, śmieję się. Po porodzie zmieniło się to o 180 stopni. Wyżaliłam się koleżankom, które zachęciły mnie, abym poszła do psychiatrki specjalizującej się w depresji poporodowej – opowiada Marta.

Lekarka wyciągnęła Martę z dolka, głównie dzięki lekom. – Regularnie się u niej pojawiałam. Na jednej z sesji, gdy uma-



Ryzyko wystąpienia u kobiet z ADHD depresji poporodowej *jest dużo wyższe niż u kobiet neurotypowych*

wialiśmy się na kolejną wizytę, zobaczyła kątem oka mój kalendarz w telefonie, a tam wydarzenie na wydarzeniu, milion kolorów. Lekarka zawyrokowała: „To maskowanie w wersji zaawansowanej. Ja panią skieruję do specjalisty od ADHD”.

Marta dostała diagnozę w jednej z poradni specjalizujących się w ADHD. Co dzięki temu zyskała? – Większą świadomość, ale też wsparcie. Zaczęłam szybko brać leki, które wyciszają różne impulsy, poprawiają koncentrację. Pamiętam, że na starsze dzieci często się wydzierałam, przy najmłodszej córce to się nie dzieje, bo dzięki lekom jestem w stanie się kontrolować – opowiada.

Marta nauczyła się również zarządzać swoim skupieniem i uwagą. – Mam tendencje do odlatywania myślami, niesłuchania. Więc mówię moim dzieciom: OK, słucham was teraz uważnie przez 15 minut, a potem basta.

Zauważyła też, jak motywująco działają na nią nowości. – Doktorat na Akademii Sztuk Pięknych napisałam tylko dzięki temu, że co jakiś czas wymieniałam stary długopis na nowy, oczywiście taki, który najbardziej mi się podobał, konkretnej firmy. Wracałam do domu z zakupów i kolejny rozdział, po tygodniach posuchy, napisany. Podobnie robię z jedzeniem. Nie znoszę przygotowywać sobie jedzenia do pracy. Ale wystarczy, że kupię nowy lunchbox i mam zajawkę na kolejnych kilka tygodni. Potem mi się nudzi i muszę kupić nowy... – opowiada.

Gdy Marta otrzymała diagnozę, zaczęła podejrzewać, że jej syn również może mieć ADHD. – Pamiętałam, że w szkole miał duże problemy z nauką, uczył się tylko wtedy, gdy coś go interesowało. Rozkwitł dopiero, gdy trafił do liceum, gdzie nauka polegała na realizowaniu projektów. W dzieciństwie miał dużą wybiórczość pokarmową, wielu rzeczy nie chciał jeść, do tej pory niewiele co mu smakuje. Ale zdecydowaliśmy się zrobić mu diagnozę głównie dlatego, że już jako dorosły chłopak wpadł w uzależnienie od gier. Funkcjonował od euforii – gdy wygrywał – do depresji – gdy przegrywał. Straszne to było. Wiedziałam już, że osoby z ADHD mają większe skłonności do uzależnień. Proces diagnostyczny potwierdził ADHD – podsumowuje.

RZECZY, KTÓRE WYPADAJĄ

Małgorzata Owczarek, psycholożka i trenerka, która na co dzień wspiera rodziny z ADHD, a także prowadzi grupę wsparcia dla rodziców dzieci z ADHD, mówi: Badania mówią, a moja własna praktyka to potwierdza, że połączenie neurorozróżnorodności i rodzicielstwa niesie za sobą zwiększone ryzyko wypalenia rodzicielskiego. Często wiąże się także z poczuciem ogromnego osamotnienia i zwiększonego stresu. Rodzicielstwo, gdy jest się osobą z ADHD, jest dużym wyzwaniem, a staje się jeszcze większym, gdy okazuje się, że nasze dziecko również ma ADHD.

Takie dzieci potrafią być bardzo intensywne, przebudźcowujące, w dodatku emocjonalnie dojrzewają kilka lat później niż dzieci neurotypowe. Ta wydłużona perspektywa opieki i wspierania dziecięcych emocji może powodować dużo frustracji – tłumaczy.

Jak opowiada, dla wielu kobiet z ADHD pojawienie się dziecka staje się momentem dużego kryzysu. Ten kryzys możemy porównać do rozsypanych klocków. – Każda kobieta, zostając mamą, musi ułożyć sobie te klocki na nowo. Mama

z ADHD może jednak czuć dodatkowy niepokój w związku z przymusem wypracowania nowych strategii funkcjonowania, bo te, z których korzystała do tej pory, przestały działać. Więc układanie klocków – to raz, ale i dwa – znalezienie nowych sposobów ich układania. To pochłania czas, zasoby – wyjaśnia ekspertka.

Zmiany hormonalne dodatkowo mogą nasilać objawy ADHD. Dlatego, jak podkreśla, ryzyko wystąpienia u kobiet z ADHD depresji poporodowej jest dużo wyższe niż u kobiet neurotypowych. – Głównie ze względu na przymus aktualizowania nowych strategii radzenia sobie oraz kierowania się potrzebami dziecka i dostrajaniem do niego, a nie do siebie – opowiada.

Bycie matką wiąże się także z koniecznością przyjęcia różnych stanów emocjonalnych dziecka. – Zapanowanie nad swoim wewnętrznym stanem i jednocześnie opieka nad maluchem staje się często zadaniem ponad siły matek z ADHD. Koszty stawiania temu czoła są też ogromne i mogą skutkować objawami depresyjnymi, lękowymi – wyjaśnia Owczarek.

Kolejnym wyzwaniem jest deprivacja snu. – Brak snu może nasilać objawy ADHD – koncentracja jeszcze bardziej spada, pamięć jeszcze się pogarsza, a impulsywność rośnie – wymienia.

PODOBNI, ALE BARDZIEJ

Owczarek podkreśla, że kobiety neurotypowe również doświadczają podobnych objawów, ale w przypadku kobiet z ADHD są one dużo bardziej nasilone. – Rodzicielstwo może nasilać objawy ADHD na przykład u matek, które późno urodziły dziecko albo przy kolejnym dziecku, bo deprivacja snu jest trudniejsza do zniesienia i energii jest mniej. Do tego mogą dochodzić różnego rodzaju zmiany hormonalne – kobiety z ADHD przechodzą perimenopauzę około 10 lat wcześniej niż kobiety neurotypowe – dodaje ekspertka.

Jak dodaje, nie tylko kobiety z ADHD mogą działać impulsywnie wskutek zmęczenia, może to być doświadczenie każdej mamy. – U kobiet z ADHD często takie zachowania wynikają z dążenia do perfekcji, dużej potrzeby kontroli i potrzeby zapanowania nad rzeczywistością – zewnętrzną i wewnętrzną, a jednocześnie niskiej tolerancji na frustrację – wyjaśnia.

Gdy pracuje z rodzicami i dziećmi z ADHD, często zadaje im pytanie, do czego mogliby porównać to, jak się czują. – W rozmowach z dziećmi często mówimy, że mają biegaczy w głowie albo pędzące Pendolino, które powinno zatrzymać się na stacji, ale się nie zatrzymuje. Z kolei z dorosłymi z ADHD, że to tak, jakby przenosili na raz bardzo dużo rzeczy i te rzeczy zaczynały im po kolei wypadać, ale oni nie mogą z jakiegoś powodu się zatrzymać, żeby je podnieść – opowiada.

Często wspólnym dla matek z ADHD doświadczeniem jest poczucie, że sobie nie radzą, że rozczarowują siebie i innych. Nie rozumieją dlaczego, bo jednocześnie cały czas się starają, działają nierzadko ponad swoje siły.

– Dochodzi do momentu, w którym ten chaos i niepokój wewnętrzny jest tak przytłaczający, że na przykład wybuchają złością w relacji z dzieckiem. Wtedy pojawia się ogromne poczucie winy. Oczywiście każdej matce, również tej neurotypowej, może zdarzyć się na dziecko krzyknąć, ale u kobiet z ADHD ten wybuch ma nieco inne źródło, bo bierze się niekoniecznie z samego wyczerpania, ale z nieumiejętności oszacowania swoich możliwości. Osoby z ADHD nie czują, że biorą na siebie za dużo. Myślą, że jest OK, a w rzeczywistości są na skraju wytrzymałości i cierpliwości – tłumaczy.

Jak dodaje, niekiedy to przytłoczenie objawia się nie wybuchem, lecz wycofaniem, obniżeniem zasobów do podejmowania podstawowych działań, paraliżem decyzyjnym. – Wtedy nawet rozładowanie zmywarki jest zadaniem zbyt trudnym do zrealizowania – wyjaśnia Owczarek. ▲

Imiona dwóch bohaterów zostały zmienione

OGŁOSZENIE



- Czy Twoje samopoczucie zależy od nastrojów innych?
- Bierzesz odpowiedzialność za czyjeś emocje?
- Analizujesz rozmowy długo po ich zakończeniu?

KSIAŻKA DLA OSÓB, KTÓRE CZUJĄ, ŻE ICH ŻYCIE JEST
**UZALEŻNIONE OD EMOCJI
I OCZEKIWAŃ INNYCH**

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



KULTURALNY
SKLEP.PL

WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



publico.pl

www.wydawnictwoagora.pl

eprasa.pl c228a69f19



Wydawnictwo
Agora



Ruchoma rzeczywistość

Cierpienie jest częścią życia i nie powinno nas zaskakiwać. Jeśli żyjesz wystarczająco długo i masz zdolność kochania, na pewno doświadczysz żaloby

Z **SIRI HUSTVEDT**, PISARKĄ,
WDOWĄ PO PAULU AUSTERZE,
ROZMAWIA **PAULINA REITER**

Straciłam mojego *Lebensmensch*” – mówi pani po śmierci swojego męża Paula Austera w filmie dokumentalnym „Siri Hustvedt i wspomnienia przyszłości”. Co miała pani na myśli?

– Słowo to poznałam dzięki pewnej kobiecie, którą spotkałam w Tybindze, w Niemczech, gdzie miałam serię wykładów i spotkań. Julia Raabe jest lekarką, polubiłyśmy się. Gdy Paul zmarł, dostałam od niej bardzo piękny list z kondolencjami, w którym pisała, że odniosła wrażenie, że ja i Paul byliśmy nawzajem swoimi „Lebensmensch”.

Znam niemiecki na tyle, że natychmiast zrozumiałam to pojęcie i uderzyło mnie, jak trafnie oddawało naszą relację, znacznie lepiej niż takie pojęcia jak żona i mąż czy małżonkowie, a nawet partnerzy życiowi. Żadne z tych słów nie oddaje tego, co „Lebensmensch”, w którym zawiera się i to, że ktoś jest osobą pełną życia, i że jest osobą na całe życie. Angielski przekład tego nie oddaje.

Jaki jest angielski przekład?

– Ktoś powiedział mi, że tego słowa używał w swoich książkach austriacki pisarz Thomas Bernhard i że na angielski było tłumaczone ono „life mate” (towarzysz życia). Uważam, że to brzydkie określenie i niekomunikatywne. Natomiast „Lebensmensch”, gdy tylko je przeczytałam w liście, poczułam, że jest właściwym słowem dla nas obojga, bo łączy się z życiem. A dla mnie życie jest organicznym ruchem, który płynie w czasie i ponad czasem. Taka również była nasza relacja z Pauliem – nie sztywna, nie statyczna, lecz dynamiczna. To nie

była fantazja o tym, że w relacji osiąga się pewien etap szczęścia i już na nim pozostaje. Nie wiedzielibyśmy, czym jest szczęście, gdybyśmy nie byli smutni. Słowo „Lebensmensch” wyraża czas i życie. I zawiera w sobie „Mensch” – człowieka, istotę ludzką, a więc znacznie więcej niż zdeterminowane role genderowe. I nie jest tak zimne jak „współmałżonek”.

A więc to słowo, którego można użyć po długim życiu razem, a wy przeżyliście wspólnie 40 lat. To nie jest słowo, które przyszłoby pani do głowy, gdy pani Paula poznała. Nie wykrzyknęłyby pani wtedy „Ach, to mój Lebensmensch!”.

– O, tak! To słowo starych ludzi. Miałam 69 lat, gdy Paul zmarł, teraz mam 71. Kiedy kogoś spotykasz po raz pierwszy, nawet jeśli szaleńczo się zakochujesz, nie wiesz, czy ta miłość przetrwa całe dekady. Wielu ludzi oczywiście tego pragnie, ale nie ma żadnej gwarancji.

A pamięta pani, co myślała, gdy go poznała?

– Że jest to najpiękniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałam. I w dodatku był poetą! Fakt, że poeta może być w takim pakiecie, był po prostu fantastyczny.

Poznaliście się w Nowym Jorku. To było chyba całkiem niedługo po tym, jak przyjechała tam pani na studia?

– Wychowałam się w małym, akademickim miasteczku w Minnesocie. Były tam dwie uczelnie, mój ojciec był profesorem w jednym college’u. Już jako nastolatka myślałam tylko o tym, żeby się stamtąd wyostać. Czułam tam prowincjonalne napięcie typowe dla małych miasteczek, gdzie każdy wie wszystko o wszystkich. Marzy-





Siri Hustvedt, amerykańska pisarka, poetka, eseistka. Jej najnowsza książka „Ghost Stories” opowiada o mężu, Paulu Austerze



Paul Auster (na rok przed śmiercią)
i Siri Hustvedt w domu. Kadr z filmu „Siri
Hustvedt i wspomnienia przyszłości”

łam o Nowym Jorku. Kiedy więc aplikowałam na studia poddyplomowe, złożyłam podanie na Columbię. Miałam ochotę na przygodę. Nie dlatego, że szukałam szczęścia czy męża. Boże broń! Pragnęłam przygody, a przede wszystkim intelektualnej przygody. I ją znalazłam.

W Nowym Jorku w tamtym czasie panował kryzys finansowy i wiele osób opuściło miasto. To jednak otworzyło drogę młodym ludziom i artystom do zamieszkania na Manhattanie, bo ceny były znacznie niższe, zupełnie nieporównywalne z tym, co płaci się teraz. Dwupokojowe mieszkanie niedaleko uniwersytetu kosztowało mnie 210 dolarów i chociaż ledwie było mnie na to stać, to jednak dawałam radę. Dziś w Nowym Jorku studenci wynajmują mieszkania w kilka osób i tłoczą się w kłitkach jak sardynki.

W filmie mówi pani: „Byłam biedna, ale to był czas ogromnych możliwości”. Czy chodziło o możliwość realizowania się jako intelektualistka?

– Tak, choć staram się nie robić wielkiego podziału na umysł i ciało, więc kiedy myślę o rozwoju intelektualnym, myślę też o nim jako o rozwoju emocjonalnym. Wszystko jest połączone.

Pomimo trudności i mimo tego, że chwilami czułam się skrajnie bezbronna z powodu ubóstwa, ale też z powodu płci i bycia młodą osobą, która zastanawia się, jak żyć, to był dla mnie wspaniały czas. Przyjechałam do Nowego Jorku w 1978 roku,

*Jestem szczęściarą,
że znałam Paula
i przeżyłam taką miłość.*

Oboje byliśmy
szczęściarzami. On
również dlatego, że nie
musiał mnie przeżyć,
nie musiał przetrwać
po mojej śmierci

a Paula poznałam w 1981, jednak wydawało mi się, jakby te wydarzenia dzieliła dekada, bo ten czas był tak intensywny.

Czy w chwili, gdy jechała pani do Nowego Jorku, wiedziała już, że będzie pisarką?

– Wiedziałam o tym od trzynastego roku życia. Wtedy zaczęłam pisać, oczywiście były to straszne rzeczy. Postanowiłam, że zostanę pisarką, podczas podróży z rodzicami do Rejkiawiku. Pojechaliśmy tam, bo mój ojciec studiował islandzkie sagi. W Rejkiawiku zrobiłam skok w rozwoju i wciągnęłam się w czytanie powieści. Czytałam jedną za drugą i miałam na nie ogromny

apetyt. Moja matka, która sama jest wielką wielbicielką powieści, podtykała mi głównie literaturę angielską. Zawalałam noce, czytając książki, tym bardziej że nie mogłam spać, bo były to białe noce.

W tamtym czasie ogromne wrażenie zrobił na mnie „David Copperfield” Charlesa Dickensa. Pamiętam, że w którymś momencie musiałam odłożyć książkę, tak byłam nią poruszona. Pamiętam też, że podeszłam wtedy do okna, podniosłam żaluzje i zobaczyłam Rejkiawik spowity w niesamowitym świetle. Byłam bardzo wstrząśnięta i pomyślałam, że skoro książki potrafią budzić takie emocje, to ja też chcę pisać. Powiedziałam to mojej rodzinie. Byłam arogancką i bezczelną dziewczynką. Nie sądzę jednak, by ktokolwiek mi uwierzył. Niemniej właśnie wtedy zaczęłam pisać.

W liceum pisałam już bardzo dużo, głównie wiersze. W college’u próbowałam napisać powieść, ale brakowało mi umiejętności i nie zdołałam dotrzeć dalej niż do czwartej strony. Uważałam, że początek był znakomity, ale nie wiedziałam, jak go rozwinąć, dokąd ta powieść ma zmierzać. Choć przeczytałam tyle powieści, nie byłam szczególnie rozwinięta intelektualnie. Pierwszą rzecz opublikowałam w 1979 roku na łamach „Paris Review”. To był wiersz.

Gdy zaczynała pani karierę literacką, myślała o tym, że kobiecie jest trudniej niż mężczyźnie?

– Spodziewałam się tego, bo już w wieku czternastu lat byłam zdeklarowaną feministką i rozumiałam wiele spraw, choć oczywiście mam świadomość, że od tego czasu moje rozumienie feminizmu bardzo się rozwinęło. W tamtym czasie postrzegałam feminizm bardziej teoretycznie, mniej praktycznie. Więc kiedy spotkałam się z pobłażliwym traktowaniem jako kobieta na polu literackim, byłam w szoku. Paul zaczął publikować przede mną i stał się szybko bardzo znany, zwłaszcza po napisaniu „Trylogii nowojorskiej”. Wiele osób dało mi odczuć, że wszystko, co wiem o pisaniu i literaturze, wiem od męża, mimo że miałam doktorat z literatury. Muszę przyznać, że to mnie zmiotło – na taki seksizm w życiu literackim nie byłam przygotowana.

Chociaż z drugiej strony nie powinno mnie to aż tak dziwić, bo widziałam, co spotyka kobiety w świecie akademickim i sama miałam kilka doświadczeń, które były dla mnie frustrujące. Jedno z nich opisałam później w eseju – dotyczyło sytuacji, gdy dostałam pozwolenie, by uczestniczyć w seminarium z filozofii, i tak trafiłam do sali, w której siedziało siedmiu młodych mężczyzn i jeden starszy, a wszyscy mieli brody i palili fajki.

Ha, ha!

– Pamiętam, że weszłam tam i poczułam się, jakbym puściła głośnego bąka. Z ich min od razu wyczytałam, że uważają, że to nie jest miejsce dla mnie. Nie chcieli mnie tam i więc nie wróciłam.

Z czasem zrozumiałam, że dokładnie takiej reakcji oni oczekują – że więcej się nie pojawisz. A my, kobiety, zazwyczaj czujemy się poniżone, zranione i faktycznie nie wracamy. Tymczasem trzeba wracać. Dziś wiem, że miałam prawo tam być tak samo jak oni – byłam studentką wydziału filologii angielskiej, studentką tej samej uczelni co oni, nie byłam przechodniem, który wpadł na ten wykład z ulicy, przypadkiem. Byłam nieźle wykształconą młodą kobietą. To, czego wtedy doświadczyłam, jak dowiedziałam się później, czytając Pierre’a Bourdieu, to przemoc symboliczna. A przemoc symboliczna działa, twierdzi Bourdieu, tylko wtedy, gdy ofiara czuje się w jakimś stopniu współwinną, bo myśli: cóż, tamci mają rację, nie powinnam wchodzić w ich przestrzeń.

Potem nauczyłam się obstawiać przy swoim i bronić swojego prawa do zajmowania przestrzeni. Chodzi o to, by nie ustępować i by spokojnie to egzekwować – bez nerwów, bez krzyku i wymachiwania rękami.

Ciekawi mnie bardzo, jak wygląda życie, kiedy w jednym domu mieszka dwoje pisarzy. Wspieraliście się czy byliście zazdrośni o swoje dzieła i sukcesy?

– Piszę o tym w najnowszej książce „Ghost Stories” [w październiku w Polsce – przyp. red.], napisanej po śmierci Paula. Od samego początku naszej znajomości wiedziałam, że Paula zachwyciły moje wiersze. To było bardzo miłe uczucie. I ja również podziwiałam jego poezję. Jestem przekonana, że gdyby tak nie było, gdybym uważała, że jego

wiersze są słabe, to nie bylibyśmy małżeństwem. Nie wydaje mi się, żeby taka relacja zadziałała. W naszym przypadku ten wzajemny szacunek i zachwyt nigdy nie ustał.

I szczerze mówiąc, Paul, gdy zaczął zauważać, jak różnie jesteśmy traktowani, wściekał się na to coraz bardziej. Z upływem lat stawał się coraz bardziej zagorzałym feministą. Żyjąc ze mną i obserwując, jak wygląda świat, jeśli jesteś kobietą, prześląkał moimi ideami. Bo na przykład przechodził fotograf, który miał zlecenie na podwójny portret, ale ustawiał nas tak, bym stała za mężem, w jego cieniu. Albo gdy wypowiadałam się na temat neurobiologii, która mnie fascynuje, a ktoś uznawał, że pewnie dowiedziałam się tego od męża, choć przecież Paul nigdy się tym nie zajmował i nie interesował.

„Ghost Stories” zaczęła pani pisać bardzo szybko po śmierci Paula. To był sposób na przeżycie żałoby?

– Tak. Pisane, które jest aktem, jest działaniem, wyrывało mnie z pasywnego stanu, w jaki można wpaść w żalobie. Mimo że byłam przygotowana na śmierć Paula i już wcześniej, wiedząc o zbliżającej się śmierci, czułam smutek, to jednak gdy odchodzi bliska osoba, twoja fenomenologiczna, codzienna rzeczywistość zmienia się dramatycznie. Osoba, która zawsze tam była, zniknęła. A wszystkie twoje zmysły są nadal nastawione na jej obecność. Śmierć to wielka sprawa. Pisanie zaś było wtedy dla mnie przede wszystkim aktem stwarzania. Stwarzania czegoś z pustki. Czułam też wielką

OGŁOSZENIE

AUTORKA BESTSELLERA ŚWIATŁO MIĘDZY OCEANAMI POWRACA Z NOWĄ POWIEŚCIĄ!

**CZY ULOTNA CHWILA MOŻE ZNISZCZYĆ CAŁE ŻYCIE,
NAZNACZYĆ JE NA ZAWSZE I NIEODWRACALNIE...?**

Emocjonalna podróż po bezkresnej Australii.

Opowieść o rodzinnych tajemnicach, nieprzemijającej sile miłości i straszliwej tragedii, której skutki odbijają się echem przez dziesięciolecia.

 WYDAWNICTWO ALBATROS





Siri Hustvedt: Pragnęłam przygody, przede wszystkim intelektualnej, w Nowym Jorku ją znalazłam

potrzebę, by przywrócić Paula na stronicach mojej opowieści. To wcale, jak się okazuje, nie jest tak częsta potrzeba piszących wspomnienia, bo zazwyczaj ludzie koncentrują się na swoim cierpieniu. Ale dla mnie wspomnianie Paula okazało się terapeutyczne. Jego utrata była strasznym ciosem, a pisanie w jakimś sensie mnie ocaliło.

„Ghost Stories” są de facto o miłości. Duch, który nawiedza pani dom, nie jest obcy i straszny, lecz bliski, a jego obecność wyczekiwana?

– Tytuł „Ghost Stories” ma dla mnie różnorodne znaczenia. Przecież książki to bardzo często miejsce spotkania czytelnika z umarłymi. W książkach oni przetrwali, w pewnym sensie. Ale tylko w pewnym sensie, bo tęsknię za Pauliem, za jego cielesnością. Tęsknię za zabawnym, mądrym, ukochanym mężczyzną. W mojej książce badam, kim ten człowiek, ten Paul Auster, był. Kim był nie dla świata, lecz dla mnie. I badam, dlaczego kochaliśmy się nawzajem cały ten czas. To poniekąd tajemnicza sprawa. Gdy pisałam, wracały do mnie przeróżne przeżabawne, urocze i czule wspomnienia. A więc to jest historia o domu nawiedzonym przez ducha, ale tym duchem jest Paul i nawiedza mnie w sposób, który przynosi mi ukojenie.

Nie przestaję myśleć o tym, jaką jestem szczęściarą, że znalazłam Paula i przeżyłam taką miłość. Oboje byliśmy szczęściarzami. On również dlatego, że nie musiał mnie przeżyć, nie musiał przetrwać po mojej śmierci. To ja muszę przeżyć jego odejście i żyć dalej. Oboje byliśmy od dawna bardzo świadomi

Czułam wielką
potrzebę,
by przywrócić Paula
na stronicach mojej
opowieści. Jego utrata
była strasznym ciosem,
*a pisanie w jakimś sensie
mnie ocaliło*

tęgo, że jedno z nas umrze przed drugim, chyba że zdarzy się jakiś wypadek, w którym zginiemy oboje. Nigdy nie unikaliśmy rozmowy o naszej nadchodzącej śmierci.

Zwłaszcza, jak rozumiem, po zdiagnozowaniu u niego raka płuc. W filmie mówi pani, że zamieszkała na jakiś czas w krainie raka, w Cancerland.

– Ciągłe powtarzam, że wszyscy umrą. Ludzie lubią wypierać tę świadomość. Zresztą, póki żyjemy, po prostu nie wiemy, co to tak naprawdę znaczy umrzeć. Mamy co prawda świadectwa osób, które miały doświadczenia bliskie śmierci i zazwyczaj mówią, że tam, po drugiej stronie, było dobrze – to pocieszająca myśl. Śmiertelność jest częścią tego, kim jesteśmy, a ja i Paul byliśmy tego bardzo świadomi.

Paul umierał z ogromną odwagą i miał dobrą śmierć. To była poniekąd śmierć w stylu dziewiętnastowiecznym. Był w domu, otoczony rodziną, byłam przy nim ja, byli też nasza córka Sophie i ukochany zięć Spencer Ostrander, a także ich syn, mały Miles, który miał wtedy tylko cztery miesiące, a teraz ma już ponad dwa lata. Były z nami wszystkie trzy moje siostry i nasza pomoc domowa, która pracowała u nas trzydzieści lat. A więc Paul był otoczony ludźmi, którzy byli mu bliscy i którzy się o niego troszczyli. Tak właśnie chciał umrzeć. Nie chciał być podłączony do maszyn, nie chciał być ratowany za wszelką cenę. Przez ostatni miesiąc życia spotkał się z wieloma ludźmi, z którymi chciał się pożegnać. To były poruszające spotkania, Paul opowiadał mnóstwo dowcipów, żartował i cieszył się ich obecnością. To była dobra śmierć. To, jak stanął z nią w twarz, odbieram jako dar od niego dla mnie, dla Sophie, dla ludzi, których kochał.

Po jego śmierci oddała pani część jego książek do biblioteki, która chciała stworzyć sekcję poświęconą jego pamięci. Ta scena zamyka pewną klamrę – wcześniej opowiada pani, jak decydując się na zamieszkanie razem, łączyliście swoje biblioteki. Uważam, że łączenie bibliotek to prawdziwy znak wielkiej miłości.

– Prawda? Bo idzie za tym wielkie ryzyko, bo z wielu książek trzeba zrezygnować. A co jeśli związek się nie uda? W łączeniu bibliotek wpisana jest nadzieja, że wszystko bę-

dzie dobrze. Tak, to był wyraz poważnego zaangażowania.

Do biblioteki oddałam około 300 książek, w większości były to książki, które Paul miał, zanim się poznaliśmy. W każdej ręcznie wpisane jest odręcznie jego imię i nazwisko – Paul B. Auster, jeszcze z B jak Benjamin, które potem zgubił. Przeglądanie ich bardzo mnie poruszyło.

Ciekawi mnie, czy cała wiedza, którą pani zgromadziła, całe odczytanie, znajomość filozofii, były przydatne w takiej chwili jak śmierć ukochanej osoby? (Siri Hustvedt długo się namyśla).

– Wydaje mi się, że tak. Wydaje mi się, że we współczesnej zachodniej kulturze mamy skłonność do narcyzmu. Ciągle to ja, ja, ja. Związana jest z tym specyficzna kultura dbania o siebie, tzw. selfcare. A przecież jest wiele bardzo różnych podejść do życia, tyle różnych paradygmatów. Sama świadomość, że jest ich wiele, pozwala na oderwanie się od siebie i od koncentracji na własnym cierpieniu i nieszczęściu. Czytanie filozofów ugruntowało we mnie przekonanie, że cierpienie jest częścią życia i nie powinno nas zaskakiwać. Cierpienie się zdarza. A jeśli żyjesz wystarcza-



Film „**SIRI HUSTVEDT I WSPOMNIENIA PRZYSZŁOŚCI**” w reżyserii Sabine Lidl zostanie pokazany podczas 23. Millennium Docs Against Gravity w sekcji „New York I love you, but...”. Więcej informacji na: mdag.pl.

jąco długo i masz zdolność kochania, to na pewno doświadczysz żaloby. Ta świadomość mi pomaga i pozwala mi poczuć wdzięczności za to, że ja miałam jego, a on miał mnie. To było naprawdę wspaniałe. Mam poczucie, że nasz związek zmieniał się i stawał się coraz silniejszy. Mam 71 lat. Co za szczęście, że mogłam przeżyć z nim tyle czasu.

Podobnie się czułam, gdy zmarła moja matka, miała 96 lat. Uwielbiałam mo-

ją matkę i gdy odeszła, również myślałam, że jestem taką szczęściarą, że znalazłam tę niezwykłą kobietę tyle lat, że znalazłam ją, gdy byłam dziewczynką, a potem gdy byłam dorosłą kobietą. Nasza relacja bardzo rozkwitła po tym, jak zmarł mój ojciec.

A więc chociaż żaloba jest ciężka i poczucie straty ogromne, to znajduję sposób na to, by rozumieć tę rzeczywistość, w której najbliższy człowiek odchodzi. Żalobę trzeba przeżyć, zamykanie emocji pod przykrywką nie jest tu rozwiązaniem. Ale dla mnie ważne jest również to, by umieć siebie umiejscowić w kontekście rzeczywistości ludzkiego życia.

Mieliście szczęście, że się kochaliście, i to tyle lat. Ma pani jakąś swoją definicję miłości?

– Tak. Miłość to jest przestrzeń pomiędzy. Jedną z rzeczy, jakie piszę w książce, to ta, że tęsknię nie tylko za Paulem, ale za Paulem i Siri. Za tym, co razem tworzyliśmy przez te wszystkie długie lata. Dla mnie miłość jest ruchomą, dynamiczną rzeczywistością, jaka powstaje między ludźmi i jest nieustannie odmienniana. ▲

OGŁOSZENIE

ANITA

REŻYSERIA: KASIA GRABEK
 PRODUCENT: KACPER SAWICKI PRODUCENT WYKONAWCZY: ADAM HABIELSKI
 PRODUCENTKI KREATYWNE: EJA TRZCIŃSKA I KASIA KORCZ
 ZDJĘCIA: MICHAŁ PALIKOT I MICHAŁ SURMA MONTAŻ: IGOR KACZMAREK
 PRODUKCJA: PAPAYA FILMS

PREMIERA 14.05 | 18:30
 MILLENNIUM DOCS AGAINST GRAVITY

BEZPŁATNE WEJŚCIÓWKI NA FILM MOŻNA
 ODBIERAĆ OD PIĄTKU 8 MAJA W CENTRUM
 FESTIWALOWYM W KINIE LUNA.



Sponsor Główny Filmu



Partnerzy



Partnerzy produkcyjni



Kocham jeść, cóż *poradzić*

Jestem trochę jak akordeon – raz szczuplejsza, raz grubsza. Ale jem zdrowo, wyniki mam wzorcowe i staram się regularnie ćwiczyć

Z **KATARZYNĄ BOSACKĄ**
ROZMAWIA **AGNIESZKA URAZIŃSKA**

Kasia, zaglądasz ludziom do lodówek!

– Rok temu Piotr Poraj-Poleski, ten, który wymyślił hitowe „Sanatorium Miłości”, spytał, czy mam ochotę zrobić z nim jakieś reality show o gotowaniu. Miałam. „Tylko dobrze by było dolożyć do tego edukację” – zaproponowałam. No i z tego połączenia powstało nasze wspólne dziecko. Niesamowite, jak ciepło „Super Gary” zostały przyjęte. Widać brakuje w telewizji programów, które są po coś, mają misję. Duże słowo, ale w tym przypadku tak jest – chodzi o zmianę nawyków żywieniowych. A przy tym jest sympatyczne, bez hejtu, z uśmiechem. Są prawdziwi ludzie, normalna prowadząca bez sztucznych rzes i botoksu.

I jeszcze przynosi przecier pomidorowy własnej roboty.

– Bo tu nie chodzi o skandal, tylko życzliwy kontakt z prawdziwymi rodzinami. Jak najmniej reżyserii i upiększania. Oni mnie częstują tym, co jedzą na co dzień. Sprawdzamy razem, co jest w lodówce. Podpowiadam, co można zmienić. Mój mąż zwrócił uwagę, że odcinki bardzo się różnią. Rzeczywiście, wszystko zależy od ludzi, których odwiedzam, ich temperamentu. Miałam na przykład dwie wspaniałe dziewczyny – teściową i synową. Już na początku powiedziały: „Jesteśmy głośnie, wszędzie nas pełno, lubimy się bawić, a kuchnia to niekoniecznie nasz żywioł, ale chcemy się czegoś zdrowego nauczyć”. Wiesz, to chyba jest mniej program o gotowaniu, a bardziej o spotkaniu. A gotowanie jest przy okazji. I zmiana podejścia do jedzenia, bo wszystkie te rodziny z programu mają jednak jakiś problem z tym, jak jedzą.

Coraz powszechniejsza jest refleksja nad zawartością talerza.

– I coraz więcej się mówi o tym, że jesteśmy tym, co jemy. W „Wysokich Obcasach” czytałam ostatnio, że naukowcy potwierdzili, co mówiono od dawna: dziewięć na dziesięć przypadków nowotworu jelita grubego spowodowanych jest złą dietą. Dieta w aspekcie naszego dobrostanu zdrowotnego to nawet 33 procent. Wyobrażasz sobie? Reszta to czynniki genetyczne, praca, narażenie na stres, używki, szczęście lub jego brak w życiu osobistym. Ale bardzo wiele zależy od tego, co kładziemy codziennie na talerz. Im starsza jestem, tym wyraźniej to widzę. Wróciłam niedawno z Włoch, gdzie byliśmy z mężem na mistrzostwach świata w pesto – jedzenie cudowne: te makarony, ta pizza... Dla nas to owoc zakazany, bo oboje mamy insulinooporność. Czuliśmy się tacy trochę zamuleni. Jednak jak człowiek dziubie kaszę gryczaną czy warzywką, jak je pomidorową bez mięsa, to się czuje różnicę.

Nie krzyczę, nie rzucam talerzami.

Wchodzę do polskich domów

i zastanawiam się, *jak ulepszyć to,*

co ludziom smakuje

Niby każdy wie, że trzeba zdrowo. Często jednak brak czasu, złe nawyki i jest, jak jest.

– Z mojej bańki, tej kulinarnej, w której siedzę, widać, że to przychodzi falami. Pojawia się na przykład trend na modę bezglutenową, która kilka lat temu była wychwalana pod niebiosa. Anna Lewandowska mówiła o niej wspaniałe rzeczy i że wszystko musi być bez glutenu. Ja nawet widziałam oferty bezglutenowego strzyżenia u fryzjera, widziałam meble gluten free. Później było, że trzeba jeść dużo białka. W sklepach zaroilo się od produktów wysokobiałko-

wych. Wjechały nawet patelnie proteino-we. Słyszałaś może?

Mój Boże, nie.

– Śmiesz się? To może idiotyczne, jak się ktoś na tym zna, ale jak człowiek słyszy, że patelnia jest proteinowa, to mu tak pięknie brzmi, bo sobie wyobrazi, że jak usmaży na niej jajko czy steka, to samo zdrowie. Potem weszła dieta wegańska i wszystko jest wegańskie, także kaszanka. Przyjmujesz gości i myślisz w panice: „Czy nie dałam do czegoś masła lub kropli śmietany?”. Pojawiają się wyznawcy surowizny, zwolennicy keto. Są nawet internetowi „eksperci”, którzy namawiają, żeby odstawić leki i leczyć się restrykcyjną dietą. Niedawno usłyszałam, żeby odstawić węglowodany, bo powodują depresję. Niektóre z tych porad są szkodliwe, inne nielatywne do zrealizowania, bo co innego żywić się surowym jedzeniem w słonecznej Hiszpanii, a co innego w Polsce na początku wiosny. Mody i trendy robią ludziom w głowie sporo zamieszania.

To jak się żyć?

– Dieta powinna być różnorodna, oparta na jak najmniej przetworzonych produktach. Potrzebna jest odrobina wiedzy i zdrowego rozsądku. Mówią nam, że miód jest zdrowy. Ma swoje wartości, przeciwzapalne na przykład. Ale nie możemy go nadużywać, bo składa się z węglowodanów. Za to brokuły są zdrowe. I pomidory też. Trzeba słuchać swojego organizmu. Masz tak, że otwierasz lodówkę wte i wewte, bo czegoś potrzebujesz?

Zdarza się.

– Rozmawiałam z pracownikami fabryki czekolady. Praca jak marzenie, prawda? A one powiedziały, że czekolady nie jedzą wcale, już mają dość. Organizm potrzebuje różnorodności. To jest proste jak budowa cepa. Jak w niedzielę jest rosół, to w poniedziałek chcemy pomidorowej.

Na co dzień raczej nie studiujemy składników odżywczych na etykietach.



– Nad zawartością talerzy zaczynamy się zastanawiać najczęściej wtedy, gdy mamy kłopoty zdrowotne albo rodzą nam się dzieci. Jeśli chcę dobrze dla dziecka, daję mu warzywa i owoce. Ale sama też się muszę zmienić, bo głupio będzie, jak mnie dziecko nakryje z torbą z McDonalda w samochodzie, prawda? Nie zbuduję autorytetu, jak dziecku dam warzywa na parze, a sama sięgnę po energetyki, pizzę i tłustego kotleta. Odpowiedzialni rodzice zaczynają się nad jedzeniem zastanawiać. Refleksja przychodzi też, kiedy w okolicach czterdziestki czy pięćdziesiątki zaczyna się zadyszka na schodach, pojawia się nadciśnienie, czasem nadwaga, czasem nawet otyłość. Idzie-

my do lekarza na podstawowe badania, lekarz nawet nie musi pytać, on widzi wszystko. Ostatnio byłam. Bo ja mam problemy z wagą od zawsze, z powodu niedoczynności tarczycy, no i dlatego, że lubię zjeść. Kurczę, kocham chleb pełnoziarnisty na zakwasie i dobry ser.

I co ten lekarz?

– Mówi: „Kaśka, cukier masz 79, lipidy absolutnie poniżej normy, dobry cholesterol, widać, że jesz warzywa”.

Ale?

– Mówi: „Ważysz za dużo po prostu”. Lekarza warto słuchać. Widzi, że ktoś ma 120 cu-

kru? „No, to proszę odstawić słodczyce”. Albo: „Jak tak pan będzie dalej jadł, to za 2-3 lata grozi panu wylew. I kto dzieci wychowa?”. Wtedy bardzo często przychodzi otrzeźwienie. Ludzie z refleksją zaglądają do lodówki i na talerz. Chcą zmienić dietę. Próbuje zmienić coś w swoim życiu. Biorą się na przykład za aktywność fizyczną, przestają palić.

Ale wróćmy do twojego lekarza. Powiedział, że jesz dobrze, tylko za dużo? Tak to było?

– Przy niedoczynności tarczycy, jeśli jem za dużo żytniego chleba albo mam za mało aktywności, to waga może wzrastać. Ja wiem, co jeść. Nawet wina już nie piję. Ale w pewnym wieku, w okolicach menopauzy, może być ciężko. Jasne, rodzą się tacy, którzy zjedzą konia z kopytami, a nadal są chudzi i zdrowi. Inni się muszą nastarać. My z mężem po ostatniej wyprawie do Włoch potrzebujemy lekkości. Zdrowa dieta bardziej nam służy - lepiej się czujemy, lepiej wyglądamy i lepiej śpimy. Ostatnio właśnie trochę zrzuciłam, kolana nie są obciążone. Dziś będę gotować, bo mam wolne, i pytałam męża: „Jaką zupę byś zjadł?”. Poprosił o taki lekki krupnik, ale bez ziemniaków, z samą kaszą. Tak będziemy jeść przez najbliższe dni. No, trzeba powalczyć dla zdrowia, co jest niełatwe, gdy się jedzenie kocha. Taka walka odbywa się nie tylko w nas, ale też odbywa się w domach.

To wróćmy do tych domów.

– Różne sytuacje zastaję i – żeby było jasne – nie bawię się w lekarkę. Gdy widzę problem, mówię: „Robercie, musisz się przebadać”. Bywam w takich, gdzie dzieci ciągną w stronę fast foodów, a rodzice na to, że są już po czterdziestce i chcieliby jeść zdrowiej. Proponuję na obiad łososia na parze, warzywa z mrożonki i taki ryż dla chorych. Na to dziadkowie: „No, nie, prawdziwa kuchnia to buraczki na słodko, tłusty mielony kotlecik i ziemniaczki polane tłuszczem”.

Przekonujesz wtedy wszystkich do łososia na parze?

– A skąd! Zastanawiam się, jak ulepszyć to, co ludziom smakuje. Tłustą wieprzowinę mieszam z indykiem. Zamiast smażyć na tłuszczu – wrzucamy do air fryera. Zajmuję się buraczkami i tłumaczę, że nie trzeba ich dosładzać, bo słodkie są z natury. Dla dzieci mogą być frytki, ale z nie z fast-fooda, tylko z frytownicy beztłuszczowej. To się da połączyć, tylko trzeba pomyśleć.

I nie chodzi o to, żeby z dnia na dzień ludzie zmieniali nawyki wykształcone przez lata. Dobrze, jeśli zapamiętają ze trzy rzeczy z naszego spotkania. Na przykład, że w lodówce ma być więcej nabiału – fermentowanych napojów mlecznych, jajek, jogurtu, prawdziwego twarogu, to cała rodzina będzie zdrowsza. A jeśli zamiast głębokiego smażenia wybierzemy beztłuszczowe przygotowanie, to odejmujemy sporo kalorii z posiłku. Albo jak szukać dobrej wędliny. Że talerz powinien być zapełniony warzywami nawet w trzech czwartych i powinniśmy zaczynać posiłek właśnie od warzyw, a później jeść białko w postaci mięsa lub jajek. Ziemniaki na samym końcu. Trochę jak przedszkolaki, które ściągają z kanapki pomidora lub ogórka, później jedzą szyneczkę, a na końcu chleb, jeśli jeszcze starczy miejsca. I wszystko osobno. To bardzo rozsądne. Węglowodany na końcu. A błonnik na początku, bo robi w żołądku gniazdo, w który wpada białko.

Po co ono?

– Wyobraź sobie, że jemy na obiad zupełną warzywną, później danie z mięsem, a na końcu słodki deser. Nawet jeśli bardzo słodki, na przykład beza z malinami, to w żołądku mamy już to gniazdo z błonika. Zanim cukier, który w nie wpadnie, przebij się do naszej krwi, mija sporo czasu.

A jeśli jemy pyszną bezę na pustym żołądku?

– To powoduje wariacje w wydzielaniu insuliny. Te skoki są bardzo niebezpieczne.

Lekarzem nie jesteś. Ani dietetykiem. A radzisz.

– Słucham po prostu mądrych naukowców.

A jak się stałaś tą panią od jedzenia?

– Miałam kulinarny dom. Mój ojciec fantastycznie gotował, mama też świetnie. W latach 80. wszystkiego brakowało, ale ojciec miał rodzinę na wsi pod Płońskiem i zdarzało mu się przyjeżdżać do naszego bloku z wielkiej płyty, do mieszkania na II. piętrze z połówką świniaka, z którego robił później kaszanki, salcesony, kielbasy. Człowiek siedział w kuchni i patrzył, co rodzice robią. O czym mówią. To dobre wspomnienie. U nas zawsze było domowe jedzenie.

Ktoś mógłby powiedzieć, że osoba, która namawia innych do zdrowego jedzenia, sama powinna nosić rozmiar XS.



– A ja jestem trochę jak akordeon: raz szczuplejsza, raz grubsza. Każdy ma swój wiek, schorzenia, styl życia. Jem zdrowo, wyniki mam wzorcowe i staram się regularnie ćwiczyć.

Tak sobie myślę, że może po prostu łatwiej nam słuchać rad od osoby, która jest człowiekiem z krwi i kości.

– I kobiety! A my mamy te estrogeny, które trzymają nas bardzo mocno, bo może będzie jakiś kryzys, może ciąża, więc trzeba mieć w tych bocznych, prawda? Trzeba o siebie dbać, ale ja Kocham jeść i co poradzić? Od zdrowego jedzenia też można mieć gruby tyłek. Taka prawda. Ale po prostu trzeba mieć także zdrową głowę.

Znam sporo ludzi, którzy mają z jedzeniem niezdrową relację. Ciężko znoszą krytykę.

– No właśnie, zastanawiałam się, jak mam się w programie zachowywać. Wiesz, wchodzę komuś do domu, zaglądam do lodówki i mam mówić ludziom, że coś robią nie tak? Rzucić talerzem? Patelnią? Trochę nie wypada.

To tu porównań nie unikniesz.

– My mamy z Magdą (Gessler – red.) inną osobowość po prostu. A przed programem pomyślałam sobie o moich nauczycielach. Niektórzy opowiadali o mało interesujących dla mnie rzeczach tak pięknie i z pasją, że zaczynałam się przedmiotem fascynować. No i pomyślałam, że chcę być właśnie taką nauczycielką. Że nie będę krytykować i hejtować, bo najlepsza jest edukacja na wesoło. Ale co ma wybrzmieć, to wybrzmi.

Na przykład w odcinku z zupą paprykową i mortadellą.

– Panie częstują mnie zupą z papryki konserwowej, więc mówię, że ocet spirytusowy nie jest dla żołądka dobry, a już dla dzieci się nie nadaje wcale. Ale u mnie nie ma wyrzu-

cania jedzenia, dlatego ten kotlet z mortadeli, który dostałam, o paskudnym doprawdy składzie, wrócił do lodówki. Powiedziałam rodzinie: „Dobra, zjedzcie to do końca, ale już nigdy więcej czegoś takiego nie kupujcie”.

Zastanawiam się, czy gdyby mnie Bosacka odwiedziła, to bym jej podała mortadellę. Igranie z ogniem.

– Pani Ela, jedna z bohatererek, ta, która mówi, że jest z rodziny chłoporobotniczej, mówiła mi na offie, że wychowywała swojego młodszego brata, w domu nie było nic, a mortadela była dla nich luksusem. To jest smak jej dzieciństwa. Robienie tego programu to przygoda. Ile ja tam niezwykłych ludzi poznaję!

Opowiedz.

– Mama i tata w straży ochotniczej, dzieci w juniorach strażackich. Świetni. Albo grupa singlelek, a jedna z nich to mentorka, która uczy dziewczyny, jak szukać w mediach społecznościowych miłości, takiego prawdziwego partnera, wiesz, nie tylko do łóżka. A raz mi producent mówi: „Słuchaj, bo ja mam taką rodzinę, która prowadzi zakład pogrzebowy”. I super. Każde z tych spotkań jest inne. Bardzo kolorowe. Bo takie jest nasze społeczeństwo. Nie przedstawiamy tylko tradycyjnych wielopokoleniowych rodzin, jak z redakcji katolickiej. Bo rodziny są różne, ich style życia też, sama mam niezły patchwork. Strasznie bym chciała pokazać żyjących razem studentów albo parę jednopłciową. Bo takie jest życie. Mimo różnych potknięć w kwestii otwartości mamy się coraz lepiej i wyrastają nam fajne nowe pokolenia, których feminatywy, transplciowość i wystawianie poza normę nie szokują. Ja ci muszę powiedzieć, że bardzo lubię ludzi. I bardzo lubię ich karmić. ▲

Rodziny, które chcą wystąpić w programie Katarzyny Bosackiej, mogą wysłać zgłoszenia na adres: supergary@tvp.pl



W drodze

Przez dziewięć lat była nomadką, nie miała stałego adresu, tylko plecak, a w nim farbki i pędzle. Jej domem i pracownią był świat. Teraz utknęła

TEKST PAULINA REITER

Do niewielkiego plecaka Kit Mizeres wkłada to, co zwykli globtroterzy – trochę ubrań, klapki pod prysznic, jakieś kosmetyki – ale dodatkowo pakuje też papiery, ołówki, farby akwarelowe i gwaszowe, pędzle. Jej pracownią jest cały świat. Od kilku lat jest w drodze, poznaje ludzi, ogląda

rytuały folklorystyczne, kostiumy ludowe, przygląda się tradycjom, wierzeniom. Ma czule oko dla zwierząt. Potem siada gdzieś w kawiarni albo przy drodze, wyciąga papier i zaczyna kreślić.

Zanim się z nią spotkam, wypisuję sobie w notesie kraje, w których była. Z każdego z nich wrzuca na swój profil na Instagramie krótką relację. Islandia, Belgia,

Irlandia, Wielka Brytania, Maroko, Portugalia, Nepal, Tajlandia, Malezja, Indonezja, Wietnam, Tajwan, Japonia, Nowa Zelandia, Singapur, Kambodża, Turcja, Ukraina, Polska, Meksyk, Gwatemala, Peru... Wypisanie wszystkich krajów, w których była, zajmuje mi trzy strony.

Przez lata nie miała stałego adresu, mieszkania do którego wracała, szafy w któ-

rej trzymała ubrania. Przez ostatnie półtora roku jednak jest inaczej – zatrzymała się na dłużej w Argentynie, w Buenos Aires, i dosłownie odchodzi już od zmysłów. Ciężko jej wytrzymać w jednym miejscu, ciągnie ją dalej w świat. Uważa, że gdy jesteś w ruchu, gdy obrazy zmieniają ci się przed oczami, poznajesz nowych ludzi i miejsca, i dużo przeżywasz, czas się rozciąga. W miesiąc przeżywasz bardzo wiele. Gdy siedzi w jednym miejscu, poddaje się rutynie, ma wrażenie, że czas się kondensuje.

– Podróże przedłużają moje życie, wzbogacają mnie kulturowo, sprawiają, że czuję, że moje życie jest sensowne – mówi. – Mam poczucie, że do tej pory nie doceniałam tego dostatecznie, po prostu tak żyłam. Teraz, kiedy spoglądam na tamten czas, widzę, jakie miałam szczęście, że mogłam tak żyć.

– Utknęłam tu, bo mój mąż poszedł na studia na tutejszy uniwersytet, a ja nie mogę wyjechać z kraju ze względu na sprawy wizowe. Ale nie ukrywam, że jest mi ciężko usiedzieć, tęsknię za podróżą – ciągnie Kit. – Oczywiście Buenos jest piękne, ale stagnacja mi nie służy. Gdy podróżuję, łatwiej mi znaleźć inspirację, łatwiej wykręcać z siebie energię, by tworzyć. Ale staram się odnaleźć w tej nowej sytuacji.

POTRAFIĘ BYĆ NIEPRZYJEMNA

Zaraz po studiach artystycznych w Columbus College of Art&Design w Ohio Kit dostała stypendium, w ramach którego przez miesiąc jeździła po Stanach z grupą artystów i robili murale. To życie w drodze bardzo jej się spodobało. Gdy stypendium się skończyło, postanowiła, że nie będzie szukać pracy, lecz zrobi sobie rok przerwy na podróż przez Stany. Wsiadła w samochód, zapakowała do niego trochę ubrań i narzędzia artystyczne, i ruszyła w drogę. To był rok 2017.

– Zatrzymywałam się na kempingach, spałam w samochodzie, w kawiarniach piłam kawę i malowałam moje obrazki, a potem je sprzedawałam i to wystarczało na skromne życie. Po roku postanowiłam pojechać za granicę – opowiada Kit. – Myślałam, że na kilka miesięcy, że zwiedzę Islandię, Irlandię, kawałek Europy i wrócę. Ale nie wróciłam. Nie miałam wyznaczonego celu w podróży. Każdego dnia budziłam się i ruszałam dalej. Owszem, doświadczałam często niewygody i stresu, ale jednocześnie te podróże wypełniały mnie energią twórczą.

„On the road” stało się dla niej nie tylko stylem życia, ale i stanem umysłu, jak u bitników w latach 60. – tyle że bitnicy byli mężczyznami, dla kobiet zarezerwowany był udomowiony żywot. Carolyn Cassady, żona Neala Cassady’ego, jednego z bitników, przyjaciela Jacka Kerouaca, który unieśmiertnił go jako bohatera swojej kultowej książki „W drodze” (w oryginale „On the Road”), napisała własną książkę o życiu z bitnikami. Jej tytuł to „Off the Road”, opisuje w niej to, jak Neal „wyrywał się” z domu.

Dziś kobieta ma prawo żyć w drodze, ale nadal musi się liczyć z zagrożeniami, jakie taki styl życia niesie i Kit Mizeres nie owija w bawełnę, kiedy mówi, że miała często nieprzyjemne doświadczenia z mężczyznami próbującymi się do niej dobrać.

– Byłoby mi prościej prowadzić nomadyczny tryb życia, gdybym była mężczyzną – mówi Kit. – Nie masz pojęcia, ile razy doświadczałam bardzo nieprzyjemnych zaczepk o charakterze seksualnym, w różnych krajach. Kobieta, która podróżuje sama, jest na to narażona. Na szczęście nigdy nic poważnego się nie stało. Potrafię być bardzo nieprzyjemna w takich sytuacjach i może to mnie uchroniło. Te doświadczenia mnie utwardziły i się nie patyczkuję. A w końcu poznałam mojego męża i dalej podróżowaliśmy razem, co bardzo ułatwiło sprawę.

Poznała go w 2020 roku podczas pandemii, która złapała ją w Turcji i zatrzymała tam na sześć miesięcy. Jednym z pierwszych państw, które otworzyły granice, była Ukraina. – Poleciałam tam i drugiego dnia poznałam go w kawiarni w centrum Kijowa. Pracował tam, a ja tam przesiedywałam, cały dzień pijąc kawę i rysując.

FOLKLOR, DEMONY, ZWIERZĘTA

Jeśli Kit ma wybór – pójdzie na festiwal z nowoczesną muzyką albo festiwal z muzyką tradycyjną, zawsze wybierze ten drugi. Z miast ucieka na prowincję, by odnajdywać tam rytuały, które przetrwały modernizację. W Polsce tropiła pogańskie rytuały odganiania złych duchów, a potem podobne odkryła na Bali – ludzie w różnych kulturach w podobny sposób przeganiaли demony. W swojej sztuce też chętnie sięga po motywy konfrontacji z duchami. Uwielbia karnawały – podczas podróży po Ameryce Południowej uczestniczyła w karnawalach w Boliwii i w Peru, nigdy nie zapomni karnawału w Bułgarii, podczas którego Kukierzy w kostiumach przy-

pominających sierść i w maskach zwierzęcych przepędzają złe duchy i odpowiadają rytuały mające zapewnić dobrobyt.

– Mammy szczęście, że nadal są na świecie ludzie, którzy chcą zachować dawne tradycje, którzy pielęgnują różnorodność kultur i opierają się globalizacji i asymilacji do reszty nowoczesnego świata – mówi Kit. – Ratuja to, co wyjątkowe dla danej kultury, co ją wyróżnia. Cieszymy się tym, póki jeszcze możemy mieć z tym kontakt. Polecam każdemu, kto podróżuje po świecie, by wystawił nos poza miasto i przyjrzał się przeszłości miejsc, w których się znalazł. To szansa na doświadczenie czegoś bardzo wyjątkowego, dostępnego tylko w tym miejscu na ziemi.

Drugim ważnym motywem jej sztuki są zwierzęta. Od dziecka czuje z nimi więź. Wychowała się w wiejskiej części Ohio, jej mama hodowała konie, w domu zawsze było pełno zwierząt a ona jako dziewczynka spędzała czas na łąkach, w kontakcie z naturą i dzikimi stworzeniami. – To ważna część mnie, od zawsze intrygują mnie zwierzęta – mówi.

Swoje obrazki pokazuje na platformach społecznościowych, to dzięki nim buduje społeczność fanów i znajduje klientów, ale bycie na Instagramie, Facebooku czy TikToku nie leży w jej naturze. Korzystanie z tych platform jest dla niej zazwyczaj wyczerpujące, pochłania czas i odciąga od tego, co dla niej najważniejsze – tworzenia sztuki. Kiedy wrzuca coś na profil, nagle staje się widoczna, ludzie zaczynają pisać do niej wiadomości, na które wypada odpowiedzieć. Mówi, że to jak uprawianie ogrodu – czasami oddala się na jakiś czas i daje mu zarastać. Ale nie może sobie pozwolić na to, by zaniedbać go kompletnie, bo to jej główne źródło utrzymania. Współpracuje z kilkoma galeriami, ale woli bezpośredni kontakt z ludźmi – to mniejsze zobowiązania, mniejsze obciążenie i mniej oczekiwań. Jeśli ktoś chce kupić jej obrazek, może do niej napisać bezpośrednio. Kilka razy firmy odzieżowe proponowały jej współpracę; bała się tego, uważała, że jej sztuka jest niszowa i taka powinna pozostać, ale ostatnio się przelała i wybrała polską firmę Medicine. Pamiętała ją z wizyty w Polsce, podoba jej się sztuka artystów, z którymi podejmowali współpracę. Postanowiła zaryzykować.

Gdy pytam ją gdzie jest jej dom, mówi, że jest tam, gdzie ona i jej mąż są razem. Dla niej dom to miejsce ruchome. Teraz to Buenos, ale jutro? Kto wie. ▲





FILM

Bibliotekarki na ratunek wolności słowa

Wyobraźcie sobie, że najbardziej radykalną politycznie rzeczą, jaką możecie zrobić, jest przeczytanie książki. Wyobraźcie sobie, że za najbardziej radykalny zawód można uznać szkolną bibliotekarkę. Wyobraźcie sobie, że w rysunkowej książeczce dla dzieci o dwóch pingwinach opiekujących się małym, porzuconym pingwinem można dopatrzeć się pedofilii, albo że policjant próbuje postawić zarzuty popełnienia przestępstwa bibliotekarce za wypożyczanie książek, które sam uznał za niemoralne.

Mam złą wiadomość. Nie trzeba sobie tego wyobrażać, to wszystko dzieje się aktualnie w Stanach Zjednoczonych.

– Część stanów, a Floryda w tym przoduje, zakazała czytania w szkołach niektórych książek. A jeśli nauczyciel trzyma je w klasie, może zostać zwolniony. Zaczynają się już też ataki na biblioteki czy księgarnie – mówiła mi Rebecca Mak-kai, amerykańska pisarka, finalistka National Book Award i Nagrody Pulizera, w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów”.

W 2021 r. Matt Krause, ówczesny Członek Izby Reprezentantów Teksasu z ramienia Partii Republikańskiej, przygotował listę 850 książek, które – jego zdaniem – poruszają tematy takie jak rasa, orientacja i edukacja seksualna, prawa reprodukcyjne czy kwestie związane z historią mniejszości etnicznych, mogą „wywołać u uczniów poczucie dyskomfortu”. Znalazły się tam np. „Opowieści podręcznej” Margaret Atwood czy „Regulamin tłoczni win” Johna Irvinga. Rozesłał listę do szkół i publicznych bibliotek, domagając się odpowiedzi na pytanie, które z tych tytułów są w ich posiadaniu i ile wydano na nie pieniędzy. Działania miały doprowadzić do usunięcia ich z półek i utrudnienia dostępu do nich dla uczniów.

Nie był w tej krucjacie osamotniony. Wtórował mu choćby Greg Abbott, ultrakonserwatywny gubernator Teksasu, który polecił władzom stanowym szukać „pornografii” w bibliotekach szkolnych i opracować standardy jej eliminowania,

a w 2023 r. podpisał ustawę znaną jako READER Act, która formalizuje i centralizuje kontrolę nad treściami książek w szkołach, co w konsekwencji doprowadziło do usuwania wielu tytułów z bibliotek.

Szkolne i publiczne biblioteki stały się polem walki lokalnych polityków i wspieranych przez nich grup społecznych, takich jak choćby powstałe na Florydzie Moms for Liberty – konserwatywna i prężnie działająca organizacja, która ingeruje m.in. w treści nauczania. Ofiarą padają jednak nie tylko książki, ale i bibliotekarki i bibliotekarze, którzy sprzeciwiają się zakazom. W Keller w Teksasie z 40 bibliotekarzy 20 straciło pracę. Otrzymują realne groźby, także z użyciem broni, dochodzi wobec nich do przemocy werbalnej i fizycznej.

Właśnie o tych bibliotekarkach z małych miejscowości, które nieoczekiwanie, także dla nich samych, znalazły się na czele walki w obronie amerykańskiej demokracji i wolności słowa, opowiada wyreżyserowany przez Kim A. Snyder film dokumentalny „Bibliotekarki”. Snyder łączy współczesne historie z archiwaliami – tymi odległymi, jak wspierane przez Josepha Goebbelsa, ministra propagandy III Rzeszy, palenie książek, i tymi z bliższej przeszłości, jak wyrok Sądu Najwyższego w sprawie Island Trees School District v. Pico z 1982 r., w którym sędziowie orzekli, że szkoły nie mogą usuwać książek wyłącznie dlatego, że nie zgadzają się z zawartymi w nich ideami. Snyder swoim filmem przypomina, że bohaterki nie zawsze noszą peleryny. Bywa, że ich znakiem rozpoznawczym są okulary i niepozorna na pierwszy rzut oka, kilkudziesięciostronicowa publikacja z rysunkami dla dzieci. ▲ (Joanna Wróżyńska)

„BIBLIOTEKARKI”, reż. Kim A. Snyder. Film zostanie pokazany w sekcji „Bohaterowie_ki są wśród nas” podczas festiwalu Millennium Docs Against Gravity, 8-17 maja stacjonarnie, 19 maja – 1 czerwca online. Więcej na mdag.pl

KSIAŻKA

Okradziona, wykorzystana i porzucona



Ta historia zdarzyła się naprawdę. Marguerite de la Rocque de Roberval, arystokratka żyjąca w XVI wieku, spadkobierczyni jednej z największych fortun w renesansowej Francji, jest postacią prawdziwą, wspomnienie o niej zachowało się w kilku przekazach historycznych. Amerykańska pisarka Allegra Goodman w swojej bestsellerowej powieści „Isola” wrzuca nas w realia życia tej szlachetnie urodzonej dziewczyny, która została sierotą – jej matka umarła przy porodzie, ojciec zaś zginął w bitwie. Zamiast beztrudno dorastać w dostatku i przywilejach, dziewczynka trafiła pod opiekę kuzyna, pozbawionego skrupułów spekulanta z wierzycielami na plecach, który sprzedał jej zamek bogatym kupcom, rodzinie Montfortów. W 1542 roku trafiła na statek płynący do Kanady, gdzie miała powstać francuska kolonia. W wyniku zająć na okręcie dziewczyna została porzucona na skalistej bezludnej wyspie w Zatoce św. Wawrzyńca. Tam w ekstremalnych warunkach przeżyła dwa lata do czasu, kiedy na plażę na jej wysepce trafili przypadkiem baskijscy rybacy i ubłagała ich, żeby ją ze sobą zabrali.

Goodman pisze historię Margeurite tak, by rezonowała ze współczesnymi czytelnikami. Dziewczynka jako 11-latką doskonale zna lęk, który my także mamy zaszyty gdzieś głęboko w sobie. W zderzeniu z „opiekunem”, starszym od siebie mężczyzną, zastanawia się, czego on chce, ciągle zachowuje czujność, czy mężczyzna nie przekroczy granicy; wie, że jest młoda, ale czuje, że może być ona naruszona. Aktualnie brzmi również cytowany fragment nauk

Anny Francuskiej dla córki Zuzanny de Bourbon: „Na tym świecie zaledwie jedna z tysiąca uchodzi bez zdrady albo naruszenia swej czci, choćby była najcenniejsza i najdoskonalsza”.

Powieść przypomina nam, że śmierć, choć współcześnie wypieramy ją – jest częścią życia, które jest kruche. Przygląda się też uczuciu bezkresnej samotności – bohaterka porzucona na bezludnej wyspie nie wie, po co i dla kogo ma żyć. I choć to sytuacja ekstremalna, to przecież nawet otoczone ludźmi możemy czuć się podobnie i dziś – pozbawione relacji, niekochane i niemające kogo pokochać. A jednak Marguerite nauczona własnymi doświadczeniami dowiedzie się, co czyni człowieka wartościowym i na czym polega życie. Na dodatek lekcja, którą wyciągnie, sprawi, że drugą część życia będzie chciała i mogła przeżyć po swojemu. ▲ (Ola Długosińska) **ALLEGRA GOODMAN „Isola”**. Przeł. Monika Popławska. Wydawnictwo Literackie, 2026.

KSIAŻKA

Zabójcza Australia



Ta książka wciąga od pierwszych zdań. Jest koniec lat 50. ubiegłego wieku. Zanim jeszcze zdążyli odegrać przeznaczoną im rolę głównych bohaterów tej powieści, najstarsi mężczyźni z rodu MacBrideów, ojciec i syn, giną w wypadku, który – gdyby nie był makabryczny – miałby niemal ironiczny wymiar: auto wpada w poślizg, bo kierowca próbuje wyminać skaczącego po asfalcie kangura. Australia okazuje się ojczyzną piękną i gościnną, ale bezlitosną i zabójczą.

Na plan pierwszy wysuwają się osoby, które pozostały z rodu MacBrideów: młodszy syn, jego siostra i matka. I to właśnie oni, walcząc z niekończącą się żałobą,

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

*wpatruję się
w gliniane tabliczki
oglądam
gliniane tabliczki
rozmiękle korzenie
glinianych fraz*

*trzymają się
wirujących korzeni
w dłoniach na głowie*

*w ciemnych stawach
rozpadliskach
zielonego oka*

*piach
pył
kryształki
drobiny*

*na tabliczce wyraźny zapis
układam się w wyspę*

PAULINA SUBOCZ-BIAŁEK jest poetką i historyczką literatury. Wiersz pochodzi z tomu „Wydrążyłam patyczkiem wielką dziurę w ziemi” (wyd. Państwowego Instytutu Wydawniczego)

KAMILA SZCZEŚNIAK RYSUJE



prowadzą dalej czytelniczki i czytelników po bezdrożach gorącego kontynentu i zakamarkach swoich życiowych wyborów.

Autorka konstruuje narrację w sposób niemal osaczający – napięcie rośnie ze zdania na zdanie, emocje buzuja nieustannie, kolejne postacie wnoszą nową energię i swoje życiowe dylematy i zagadki, natychmiast domagające się odpowiedzi. Magnetyczne właściwości ma też z pewnością tło tej opowieści: nieznana, a jednak na wiele sposobów bliska, kraina nieprzeżytych odległości, nieprzystępnych krajobrazów, endemicz-

nej przyrody, niezwykłych stworzeń, opisywana z respektem i fascynacją.

Na nową książkę autorka bestsellerowego „Światła między oceanami” kazała nam czekać czternaście lat. Wszystko wskazuje na to, że ta powieść w pełni zadowoli wszystkie, nawet te najbardziej rozbudzone oczekiwania. I pozostaje już tylko jedno pytanie: jakie hollywoodzkie gwiazdy zagrają w niechybnie nadchodzącej ekranizacji. ▲ (Przemysław Gulda) **M.L. STEDMAN „Odległe życie”,** przekład Janusz Ochab, Wydawnictwo Albatros



Daphne du Maurier
(1907-1989) – angielska
pisarka i dramatopisarka,
sfotografowana na schodach
swojego domu w Kornwalii
w Anglii, około 1950 roku

Nie tylko „Rebeka”

Przyglądała się temu, co kobiety tłumią w sobie. Badała przepaść między tym, kim są naprawdę, a kim tylko udają, że są

Z **TATIANĄ DE ROSNAY**,
PISARKĄ, AUTORKĄ KSIĄŻKI
„NA ZAWSZE MANDERLEY.
ŻYCIE DAPHNE DU MAURIER”,
ROZMAWIA **PRZEMYSŁAW GULDA**

Co powiedziałaś sobie trzy-
nastoletniej, odkrywającej
w dziewczęcym zachwycie po-
wieści Daphne du Maurier, teraz, kie-
dy – pisząc o niej książkę – dobrze po-
znałaś jej życie i twórczość?

– Prawdę mówiąc, cieszę się niezmiennie,
że zachowałam w sobie tamtą trzynastolat-
kę – czytelniczkę całkowicie pochłonię-
tą namiętnością do du Maurier. To ocali-
ło we mnie chęć jej ponownego, dogłębne-
go odkrywania, czystą radość z pierwsze-
go zetknięcia z jej światem. Gdybym wte-
dy wiedziała, że pewnego dnia napiszę jej
biografię, być może ta niewinna, radosna
ochota nie rozkwitłaby we mnie tak mocno.

**Co zafascynowało cię w jej pisarstwie
– wtedy, w czasie pierwszej lektury i po-
tem, gdy zdecydowałaś się napisać jej
biografię?**

– Kiedy zaczęłam czytać du Maurier jako
młoda dziewczyna, byłam bardzo mocno
urzeczona mrocznym wymiarem jej prozy.
Te wszystkie ponure motywy, gwałtowne
zakończenia. Finał „Rebeki”, na przykład
był dla mnie wstrząsający, niemal brutal-
ny. W tekście nie było precyzyjnego wy-
jaśnienia, co się wydarzyło, sama musia-
łam wydedukować, co tak naprawdę za-
szło. Dużo później, kiedy sama zaczęłam
pisać, była to dla mnie wielka inspiracja.
Gdy zabrałam się za badanie życia pisar-
ki, jeszcze bardziej zachwycił mnie sposób,
w jaki na poszczególne postacie przenosi-
ła swoje własne najgłębsze sekrety – prze-
cież właśnie to nadaje im tę charaktery-
styczną intensywność. Oczywiście, jako
nastolatka nie miałam pojęcia, czym owe
sekrety były...

**Co w jej książkach może dziś pociągać
czytelniczki – zarówno trzynastolatki,
jak i dojrzałe kobiety? Które z jej idei**

**i spostrzeżeń pozostają aktualne dla
współczesnych kobiet?**

– Dla młodszych czytelniczek magnesem
przyciągającym do jej książek jest z ca-
łą pewnością ich nastrój: aura tajemnicy,
niebezpieczeństwa, emocjonalnego żaru
i niepokoju. Bohaterki du Maurier nie są
oczywiste. To często młode kobiety, szuka-
jące swego miejsca na świecie, zmagające
się z niepewnością, tęsknotą, zazdrością,
lękiem, poczuciem, że czegoś im brakuje.
Te emocje pozostają uniwersalne, zwłasz-
cza w epoce niszczącego charakter insta-
gramowego ideału doskonałości. Tymcza-
sem nieco starsze kobiety du Maurier jesz-
cze bardziej prowokuje do myślenia, bo

Uparcie tworzyła swoją
własną przestrzeń – dosłownie
i emocjonalnie. Pragnęła
finansowej autonomii.

*Odmówiła życia według schematów
narzucanych w jej czasach kobietom*

dopiero będąc w bardziej dojrzałym wie-
ku dostrzegamy, jak wiele wiedziała ona
o władzy i o ograniczeniach.

Jak ta wiedza przenikała do jej prozy?

– Wiele jej postaci uwięzionych jest w ocze-
kiwaniach: małżeństwa, macierzyństwa,
klasy społecznej, konwenansów, ról, które
im wyznaczono. Du Maurier badała to, co
kobiety tłumią w sobie, czego pragną. Bada-
ła przepaść między tym, kim są naprawdę,
a kim tylko udają, że są. Była zdumiewają-
co nowoczesna w pisaniu o kobiecym gnie-
wie, obsesjach, samotności i pożądaniu. Jej
bohaterki nie zawsze są „dobrymi” kobieta-
mi w tradycyjnym sensie – bywają manipu-
lujące, destrukcyjne, niejednoznaczne, na-
miętne. Ta złożoność rezonuje z dzisiejszy-
mi czytelniczkami jej książek. Na dodatek
du Maurier zostawia tak wiele niedopowie-

dzeń. Uwielbiam to w jej prozie. Ufa czyteln-
niczce i czytelnikowi. Nie wyjaśnia wszyst-
kiego, nie rozwiązuje wielu wątków. Współ-
cześni czytelnicy i czytelniczki doskonale to
rozumieją, bo wiedzą przecież, że życie sa-
mo w sobie jest dokładnie takie, jak sytu-
acje z jej powieści, czyli chaotyczne, skom-
plikowane i tajemnicze.

**Co w jej życiu może dziś inspirować ko-
biety?**

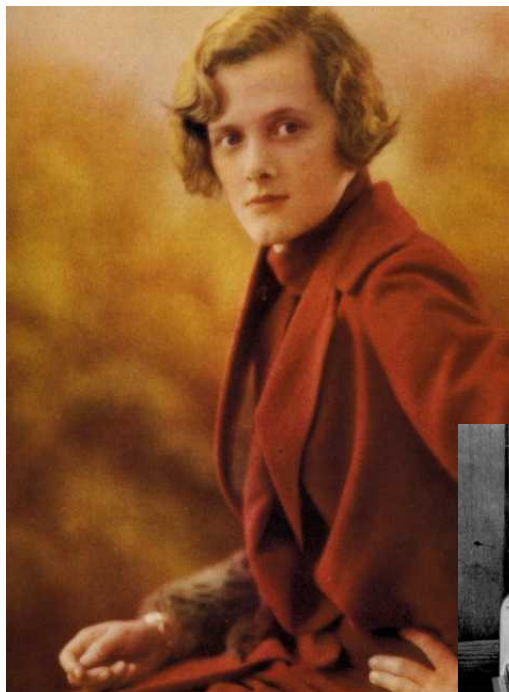
– Przede wszystkim to, jak uparcie tworzy-
ła swoją własną przestrzeń – dosłownie
i emocjonalnie. Ten domek pisarski w śro-
dku ogrodu! Jej „własny pokój”, jak u Virgi-
nii Woolf. Pisanie nie było dla niej zwykłą

rozrywką: to była praca, niezale-
żność i w gruncie rzeczy esen-
cja jej życia i tożsamości. Jako
młoda kobieta pragnęła finan-
sowej autonomii – to była wiel-
ka rzadkość w epoce, gdy kobie-
ta zależała od męża. Odmówiła
życia według schematów narzu-
canych w jej czasach kobietom.

Czego chciała w zamian?

– Wolności, niezależności, sa-
modzielności, prawa do pracy.

Chciała mieć możliwość stawiania wyobraź-
ni na pierwszym miejscu. Jakże to była śmia-
ła postawa w czasach, gdy kobiety miały być
ozdobami, uległymi strażniczkami domo-
wego zacisza. A ona zbudowała poważną
karierę literacką i broniła swojego prawa
do niej. Była bezpardonowo ambitna. Sta-
wiała pisanie ponad wszystko. Być może
jej rodzina trochę na tym ucierpiała. My-
ślę, że wiele współczesnych kobiet odnaj-
dzie w tym aspekcie jej życiorysu echa doty-
kającej jej presji między rolami żony, matki,
córką, osoby publicznej, pisarki. Ten konflikt
brzmi bardzo nowocześnie. Wreszcie – za-
miast ukrywać swoje mroczne, skompliko-
wane strony, przelewała je na karty swoich
książek. W tej idei kryje się bardzo ważna
inspiracja: lęki, niejednoznaczności i słabo-
ści nie muszą być czymś, co osłabia – prze-
ciwnie, mogą stać się siłą, własnym głosem.



Jak wyglądał twój proces badawczy przy pracy nad jej biografią? Jakie materiały analizowałaś? Co stało się dla ciebie najważniejszym źródłem wiedzy?

– Pierwszą, kluczową rzeczą, jaką zrobiłam, zaczynając pracować nad tą książką w 2013 roku, było odwiedzenie wszystkich miejsc, gdzie du Maurier żyła – gdzie się urodziła, gdzie umarła. Chciałam w ten sposób zgłębić jej wielką miłość do Kornwalii. Przeczytałam na nowo wszystkie jej powieści, opowiadania, istniejące biografie. Już na tym etapie zafascynowała mnie francuska karta jej życia. Potem spotkałam się z jej dziećmi. Zbliżyłam się do nich, zyskałam ich zaufanie, co było bezcenne. Powiedziałabym, że ich opowieści o matce, to jedno z najważniejszych źródeł mojej książki o niej.

Czy znalazłaś w jej życiorysie coś zaskakującego lub szokującego?

– Nic szokującego, ale mile mnie zaskoczyły liczne podobieństwa między nami, nawet na poziomie spraw bardzo intymnych, o których wolę nie mówić. Uderzyło mnie, jak bardzo kochała Francję, mówiła biegle po francusku. Jej włosy posiwiwały wcześniej, podobnie jak moje. Ciągnęło ją do wszystkiego, co ludzie ukrywają. I chyba właśnie to sprawiło, że tak sugestywnie pisała o cudzych sekretach. Zaskoczyła mnie też jej późna relacja z „Rebeką”. Oczywiście, była z niej dumna, ale widziała też, że ogromny sukces tej książki przyćmił resztę jej dorob-



Od lewej: Du Maurier na okładce magazynu „The Bystander”, 1929 r. U góry: Pisarka z rodziną: mężem, sir Frederickiem Browningiem, i dziećmi, 1944 r. Poniżej: Du Maurier z mężem i ukochanym psem, 1952 r.



ku. Miała o to wielki żal. Za nic nie chciała być postrzegana jako autorka romantycznych powieści dla dam. Uważała, że wielu krytyków nie pojęło sedna jej twórczości – nie chodziło przecież o romans, ale o psychologiczne zakamarki, napięcie, sekrety, mrok i moralną dwuznaczność.

Życie intymne bohaterki twojej książki zawsze budziło ogromne zainteresowanie. Jak podeszłaś do tej kwestii?

– Gdy lata temu zaczynałam czytać jej książki, nie wiedziałam nic o jej życiu prywatnym. W 2010 roku francuski wydawca Gérard de Cortanze odezwał się do mnie i zasugerował, że skoro tak bardzo czerpałam z jej twórczości w moich własnych książkach i tak często mówiłam o niej w wywiadach, może napiszę jej biografię – pierwszą po francusku? To właśnie dzięki niemu powstała jedna z najważniejszych książek w moim dorobku. Bardzo chciałam uszanować prywatność du Maurier. Nie ujawniłam jej sekretów na zasadzie podkręcania sensacji. O wiele ważniejsze było dla mnie zrozumienie jej życiowych wyborów.

Wyjątkowy jest styl twojej książki, daleki od tego, jak pisze się typowe biografie. Na ile to była świadoma decyzja, a na ile twój naturalny sposób pisanie?

– Forma tej książki była dla mnie wielkim wyzwaniem. Nie chciałam pisać konwencjonalnej biografii. Pragnęłam, żeby ten tekst był dla moich czytelniczek i czytelników jak moja kolejna powieść. Opisałam życie du Maurier, jakbym ją filmowała: idąc jej śladami, krok po kroku, odwiedzając ukochane miejsca, słuchając jej głosu. Ale nigdy nie mówiąc za nią. Starłam się patrzeć na świat jej oczami. Chciałam, żeby moja książka była tajemnicza, wciągająca i ekscytująca. Ale jednocześnie na wskroś prawdziwa.

Jak ty – będąc jednocześnie pisarką i historyczką literatury – czułaś się, pisząc o innej pisarce?

– To było dla mnie bardzo ważne – napisać o powieściopisarce, która tak głęboko zainspirowała mnie w młodości, która w zasadzie skłoniła mnie do pisania. Tak wiele jej zawdzięczam, ta książka to mój hołd dla du Maurier. Nie postrzegam się jako historyczka literatury, lecz detektywka literacka: szłam jej tropami, czytałam to, co ona, starałam się ją ożywić i zachęcić w ten sposób do sięgnięcia po jej niezwykle książki. Nie tylko po „Rebekę”. ▲



TATIANA DE ROSNAY,
„Na zawsze Manderley.
Życie Daphne du Maurier”,
Wydawnictwo Albatros



ROZLUŻNIENIE CIAŁA

Aromaterapeutyczna mgielka przynosząca ulgę mięśniom i zmysłom. Tension Relief Spray marki Alba 1913 to specjalna relaksująca kompozycja olejków eterycznych na zmęczone partie ciała. Ziołowe składniki zapewniają głębokie i długotrwałe odprężenie. Na kark lub nadgarstki przed ważnymi wydarzeniami, w podróży itp. **(30 ml/69 zł)**



SKÓRA BEZ LUKRU

Glikacja białek to proces, który przyspiesza starzenie skóry, a powoduje ją cukier. Im więcej cukrów w diecie, tym szybciej ten proces zachodzi. Kolagen staje się sztywny, powstają zmarszczki i przebarwienia. Dlatego w Bandi powstała linia Anti Glycation z ekstraktem z drzewa jedwabnego. **(ceny od 45 do 89 zł, Hebe)**

KARCZOCHY REPERUJĄ

Eksperti marki Yves Rocher połączyli fitoekstrakt z karczocha i keratynę roślinną pozyskiwaną z pszenicy, które pomagają w trwały sposób chronić strukturę włosów - tak powstała linia RepARATION. Sześć produktów ma naprawiać, odbudowywać włókna włosów, chronić włosy przed łamaniem, nadawać im sprężystości i blask. **(ceny od 42 do 52 zł)**



ODMŁODZENIE I UKOJENIE SKÓRY

Aż 60-70 proc. kobiet deklaruje nadreaktywność skóry. Dla nich marka Sesderma stworzyła linię anti-aging SESCACAY. Sercem formuły jest olej cacay, bogaty w naturalne prekursorzy witaminy A i nienasycone kwasy tłuszczowe - wspiera odnowę komórkową i poprawia strukturę skóry. Odmładzający krem do twarzy zawiera też łagodny retinoid HPR oraz krzem. **(50 ml/226 zł)**



EGIPSKI OGRÓD

Nowy zapach Chloé Nomade Jardin d'Égypte zabiera nas do ojczyzny założycielki Chloé, Gaby Aghion. To ukłon w stronę papirusa, rośliny symbolizującej wieczne życie dla starożytnych Egipcjan. Pachnie jak letni ogród o świcie. Otwiera się nutami papirusa, w sercu figa, w bazie kwiat kasji. **(30 ml/360 zł)**

TEMAT NUMERU:

ZWIERZĘTA, JAK JE KOCHAĆ MĄDRZE

Katarzyna Zillmann: Taniec zmienił moje życie

Psychologia: Nadmiar terapii szkodzi

Matki i córki - da się je pogodzić

Kuchnia: Przepisy na dania bogate w kolagen



Numer dostępny z prezentem:

szampon lub serum
do włosów ARTISHOQ

eprasa.pl c228a69f19

